Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy

DZIAŁ CZASOPISM

Sf.czas.:6852-6853

GRZEŚ:

pismo obrazkowe dla dzieci od lat 5 - 80. /Altenberg. Dwutygodnik

Lwów

R.1 **1919** nr 1-13 [15.VI-15.XII]; R.2 **1920** nr 1-3,VIII [i.e. 8/9],10 [1.I-19.V]

R, 1, 1919, - N:1-13=13

Rok I 15 czerwca 1919 — Cena Mk 1— K 1·80 Nr. 1

GRZEŚ

PISMO·OBRAZKOWE
DLA·DZIECI·OD·LAT·5—80

KOMINIARCZYK KRÓLA STASIA

Kiedyś w bardzo dawnych czasach
Gdy się dziwne rzeczy działy
Pod ogrodem na Dynasach
Mieszkał kominiarczyk mały.

Zawsze bywało jednako
Jak dziś, tak w ciągu stuleci
Że przed czarną gębą taką
Uciekały wszystkie dzieci.

On sam wcale nie czuł strachu,
Bowiem miłym był wisusem
Nieraz na wysokim dachu,
Znajdywał się jednym susem.

Na dół spuszczał się drabinką
Do panienek pokoiku,
A znalazłszy się w kominku
Wołał do nich:
Kuku-ryku!

Wielki Boże! Ratuj Józię
Dał jej w nos czarnego pszyczka,
Kazi zrobił czarną buzię,
Że z niej istna bolszewiczka.

Narobiwszy tyle zgiełku,
Zmykał cicho, jakby trusia,
Bo niedobrze jest dyabełkom,
Kiedy stanie w drzwiach mamusia.

Raz ulicą idzie Tatar,
Obrośnięty wielkim włosem,
Bardzo smutny, bo ma katar
I pociąga głośno nosem.

Kominiarczyk wziął szczoteczkę
Czyścił pilnie na wsze strony
I tatarski nos troszeczkę
Mniej już był zakatarzony.

W owym czasie, w Polskiej ziemi
Ludziom żyło się bez troski,
A panował nad wszystkiemi
Król Stanisław Poniatowski.

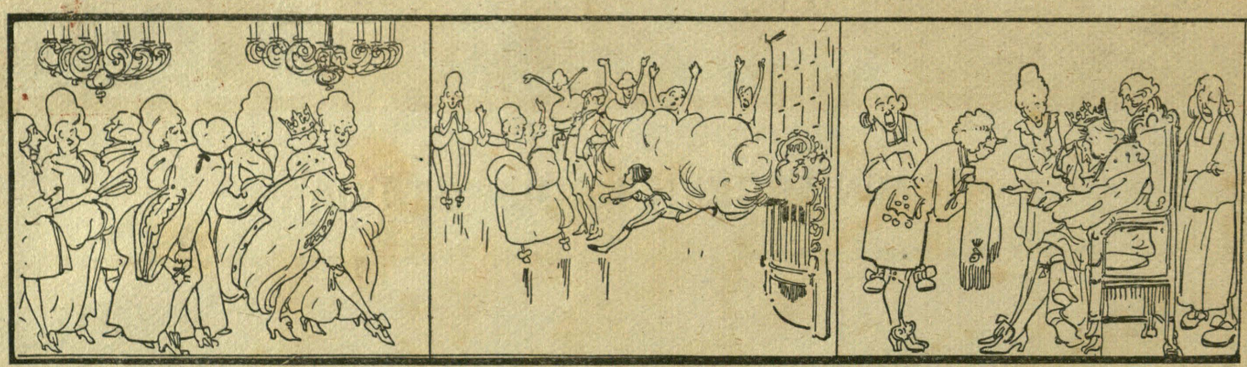

Lubował się w pięknych strojach,
Kochał życia wspaniałości,
A co wieczór na pokojach
Przebywało wiele gości.

Właśnie miała być zabawa,
Gdy w tem pazie pędem lecą,
Krzycząc, że jest głupia sprawa,
Bo się strasznie dymi w piecu!!

Wszystkich dworzan wnet przenika
Wieść trwożliwa i hiobowa:
Król rozkazał dać ręcznika,
Mówiąc, że go boli głowa...

Pan Marszałek zasępiony,
Słabość króla go przeraża,
Woła głośno na wsze strony:
Zawołajcie kominiarza!

Wiecie co się dalej dzieje:
Kominiarczyk, strach panienek
Bieży pędem przez aleje,
Bieży pędem do Łazienek.

(C. d. n.)

IGRASZKI CYFR

$1 \times 9 + 2 = 11$
$12 \times 9 + 3 = 111$
$123 \times 9 + 4 = 1111$
$1234 \times 9 + 5 = 11111$
$12345 \times 9 + 6 = 111111$
$123456 \times 9 + 7 = 1111111$
$1234567 \times 9 + 8 = 11111111$
$12345678 \times 9 + 9 = 111111111$
$123456789 \times 9 + 10 = 1111111111$

Liczba 3367

Przy pomocy tej liczby można wywołać bardzo ciekawe ugrupowania. Pomnóżmy tedy 3367 przez 33, 66, 99, 132, 165, 198, 231, 264 i 297, a więc przez mnożnik o 33 większy od poprzedniego, otrzymamy wówczas następujące sześciocyfrowe liczby:

$33 \times 3367 = 111111$
$66 \times 3367 = 222222$
$99 \times 3367 = 333333$
$132 \times 3367 = 444444$
$165 \times 3367 = 555555$
$198 \times 3367 = 666666$
$231 \times 3367 = 777777$
$264 \times 3367 = 888888$
$297 \times 3367 = 999999$

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 681 2 ІП

PRZEDZIWNA HISTORYA O KALOSZACH

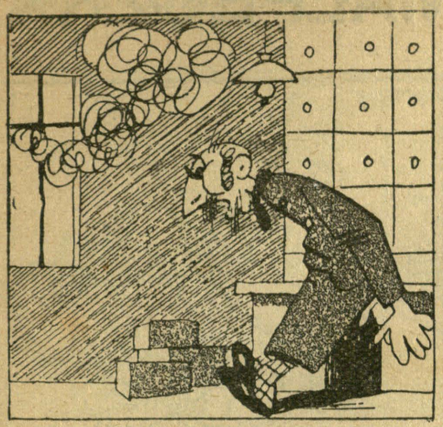

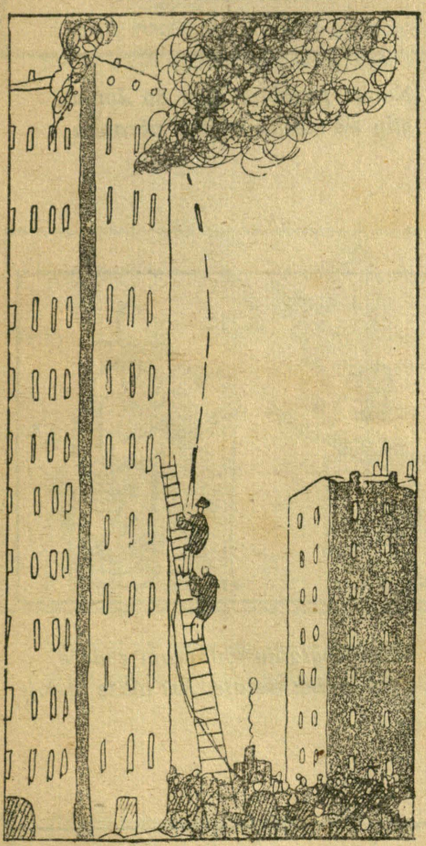

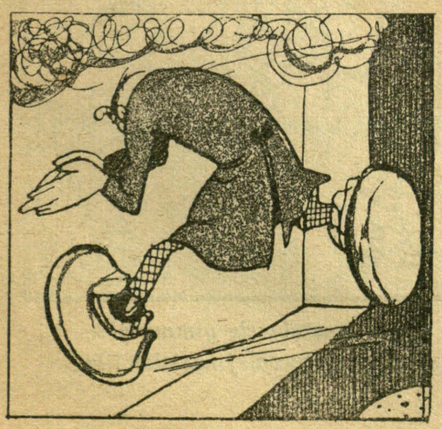

W Ameryce, w kraju, który się dlatego tak zowie, bo tam wyrabiają smalec amerykański) są kamienice, które mają nawet 20 piąter wysokości, a nazywają się „drapaczami chmur", (dlatego, że jakby kto wydrapał się na komin takiej kamienicy, to mógłby chmurę podrapać w brodę, gdyby chmura miała brodę).

Na 21 piątrze jednej takiej kamienicy mieszkał sobie sławny fabrykant najlepszych kaloszy rosyjskich Henry Bird. Był on przedtem handlarzem cebuli w Żydaczowie i nazywał się Herszko Ptaszek.

Różne przypadki chodzą po ludziach, bo inaczej ludzie chodziliby po przypadkach. Otóż raz zdarzyło się, że w mieszkaniu Henryka Birda, który się przedtem nazywał Herszko Ptaszek wybuchł groźny pożar. Ogarnął on tak szybko wszystkie windy i klatki schodowe, że nie było mowy o ratunku. Ludzie ratowali się ucieczką, tylko nasz Ptaszek nie mógł wczas wydostać się ze swojego mieszkania i bardzo żałował, że już nie jest handlarzem cebuli w Żydaczowie, gdzie niema ani jednej kamienicy o 21 piątrach.

A pożar coraz większy. Dym zapełnia pokoje i płomień przegryza sufity. Ptaszkowi jest bardzo nieprzyjemnie, strasznie nieprzyjemnie.

W tem przybywa mu myśl zbawienia: wyskoczy przez okno. Ale jak? z 21-szego piętra na dół? Waryat! czysty waryat.

Aha! Już wie. Przecież nie darmo jest fabrykantem najlepszych rosyjskich kaloszy. One uratują go od śmierci. Tedy ubiera na nogi kalosze. Jedną parę, potem drugą, potem trzecią, potem czwartą i piątą, aż ich było bardzo wiele. W takim kostyumie Ptaszek skacze z okna. Leci na dół jak prawdziwy ptaszek, leci całkiem spokojnie i nic sobie z tego nie robi, bo jest pewny swoich kaloszy.

Bumss! Uderzył o bruk. I nic mu się nie stało. Uradowany. Ba, ale kalosze były elastyczne, jak piłka, więc Chaim Ptaszek nie został na ziemi, tylko odbił się o bruk i poleciał z powrotem do góry. I co teraz będzie z biedakiem? Nic złego, bo potem znowu spadł na dół, odbił się, a potem tak samo do góry poleciał. I tak ciągle latał. Tymczasem pożar ugaszono i zbudowano na tem miejscu inną, nową kamienicę, a Chaim Ptaszek ciągle latał pomiędzy chodnikiem a chmurami. Tam i napowrót, z góry na dół i z dołu do góry.

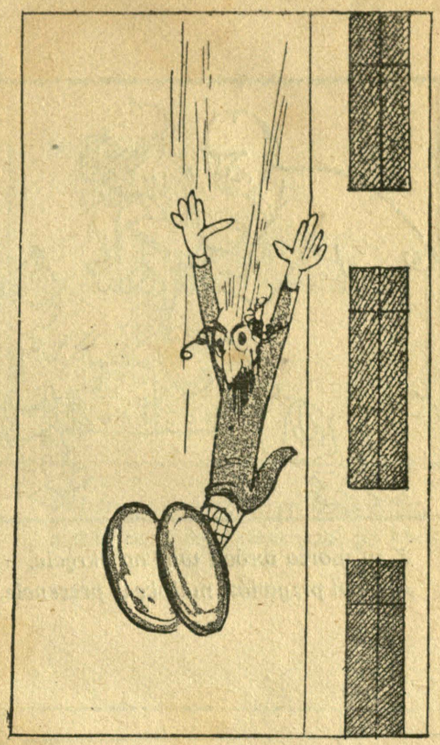

I jeszcze lata, aż do dzisiejszego dnia. Z góry na dół i z dołu do góry.

Jest już bardzo zmęczony i głodny, mimo to cieszy się ogromnie, bo nareszcie pokazało się, że jego kalosze są w bardzo dobrym gatunku.

Nie wierzycie tej historyi? Pojedźcie do Nowego Jorku a zobaczycie!

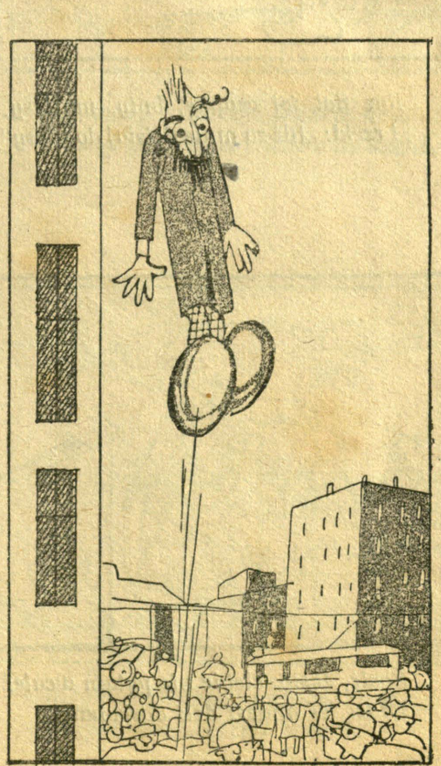

MAŁPECZKA

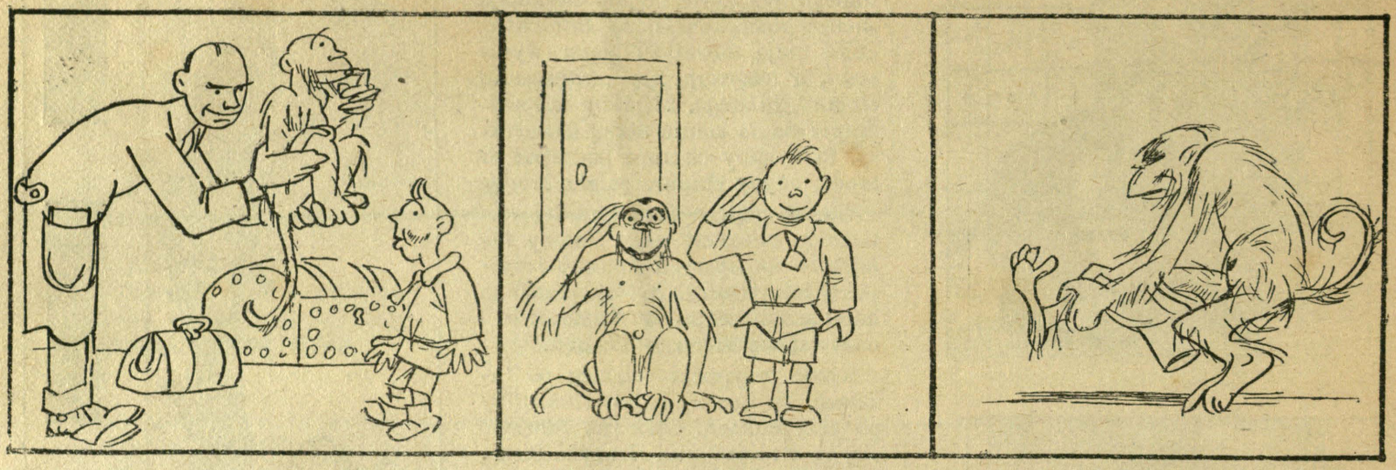

Z za morza wrócił wuj na okręcie,
Jasiowi przywiózł małpkę w prezencie,

Bardzo milutka była małpeczka,
naśladowała ciągle Jasieczka.

Nawet podobna była do Janka,
gdy się stroiła w jego ubranka.

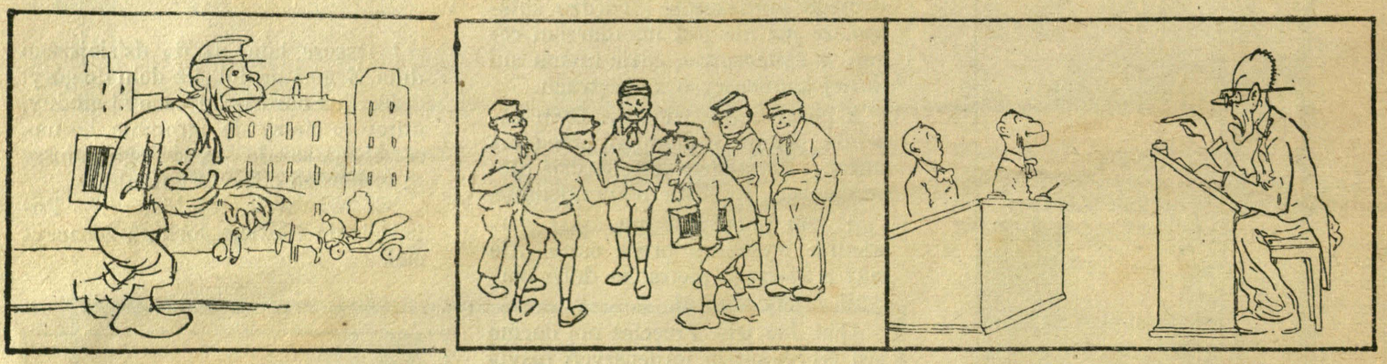

Raz dał jej czapkę, buty, majtasy,
i rzekł: „Idź za mnie dzisiaj do klasy".

Wita się z Jankiem uczniów gromada
w tem na katedrze profesor siada.

Różne pytania chłopcom zadaje,
ktokolwiek wstaje, Jaś także wstaje.

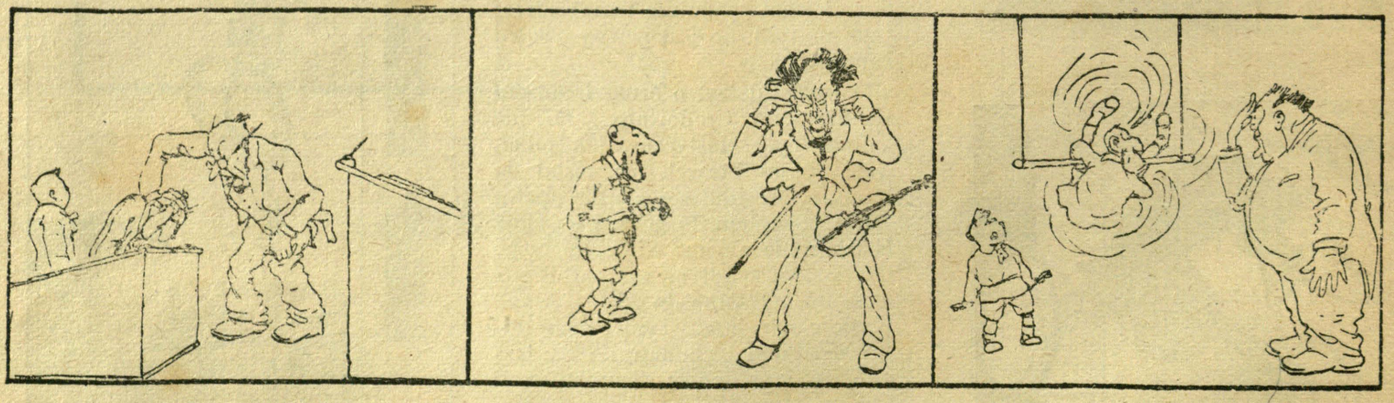

Siedź, Jasiu, ciebie nie pytam wcale;
widzę, że umiesz dziś doskonale.

Na lekcyę śpiewu profesor prosi
Jaś głośno wyje aż się zanosi.

Potem zaczęła się gimnastyka:
Jasio najzręczniej koziołki fika...

JASIA

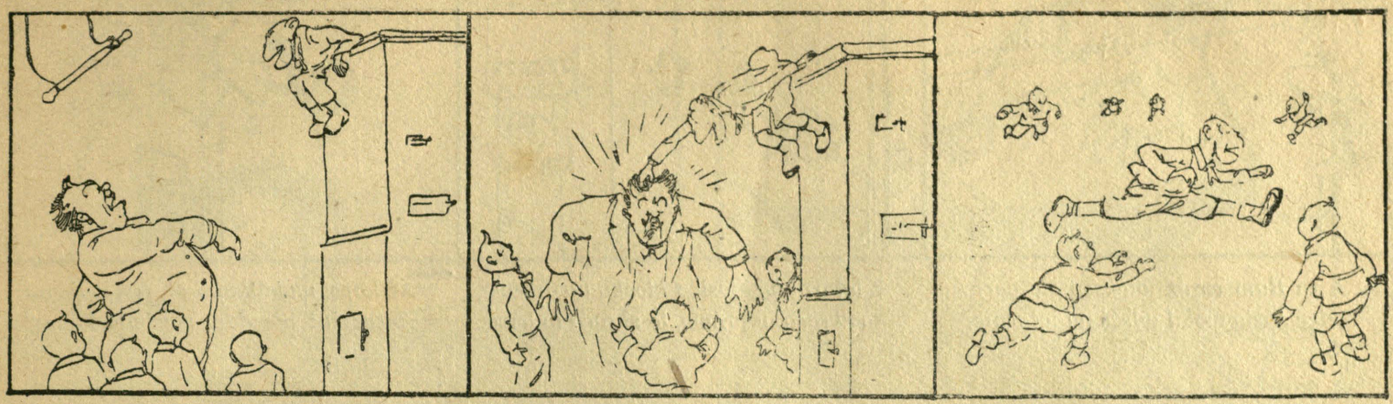

Gdy się rozfikał... — a to ci heca!
jak skoczył na piec, nie chce zejść z pieca.

Mówi profesor: „Zejdź, bo wytłukę!.
A Jaś mu z głowy zdziera perukę.

Potem, jak waryat, po izbie hasa;
z piskiem i krzykiem goni go klasa.

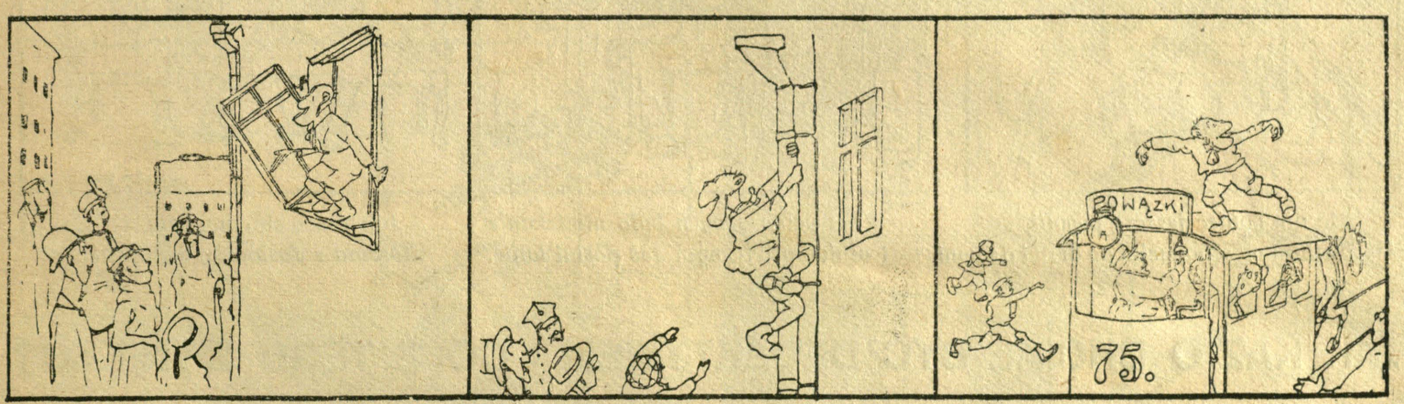

Skoczył za okno na murze siedzi...
stają przechodnie, patrzą sąsiedzi,..

A Jaś pogoni unika zwinnie
i w mgnieniu oka zjeżdża po rynnie.

Hej, łapaj, trzymaj!.. Jasio ze strachu
skoczył na tramwaj, jedzie na dachu.

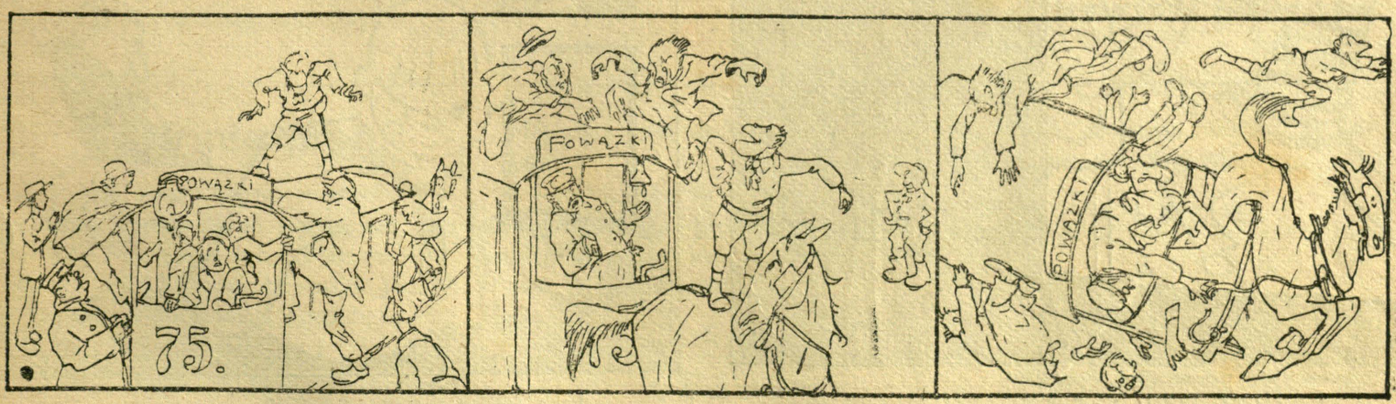

Wóz zatrzymali i całą zgrają
ludzie za Jasiem na dach się pchają.

Ten i ów myśli: „Zaraz cię złapię"...
A Jaś dał susa, już jest na szkapie.

Koń tym się skokiem zadziwił troszkę,
wysypał gości, rozbił dorożkę...

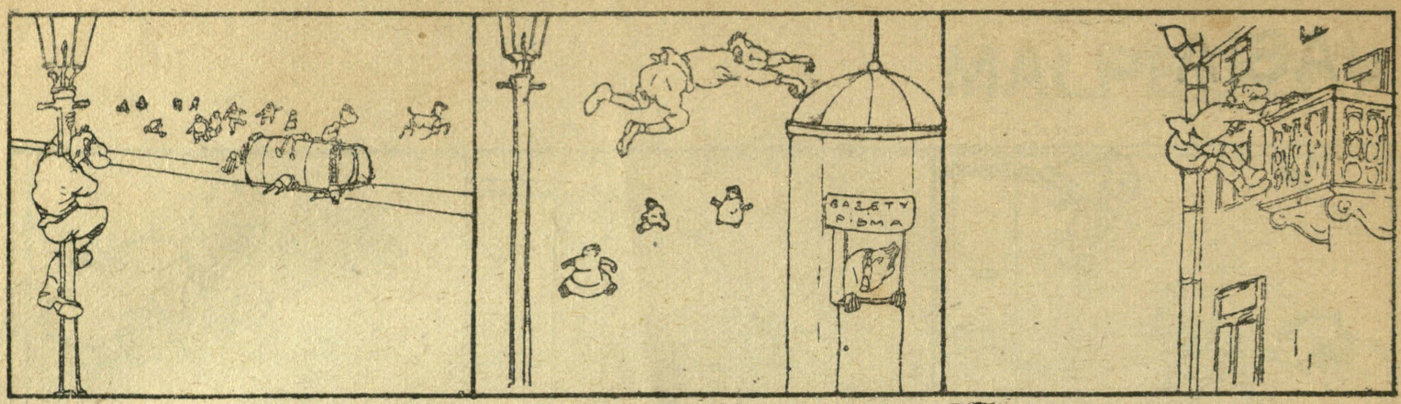

A tu tłum coraz większy się garnie,
więc Jasio wolał wleźć na latarnię.

Z latarni na kiosk, z kiosku na drzewo,
to skraca w prawo, to skraca w lewo.

Aż hops! na balkon i ot, jest w domu;
„teraz już nie dam się byle komu".

Ale nie koniec jeszcze pogoni,
bo tłum na schodach i do drzwi dzwoni.

Wnet pełne obcych było mieszkanie
i w domu własnym Jaś dostał lanie.

A tajemnicę stanowi całą,
któremu z Jasiów to się dostało.

JAK KAZIO CHCIAŁ BYĆ DEDEKTYWEM I CO Z TEGO WYNIKŁO?

— Co z ciebie będzie, Kaziu? Nic, a nic się nie uczysz.

A Kazio wie, czem będzie.

I codzień się uczy: w kinematografie na dedektywa! Właśnie skończył naukę.

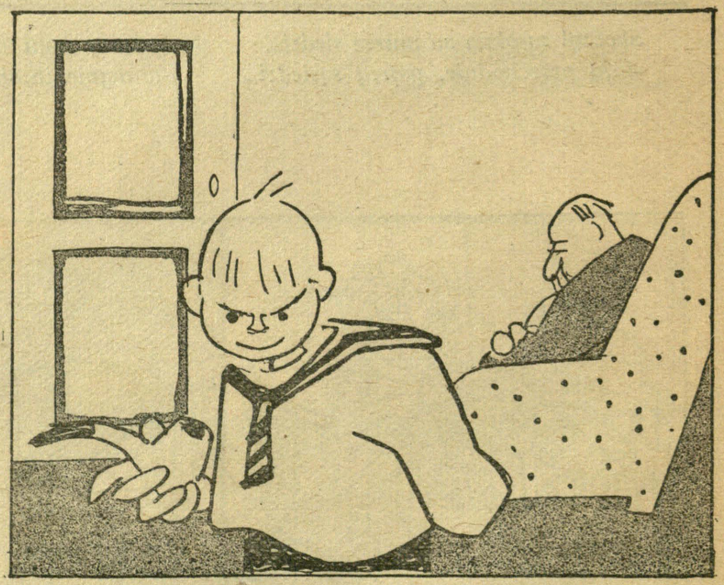

— Któż zabrał tatusiowi fajkę?

Psst! Nie mówcie o tem nikomu... Kazio zabrał, bo wie o tem, że bez swojej fajeczki nie ruszał się nigdy Szerlok Holmes.

Prenumerata wynosi kwartalnie Mk. 6·—, K 10·80; z przesyłką pocztową Mk. 7·—, K 12·—. Administracya: Kraków, ul. Wolska 19, w Warszawie Krakowskie Przedmieście 9, we Lwowie Hotel George'a. — Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg.

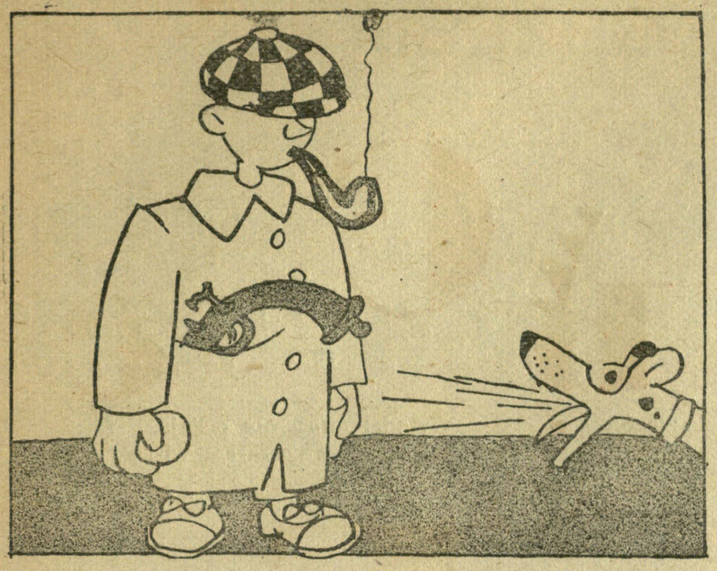

— Czemu ten pies tak szczeka?
Bo psy nie lubią, kiedy dzieci palą fajkę tatusiową.

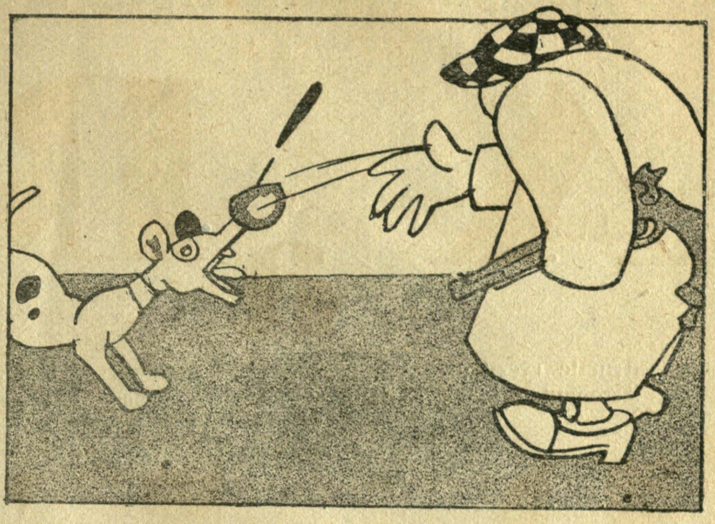

— Co ma zrobić dedektyw kiedy zobaczy psa?
— Powinien uderzyć psa kamieniem.

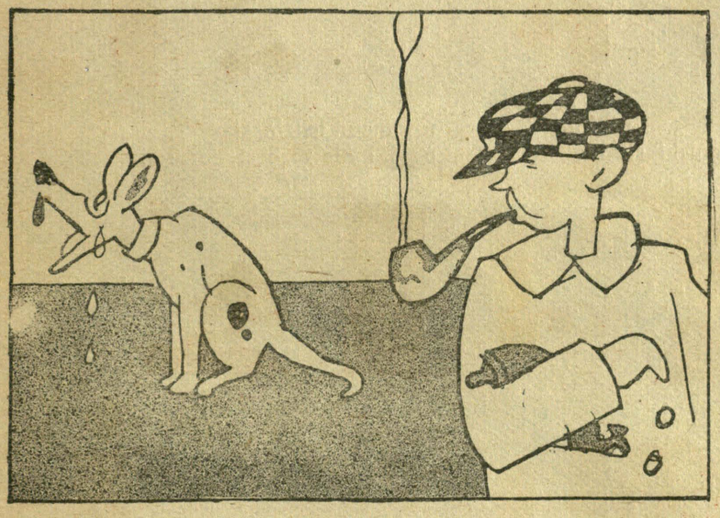

— Czemu ten pies tak gorzko płacze?
Bo mu żal, że Kazio taki głupi.

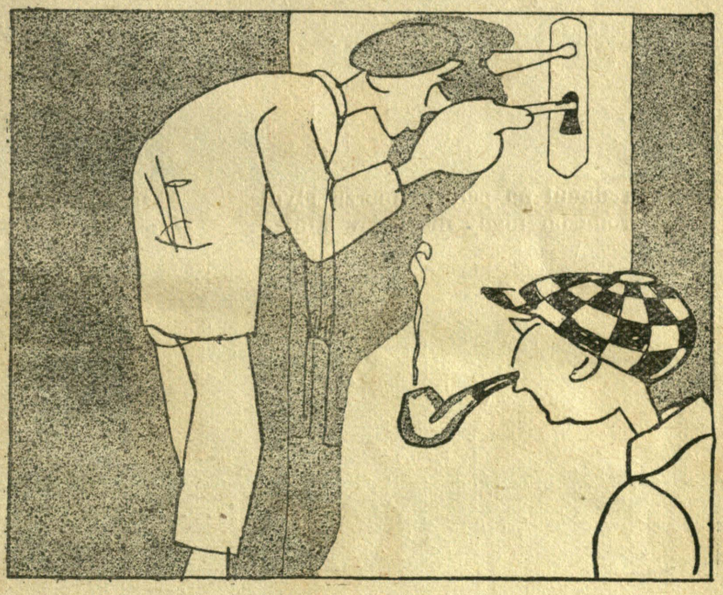

— Mam go! pomyślał Kazio dedektyw. To pewnie bandyta, który chce obrabować pałac i uciec potem tajemnym lochem. *C. d. n.*

Para nie para?

Jeżli ktoś trzyma w zamkniętej dłoni trochę monet i pyta, czy ich ilość jest równa lub też nie, to można przypuszczać, że szanse jednej i drugiej możliwości zupełnie są równe.

Matematyk de Mairan, sekretarz Akademii Paryskiej ogłosił w połowie XVII wieku rozprawę dotyczącą tej sprawy. De Mairan twierdzi, że jest korzystniejszem stawiać na nieparę i udowadnia to jak następuje:

Monety, które są w ręku wzięto w większej ilości pieniędzy. Jeżli ta pierwotna ilość jest równa np. dziesięć, to można wziąść jej

1, 3, 5, 7, 9,

albo

2, 4, 6, 8, 10

monet. W tym wypadku szanse pary i niepary są równe. Jeżli jednak ilość pierwotna jest nierówna np. jedenaście, wówczas możliwe są następujące ewentualności:

2, 4, 6, 8, 10,

albo

1, 3, 5, 7, 9, 11

w tym wypadku niepara ma o jedną szansę więcej.

Jeśli tedy dwie osoby mają zamiar przez czas dłuższy zabawiać się tą grą, korzystnem będzie stawiać na nieparę.

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж 6852

ABECADŁO GRZESIA

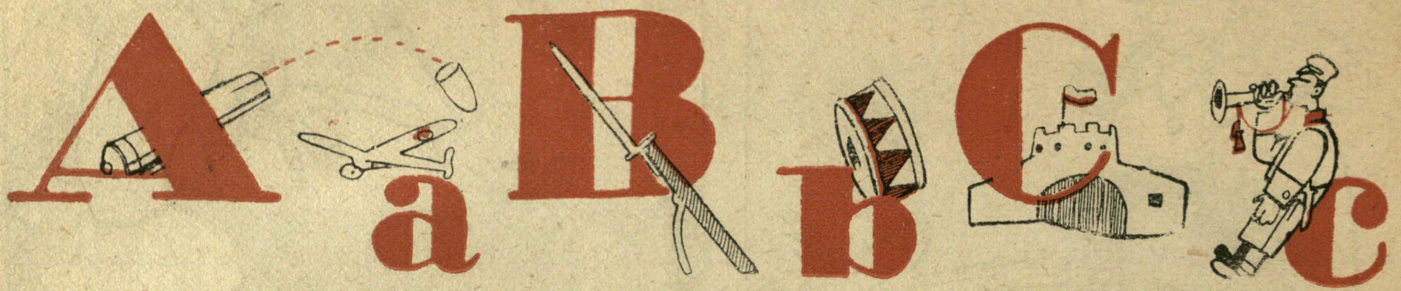

*A*rmata ryczy groźnym basem,
*A*eronauta spadnie czasem.

*B*agnety robią wiele złego,
*B*ęben to całkiem co innego.

*C*ytadel mury nie pękają,
*C*apstrzyk w koszarach wieczór grają

*D*rednaut na pełnem morzu płynie,
*D*romedar nigdy nie był w kinie.

*E*ksplozya stała się w Lublinie,
*E*nergią żołnierz polski słynie.

*F*urgonem jedzie stary rabin,
*F*uzyjki ojcem jest karabin.

*G*wardzistę kocha panna Hela.
*G*ranat podobny do szrapnela,

*H*usarz na plecach nosił skrzydła,
*H*aubic nie robi się z powidła.

*I*ndyanin gdzieś w pampasach hula,
*I*ntruza karze polska kula.

*J*enerał głową jest przy sztabie,
*J*unactwo nie przystoi babie.

*K*ulomiot nieprzyjaciół praży,
*K*ucharz gotuje, co się zdarzy.

*L*unetą trudno ryby łapać,
*L*ancami można się podrapać.

Rok I 1 lipca 1919 — Cena Mk 1— K 1·80 Nr. 2

GRZEŚ

PISMO·OBRAZKOWE
DLA·DZIECI·OD·LAT·5~80

KOMINIARCZYK KRÓLA STASIA

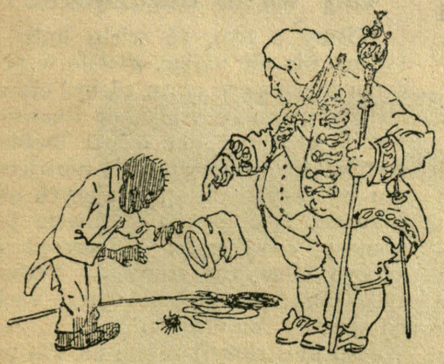

— Taki pędrak osmolony!
Jakże ja cię puścić mogę
Wszak zabrukasz mi salony
I zaplamisz mi podłogę.

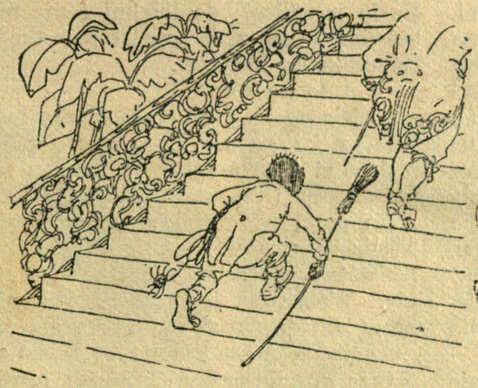

Przestrach zdjął kominiarczyka
Idzie krok w krok za marszałkiem
Tak nieśmiały, że języka
Już zapomniał w gębie całkiem.

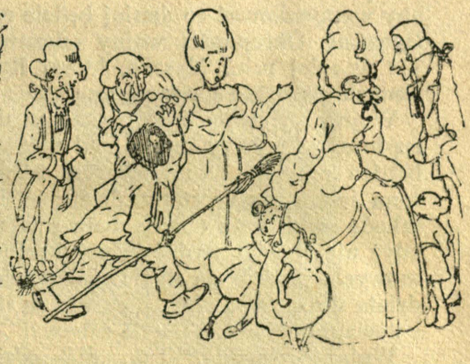

Miecio w płacz, do kąta leci
Zosia dręczy swą matulę —
Tak to czasem nawet króle
Mają nierozsądne dzieci.

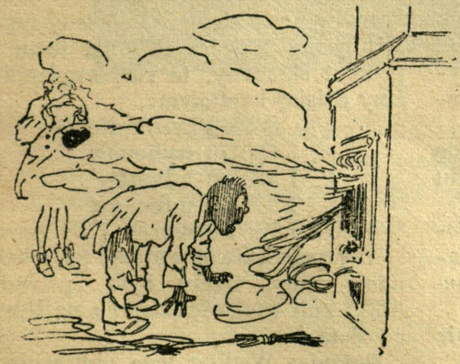

Nuże spiesz się czarny kotku
Do roboty jazda śmiało!
Machaj sobie jak chcesz szczotką
Byle dymić się przestało.

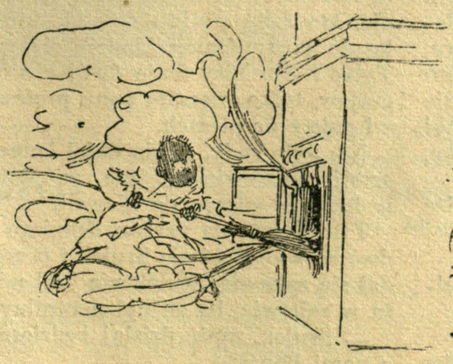

Mokra na nim już koszula
Lecz nie mówi ani słowa
Bo chce, żeby w Polsce króla
Nie bolała nigdy głowa.

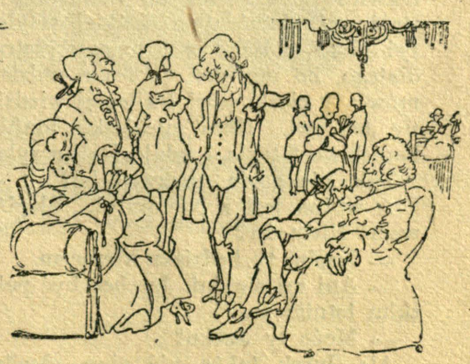

Już nikogo dym nie drapie
Gościom dobrze jest na balu
Siedzą sobie na kanapie
I kominiarczyka chwalą.

Król Jegomość rozmów słucha
Pyta czy ma mamę, tata
Potem wynagrodził zucha
I złotego dał dukata.

Ręce króla, jak murzyna
Sadza brudna na atłasie
A to wszystko czyja wina
Cóżeś zrobił ty brudasie?

Wieczór zbiegła się gromada
Każde uszy naszczurzyło
On zaś dziwy opowiada
O tem, jak na zamku było.

Wojna na podwórzu.

Już niema nadziei utrzymania pokoju, kroki wojenne rozpoczną się lada chwila. Kazio wdrapał się na rynnę, gdzie będzie pełnił obowiązki obserwatora, uważając na sygnały, które mu przesyła z balonu na uwięzi Marylka na balkonie. Odważny Miecio zgłosił się odrazu na ochotnika i rusza na patrol wywiadowczy do kuchni, aby wymyszkować co dzisiaj będzie na legominę. Okropności wojny odczuwa już w całej pełni Myszka, której Ryś wsadził palec do lewego oka.

Wojna wybuchła. Pod parkanem urzęduje sąd polowy i radzi nad sprawą bardzo przykrą. Oto kucharka oskarżona jest o zdradę stanu, działanie na szkodę armii oraz obrazę szefa sztabu, gdyż nie chciała wydać hełmów szturmowych. „Idźcie do dyabła — powiedziała do szefa sztabu — garnki są do gotowania obiadu, a nie do zabawy!"

Wojna wybuchła. Tak, ale gdzie nieprzyjaciel? Jak dotąd jest same polskie wojsko. Oddział karabinów maszynowych z młynkiem do kawy, marynarka polska pod dowództwem admirała Zdzisia odkręca kurki w łazience (skóra będzie w robocie, panie admirale!) artylerya polna zdołała zarekwirować kominek do samowara u stróżowej, dowództwo ciężkiej artyleryi objął Staszek z drugiego piętra, dlatego, bo mu pan profesor codzień mówi: ty ciężki ośle! Najlepiej wiedzie się Jaśkowi. Ubrał niebieskie majtki kąpielowe tatusia i udaje Hallerczyka.

Tak, ale gdzie nieprzyjaciel?

A wojna jest z Niemcami. Skądże wziąć Niemców?

— Kaziu, ty będziesz Niemcem.

— Ani mi się śni. Ja chcę być polskim lotnikiem.

— Może ty Jurku?

Ale Jurek także nie chce choćby przez chwilę udawać Prusaka.

Nareszcie znalazł się sposób. Burek będzie Niemcem. Buda, w której siedzie niech się nazywa Berlin.

Uderzy się więc na Berlin i wypędzi Prusaka z budy.

Zgoda zapanowała na podwórzu, a wojska rozpoczęły przygotowania do ofenzywy.

Ale nie z samym Niemcem walczyć trzeba. Są przecież także Ukraińcy. Musi się ktoś poświęcić i zostać Ukraińcem.

Znowu niema amatora. Tymczasem Kazio przybiegł do kuchni i nic nie mówiąc nikomu, przyniósł szczotkę i czernidło do bucików.

— A to po co?

— Nie wiesz, przecież kucharka mówiła, że hajdamacy mają czarne podniebienie! Zrobimy więc z Franka na poczekaniu Ukraińca.

To rzekłszy, chciał grzeczny Kazio wsadzić Frankowi szczotkę do gęby. Na podwórzu zapanowało ogólne oburzenie. Wobec tak jawnego pogwałcenia praw międzynarodowych zebrała się rada wojenna i uchwaliła, że Kazio za obrazę Franka będzie dowodził armią bolszewicką.

— Buuu, zaczął się dąsać Kazio i już był bliskim płaczu.

— Ja wcale nie jestem bolszewikiem! Nie chcę nim być i już!

— Nie jesteś bolszewikiem? A właśnie że jesteś i to jeszcze jakim! A kto to zawsze obrywa chrząszczom skrzydła, kto żaby wbija na patyk, kto hałasuje kiedy mama kładzie się spać? Tylko bolszewicy mają dwójkę z obyczajów, tylko wieszają panu profesorowi pajace na plecach.

Nie było rady, Kazio objął komendę armii bolszewickiej, ale ze wstydu poddał się odrazu do niewoli.

Tymczasem na parkan drugiego podwórza wydrapał się Srulek i przyglądał się zabawie. Srulek nie brał udziału w zabawie, bo on był neutralny.

— Srulek, może dzisiaj będziesz się z nami bawił?

Ale Srulek nie chciał. Powiedział, że tak długo nie będzie się bawił z nimi w wojnę, póki nie zrobią — pogromów.

Co to jest? Nikt na podwórzu nie wiedział. Kazio pytał się Rysia, Muszka chciała iść do mamy, ale Srulek ich uspokoił:

— Ja także nie wiem alę mój tate mówił, że to jest dla nas bardzo dobrze, jak są pogromy.

Tymczasem z frontu dolatywał szczęk broni i żałosne wycie Burka. To armia Hallera atakowała Berlin.

Czy warto oszczędzać?

Wiemy o tem, że wielu ludzi na świecie nic nie mając, zdołało w przeciągu niedługiego czasu zdobyć olbrzymi majątek. Te wspaniałe finansowe wyniki osiągnęli oni dzięki osobistej wytrwałości, pracowitości i umiejętnemu wykorzystaniu sprzyjających okoliczności. Jest jednak możliwem przy pomocy cierpliwości i oszczędności zdobyć olbrzymie sumy — trzebaby tylko dożyć jeszcze podwójnego wieku, co sędziwy Matuzalem.

Jeśli ktoś złoży bowiem na $4^{7}/_{10}$ procent jedengrosz, to po stu latach wzrośnie już do marki. Po dwustu latach z jednej marki wzrośnie do stu. I tak po upływie każdego wieku kapitał będzie o stokroć większy. Po 1900 latach grosz będzie sekstylionem marek, li znaczy, że zgromadzony kapitał wyniesie 200 milionów marek razy tyle ile gramów waży ziemia. Jeśli tedy umieścilibyśmy 1 grosz 1875 lat temu na procent składany, to rozporządzalibyśmy dzisiaj kapitałem:

865986 kwadrylionów
i 626476 trylionów
i 236508 bilionów
i 270156 milionów
i 786660 marek i 24 groszy.

Aby przedstawić wartość tej olbrzymiej sumy, trzeba było sporządzić 37317 kuli wielkości ziemi z najlepszego złota.

Pytanie: Według tego obliczenia w którym roku musieliby byli Niemcy złożyć 1 grosz na procent składany, aby z osiągniętego kapitału mogli zapłacić ciężary wojenne?

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6892 іп

BRZYDKI KONIEC PRUSAKA

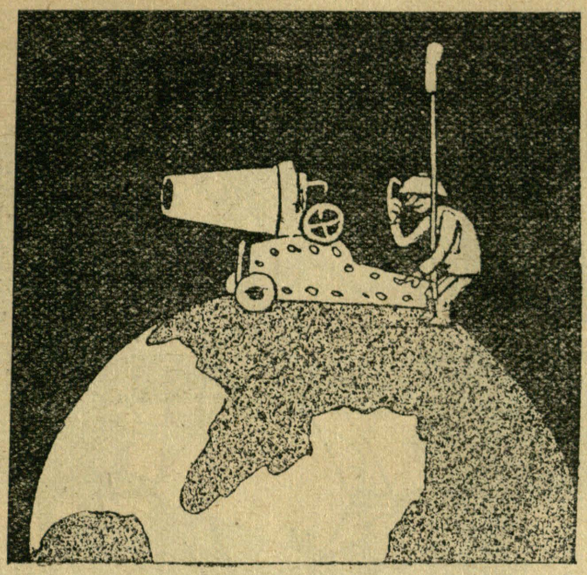

Prusakowi było mało
Haubic, armat i moździeży,
Więc zbudował takie działo
Że gdy celnie zeń wymierzy,

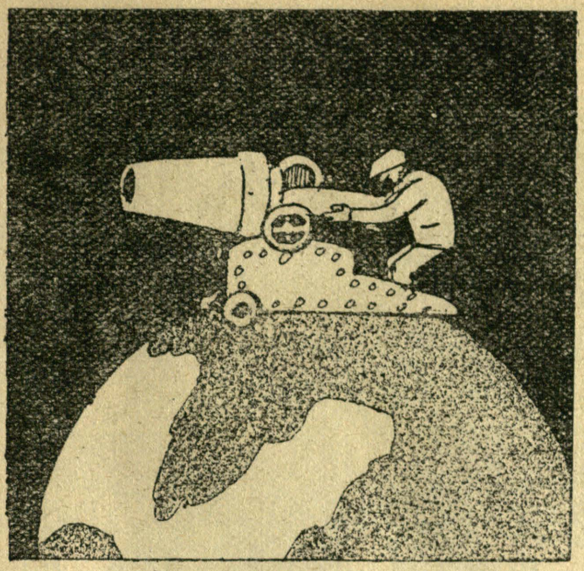

Nabój w krąg obleci ziemię
Od Chicago do Tobolska
Zniszczy całe ludzkie plemię,
A z nim razem „szwinia polska".

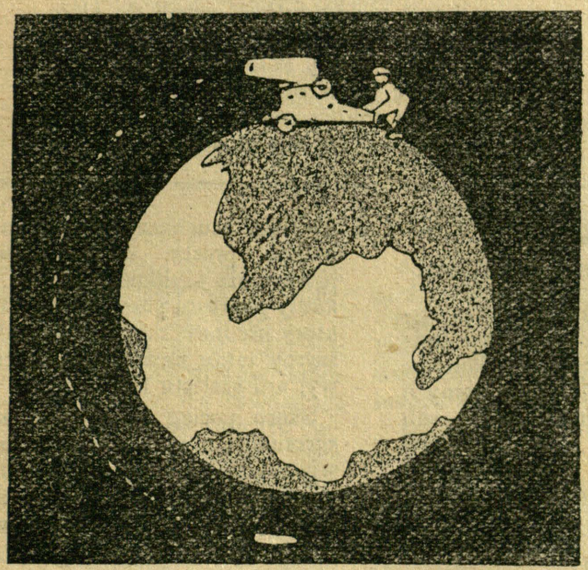

Granat gotów! Donnerwetter!
Z dynamitu i ze stali
Leci tausend Kilometer
Coraz dalej, coraz dalej!

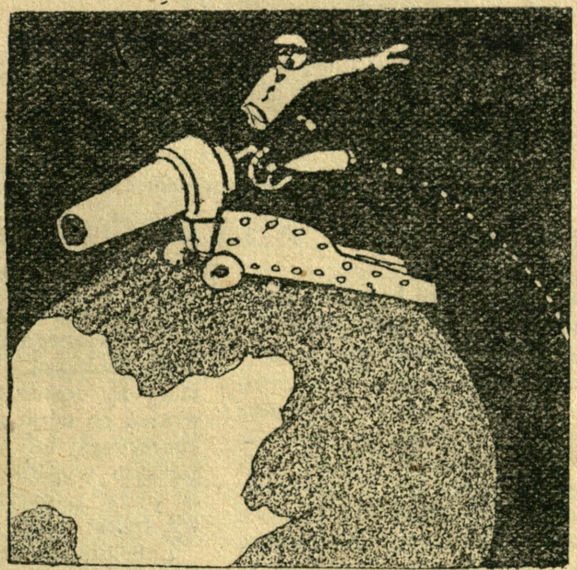

Obiegł ziemię calusienką,
Zwiedził wszystkie świata strony,
A na końcu prościusieńko
Wrócił, skąd był wystrzelony.

Prusak strasznie dumny z działa,
Już całemu światu grozi,
Gdy w tem kula przyleciała,
Fajt! — i wzięła go do Bozi.

PRZYGODA

Może was to przejdzie mrowiem
Może mocno was zasmuci
Kiedy szczerze tu opowiem
Co się stało cioci Guci.

W kinie dzisiaj filmy nowe
Ciocia więc kolacyę zjadła
Uczesała pięknie głowę
Wzięła bilet i usiadła.

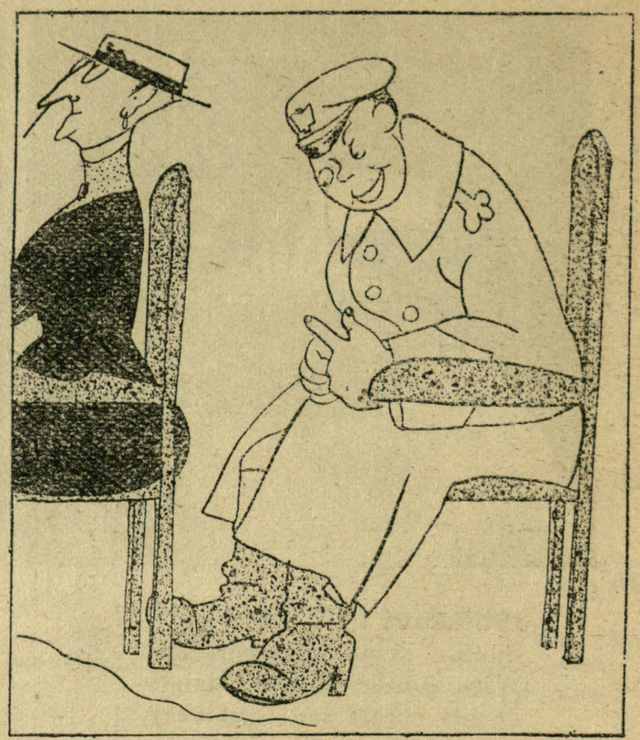

A opodal w drugim rzędzie
Pewien siebie, z dobrą miną
Też ciekawy co to będzie
Grześ ze „Szczutka" wszedł do kino.

Nagle... patrzy koło nogi
Patrzy jeden raz i drugi
Bo na środku wśród podłogi
Leży włóczki kawał długi.

Igraszki cyfr.

Jeśli liczbę 37 mnożyć będziemy liczbami zawsze o 3 wyższemi, otrzymamy następujący rezultat:

$3 \times 37 = 111$
$6 \times 37 = 222$
$9 \times 37 = 333$
$12 \times 37 = 444$
$15 \times 37 = 555$
$18 \times 37 = 666$
$21 \times 37 = 777$
$24 \times 37 = 888$
$27 \times 37 = 999$

* *

$1 \times 8 + 1 = 9$
$12 \times 8 + 2 = 98$
$123 \times 8 + 3 = 987$
$1234 \times 8 + 4 = 9876$
$12345 \times 8 + 5 = 98765$
$123456 \times 8 + 6 = 984765$
$1234567 \times 8 + 7 = 9876543$
$12345678 \times 8 + 8 = 98765432$
$123456789 \times 8 + 9 = 987654321$

* *

Trębacz na pociągu pospiesznym.

W wagonie restauracyjnym pociągu pospiesznego możnaby bez żadnych trudności urządzić koncert, który by dostarczył takich samych wrażeń co uczta artystyczna w sali koncertowej lub w teatrze. W najgorszym wypadku niektóre subtelne piana zgłuszyłyby może miarowy szelest kół.

Zupełnie inaczej wypadłoby całe przedsięwzięcie, gdybyśmy warunki koncertu zmienili. Przypuśćmy, że weźmiemy jednego ze solistów np. trębacza i osadowimy go na dachu jednego z wagonów. Jednocześnie wyobraźmy sobie, iż pociąg posunie dzięki jakiejś fenomenalnej lokomotywie swoją szybkość aż do 350 metrów na sekundę. I wtedy trębacz zaczyna swoje solo.

O dziwo! Ani pasażerowie ani trębacz nic nie słyczą. I gdyby nawet trąbił tak silnie, jak jego kolega z Jerycho, ani jeden ton nie dojdzie do uszu słuchaczy. Przyczyna jest bardzo prosta: szybkość pociągu przewyższa szybkość dźwięku. Uciekamy poprostu przed każdym tonem, który nie może nas dogonić. Nie słyszymy także nawet własnej rozmowy, ani szelestu kół.

Skoro pociąg mija jakąś stacyę, zgromadzeni tam słuchacze usłyszą wprawdzie melodyę, ale w zupełnie zniekształconej formie. Przy zbliżeniu się pociągu tony będą wyższe, przy oddalaniu niższe.

Skoro pociąg zwolni swoje tempo aż do 330 metrów na skundę, tak, że szybkość dźwięku osiągnie przewagę, wtedy trębacz może zaprzestać koncertu, usłyszymy bowiem to, co grał przedtem. Jednakowoż w odwrotnym porządku. Najpierw dogoni nas ton ostatni, albowiem jego fale dźwiękowe są najbliższe nas. Ostatni ton, jako najdalszy ułyszymy na końcu. To znaczy do uszów naszych dojdzie pieśń odwrócona jakby z gramofonu puszczonego w odwrotnym kierunku.

* *

CIOCI GUCI

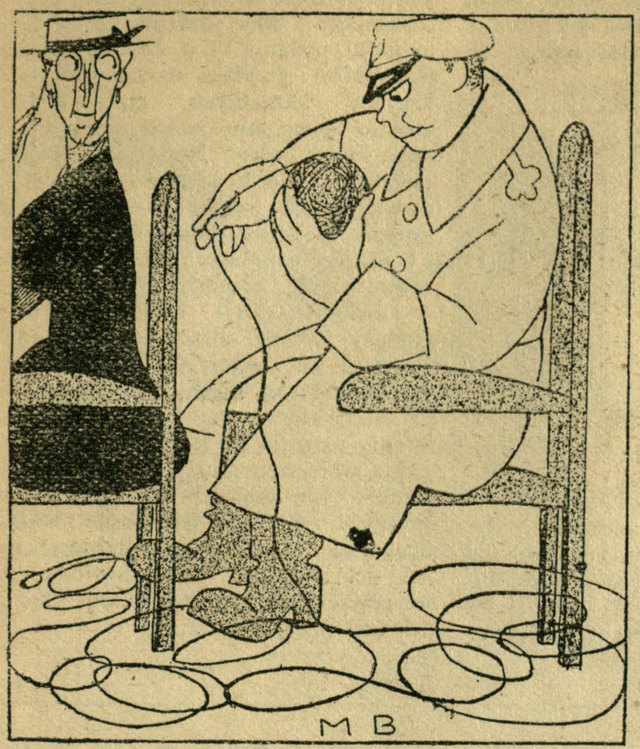

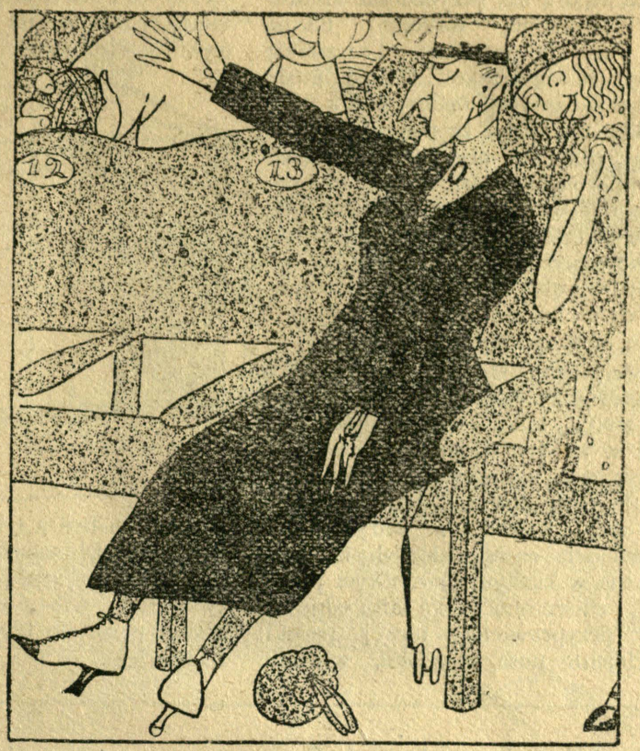

— „Ktoś tę włóczkę zgubił widać —
„Trudno zbadać jest przyczynę
„Lecz że mi się może przydać
„Więc na kłębek ją nawinę.

„A to jakiś duży kawał
„Wiele łokci może mierzyć.
„Jeszcze większy niż się zdawał
„Skąd to może tutaj leżeć?

Gra muzyka, program mija
Włóczka wciąż się chłopcu przędzie
Ciocia Gucia w drugim rzędzie
Myśli: co on tak nawija?

Nagle wszczął się tumult mały
Ciocia zrywa się do sprzeczki
„Boże! Gdzie mi się podziały
Kto włóczkowe spruł majteczki?

TEATRZYK MARJONETEK

Gdy się komu bardzo nudzi, to myśli o tem, jakby zostać dyrektorem teatru. Tak, ale na to trzeba mieć teatr.

Jak możnaby zbudować teatrzyk o własnych siłach? Oto pytanie, które słyszy się tak często z ust młodzieży; urządzanie przedstawień zaliczyć bowiem można do najulubieńszych rozrywek w kółku rodzinnem, tak pożądanych w długie, zimowe wieczory, lub podczas dni słotnych.

Przygotowanie teatrzyku łączy przyjemne z pożytecznem, gdyż wyrabia zręczność, oraz daje szerokie pole do zastosowania indywidualnych pomysłów.

Wśród gwarnych bud jarmarcznych dźwięczących hałaśliwą muzyką i wrzawą natarczywych przekupniów, łatwo zawsze dostrzedz niewielki teatrzyk, otoczony tłumem widzów różnego wieku. Jest to teatr Kukiełek, czyli Marjonetek, pełen niewybrednego humoru, a nawet rubasznego dowcipu, pomimo to jednak lubiany przez wszystkich, a głównie przez „milusińskich".

Nic też dziwnego, że wielu małych architektów pragnie zbudować sobie własny teatrzyk; a nie jest to rzeczą tak trudną, jak się zdaje, zwłaszcza dla chłopców starszych, wprawnych w robotach tego rodzaju.

Teatrzyki, sprzedawane w sklepach z zabawkami, są zwykle tak małych rozmiarów, że osoby, urządzające przedstawienie, nie mają wprost gdzie pomieścić rąk, które jak wiadomo, kierują ruchami lalek. To też najlepiej zbudować teatrzyk samemu, co nie jest trudno, jeżeli się jest choć trochę stolarzem.

Najodpowiedniejszą do tego jest spora skrzynia drewniana, którą, po odpowiedniem przerobieniu, należy postawić na niewielkim stoliku. Urządzenie sceny i oświetlenie jej nie pociąga za sobą żadnych kosztów, gdyż dekoracye się nie zmieniają, a przedstawienie można urządzać i przy świetle dziennem. Jeśli w domu niema odpowiedniej skrzyni, lub paki, to można z łatwością samemu ją zrobić. Używa się do tego heblowanych desek, grubości 1 cm. i zbija je w ten sposób, jak to widać z rysunku (strona 6)

Na ściany boczne AA trzeba wyciąć dwie deski prostokątne, długości 54 cm. szerokości 35 cm., następnie przygotować sześć listew B, C, DD, EE, z których B będzie 50 cm. długości i 12 cm. szerokości, C tej samej długości, lecz 5 cm. szerokości, D i D w tych samych wymiarach, co i C (na rysunku widzimy tylko jedną listwę D, gdyż druga dolna, zasłonięta jest listwą B), a obie E po 35 cm. długości i 5 cm. szerokości; EC EB przybija się do obu ścian bocznych A w ten sposób, by wszystko razem utworzyło otwartą z przodu skrzynię, bez dna i tylnej ściany. Wreszcie u góry przytwierdza się trójkątną ozdobę kształtu ekierki wysokości 12 cm., oraz do B listewkę G w ten sposób, by powierzchnia jej szła równolegle do powierzchni dna. Oto wszystko.

Otwarta ściana tylna zasłonięta powinna być kotarą, lub naklejoną na

tekturę dekoracyą, którą możnaby wyjmować i zmieniać, ściany wewnętrzne najlepiej wykleić szarym papierem, zewnątrz zaś przyozdobić kolorowym papierem, najlepiej takim, który imituje marmur. Te zresztą ozdoby zależą całkowicie od gustu osoby urządzającej. Jeśliby stolik (którego blat ma służyć za podyum) okazał się tak nizki, że organizująca przedstawienie osoba, która zresztą nie powinna być widzialna, nie mogłaby się ukryć, siedząc nawet na krześle, to można wewnątrz skrzynki powybijać dowolnie wysokie podpórki i przednią, oraz dwie boczne ściany teatrzyku i stolika opatrzyć zasłonami.

Zbytecznem byłoby wdawać się w szczegóły przy opisie lalek, gdyż wszyscy znają lalki, zresztą łatwo je kupić w każdym sklepie zabawek. To tylko można nadmienić, że komu nie brakuje pomysłowości, ten sam może sobie zrobić kukiełki ze starych i zepsutych ich części, których znajdzie się pełno w każdym dziecinnym pokoju. Np. zniszczoną głowę lalki odnowić przez przyprawienie nowej peruki, przyklejenie nosa z wosku, wreszcie nadanie jej dowolnego wyrazu twarzy przez odpowiednie pomalowanie, lub pociągnięcie pokostem. Napewno znajdą się też i stare, fałdziste suknie lalek, które będzie można łatwo przerobić i pięknie udrapować. Dodać należy, że

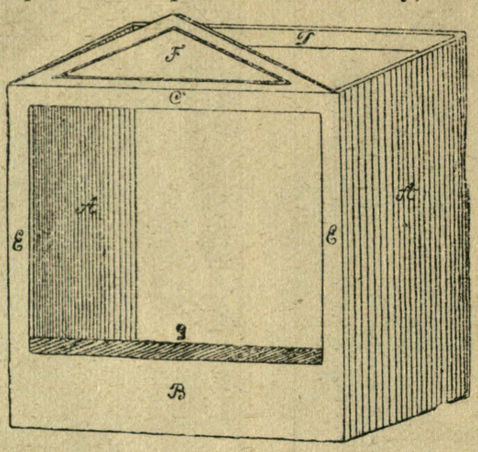

muszą one być z tyłu niezapięte, gdyż figury wprawiane są w ruch rękami osoby urządzającej przedstawienie: duży i mały palec wykonywują ruchy rąk, a pozostałe trzy poruszają głową i tułowiem.

Pozostała tylko jeszcze jedna kwestya do omówienia, a mianowicie, jakie sztuki wystawiać w teatrze Maryonetek? Otóż treść ich może być najróżnorodniejsza, a więc przerobione na scenę bajki, podania i t. d. Zresztą dziecko pomysłowe znajdzie nawet mnóstwo tematów aktualnych, które będzie umiało dowcipnie zużytkować. Podczas świąt Bożego Narodzenia najlepiej nadaje się do tego rodzaju przedstawień treść szopki z tradycyjnym królem Herodem, dyabłem, śmiercią i t. d. Przy urządzaniu jej można wzorować się na przedstawieniach, które w święto Trzech Króli urządzają chłopcy na wsi, chodzący z kolendą. Przytem dla zachowania charakteru szopki ludowej niezbędną jest postać dziadka, który przy końcu przedstawienia ukazuje się na scenie i wyciągając woreczek, prosi o datek. Nikt z widzów nie poskąpi zapewne kilku groszy, a zebrane w ten sposób pieniądze mogą mali artyści ofiarować na cel dobroczynny, czem dowiodą, że używając rozrywki, myśleli nietylko o własnej przyjemności.

* *

Ile lat żyją zwierzęta?

Najwyższy wiek, jaki osiągają poszczególne gatunki zwierząt, jest bardzo różny. Nie można tu ustalić żadnego systemu. Odnośnie do zwierząt ssących można stwierdzić, że wszelkie ssaki żyją dłużej aniżeli małe, inaczej jest już jednak u ptaków, gdzie mała papuga żyje tak samo długo, jak wielki orzeł. Należy się tedy zadowolić zestawieniem poszczególnych cyfr, co daje bardzo interesujący rezultat.

I tak żyją niektóre polipy lat 50, dżdżownice nie więcej jak lat 10, pijawka do 27 lat, rak rzeczny lat 20, pająki po większej części od 1 do 2 lat, chrząszcze żyły w niewoli do lat 5. Królowa pszczół żyje lat 5, natomiast pszczoły robotnice umierają najczęściej po 6 tygodniach. Mrówki obserwowano w niewoli przez lat 15. Muszle rzeczne i stawowe wegetują do lat 14, muszla perłowa od 80 do 100 lat.

Karpie i szczupaki przekraczają nieraz 100 lat, żabka zielona żyje tylko 10 lat. Kret może dożyć 40 lat. Pewnego żółwia trzymano w niewoli lat 150, w ogólności ten Matuzalem zwierzęcy może żyć 300 lat.

Najlepiej znanym jest wiek ptaków. Kogut domowy żyje od 15 do 20 lat, mewa srebrzysta 44 lat, gęś i kaczka 100 lat, łabędź 102 lat, bocian 70 lat, sokół 162 lat, orzeł 104 lat, sęp 118 lat, kanarek 24 lat, papuga ponad 100 lat.

Z ssaków osieł żyje do 106 lat, koń od 40 do 60 lat, wół od 20 do 25 lat, owce 20 lat, pies 28 lat, kot 22 lat, słoń i wieloryb 200 lat.

I.

Pismo tajemne.

Pismo tajemne czyli krystografia ma rozmaite zastosowanie. Używają go kupcy, dyplomaci, spiskowcy — wogóle wszyscy, którzy chcą pokryć tajemnicą wymianę myśli z drugą osobą.

Pismo tajemne zazwyczaj bywa umówione; tajemnicę zna kilka osób. Rozmaite są sposoby zatajenia słów pod osłoną pewnych zmian w pisaniu, które trudno niewtajemniczonemu zrozumieć.

Najpowszechniej używany bywa w handlu system tajemnych znaków dla oznaczenia cen towarów. Bierze się zazwyczaj jakieś słowo z 10 liter złożone, dla oznaczenia 10 cyfr np.

t o w a r z y s k i
1 2 3 4 5 6 7 8 9 0

przyczem oczywiście nie może się dwa razy powtarzać ta sama litera. Jeżeli więc na towarze napisane **w y r** to = 3,75; **t o i** — znaczy 1,20; **T i i** — znaczy 100.

Kto nie zna wyrazu — nie odczyta ceny. Do najprostszych sposobów, używanych między uczniami, a zwłaszcza w szkołach żeńskich — należy sposób następujący. Korespondenci układają sobie szereg sylab np.

ga de li ro pu sy,

tj sylab tyle, ile jest samogłosek; zamiast każdej samogłoski pisze się odpowiednia spółgłoska i naodwrót. Np. Wisła = **W y ł ł g;** Warszawa = **W g o y z g w g;** Europa = **D p o r u p.**

Można też cały alfabet odwrócić w ten sposób i dowolnie ponaznaczać jedne litery zamiast drugich.

a	b	c	d	e	f	g	h	i	k	l	m	n
l	**p**	**e**	**t**	**g**	**o**	**x**	**a**	**s**	**n**	**b**	**v**	**h**
o	p	q	r	s	t	u	v	w	x	y	z	ź
w	**m**	**u**	**f**	**q**	**k**	**z**	**c**	**ż**	**y**	**d**	**i**	**r**

Jeżeli więc chcesz napisać: Przyjeżdżaj natychmiast — piszesz tak:

mfidsgrtrls hlkdeavslqk.

Nie jest to jednak trudne do odcyfrowania i dla tego poszukiwano innych rozmaitych sposobów, aby utrudnić rozwiązanie tajemnicy.

Zmartwienie Jadzi.

Zamiast grzecznie bawić się w ogrodzie, Jadzia wolała z chłopczyskami uganiać koło studni. I naturalnie zamoczyła się jak nieboskie stworzenie. A właśnie ubrała czysty fartuszek. Bura będzie, oj będzie!

Zafrasowana wraca Jadzia do mamy.

— Boże! Co ja mam z tem dzieckiem. Idź zaraz i powieś fartuszek na słońce.

Jadzia poszła, za chwilę wraca, jeszcze bardziej strapiona. I płacząc mówi:

— Kiedy ja nie mogę dostać do słońca.

JAK KAZIO CHCIAŁ BYĆ DEDEKTYWEM I CO Z TEGO WYNIKŁO?

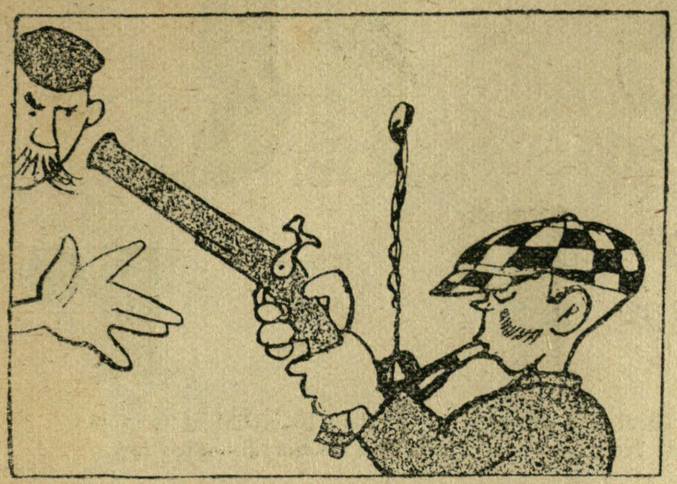

Kazio strzelił do bandyty, bo nie wiedział głuptas, że to był ślusarz, co zamki naprawia.

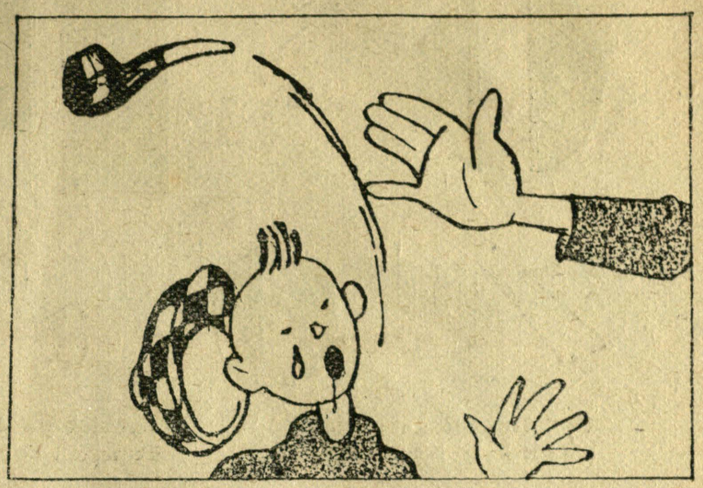

— „Ręce do góry" — zawołał po wystrzale. Pan ślusarz podniósł ręce do góry ale —

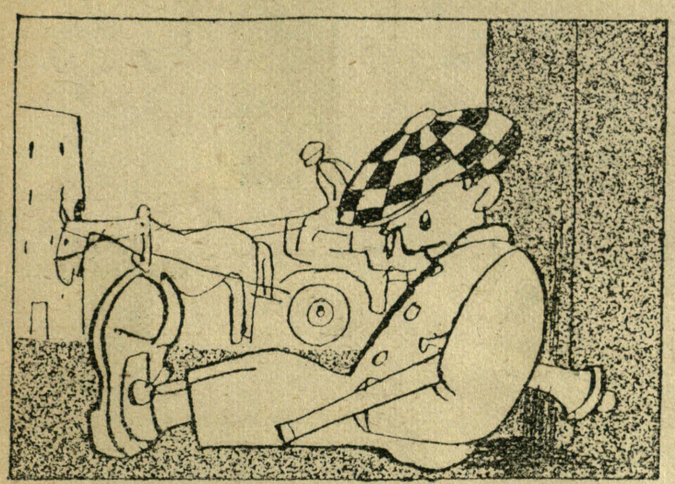

niestety, opuścił je zaraz na dół i dał Kaziowi taką mocną nauczkę poniżej pleców,

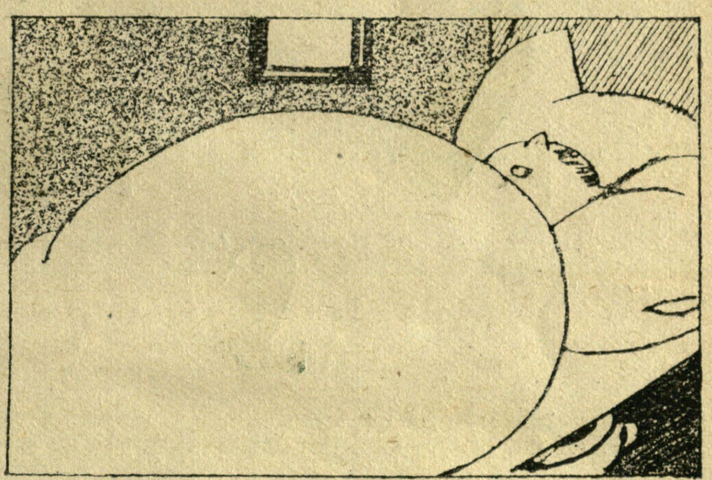

że mały Szerlok długo o niej pamiętać będzie.

ABECADŁO GRZESIA

(Dokończenie).

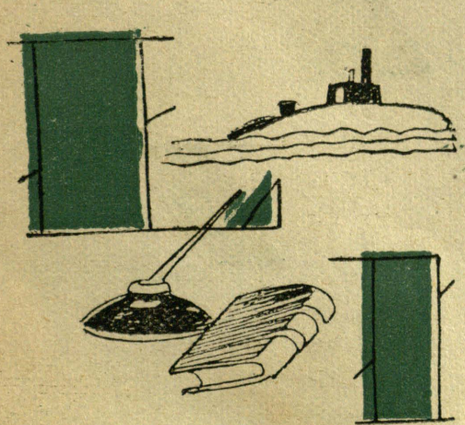

*Ł*ódkę podwodną zwą U-bootem
*Ł*aciny się nauczę potem.

*M*iny nie nosi nikt w kieszeni
*M*ałpa się nigdy nie rumieni.

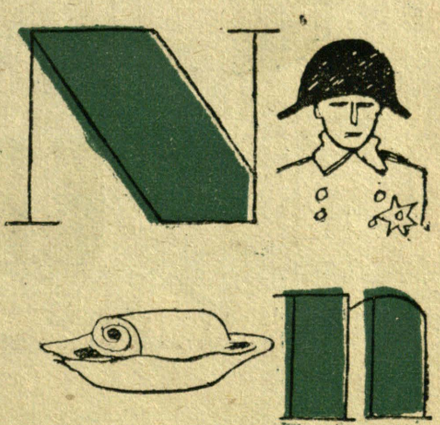

*N*apoleon miał twarz ponurą
*N*aleśnik dobry z konfiturą.

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж 6852

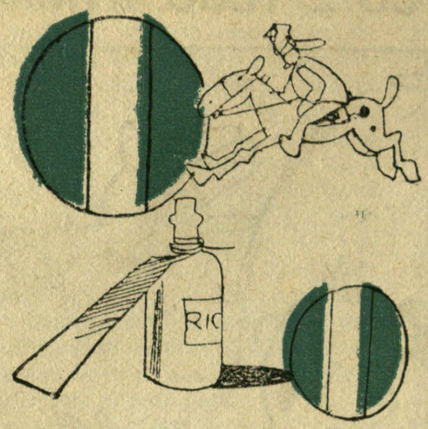

*O*rdynans oficera słucha
*O*lejek leczy bole brzucha.

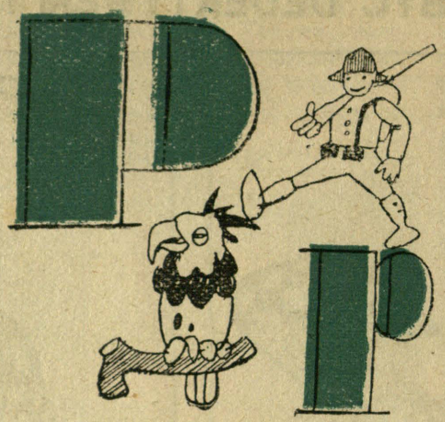

*P*awełek wziął karabin z dumą
*P*apugom zwykle brak rozumu.

*R*akieta gwiazdki złote sieje
*R*um do herbaty tatuś leje.

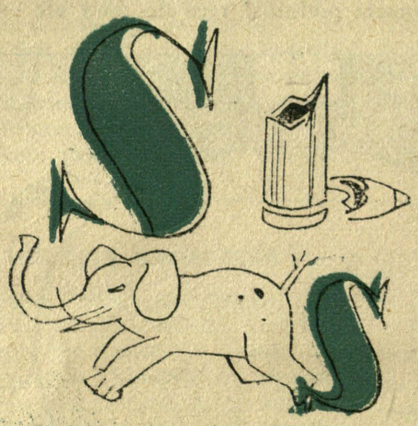

Szrapnel czasami nie wybucha
*S*łoń mały mamy swojej słucha.

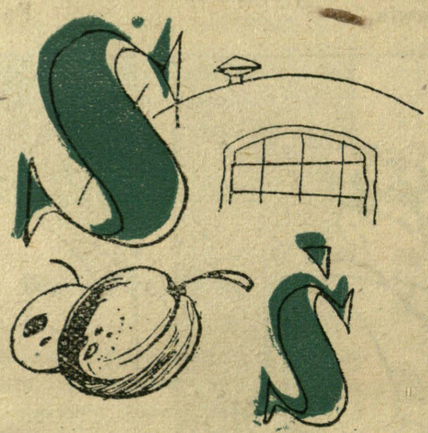

*Ś*pichlerz zawiera dużo prosa
*Ś*liwka nie wlezie się do nosa.

*T*ornister żołnierzyka gniewa
*T*ramwaj na skręcie ślicznie śpiewa.

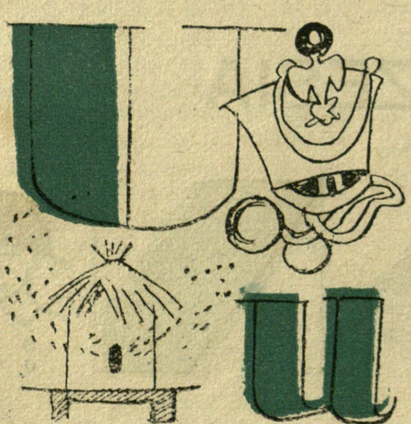

*U*łani lubią piękne panie
*U*l to dla pszczółek jest mieszkanie.

*W*yścigi dobre dla wojskowych
*W*iewiórce po co kart chlebowych?

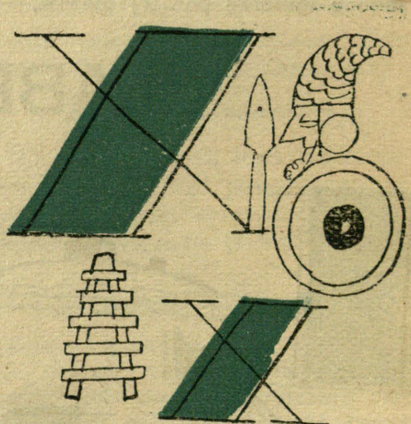

*X*erksesa dzikość w Persyi słynie
*X*awery siedzi na drabinie.

Prenumerata wynosi kwartalnie Mk. 6·—, K 10·80; z przesyłką pocztową Mk. 7·—, K 12·—. Administracya: Kraków, ul. Wolska 19, w Warszawie Krakowskie Przedmieście 9, we Lwowie Hotel George'a. — Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg.
Drukarnia Narodowa w Krakowie.

Rok I. 15. lipca 1919. — Cena Mk. 1·— K 1·80 Nr 3.

GRZEŚ

PISMO OBRAZKOWE DLA DZIECI OD LAT 5—80

HISTORJA NEIMIECKIEGO NAUCZYCIELA

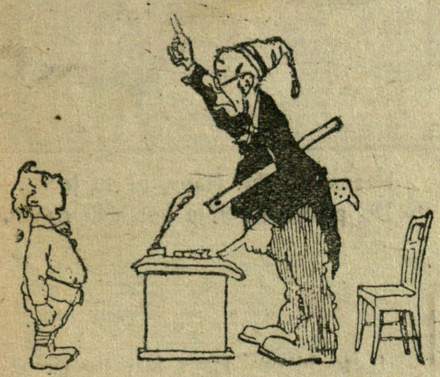

Nawet o Bogu polskiemu dziecku
Mówił profesor Hans po niemiecku.

Gdy uczeń polskie powiedział słówko,
Hans go rozumu uczył kantówką.

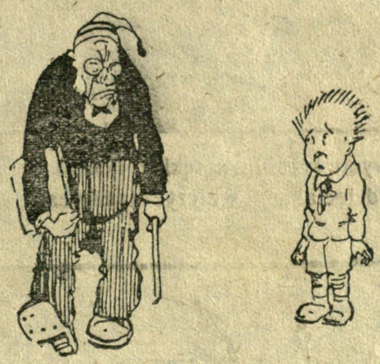

Ze strachu dzieci przed Hansem drżały,
Często im włosy dęba stawały.

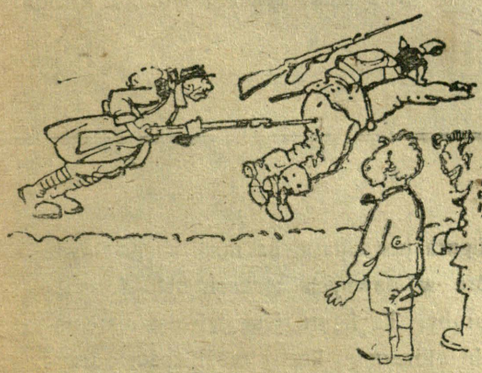

Więc kiedy szwabów zbili francuzi,
Zjawił się uśmiech na każdej buzi.

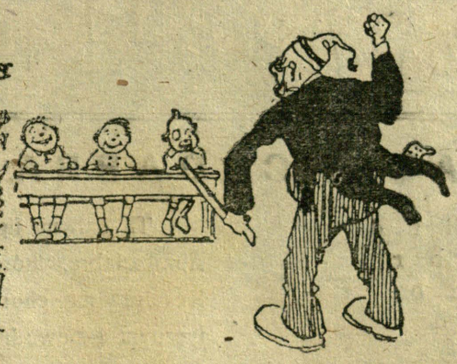

Hans grozi pieścią, kantówką macha.
Klasa się śmieje: ha-ha-ha-ha-ha!

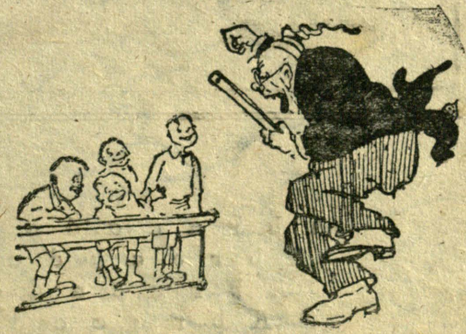

Krzyczy Hans: „Cicho mi bić, smarkacie!"
i do sufitu z wściekłości skacze.

Wnet przez telefon woła donośnie,
Że rewolucja okropna rośnie.

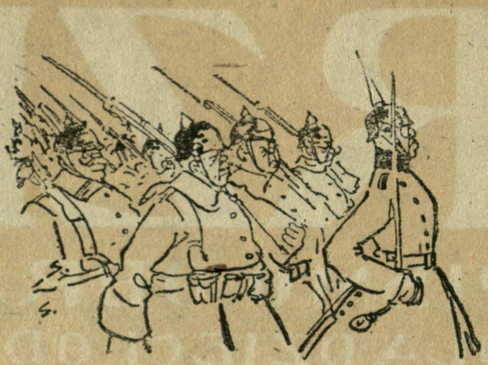

Przysłano wojska aż cztery pułki
I ustawiono dokoła szkółki.

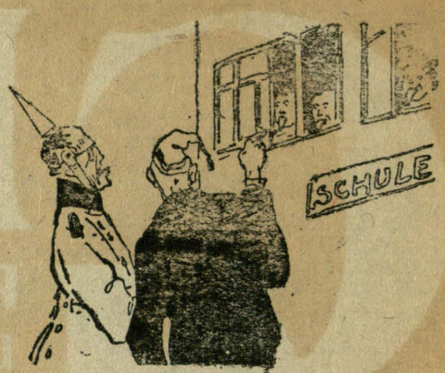

Pyta wódz Hansa: „Gdzie buntowniki?...“
— Ot, pokazują właśnie języki.

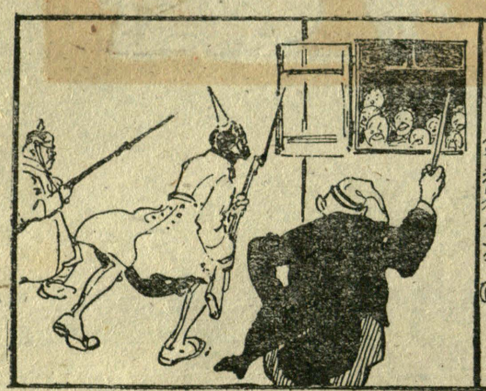

Chwycił karabin z ręki żołnierza
I z dzieciakami walczyć zamierza.

Wtem słychać z boku donośne: hura!
Polacy idą! szwab daje nura.

Pozostał tylko Hans, aż tu leci
Do profesora tłum polskich dzieci.

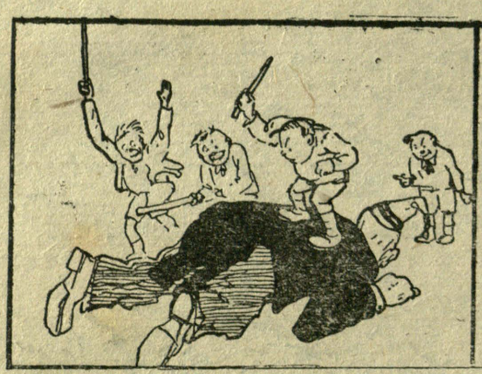

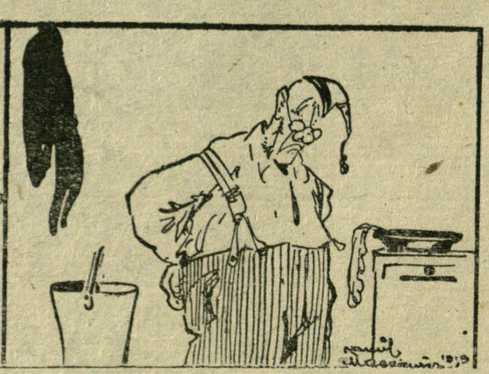

I oto biedny Hans leży na ziemi.
Uczniaki walą linjami swemi.

Spuchł biedak strasznie — okłady z lodu
Przykłada sobie z tyłu i z przodu.

ABRACADABRA.

A b r a c a d a b r a
A b r a c a d a b r
A b r a c a d a b
A b r a c a d a
A b r a c a d
A b r a c a
A b r a c
A b r a
A b r
A b
A

Ta dziwna figura jest oparta na magicznem słowie Abracadabra, które w dawnych czasach było formułą leczniczą na choroby. Ta figura jest dziwem matematycznym z powodu olbrzymiej liczby możliwości odczytywania słowa Abracadabra. Zacząwszy od jakiegokolwiek A po lewej stronie, posuwając się aż do ostatniego a w górnym prawym rogu, obiera się kierunek prostopadły lub skośny na prawo, można słowo Abracadabra odczytać 1024 razy.

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6892 ІП

HISTORJA O PRAWDZIWYM „PALUSZKU“

Wszystkie dzieci wyssały chyba bajkę o maluśkim Paluszku, ale nie wszystkie wiedzą, że raz żył naprawdę w Polsce taki właśnie Paluszek, a ludzie z całego świata zjeżdżali się, aby go zobaczyć, bo był najmniejszym człowiekiem w całej Europie. Nazywał się Józefek Borusławski a był synem ubogich rodziców na Pokuciu. Jakież było zdziwienie księdza proboszcza w Halickiej farze, kiedy mu państwo Borusławscy przynieśli do chrztu swego nowonarodzonego synka. Bo wiecie w czem go przynieśli. ? W filiżance. Chodak góralski, wełną wyścielony służył mu za kołyskę, buciki zaś nosił wielkości włoskiego orzecha. Ale rósł coraz bardziej i po kilku latach nauczył się nawet chodzić. I wtedy zdarzyła mu się straszna przygoda. Mama puściła go na trawniku na spacer, Józefek zrobił parę kroków, ale wnet zniknął bez śladu, bo trawa wyrastała mu ponad głowę, tak że zupełnie nie było chłopca widać. Błąkał się długo po tym olbrzymim lesie nie mogąc znaleść drogi. Ani sam mamy nie widział, ani też mama dostrzedz go w trawie nie mogła. W tem nagle krzyk straszny i płacz rozległ się w gęstwinie lasu. Józefek patrzy i na parę kroków przed nim sunie lasem olbrzymi centkowany potwór, dwa razy większy od człowieka. Ogromne ślepia wytrzeszcza na Józefka i rusza groźnie jakiemiś ogromnymi kłami. A była to szczypawka. Józefek w płacz i krzyk, a wtedy mamusia usłyszała i uratowała przed strasznym potworem. Odtąd nasz paluszek nie odważał się na tak niebezpieczne podróże. Tem chętniej za to spacerował po obrusie stołowym jadalnego pokoju. Ale i tam niejedno niebezpieczeństwo czyhało na człowieka. Przylatywały tu często skrzydlate potwory zwane muchami, na środku stała ogromna wieża zwaną karafką. a obok niej zaczarowany zamek pełen słodyczy, czyli cukierniczka.

Tymczasem sława Józefka rosła coraz bardziej. Dostał się najpierw na dwór pani Tarnowskiej, gdzie szybko pojął naukę czytania i pisania, potem zaś wzięła go z sobą w świat pani miecznikowa Humiecka. A wszędzie podziwiano karzełka. On jednak wcale bąków nie zbijał, lecz uczył się lepiej niż niejeden duży chłopczyk. Mówił pięknie obcymi językami po francusku i po angielsku. Wkrótce stał się nawet zamożnym, otrzymał bowiem od pani miecznikowej pałac w podarunku. Pałac ten był ulepiony z papieru, miał wiele pięknych pokoi, sypialnię i jadalnię, a chowano go na noc pod stołem w buduarze pani Miecznikowej. Tymczasem Józef Borusławski wyrósł już na dorosłego człowieka, liczył sobie lat dwadzieścia, a miał aż pół metra wzrostu. Nie z jednego pieca chleb jadał, poznał Londyn i Paryż, był na dworze króla angielskiego, siedział na kolanach Maryi Teresy, i lubił często się bawić z milutką dziewczynką, z której potem wyrosła królowa francuska Marya Antonina. Ale Józefek nie był szczęśliwy, bolało go najbardziej, że go wszędzie na pokaz prowadzą, że nie jest człowiekiem, jak inni zwyczajni ludzie, tylko zabawką dla bogatych ludzi.

Nie chcieli wierzyć, że karzełek ma tak samo jak oni duszę nieśmiertelną, że mu takie same bole, smutki i tęsknoty dolegają. Pewnego razu zaniosła go pani Miecznikowa do Lunevillu, gdzie mieszkał stary król Stanisław Leszczyński. Na salonach zebrało się wiele gości i wprowadzono Józefka, który ze zdziwieniem ujrzał przy kominku — swego rówieśnika. Był to karzeł króla Leszczyńskiego zwany Bebé. Józefek przystąpił doń z ciekawością aby poznać towarzysza niedoli, gdy w tem odskoczył przerażony. Bebe wykrzywił brzydko twarz, krzyknął nieludzkim głosem i połyskując oczyma przyskoczył do Józefka, objąwszy go silnie w pół. I byłby mu nawet zrobił co złego, gdyby król Leszczyński nie pospieszył z pomocą.

— Bebe, rzekł król — czego ty chciałeś od Józefka?

— Chciałem go wrzucić do pieca, aby się spalił.

— Brzydki z ciebie chłopak! Cóż on ci złego zrobił, że go tak lubisz?

— Nienawidzę go! Jest mniejszy odemnie, a przez to ja już nie jestem najmniejszym człowiekiem na świecie tylko on.

Bebe miał racyę. Józef Borusławski był jeszcze większem dziwem natury, niż jego francuski kolega. A także miał więcej zalet szlachetnych i inteligencyi. Józefek Borusławski żył długo, na świecie, bo przez lat z górą 80. Umarł w r. 1837 w Anglii koło Edynburga. Koleje swego życia opisał w pamiętnikach, które wyszły najpierw w języku angielskim, a potem były tłumaczone na inne języki. Opowiada tam nasz karzełek wiele ciekawych rzeczy: O swojej siostrzyczce, która była taką samą jak on karliczką a przebywała na dworze kasztelanowej Kamieńskiej. Opowiada także o swem życiu rodzinnem, gdyż ożenił się, gdy doszedł męskiego wieku. Bardzo to musiało być śmieszne, gdy Józefek został ojcem i dochował się dwóch córek. Były one naturalnego wzrostu i kochały bardzo swego tatusia, chociaż nieraz nosiły go na rękach: Gdy już był Józefek staruszkiem, spotkał go raz w Anglii znany pisarz Julian Niemcewicz. Portret najmniejszego człowieka wisi do dziś dnia w Muzeum narodowem w Londynie.

■ ■ ■

DZIWNA BAJKA

1 Była sobie raz dziewczynka imieniem Perełka. Nie miała ojca ani matki jeno c owała się u babuni która mieszkał w małym domku na skraju wsi. Zdarzyło się, że staruszka c żko zachorowała i rzekła: „Już niema dla mnie ratunku, bo tylko woda z cudownego ż ódła może mnie uleczyć, a jakże mi j j dostać, skoro źrodło znajduje się u stóp wielkiej góry, do której żaden człowiek dojść nie potrafi "

2 Perełka nic nie odrzekła, lecz wzięła flakonik babuni i wybrała się w drogę, aby znaleść cudowne źródło. Idzie już bardzo długo, a nikt j j drogi wsk zać nie umie. Gdy zaś wieczór zapadł zmęczona Perełka schroniła się do jaskini wykutej w skale aby tam noc przepędzić. Położyła się cicho w kąciku, westchnęła do Boga, prosząc o opiekę i już przymknęła oczy do snu, gdy...

3 w tem usłyszała jęki i westchnienia, któ e wydobywały się z wnętrza pieczary. „Ginę już, ginę, duszę się" wołał jakiś głos. A to był Wich r, co po polu wieje. Zabłąkał się on do ciasnej pieczary i nie mógł się z niej wydostać. Perełka dmuchnęła z całej siły, tak że wicher ocucił się, wybiegł z pieczary i hulał dalej, a wybawicielce swej przynosił do pieczary miłe zapachy kwiatów i ogrodów.

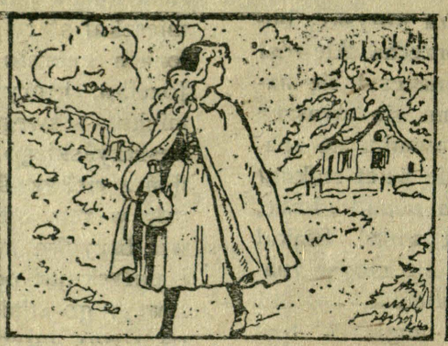

4 Nazajutrz szła Perełka dalej do cudownego źródła, wesoła i odważnie. Żywiła się jagódkami, piła wodę ze strumyka, a gdy noc zapadła, ułożyła się do snu pod rozłożystem drzewem. Wtem zabłysło światło i wyszedł z lasu zły Krasnoludek z wielkim nożem w ręku, którym zabijał podróżnych. I byłaby zginęła biedna Perełka, gdy nagle dobry Wicher dmuchnął; zwołał wszystkie suche listki z lasu, które przybyły tak, że jej Krasnoludek nie zobaczył niebożątko.

5 W trzecim dniu podróży przybyła Perełka do królestwa wilków. Biegły one zawsze za zapachem ludzkim i pożerały nieostrożnych przechodniów. Dobry Wicher wywiódł wilczyska w pole i tak długo dmuchał im w nozdrza, aż s raciły ślad. Perełka była uratowaną i mogła iść dalej po lekarstwo dla babuni. A tymczasem myślała sobie: Co tam porabia moja biedna babcia? Pewnie nie ma komu usłużyć jej w chorobie?

6 Czwartego dnia stanęła Perełka nad ogromną przepaścią, którejby żaden człowiek przejść nie potrafił. Zrozpaczona już myśli wracać do domu, gdy nagle Wicher zaczął gwałtownie huczeć i dąć tak długo, aż wyrwał wielką topolę z korzeniami i rzucił ją ponad przepaścią. Po tej kładce przeszła dziewczynka bezpiecznie.

I topola stała się jakby kładką, a idąc dalej myślała sobie, że skoro przez cztery dni nic jej się złego nie stało, to i dalej dobrze będzie.

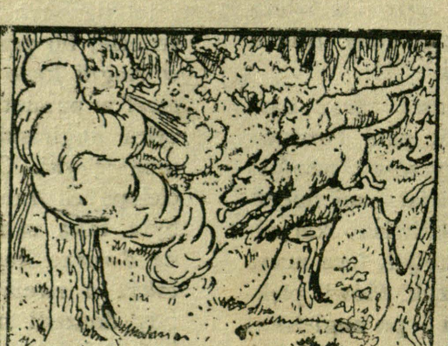

7 Jeszcze większe niebezpieczeństwo czyhało na Perełkę piątego dnia. Zabłądziła aż do kraju strasznego olbrzyma Parafagusa, który połykał dzieci. Ale że był już stary i nie mógł się ruszać, więc przebrał się za biedną żebraczkę, prosił żałosnym głosem o wsparcie. A gdy s ę kto zbliżył, to go pożerał. Wiecie, co zrobił Wicher?

8 ...Powiał zaraz w tę stronę, zakręcił się koło Parafagusa, zdmuchnął zeń łachmany żebraczki, i oto Perełka poznała odrazu, jaki to przyjemniaczek siedzi na skraju drogi i czyha na żer

Z pod łachmanów żebraczki wyjrzały olbrzymie buciska potwora, a z pod chustki na głowie kudłata twarz, z której białe zęby połyskiwały.

9 Ogromne jezioro roztoczyło się przed oczyma odważnej dziewczynki w szóstym dniu podróży. Tylko śmiałkowie, którzy dobrze pływać umieją, mogliby je wpław przebyć. Ale i na to znalazł sposób poczciwy Wicher. Polecił hyżo do krajów północnych, wziął stamtąd mroźne powietrze. Jezioro zamarzło a Perełka przeszła po wodzie bez przeszkody.

O PERełCE

10 Nareszcie ujrzała Perełka wspaniały zamek, wewnątrz którego znajdowało się cudowne źródło. Otwarła złocistą bramę, aby wejść do środka, gdy wtem straszliwy smok rzucił się na jej pożarcie. Strach pomyśleć, coby się stało, gdyby znowu nie dobre serce Wichru, który zakręcił ogromnym tumanem kurzu i piaskiem zasypał smokowi oczy.

11 Lecz kto chciał wejść do zamku musiał znać zaklęcie tajemne: *Ferda-ra-ku-mago*. Straszna wiedźma uśmiechała się niby-to do Perełki, ale pod fartuchem miała ogromne nożyce, by ucząć głowę dziewczynki, jeśli nie będzie znała zaklęcie. A wtedy Wicher zaczął kurczeć i swistać i szepnął Perełce do ucha cichutko: *Ferda-ra-ku-mago*.

12 — Czego chcesz? zasyczała wiedźma. — *Ferda-ra-ku-mago*, — odrzekła Perełka. I zaraz złociste podwoje otwarły się, w dali ukazała się wspaniała kolumnada z marmoru, na której końcu szemrało w skale cudowne źródło. Perełka uszczęśliwiona napełniło flakonik, gdy wtem zjawiła się przed nią dobra wróżba skinęła laską czarodziejską i rzekła:

13 „Oto droga, którą prosto zajdziesz do swej babuni". To rzekłszy znikła, cóż kiedy w tej chwili ciężkie mgły i chmury zaciemniły powietrze, tak że Perełka nic nie widziała przed sobą. Dziewczynkę strach ogarnął. Trzymała mocno flakonik w garści, a chmury spowijały coraz bardziej.

14 A wtedy niestrudzony przyjaciel Perełki Wiater zaczął znowu dąć z całej siły. I zaraz mgły rozeszły się, słońce zaświeciło. Perełka zaś ujrzała przed sobą prostą drogę, w dali zaś swą wioskę rodzinną, dzwonnicę kościółka i domek babuni. Jak strzała puściła się ku domowi.

15 Babunia powitała wnuczkę radośnie Napiła się zaraz wody z cudownego źródła. Siły jej powróciły, ozdrowiała i długo jeszcze cieszyła się swoją ukochaną wnuczką, która uratowała jej życie.

SZCZĘŚCIE KRÓLEWNY

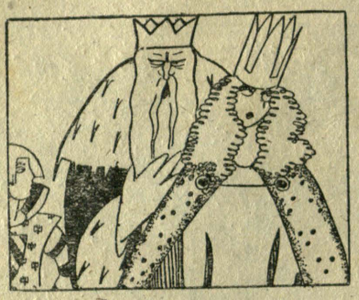

Cudnej urody
Królewnie młodej
Pasmem wesela płynęły dni.
W miłości miary
Nie znał król stary;
Dziewczę na jawie sen czarów śni.

Gdy zechce tylko —
Chwila za chwilką
Pięknej Krystynie szle nowy dar.
Pysznej roboty
Stroje, klejnoty,
Turnieje, uczty, brzęk srebrnych czar.

Czemuż, księżniczko,
Smutne twe liczko?
Czy ci do szczęścia brak zachceń już?
Rzeknij choć słówko,
Skiń jeno główką,
A gaj niebieskich zakwitnie róż...

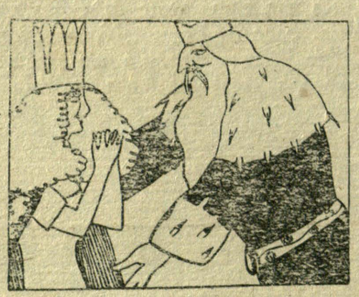

W złotej izdebce
Królewna szepce:
— Co to jest szczęście, zrozumieć chcę?...
Zdumiał król stary:
— To nie do wiary!
Małoż ci szczęścia, o! dziecię me?

Hej, zwołać mędrce!
Niechaj tu wprędce
Wyjaśnią córce mej szczęścia treść.
Wnet księgozbiory
Niosą doktory
I poczynają dysputy wieść.

Gadają mądrze
O szczęścia jądrze
Poznała wkrótce sto nowych słów.
Król córkę wzywa:
— Jużeś szczęśliwa?
— Ach, nie wiem, ojcze — powtarza znów.

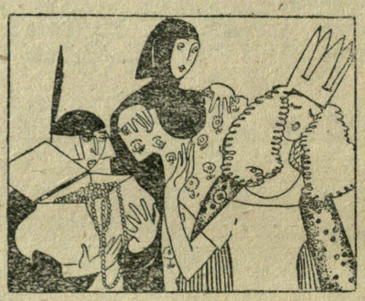

Dziewczę w łzach tonie,
Król łamie dłonie:
— Kto poznać szczęście mej córce da?
Gdy mędrców ciało
Nic nie wskórało,
Widać, pisana jej dola zła.

Wtem — zamieszanie.
Panów i panie
Wyrostek szewski roztrącać śmie.
W brudnej odzieży
Przed sam tron bieży;
Stanął i nizko pokłonił się.

— Królu łaskawy,
Echo twej sprawy
Już izb czeladnich przebiegło próg.
Mam tu trzewiczki:
„Szczęście Księżniczki“,
Lecz ich trzy doby nie zdejmie z nóg.

Ciechy dokoła.
— Warjat! — ktoś woła —
Chodaki godne chyba na strych.
Skóra, jak z drewna...
Gdieżby królewna
Szczęścia doznała w trzewikach tych?...

Nagle gwar cichnie.
— Zanieść mej Krychnie

Wnet te buciki — monarcha rzekł.—
Chłopca — pod straże!
W trzy dni rozważę:
Danku, czy tortur godzien to człek.

Hej, prawda czyja?
Termin przemija —
W okropnym lochu wyrostek drży.
A tam, na górze
W strasznej torturze
Chodzi królewna już doby trzy.

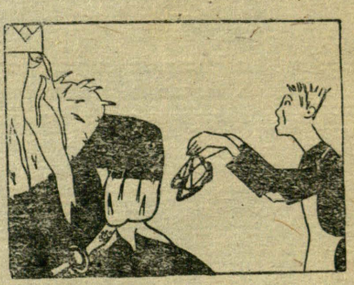

— Chciał mi snać dopiec
Przeklęty chłopiec.
Pozwólcie twarde buciska zdjąć...
— Zniosłaś już tyle,
Znieś jeszcze chwilę
I do wieczora cierpliwa bądź.

W sali gromada
Dworzan zasiada;
Przed tron przywiodła chłopaka straż.
Król ściska pięście:
— Takież to szczęście?
— Panie mój, córkę swą rozzuć każ.

Trzewiki zdjęto
I — wielkie święto!
Oko królewny radością gra.

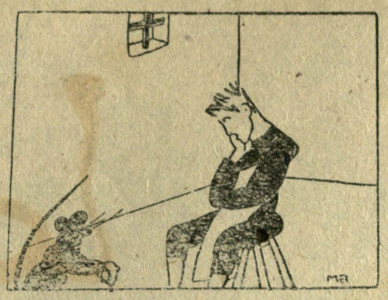

Z krzesła się zrywa.
— Jakiem szczęśliwa!
— Szczęśliwaś wreszcie, o! córko ma?

— Przyznało dziewczę,
Wygrałeś, szewcze.
Miast kar, nagroda więc czeka cię.
Odtąd szewc hula
Na dworze króla
Księżna doń wdzięcznie usmiecha się.

Pochodzenie i znaczenie wyrazów

Pomarańcza

Kto chce zjeść pomarańczę, powinien wiedzieć skąd ten wyraz pochodzi. Wyraz pomarańcza wzięty jest z włoskiego i wprowadzony został za czasów królowej Bony. Włosi mówią zazwyczaj arancio (wym. aranczjo), do czego dodają „jabłko“ — pomo albo mela; stąd pom-arancio albo mel-arancio. Włosi zapożyczyli ten wyraz od Hiszpanów, którzy mówią aranjo (czyt. arancho); od Hiszpanów też zapożyczyli nazwę pomarańczy Francuzi, którzy dawniej mówili arange (czyt. aranż), a potem aż do dziś orange, przez upodobnienie do or-złoto. Wyraz hiszpański aranjo pochodzi z arabskiego narangh. Arabowie wzięli ten wyraz od Persów, którzy mówią podobnież narangh, a sami zapożyczyli to słowo z Indyi — która jest ojczyzną pomarańczy. Po indyjsku pomarańcza nosi różne nazwy np. kurumba tj. czerwony (owoc), a także nagaranga co znaczy „przynęta słoni, rozkosz słoni“. Z tego wyrazu nagaranga powstał persko-arabski narangh, hiszp. aranjo, franc. orange, wł. arancio i pomarancio, pol. pomarańcza.

Uderzenia serca

W piersiach ludzkich pracuje serce, jako maszyna nigdy nie odmawiająca posłuszeństwa, zawsze zdolna do odpowiedniego przystosowania się w ciągu siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu lat życia. Uderzenia serca są szybsze od wahadła zegara. I dlatego ilość poruszeń serca w ciągu życia ludzkiego jest nadzwyczaj wielka.

Serce ludzkie uderza przeciętnie na sekundę 5000 razy. Jeśli przyjmiemy, że rok liczy 365¼ dnia, to należy stwierdzić, że w ciągu 60 lat serca ludzkie uderzyło: 2 miliardy, i 629 milionów i 800.000 razy.

Zgromadzenie ludzkości

Nawet ściągnięcie milionowych wojsk w wojnie światowej wydaje się czemś małem skoro możemy sobie wyobrazić zebranie wszystkich ludzi na rozkaz jakiejś mocy, sięgającej poprzez wszystkie części świata. I gdyby cudowna siła przeznaczyła każdej jednostce ludzkiej stopę kwadratową dla swobodnego poruszania, trzeba by bądź co bądź zarezerwować olbrzymią przestrzeń dla 1580 milionów ludzi.

Nie należy jednak przeceniać wielkości przestrzeni, któraby miała pomieścić całą ludzkość w tego rodzaju warunkach. Można to zresztą łatwo wyliczyć. Na przestrzeni jednej mili zmieściło by się 12000 ludzi. Mila kwadratowa wystarczyłaby dla 12000 razy 12000 czyli dla 144 milionów ludzi. Cała ludzkość zmieściłaby się tedy na przestrzeni 11 mil kwadratowych. Mała wyspa Bornholm mogałby tedy przyjąć wszystkich ludzi żyjących na naszej ziemi, którzy pomieściliby się na powierzchni jeziora bodeńskiego.

HENRYK SCHARELMAN

PALUSZEK

KSIĄŻKA DLA DZIECI I NIE-DZIECI

LWÓW, KSIĘGARNIA ALTENBERGA I SP.

Cena Kor. 22·— Mk. 6·50

GRZEŚ

PISMO OBRAZKOWE DLA DZIECI

wychodzi 1. i 15. w miesiącu.

Prenumerata wynosi kwartalnie Mk 6·—, K 10·80; z przesyłką pocztową Mk 7·—, K 12·. Administracja: Lwów, Hotel George'a, w Krakowie, ul. Wolska 19, w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 9. — Wydawca i redaktor odpowieezialny: Alfred Altenberg. Czcionkami drukarni Ign. Jaegera, Lwów, ul. Sykstuska 33.

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж 6852

ZWIERZYNIEC GRZESIA

Zowię się pelikan baba
Ptaszek żabce szepnął w ucho
— A mnie nazywają żaba
Moja babcia jest ropuchą!

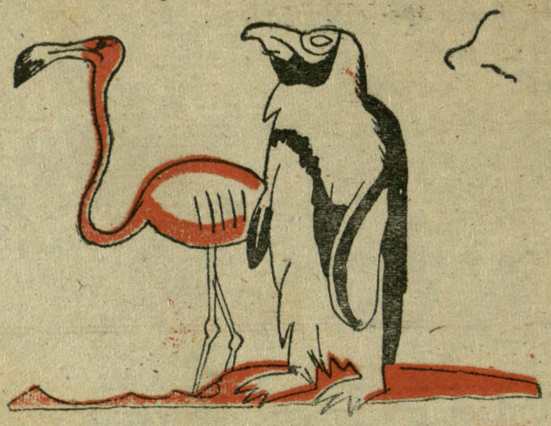

A czy wiesz ty, kto tu taki
Przedstawiony na obrazku?
Flaming i pingwin to są ptaki,
tKtóre na morskim żyją piasku.

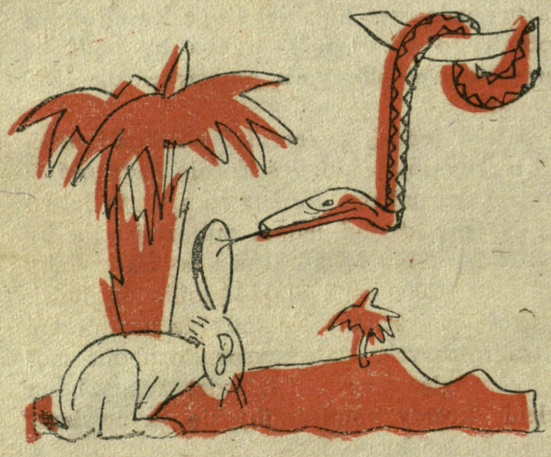

Zajączek to jest wielki psotnik
I przez rok cały ma wakacje
Nie widzi, że go wąż grzechotnik
Zje z apetytem na kolację.

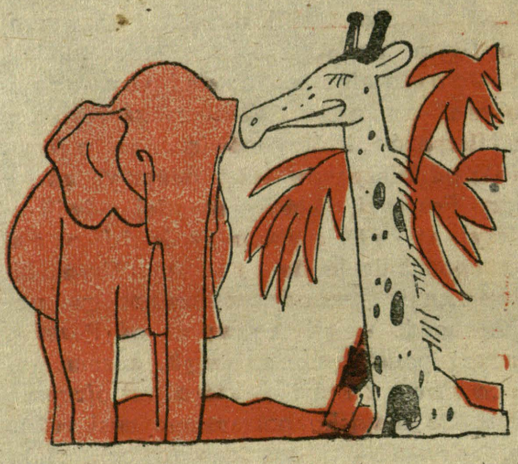

Słonia widok ludzi drażni
Więc przebywa chętnie w prerji
Z żyrafą żyje on w przyjaźni
Kiedy ją spotka w menażerji.

Nadzwyczaj trudną jest mowa
Kiedy się spotka z ółwiem sowa
Bo sowa tylko „pu-ku“ umie
Żółw zaś nic z tego nie rozumie.

Krokodyl to jest bestja słodka
Zo na śniadanie zjada dziecko
Skoro się kiedy z sępem spotka
To rozmawiają — po niemiecku.

Rok I. 1. sierpnia 1919. — Cena Mk. 1·— K 1·80 Nr. 4.

GRZEŚ

PISMO·OBRAZKOWE
DLA·DZIECI·OD·LAT·5~80

PODRÓŻ KAROLKA NA KOZIOŁKU

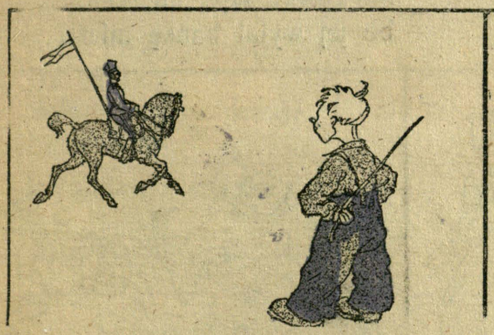

Karolka stale zachwyca konnica.

Że nie może na koniku, jeździ na byle patyku.

Raz idąc z jednym kolegą, Spotkał kozła brodatego.

Czy dosiąść go się odważysz?— zapytał urwisz — towarzysz.

Karol nic nie odpowiedział'— Hops!—i wnet na koźle siedział.

Kozieł, niezadowolony, ruszył z miejsca, jak szalony.

Gniew i śmiechy wkoło budzi — pędzi i przewraca ludzi.

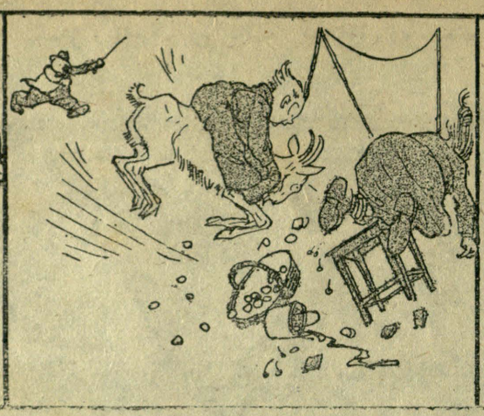

Mimo przekleństw, krzyku, nagan— rozwalił przekupce stragan.

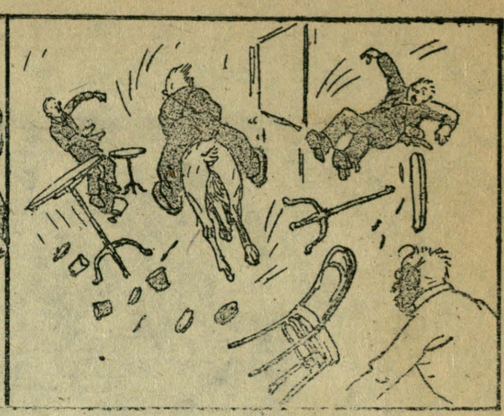

Do cukierni wpadł jak dziki, powywracał w niej stoliki.

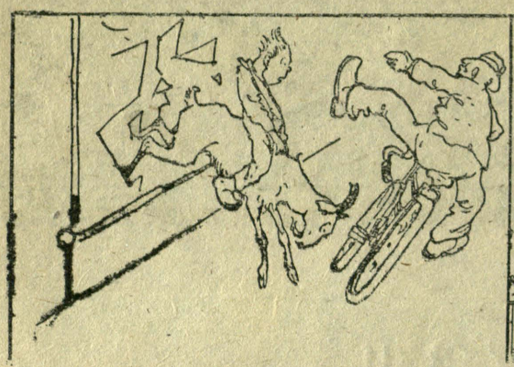

Oknem wypadł, jazda dalej — rowerzystę na bruk wali.

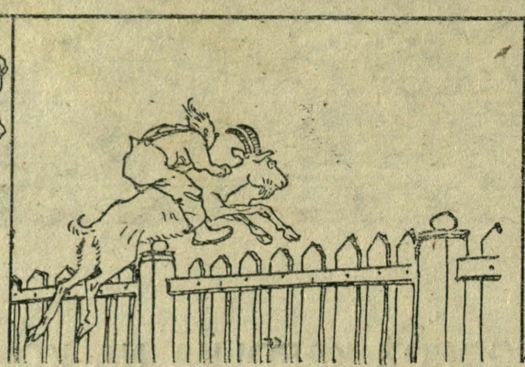

Przesadził skweru szlachety, depce klomby i rozety...

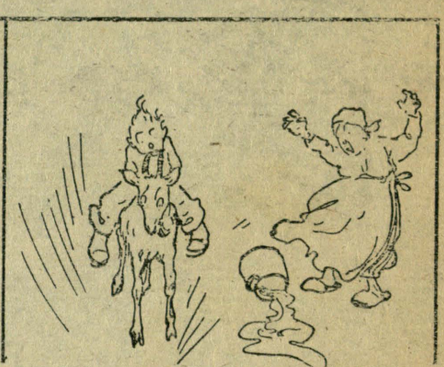

Mleczarka łaje, narzeka, bo jej wylał bańkę mleka...

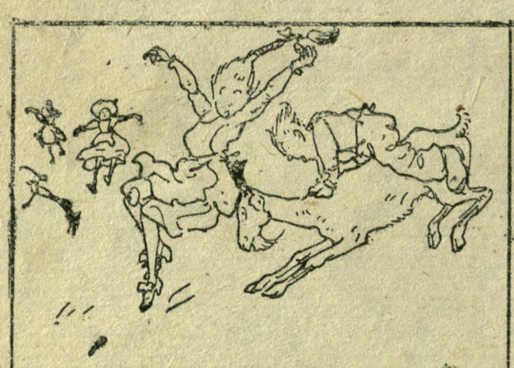

Szły parami pensjonarki — kozieł wpadł, rozpędził parki.

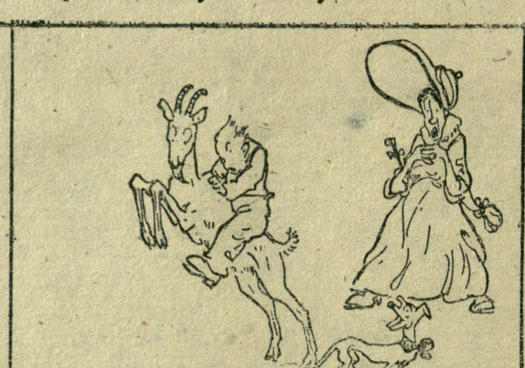

Zdeptał pieska starszej damie — starsza dama ręce łamie.

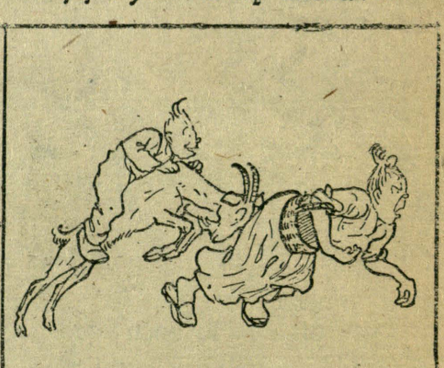

Do miasta idzie służąca — wtem ją kozieł w plecy trąca.

Padła na bruk nieszczęśliwa — kozieł na łbie kosz porywa...

Ślepy wpada, niby burza na sikającego stróża...

Ojejej!... Karolek krzyknął, bo stróż z kozła go zestrzyknął.

B. Hertz.

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6952/III

LEGENDA O KUKUŁCE

Woniejącą drożyną
Po lesie
Matka Boska Synaczka
Raz niesie.

Rąbią raźno, gdy idzie,
Dzięcioły
I pozdrawiają strumyk
Wesoły.

Z gęstwy do niej się śmieje
I wdzięczy
Jeleń w rogów ogromnej
Obręczy.

Nawet wyszedł z tajemnych
Swych komor
Otruć kogoś wciąż chcący
Muchomor.

Słońce bije przez drzewa
Pokłony
I drogowskaz się kłania
Omszony.

Brzęczą muchy złociste
I zgrają
Przed oczkami Jezuska
Latają.

Żółta wilga na chwałę
Mu ciurka,
Pokazuje swe sztuki
Wiewiórka.

I rzuciwszy wśród trawy
Swe domki,
„Zjedz nas" proszą czerwone
Poziomki.

Nawet niedźwiedź się chyli
W pomruku.
Aż tu słychać z za drzewa:
„A kuku!".

Patrzy Pani zdziwiona
I słucha:
Za buk wiejska się chowa
Dziewucha.

Ta się z Pani z Dzieciątkiem
Prześmiewa:
Ptaka niby udaje
Z za drzewa.

Matka Boska urazę
Ma o to.
Kara musi iść zawsze
Za psotą.

Już nie wyszła dziewczyna
Z za buka,
Jest kukułką i w lesie
Wciąż kuka.

St. M.

LIST Z WAKACYJ

Kochana Mamusiu!

Jesteśmy już na miejscu. Hura! Przyjechaliśmy na wieś. Tu świat całkiem inaczej wygląda. Już widziałem bardzo wiele z tych ślicznych rzeczy, o których mi mama opowiadała. Gdy przyjechaliśmy była noc, więc nic nie było widać. Dopiero rano, gdy tylko słońce zeszło — rozległ się głos dzwonka i wtedy wszyscy chłopcy wstali, a odmówiwszy modlitwę, poszli razem do umywalni gdzieśmy się porządnie obmyli.

Potem przyniesiono cały garnek jakiejś ślicznej białej herbaty i to właśnie było mleko, o którem tyle mi mamusiu opowiadałaś. Mleko to jest bardzo dobra rzecz. Co to za szczęśliwi ludzie! Oni nie piją rano herbaty ani czarnej kawy tylko tyle tego białego mleka ile tylko zechcą. A wiecie co dostajemy do tego pysznego mleczka? Dużą, bardzo dużą kromkę chleba. A jest to bardzo dziwny chleb. Nawet z początku dziwiłem się, że taki biały, bo u nas we Lwowie był przecież czarny z piaskiem i gliną. Z tego widać, że chleb nie zawsze się wypieka z piasku i gliny. Nie koniec jeszcze na tem. Jeszcze coś było na tym chlebie, żółte tłuste i bardzo aksamitne w smaku. Takie pyszne, że aj! Wstydziliśmy się pytać, ale to będzie pewnie masło.

Wieś jest całkiem inna, jak miasto. Niema tu nigdzie żadnych ogonków, nie jeździ się tramwajem i człowiek nie jest głodny. Bardzo nam się wszystkim podoba.

Po śniadaniu poszliśmy na spacer nad rzekę. Rzekę warto zobaczyć. Jest to bardzo dużo wody, która płynie, choć jej nikt nie nalewa i wcale nie pada deszcz. Wydaje się tak, jak gdyby ktoś odkręcił bardzo dużo kurków od wodociągów i woda płynęła przez ulicę. Jak będzie bardzo ciepło to pójdziemy się kąpać do tej rzeki. A to ci pycha!

Kochana Mamusiu! Jestem bardzo grzeczny, tak jak Ci obiecałem. Wprawdzie dałem Jaskowi trzy szturchańce w plecy i pan profesor bardzo się gniewał, ale Ci obiecuję Mamusiu, że się poprawię. I też już nigdy nie wylezę na parkan, boby mi się znowu podarły spodeńki tak jak wczoraj. A tę bójkę po obiedzie to nie ja zacząłem, tylko tamten Mieczek, co to Mama wie. On na mnie naskarżył i za to nie dostaliśmy obaj podwieczorku. Ale nie gniewaj się na mnie Mamusiu, bo ja się poprawię, a spodeńki już są poprawione.

Jeszcze ci chciałem napisać Mamusiu, że na wsi nie ma kamiennych chodników, a bruk jest zielony i mięki, nazywa się zaś łąką. Tu wcale niema podwórza w kamienicy, a to dlatego, że niema kamienic. I stróżowa nie krzyczy na dzieci, gdy się bawią na podwórzu.

Byliśmy także w lesie na poziomkach. Tylko w tym lesie to panuje bardzo wielki nieporządek. Wyobraź sobie, Mamusiu, poziomki rosną same, bez słoika każda osobno. Niema ani cukru, ani śmietany. Te poziomki, co u nas w domu na szafie rosną w słoiku — smakowały mi lepiej.

Miecio

POCZTA GRZESIA

Tutaj będzie Grześ rozmawiał ze swymi przyjaciółmi. Z wszystkimi razem i z każdym z osobna. Grześ bardzo lubi odbierać listy i chętnie czyta, co mu piszą. Trzeba tylko pisać wyraźnie i czysto, bez plam i kleksów. A więc piszcie jak wam się podobają figle Grzesia i obrazki, piszcie o wszystkiem co was obchodzi. A także co porabiacie przez czas feryi. Grześ wam zawsze odpowie i tak przyjaźń się zawiąże.

Dotąd otrzymał Grześ już wiele listów i po kolei będzie na nie odpisywał.

—

Bławatkowi. Twoje zagadki są bardzo dowcipne, ale muszą trochę zaczekać. A do której klasy chodzisz?

Bolowi W. Widzę, że jesteś zapalonym zbieraczem marek. Bardzo to miłe zajęcie szczególnie w czasie wolnym od nauki. Ale ze samego zbierania marek nie można zostać Krzysztofem Kolumbem. A czy masz już Tasmanię?

Halince z Ł. Cieszę się, że Ci się „wojna na podwórzu" podobała. Co się dalej stało z „Kominiarczykiem króla Stasia?". Cierpliwości, może jeszcze kiedy opowiem.

•••

HISTORJA O JANKU,

Straszny był kręciel ten Janek:
ciągle się czepiał furmanek.

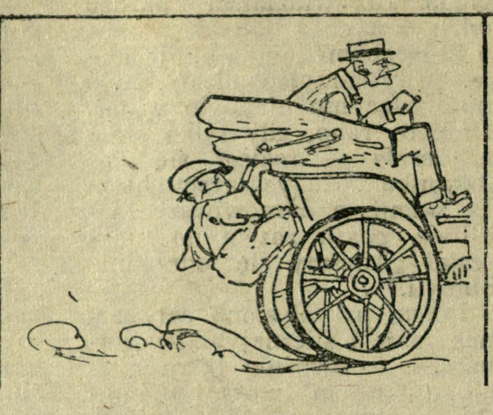

Ujrzy powóz, czy dorożkę,
musi wnet pojeździć troszkę.

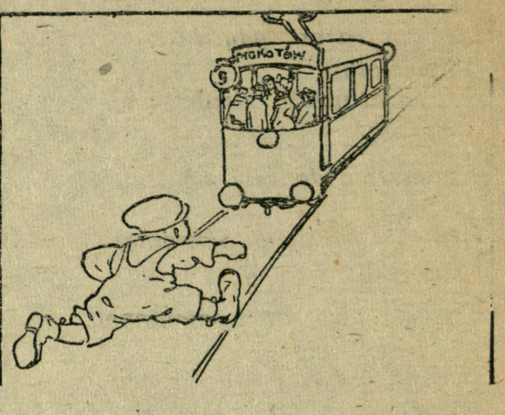

A nareszcie, swym zwyczajem,
za każdym gonił tramwajem.

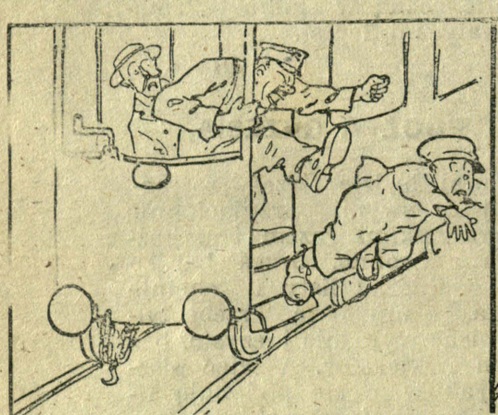

Raz się przeląkł konduktora,
bo mu ten powiedział „fora...!"

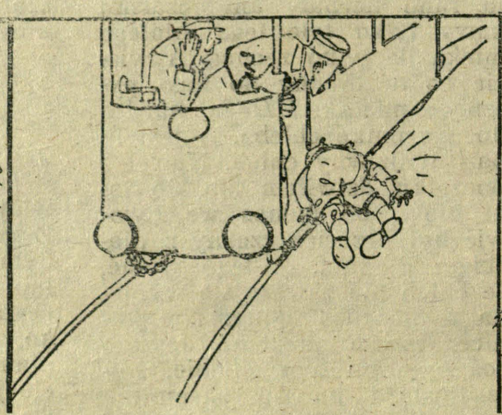

Gdy zeskoczył, „gwałtu" — woła,
bowiem dostał się pod koła.

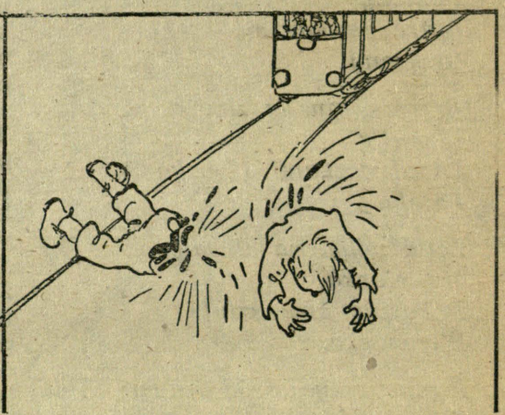

i — jak to bywa najczęściej —
rozleciał się na dwie części.

Z PAMIĘTNIKA PANNY PCHEŁKI

..Spóźniłam się. Wszystkie dzieci poszły na spacer, a ja już nie zdążyłam wskoczyć na szyjkę Maniusiowi, żeby trochę odetchnąć świeżem powietrzem. Nikogo w domu niema, mam chwilkę czasu, a więc piszę swój pamiętnik.

Było nas w domu dwanaścioro, a wychowywałyśmy się wszystkie u babci, w szparze od podłogi. Rodzina nasza jest bardzo znakomita. Dość powiedzieć, że moja babcia urodziła się w pałacu pod poduszką pani hrabiny, a dziadzio siedział w sejmie na kołnierzu prezydenta ministrów. Rodzice moi mieszkają za granicą w kraju, który się nazywa pokojem jadalnym. Jeden mój braciszek jest na wojnie. Już od dłuższego czasu. Pewnego razu przyszedł do pokoju jakiś żołnierz, brat mój wskoczył na niego i teraz będzie już chyba gdzieś pod Tarnopolem. Ale nic nie pisze. Bardzo to jest źle, że naszych pchlich listów nie przyjmują na pocztę.

Mieszkam w pokoiku dziecinnym i bardzo lubię dzieci. Może dlatego, że sama jestem mała i czarna. Ot. jak pchełka. A czasem — to wam mówię w sekrecie — tak samo niegrzeczna, jak dzieci. Najbardziej lubię malutkiego Kazia, który uczy się dopiero raczkować, ma różowe nóżki i tłustą buzię. Na dużego Julka skaczę tylko wtedy, gdy sobie nie umyje szyjki bo pchły najchętniej gryzą tych, co się mydłem myć nie lubią.

Ale w pokoiku dziecinnym jest mi już za ciasno. Chciałabym gdzieś wyjechać w świat szeroki, tak jak moja ciocia. A wiecie czem jest moja ciocia? Artystką teatralną i to bardzo sławną. Nie myślcie że to żarty! Wcale nie! Występuje ona w pchlim teatrze, który ludzie nieraz urządzają. Bo my pchły jesteśmy pojętne i mądre. Babcia opowiadała, jak taki teatr wygląda. Naokoło stołu zgromadzają się ludzie i patrzą na przedstawienie, którem kieruje pan dyrektor. Rozstawia on na stole małe pudełeczka wyścielone watą. Są to mieszkania dla artystów i artystek. Każda pchełka ma na sobie złotą klamerkę i szarfę z cienkiej kolorowej nitki, którą ujmuje pan dyrektor, bo inaczej mógłby zadusić artystkę. A potem zaczyna się przedstawienie. Jakież tam dziwy się dzieją i jak tam wesoło! Dwie pchełki bujają na huśtawce z zapałek. Potem zajeżdża kareta, ciągniona przez sześć pchlich rumaków, a pchła-

KTÓRY SIĘ KRĘCIŁ

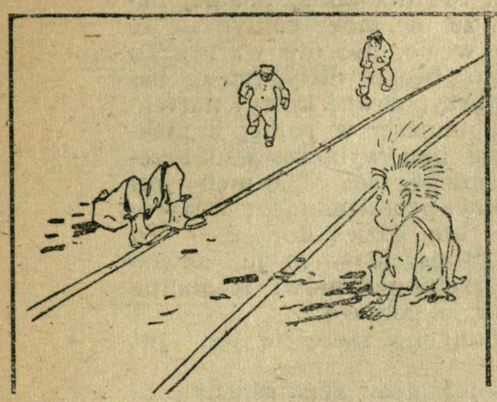

Patrzy Janek... Boże drogi!
gdzie się podział brzuch i nogi?

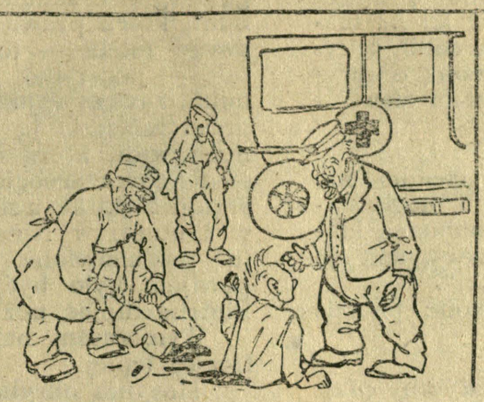

Nadjechało Pogotowie,
biorą Janka po połowie.

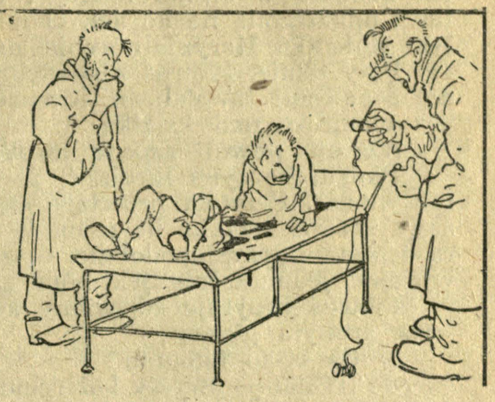

Żebyś nie wyglądał brzydko,
to cię zeszyjemy nitką.

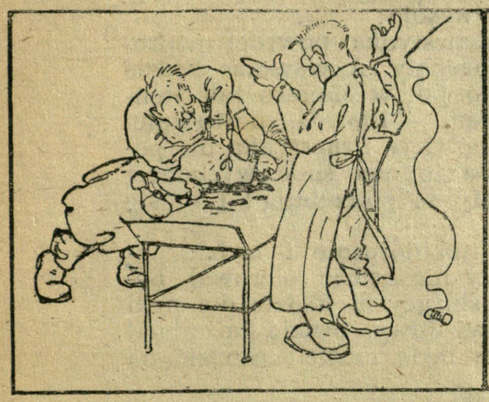

Nie kręć się — powiada lekarz —
wciąż mi z pod igły uciekasz!

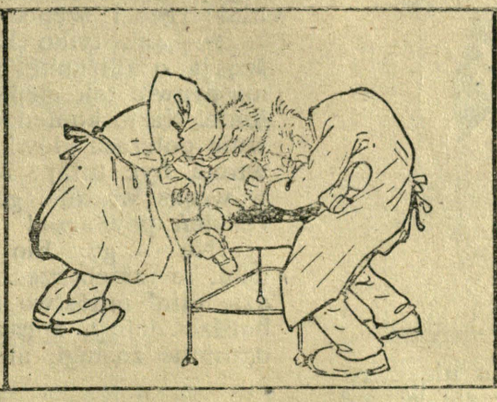

Lecz Janek się kręcił dalej,
gdy go nitką zeszywali.

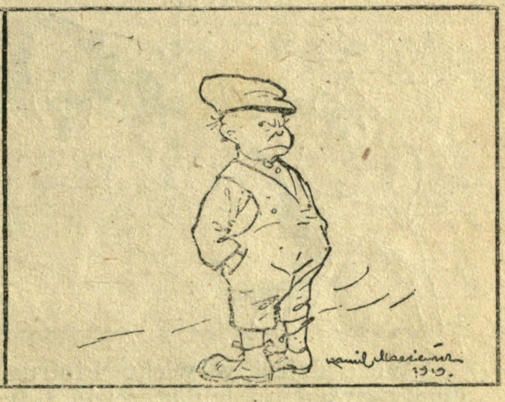

I z tego właśnie powodu,
nos ma z tyłu, pięty z przodu.

furman powozi na koźle. Potem taniec (to właśnie moja ciocia jest tancerką). Albo znowu wojna. Dwie pary pchełek wojskowych ciągną armatę, z której będą strzelać do nieprzyjaciela. (Boże mój, gdybym ja była żołnierzem, zastrzeliłabym zaraz tę brzydką pluskwę, która siedzi na ścianie nad łóżkiem Kazia i ciągle gada po ukraińsku!).

Najweselsze miejsce w pchlim teatrze to karuzel. Jest to ogromny budynek, prawie tak wielki, jak pudełko zapałek.

Pięć pchełek rozpiera się na fotelach a niewidzialna ręka człowieka porusza korbą. Muzyka zaczyna grać i wtedy jest bardzo przyjemnie. Ale cóż kiedy te teatralne pchełki nie są wcale szczęśliwe. Cóż z tego, że mają śliczne złote błyszczące klamerki na sobie i jedzenia do sytości. Ale brak im wolności! Do klamerek jest bowiem przywiązany sznurek, trzymany mocno ręką pana dyrektora. I nigdzie same chodzić nie mogą. A nawet biedaczki wcale skakać nie umieją. Ciocia opowiadała nam, że oduczono ją tego zaraz na drugi dzień, gdy dostała się do teatru. wsadzili ją bowiem do takiego strasznego więzienia, w którym ilekroć chciała skoczyć to się bardzo boleśnie uderzała w główkę. A mimo to wszystko coś mię ciągnie w świat. Chociaż babcia powiada, żebym się nie ważyła nawet myśleć o tem.

* * *

Cóż robić? Trzeba dalej mieszkać w dziecinnym pokoiku. Czasem gdy dzieci się bawią grzecznie, wtedy mnie jest przyjemnie. Ale gdy Maniuś zacznie się kręcić, wiercić i figle złośliwe płata siostrom to ja ze złości kąsam go mocno w rączkę. Wtedy urwisz ten leci zaraz na skargę do Mamy i woła płacząc: Mamusiu pchła mię ugryzła!

Żal mi bardzo ludzi, bo nie są pchłami. Chociaż są tacy ogromni to przecież chodzą bardzo niezgrabnie i wcale nie umieją skakać. Mój Boże! Gdybym była tak wielką, jak mały człowiek, ho, ho, wtedy skakałabym aż do sufitu i niktby mię złapać nie potrafił.

Aj, aj, muszę kończyć pisanie, bo właśnie dzieci wróciły ze spaceru, mama woła: „spać!" więc będę miała dużo roboty. Bądź zdrów mój pamiętniku!

■ ■ ■

ANDRÉ LICHTENBERGER

PIOTRUŚ i MARYNIA

Na dworze mroźno. W rogu kominka siedzi babunia w swoim fotelu, z robotą trykotową opuszczoną na kolana. U nóg jej na małym stołeczku Marynia obrębia starannie ścierkę. Przy oknie, Piotruś z powichrzoną czupryną, z palcami zawalanemi atramentem ziewa i coś mamroce nad książką.

Ale oto powoli zapada mrok.

Piotruś zaczyna mruczeć, że „ciemno, nic nie widać". Przytem przeciąga się i nagle odsuwa krzesło z takim hałasem, że babunia, która drzemała prawdopodobnie — wzdrygnęła się wydając jednocześnie jęk bólu „Aj".

Piotruś zapytuje zdziwiony swoim poczciwym grubym głosem:

— Co ci to babuniu?

— To nic — zwykły ból reumatyczny przy poruszeniu.

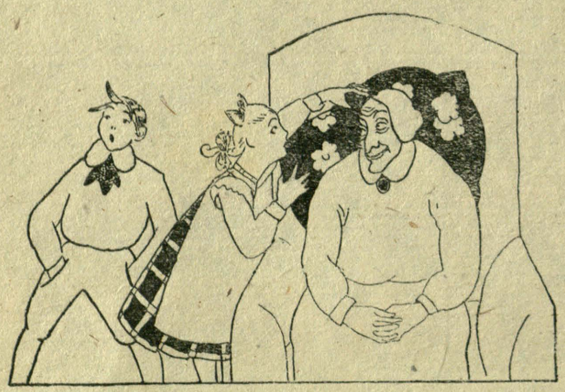

Wiele dzieci w wieku Piotrusia nie zwróciłoby uwagi na ten szczegół. Gdy się jest ośmioletnim zdrowym chłopcem, wszelkie reumatyzmy i inne objawy starości wydają się dziwne i dalekie. Ale Piotruś jest dobry, jest szlachetny — dowiedzie tego.

Wsadziwszy ręce w kieszenie staje przed babunią i głosem stanowczym oświadcza jej co zrobi.

Gdy będzie już duży — sprowadzi najsławniejszych doktorów i nakaże im, aby wyleczyli babunię. Zapłaci im ile zechcą, ale będą musieli wyleczyć ją natychmiast. W przeciwnym razie biada im!

Babunia zapominając o chwilowym bólu uśmiechnęła się i podziękowała wnuczkowi. Tymczasem czuje, że poza nią — między zbolałe jej plecy a oparcie fotela — coś się wsuwa. To poduszka, miękka, przytulna, dopasowana wielkością do potrzeby. Marynia, odłożywszy robotę przyniosła ją cichutko, bez hałasu i wsunęła delikatnie, tak jak widywała często, że to czyni jej matka.

— Dzięki ci kochaneczko.

Marynia uradowana składa pocałunek na pomarszczonej ręce.

— O babuniu! jakaś ty zziębnięta!

Naturalnie! Piotruś wzrusza ramionami nastroiwszy odpowiednią minę. Naturalnie! Nie raz to już mówił, że takie siedzenie w zimie, w kraju, gdzie panują mrozy i śniegi dobre jest dla ludzi ruchliwych, młodych, którzy mogą biegać i skakać. Ale dla takiej biednej babuni, która prawie, że nie może ruszyć się ze swego fotela — to wcale, nic nie warte! To też — jak tylko już będzie duży (może babunia zawczasu już przygotować kufry) natychmiast zawiezie ją i umieści w jednej z pięknych willi, którą dla niej wybierze nad brzegiem morza Śródziemnego, tam gdzie niebo jest zawsze błękitne a słońce promieniejące; w Hyese w Cannes, w Nicei lub gdzieś koło tego. To już postanowione. „Wreszcie — to już dawno powinno było być zrobione" mówi rezolutnie Piotruś tupiąc nóżką o podłogę.

Tymczasem babuni na szczęście jest już trochę lepiej.

Marynia okryła jej plecy dużą chustką, uklęknąwszy przed ogniskiem zgarnęła rozżarzone węgle i niedopalone głownie, dorzuciła polano drzewa i dwa kawałki węgla. Buchnął jasny płomień. Babunia wyciąga ku niemu swoje białe ręce i szepce wesoło:

— Jak tylko Ernestynka powróci poproszę ją o filiżankę herbaty. A wówczas będzie mi prawie tak ciepło jak w Monaco lub Mentonie. Na to komendant — Piotruś, znowu gniewnie potrząsa główką. Czyż Ernestynka nie powinna być tutaj? Jakże ona śmie wychodzić wówczas właśnie, gdy ją potrzebują? I to się codzień powtarza!

No — gdy Piotruś dorośnie i będzie panem, to takich rzeczy nie będzie tolerował. Będzie miał mnóstwo służących. Będzie dla nich bardzo dobry, sprawiedliwy, będzie im płacił ogromne zasługi, ale będą musieli chodzić na

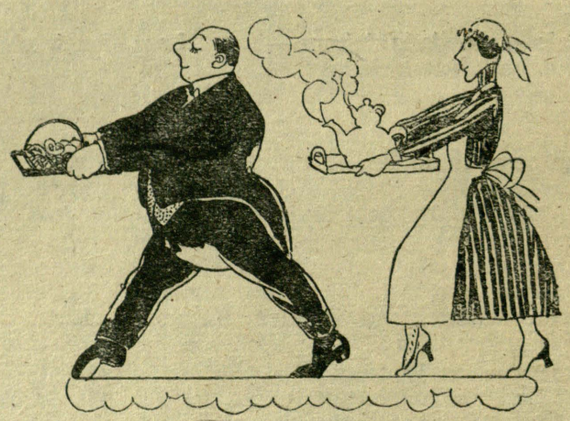

palcach, a z oczów zgadywać życzenia — a nie — to fora ze dwora. I codzień punktualnie o czwartej godzinie, przyniosą babuni na srebrnej tacy: herbatę, czekoladę, maślane bułeczki, placuszki, sucharki i ciastka z kremem. Tak... Dziś wprawdzie babunia nie będzie miała tyle przysmaków, nie będzie jednak potrzebowała czekać na powrót Ernestynki aby się napić gorącej herbaty. Bo oto przez ten czas gdy Piotruś opowiadał i wywodził swoje zamiary — Marynia, — skrzętna i cicha Marynia nastawiła imbryk pełen wody, a na stoliczku stojącym przy babuni, przygotowała: filiżankę, spo-

deczek, postawiła cukierniczkę, garnuszek śmietanki, imbryczek i puszkę z herbatą. A wszystko czyniła ostrożnie, żeby czegoś nie potrącić lub nie przewrócić.

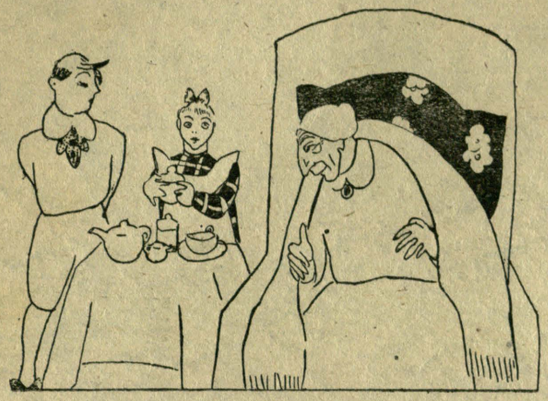

Doskonale! Piotruś — wzrokiem pobłażliwym śledzi to krzątanie się siostrzyczki i zachęca ją to słowem to giestem. Trzeba umieć być użytecznym — każdy według swych sił i możności. Nagle jednak mały obserwator, uśmiecha się ironicznie marszcząc brewki: O czem też myśli ta Marynia? Nie podała łyżeczki — zapominalska! Marynia rumieni się ze wstydu i już chce pospieszyć...

— Nie, nie potrzeba — niech pilnuje wody, która wnet zakipi. Po łyżeczkę Piotruś sam pójdzie — czy rozumiecie — on sam, żeby naprawić zapomnienie siostry. Z miną uroczystą, uprzejmą, krokiem pewnym przechodzi salę jadalną, otwiera szufladę, grzebie chwilę w koszyku ze srebrem i wraca do babuni.

— Oto jest.

Teraz już dzięki niemu babunia będzie mogła napić się herbaty. Lecz gdyby jego tu nie było — musiałaby czekać — no! I z powagą, pobłażliwością i nie bez współczucia Piotruś tłumaczy bardzo strapionej Maryni jak należy się zachowywać: jeżeli się coś robi — trzeba robić dobrze, dokładnie...

...Lecz w tej chwili właśnie, gdy przerwał swoją perorę dla zaczerpnięcia oddechu, daje się słyszeć słodki głos babuni:

— Maryniu, byłabyś bardzo grzeczna, gdybyś mi przyniosła łyżeczkę do herbaty, a ten widelec niepotrzebny mi zupełnie odniosła na swoje miejsce. I białą dłonią podaje Maryni przedmiot, który pan Piotruś w prędkości swej wyjął przed chwilą z szuflady i przyniósł babuni. Wyciągnął rączkę jakby chciał go pochwycić...

Lecz babunia uprzejmie lecz przecząco potrząsnęła głową.

— Lepiej już niech to załatwi Marynia i poczem spokojnym głosem dodaje:

— Ty mój Piotrusiu — dasz mi inną — całą ze złota... jak będziesz duży.

■ ■ ■

PODZIAŁ WIELBŁĄDÓW

Stary Arab, miał trzech synów, a umierając zapisał im w testamencie stado wielbłądów, ale pod warunkiem, aby podzielili je między siebie w następujący sposób:

Starszy syn miał dostać połowę wszystkich wielbłądów, średni syn trzecią część, a najmłodszy dziewiątą. Starzec umarł i zostawił 17 wielbłądów. Synowie wzięli się do dzielenia, okazało się jednak, że 17 nie jest podzielne ani przez 2 ani przez 3 ani przez 9. Nie wiedząc co zrobić zwrócili się o radę do szeika. Mądry szeik przyjechał do wsi na wielbłądzie i podzielił między braci doskonale całe stado. W jaki sposób mógł to uczynić? Otóż stało się tak. Szeik chwycił się podstępu. Przyłączył on do stada jeszcze swego wielbłąda, tak, że stado liczyło 18 wielbłądów. Podzielił je stosownie do woli starego brata i zabrał swojego wielbłąda z powrotem.

Podział wypadł w następujący sposób:

starszy	brat dostał $\frac{1}{2}$ . .	7 wielbłądów
średni	brat dostał $\frac{1}{3}$ . .	6 „
najmłod.	brat dostał $\frac{1}{9}$ . .	2 „
	Razem . .	17 wielbłądów

CHYTRZY BIESIADNICY

W karczmie był stół czworokątny. W czasie wojny zebrali się przy owym stole (rys. 1) żołnierze w liczbie 21, aby zjeść obiad. Poprosili oni do stołu i gospodarza. Miejsca zostały zajęte w następujący sposób: Z trzech stron usiadło po siedmiu żołnierzy, a czwartą stronę stołu zajął sam gospodarz. Żołnierze umówili się z gospodarzem, że płacić za biesiadę będzie ten, kto zostanie ostatni przy stole, ale według następującego porządku: Skoro liczyć będą w kole według biegu wskazówki zegara wszystkich razem z gospodarzem, co siódmy będzie mógł wstać i wyjść, nie płacąc. Kiedy tak każdy zwolniony wychodził z karczmy, ostatni pozostał gospodarz i — sam sobie zapłacił. Od którego z żołnierzy zaczęli liczyć chytrzy biesiadnicy?

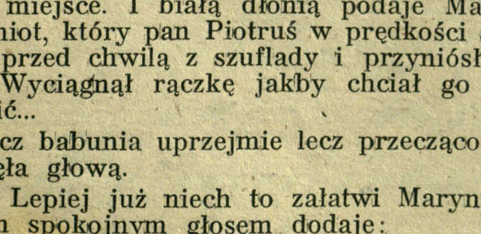

Rozwiązanie:

Należy zacząć liczyć od szóstego żołnierza po lewej stronie gospodarza.

Do Czytelników!

Jasio, Bolek, Hala, Cesia
Wszystkie dzieci lubią „Grzesia".
Tadzio, Oleś, Kazia, Myszka
Kochają go jak braciszka.
„Grześ" to figlarz jest wesoły
Chodzi jeszcze sam do szkoły,
Raz zabawi, raz dokuczy,
A niekiedy też nauczy.

Prenumerata wynosi kwartalnie Mk 6·—, K 10·80; z przesyłką pocztową Mk 7·—, K 12·. Administracja: Lwów, Hotel George'a, w Krakowie, ul. Wolska 19, w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 9. — Wydawca i redaktor odpowieezialny: Alfred Altenberg.
Czcionkami drukarni Ign. Jaegera, Lwów, ul. Sykstuska 33.

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж 6852

ZWIERZYNIEC GRZESIA

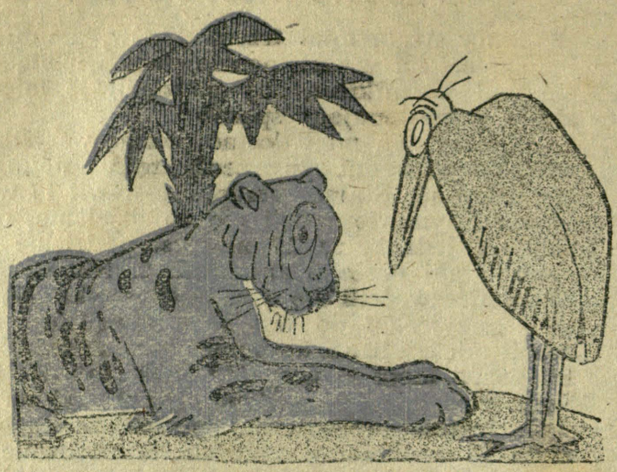

Ten ptak, któremu dziób zwisa
To jest marabut, stary i zmęczony
A obok niego widzicie tygrysa,
Schrupał dwie sarny, więc jest najedzony.

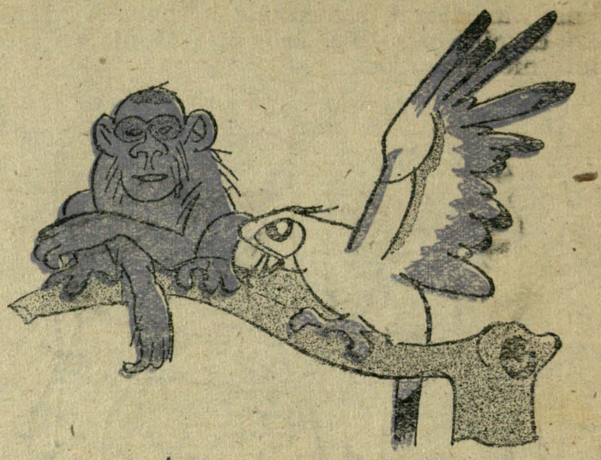

Małpa chytra okiem mruga
Kokosowy orzech chrupie
Myśląc: „Czemu ta papuga
To stworzenie takie głupie?"

— Oh, jakże śmiesznie pan wygląda!
Powiedział raz struś do wielbłąda
— Głupiś! To tylko tak na pozór
Rzekł wielbłąd i wystawił ozór.

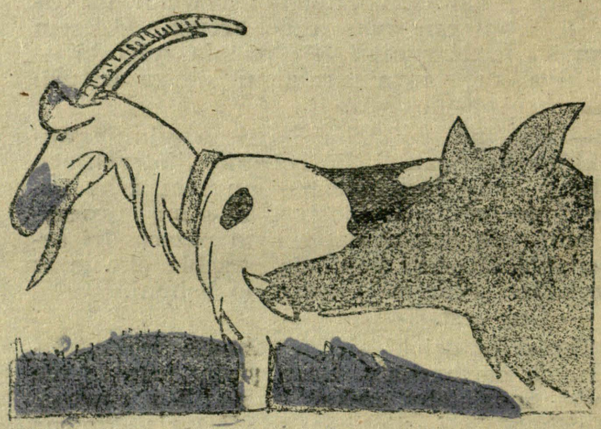

Kozioł, gdy go kochamy
Nic złego nie uczyni
Odyńcem nazywamy
Tatusia dzikiej świni.

— Męczysz się pływaniem kaczko —
Rzekł lis — chodź na brzeg biedaczko
— Kwa, kwa, kwa — kochany lisie
Kiedy właśnie... nie chce mi się!

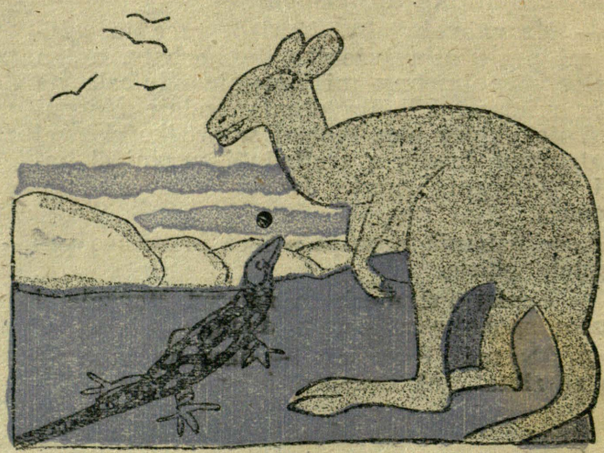

Kangur nie kupuje burki
Bo ma futro swoje własne
Salamandry są jaszczurki
Czarno-żółte, spodem jasne.

Rok I. 15. sierpnia 1919. — Cena Mk. 1·— K 1·80 Nr. 5.

GRZEŚ

PISMO·OBRAZKOWE
DLA·DZIECI·OD LAT·5—80

DRUGA PRZYGODA CIOCI GUCI

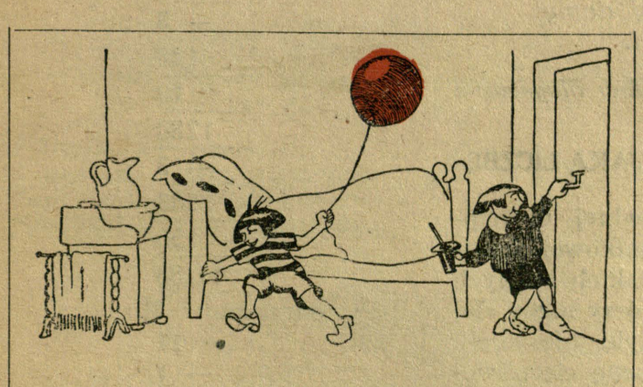

Gdy na spacer z domu wyszła
I dopiero wieczór wróci
Umyślili dwaj siostrzeńcy
Spłatać figla cioci Guci.

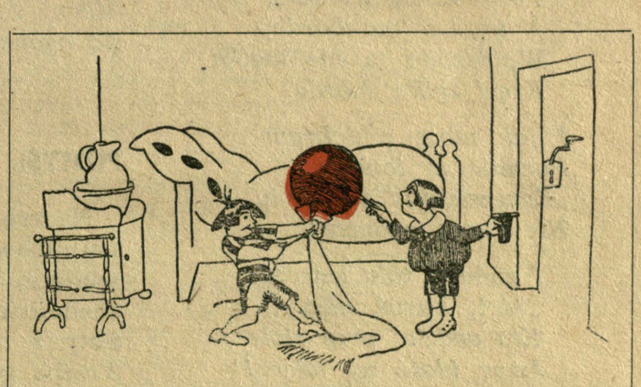

Jakiś pomysł bardzo dziwny
Chłopcom przyszedł dziś do głowy
Bo przynieśli z sobą farby
I balonik kolorowy.

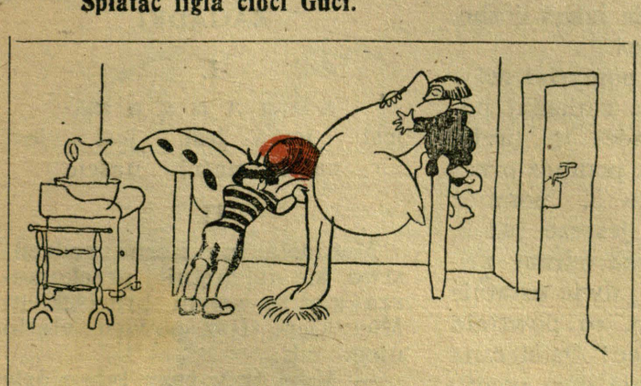

Coś majstrują, pędzlem babrzą
Wreszcie w łóżku go schowali
Zaczekajcie, a ujrzycie
Co wyniknie z tego dalej.

Psst! Już ciocia wraca z parku
Gdzie prześlicznie słowik śpiewa
Umęczyła się spacerem
Chce już „lulu“, a więc ziewa

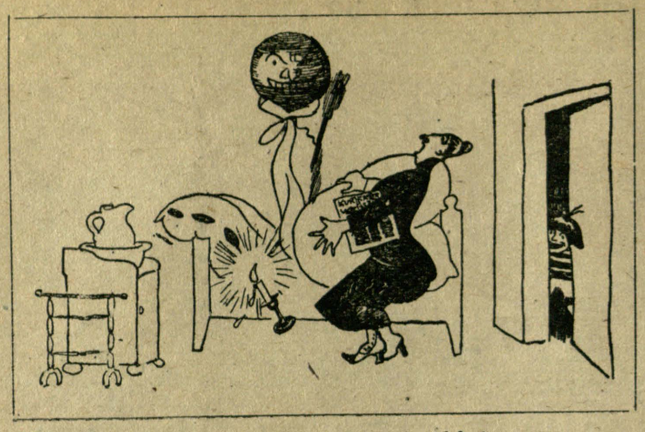

Wtem... o zgrozo!... rany boskie!
Ciotki wrosły w ziemię nóżki:
Straszny potwór z wielką głową
Hyc do ciotki z pod poduszki!

„Wszelki duch“ — zawoła ciocia
Boże wielki bądź pochwalon“
Bo myślała że to dyabeł
A to był tymczasem — balon!

A za drzwiami się schowali
Dwaj siostrzenicy, dwaj filuci
Cieszą się, że napędzili
Trochę strachu cioci Guci.

Lecz zasmucą się niedługo
I żal będzie im biedaczki
Z przerażenia dobra ciocia
Nabawiła się żółtaczki.

PIESKI

Na białym talerzu
Jest obiad królewski,
Szybkimi języki
Zlizują go pieski.

Ten różową wstążkę,
A tamten ma bordo,
Wpatrzona w nie matka
Kręci tylko mordą.

I jak może z dobrym
Poznaje je tonem:
„Kruczek, tak się nigdy
Nie rusza ogonem“.

I znów z żalu warczy:
„Ależ, Buruś, ależ...
Kto widział przy stole
Łapę kłaść na talerz!“

A talerz przez pieski
Zewsząd oblężony
I na wszystkie strony
Chwieją się ogony.

Lecz jedzenie dzieci
To jest postrach matek.
„Ah, na ziemię wszystko
Zrzuci ten łaciatek.“

Suka, umie pieski
Utrzymywać w ryzie:
„Niech mi się Milusia
Z Burkiem wciąż nie gryzie!“

I myśląc z westchnieniem
O swych dzieci jutrze,
Mówi: „A niech każde
Mordkę teraz utrze!“

Kończą już, a matka
Wzrokiem po nich wiedzie:
„Zawsze się dziękuje
Grzecznie po obiedzie!“

Więc podziękowanie
Sąsiadów, sąsiadek.
Tak minęła lekcya
I minął obiadek.

Że już pieski mają
Dobry ton w pamięci,
Mama z wielkiej dumy
Aż ogonem kręci.

Stanisław Maykowski

POMYŚL SOBIE JAKĄ LICZBĘ!

Nauczę was jednej dowcipnej zabawy rachunkowej, zadziwiającej nawet takich biegłych rachmistrzów, którzy nigdy złej noty z matematyki nie mieli. Trzeba tylko trochę cierpliwości no i... znajomości tabliczki mnożenia. A skoro masz jedno i drugie, wtedy powiadasz do towarzysza zabawy:

— Pomyśl sobie jakąś liczbę, a ja ją odgadnę!

A gdy on już pomyślał, mów dalej tak, (le nie zmieniaj porządku): Pomnóż tę liczbę przez 2, dodaj, 5, pomnóż przez 5, dodaj do tego 3, pomnóż przez 10, dodaj jeszcze raz 3, odejmij 150, teraz odrzuć z liczby otrzymanej, dwie ostatnie cyfry, a od tego, co powstało odejmij 1. Koniec! Ostateczna reszta jest właśnie ową pomyślaną cyfrą. Jeśli nie wierzycie, to spróbujemy na przykładzie:

Przypuśćmy, że ktoś pomyślał sobie liczbę 10. Wtedy rachunek wygląda tak:

10 × 2
20
+ 5
25
× 5
125
+ 3
128
× 10
1280
+ 3
1283
— 150
1133

Po odrzuceniu 33
= 11
— 1
10

Spróbujcie teraz sami na innym przykładzie!

ZAGADKI

I.

a a a a a a a a ,
jest jest jest jest jest
naście naście naście

II.

Maniusia ma liczne rodzeństwo, ale najchętniej przekomarza się ze swym braciszkiem Mieczkiem. Raz powiedziała do niego tak:

— Mam trzy razy tyle sióstr ile braci.

Mieczek jej odpowiedział:

— Ja zaś mam siedm razy tyle razy sióstr, ile braci.

Ile było rodzeństwa?

Kto zgadnie?

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6812 in

OPOWIADANIE KSIĘŻYCA

Mam szczerozłotą twarz
Nos złoty, lecz bez dziurki,
Na niebie trzymam straż
A gwiazdki są me córki.

Jak sierp wyglądam dziś
To znów się zmieniam w dynię
Na dworze szczeka Bryś,
Gdy łeb mój niebem płynie.

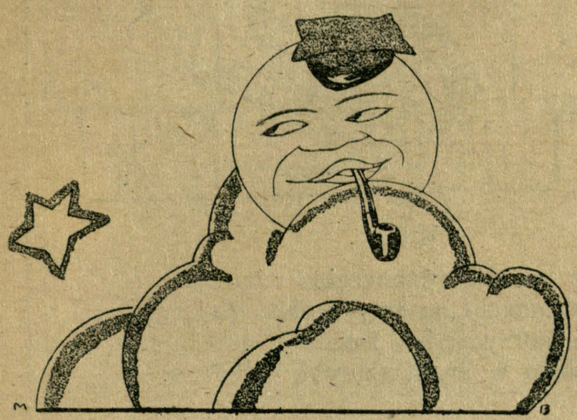

Największą z moich sztuk
Zobaczysz w dziwnym chodzie,
Bo nie mam rąk ni nóg,
A chodzę, ah ,na brodzie.

Ze ziemi przyszła wieść,
Że jakiś głód wybucha
Fe! Któż to widział jeść
Ja wcale nie mam brzucha.

Ubrania nie mam też
I jest mi z tem wygodnie,
Lecz kup mi (jeśli chcesz)
Złocisty płaszcz i spodnie.

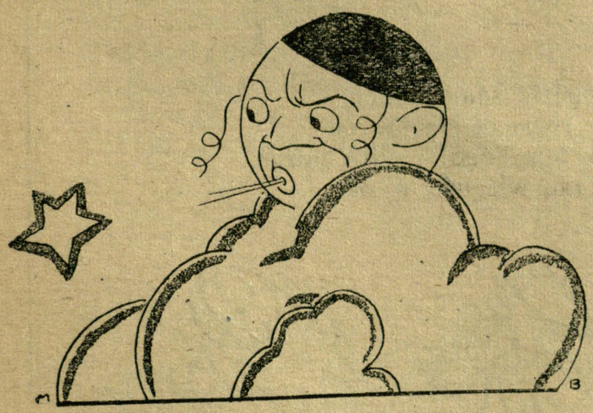

Gdy wieczór spłynie z nieb
Nim dziecko grzecznie zaśnie
Przez szybę wciskam łeb
I opowiadam baśnie.

A więc się grzecznie kładź
I zamknij prędko oczy,
Kiedy już będziesz spać
To pojazd mój się wtoczy.

Pójdziemy w śliczny kraj,
Gdzie płynie miód z śmietaną
Ty spisz, ja baju—baj,
Póki nie przyjdzie rano.

Ciocia Jadzia

JAK POWSTAŁY PAWIE?

Dyabeł wybierał się raz z dyablicą na bal maskowy. A na każdy bal trzeba się ubrać ładnie, cóż dopiero na maskowy! Więc przyniosła mężowi dyablica takich piór, jakich tu jeszcze nikt nie widział, zielonych, szafirowych i złotych i dopiero go w te pióra stroić. I mówi do niego: „Będziemy ptakami, ale takimi, jakich dotąd Bóg nie stworzył. Tylko trzeba się z ubieraniem śpieszyć, żeby skończyć przed zapianiem kura, boby była cała robota na nic".

Dyabłu sterczały z pod piór rogi, więc doczepiła mu do głowy czubek, a ogon zasłoniła mu całym wachlarzem z piór. Patrzy dyabeł po sobie i strasznie się sam sobie podoba. Żeby zaś równo była ubrana para, zaczyna on z kolei żonę. Ale zaledwie jej okrył głowę i zaczął kłaść pióra na resztę ciała aż tu kur, który ich zobaczył ze swej grzędy, a był zazdrosny o to, że się ładniej ubrali od niego, zapiął i przerwał mu robotę. Tak stał się z dyabła paw, którego tyle razy widzieliście w ogrodzie, chodzącego z dyabelską pychą i powłoczącego ogonem, a z żony jego pawica, nie tak już strojna, jakby na nią nie wystarczyło błyszczących, ślicznych piór.

KOSZAŁKI-OPAŁKI

Grześ uczył się deklamacyi i wszystkie wierszyki pomieszały mu się w głowie.

Niosło raz dziecię wody dzbanuszek,
Spotkał je w drodze siwy staruszek,
I rzekł do niego z uprzejmą minką:
„Pozwól się napić dziecinko!"
Dziecina chętnie schyla dzbanuszka,
I napoiła wodą staruszka.
Raz koło sadu szła ta dziecina,
Patrzy... Co tu koni, bydła, wozów!
Co tam pasów, lin, pozwrozów,
A tu zboże, jabłka, gruszki,
Miski, garnki i dzbanuszki,
Co kożuchów, czapek, skrzynek,
Masła, sera, kiełbas, szynek!
Tu zabawki, tu piszczałki,
Tam koszyki i opałki,
Zwierciadełka i obrazki,
Beczki, konwie, cebry, jaski...
I to pachnie, i to nęci,
A osiołek uchem kręci,
Bo koło jeziora,
Z wieczora,
Chłopcy w koło biegali
I na żaby czekali.
Gdy się która pokazała,
Kamieniem w łeb dostawała.
Jedna znich śmielszej natury,
Wystawiwszy łeb do góry,
Rzekła: Piał kogucik „kukuryku".
Wstawaj rano mój chłopczyku!
A chłopczyk się ze snu budzi.
Patrzy... dużo chodzi ludzi.
Więc się szybko zrywa z łóżka,
By nie uszedł za leniuszka,
I rzecze: Przy Wisełce, na brzegu,
Chodził wróbel po śniegu.
A dzieci się ślizgały,
Na wróbelka wołały:
Bo ci, Stasiu, mówię szczerze,
Ta się plama nie wypierze,
Gdyby myszka nie skakała,
Toby nóżki nie złamała.
A ptaszyna wdzięczna za to
Śpiewała im całe lato.

ZABAWA KAROLKA

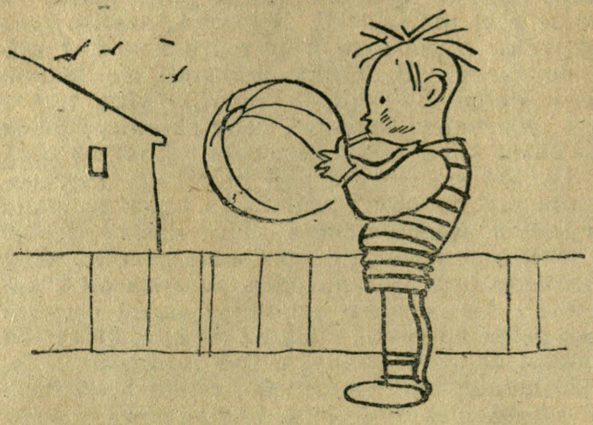

Wypoczynek po nauce
Nie jest wcale rzeczą zdrożną
Więc Karolek na podwórzu
Dziś się bawi piłką nożną.

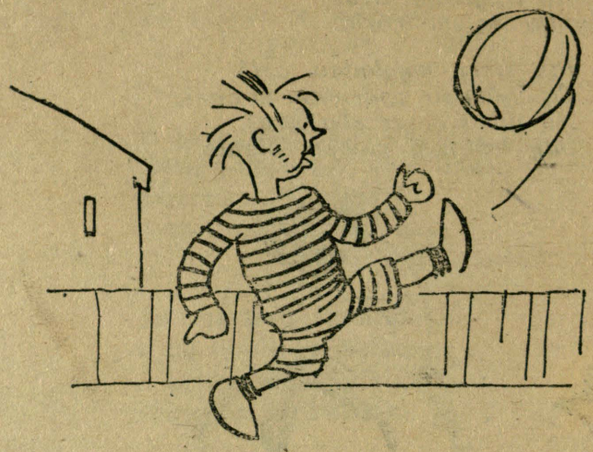

Właśnie gra się rozpoczęła
Chłopak odbiegł na trzy kroki
Kopnął, patrzy: piłka leci
Hen daleko w świat szeroki.

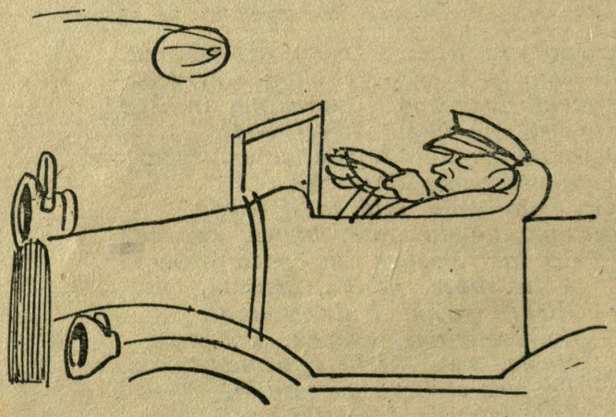

Na ulicy o tej porze
Bywa zwykle ludzi tylu
I pan szofer szybko jedzie
Siedząc w swym automobilu.

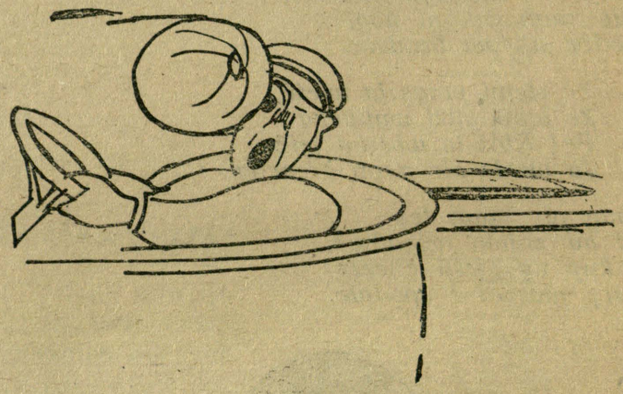

Miło pędzić samochodem,
Szofer rozsiadł się szeroko
Gdy w tem: bęc! i piłka nożna
Nagle mu wleciała w oko.

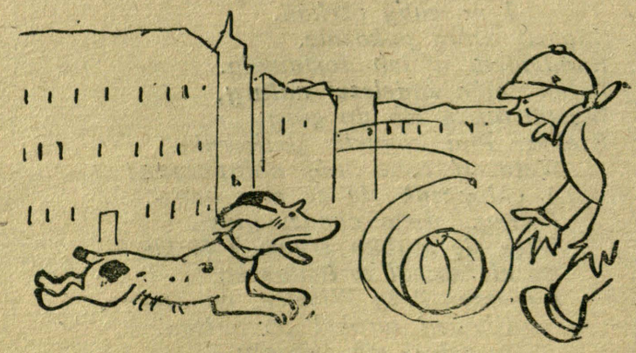

Szofer aż zębami zgrzyta
Woła: A niech-że cię kolka...
Patrzcie, ile zamieszania!
A to wszystko przez Karolka.

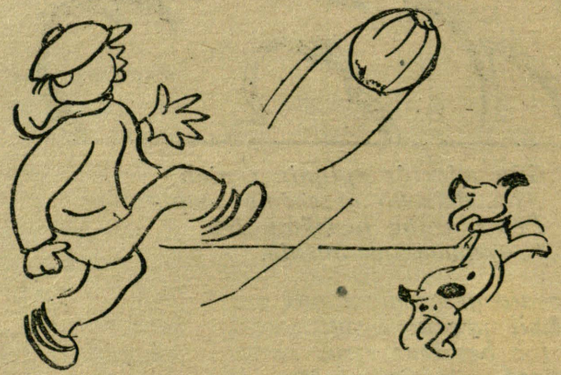

A tymczasem inny chłopak
Zawoławszy: Podaj dalej!
Piłkę nożną z całej siły
Swoją nogą teraz wali.

W PIŁKĘ NOŻNĄ

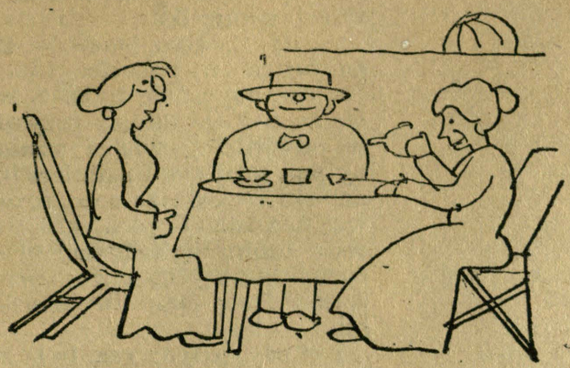

U rodziców Grzesia właśnie
Wszyscy siedli do obiadu
Papa nos wysiąkał chustką
I do mamy gadu, gadu.

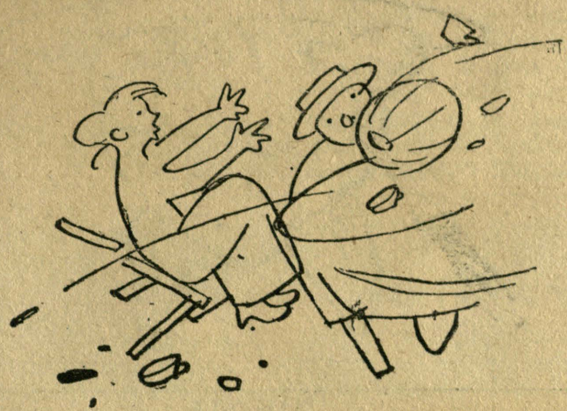

Wtem gwałtowne przerażenie
Słychać wrzaski, krzyki, piski
Piłka wpadła do pokoju
I rozbiła im półmiski.

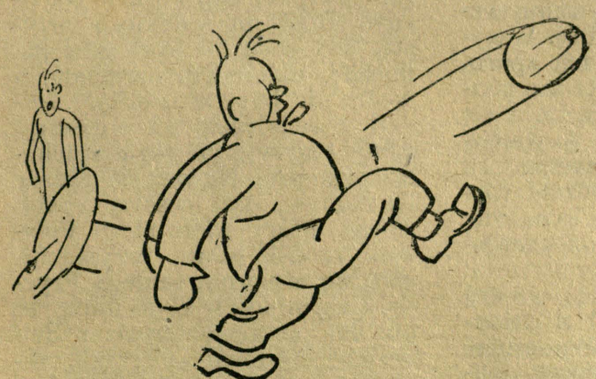

Papa srodze rozgniewany
Poszedł do drzwi. wziął za klamkę
Mówiąc: Ja wam tu pokażę
Jak się winno robić bramkę!

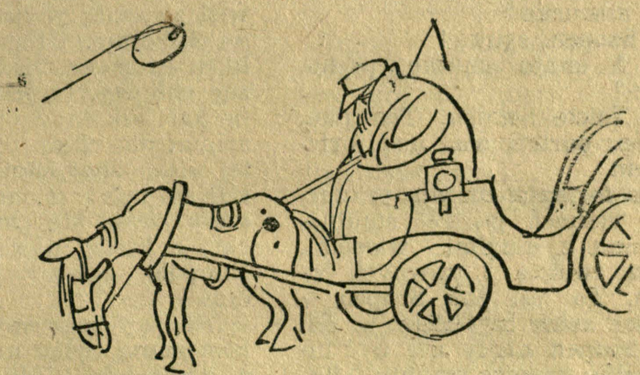

Różnie dzieje się na świecie
Więc i tak się czasem zdarza
Że na rogu przy ulicy
Można spotkać dorożkarza.

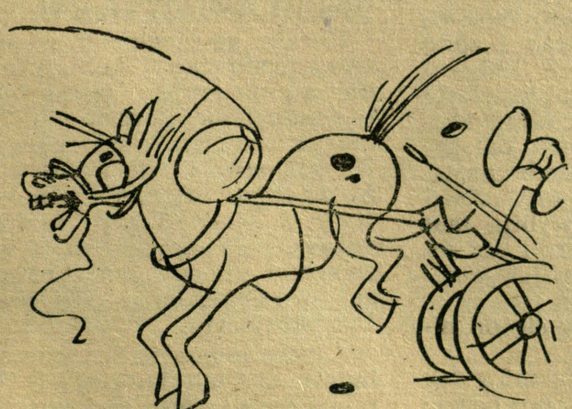

Szkapa stara przerażona
Krzyczy teraz w ludzi tłumie :
Ależ ludzie, dajcie spokój
Bo ja w football grać nie umię!

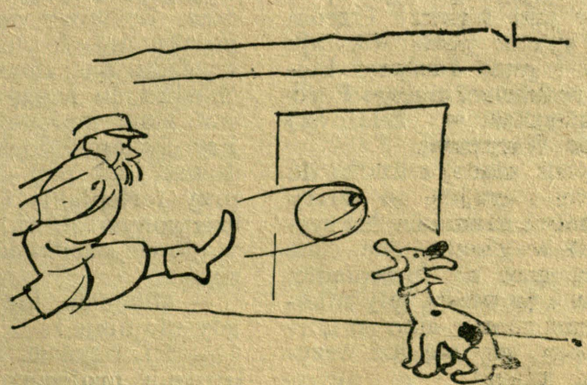

„Pal cię dyabli“ — rzekł dorożkarz
Posłać ogorzała, czerstwa
Trącił piłkę tak potężnie
Że wpadła — do ministerstwa.

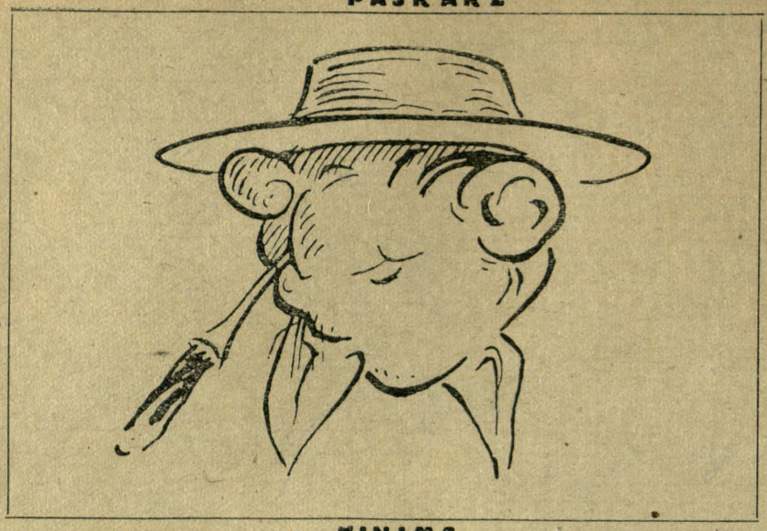

„MADAME RÓZGA“

O FIGLACH MAŁEGO FRYCKA SZOPENA

— Mamusiu, kto to ułożył tego mazurka?

— Szopen, synku!

— A tamto smutne preludyum?

— Także Szopen. Ten pan, którego portret wisi nad fortepianem.

Nad fortepianem wisi w czarnych ramach portret smutnego pana z długimi włosami, chudą twarzą i dziwnych oczach. To jest pan Szopen. — Zawsze sobie myślałem, że ten pan Szopen nigdy nie był inny, tylko zawsze smutny, chudy, miał długie włosy i śliczne białe ręce, któremi wygrywał na fortepianie najcudniejsze mazurki, polonezy i nokturny. Otóż właśnie nie! Bo nim pan Szopen stał się dużym, smutnym panem, był przedtem małym, nawet bardzo wesołym łobuzem i niejednego figla spłatał. I to jaki figlarz! Trzebaby się spytać pana Mikołaja Szopena i pani Justyny, którzy byli rodzicami małego Frycka, a mieszkali w Żelazowej Woli pod Warszawą.

— Frycek, siadaj z Ludką do fortepianu i grajcie na cztery ręce — mówi mamusia. A Fryckowi ani w głowie. Nie chce z Ludką grać na fortepianie, woli sam i to wtedy, gdy nikogo w domu niema, albo co gorsza w nocy, gdy się już wszyscy spać kładą!

— Frycek, nie dokuczaj Izi, nie przedrzeźniaj się Emilce. Frycek, bo nie pójdziesz na ślizgawkę.

A ślizgawka to obok fortepianu, największa uciecha chłopaka. Ale ma on też i wielkie zmartwienie. To zmartwienie wisi za szafą w kancelaryi pana Mikołaja. Długie, sznureczkiem związane, niedobre. Wszyscy chłopcy, (a jest ich sporo, bo pan Mikołaj Szopen ma pensyonat dla chłopców), boją się tej nieznośnej istoty. A wiecie, kto to taki? Zmartwienie za szafą zowie się „*madame* rózga“, z którą nieraz krnąbrne chłopaki zawarły już znajomość.

Nie jest ona wcale rzeczą przyjemną, więc nikt z chłopców nie lubi kiedy wspomnieć o „pani rózdze“. Frycek także nie lubi. Ale cóż? Figle mu w głowie, więc nieraz musi być o tem mowa.

Najgrosza sprawa, kiedy przyjdzie pan profesor Żywny na lekcyę fortepianu. Boki zrywać, jak ten stary koczkodan wygląda! Ma ogromny nos, niczem fioletowy ogórek i żółtą perukę na głowie. Z kieszeni wygląda mu zawsze kraciasta chustka do nosa, a biały krawat stale poplamiony tabaką. Frycek umie doskonale naśladować, jak pan Żywny siedzi przy fortepianie i wybija takt czerwonym ołówkiem. I ani mu w głowie szanować pana profesora.

— Mamusiu, kiedy się on nigdy nie myje!

— Ej, figlarzu, nie mów tak o panu profesorze, bo będzie *madame* rózga w robocie!

Pan Żywny przychodzi też wieczorami i grają wista z papą. Frycek z Izią, Ludką i Emilką zaśmiewają się po kątach.

— Hola! Dzieci, nie swawolić tak ciągle. Czemu się śmiejecie?

— Bo proszę mamusi, Frycek powiedział, że pan Żywny ma spodnie, przerobione ze starej kamizelki.

— Ej, figlarzu, *madame* rózga będzie w robocie.

I raz naprawdę była. A wiecie za co? Do tatusia przyszedł w odwiedziny wielce szanowny pan profesor Kazimierz Brodziński i wiedli ze sobą rozmowę. A wisus Frycek, które zawsze lubiał naśladować głos i ruchy starszych, nuże przedrzeźniać się panu Brodzińskiemu.

I wtedy, jedyny raz, była *madame* rózga w robocie. Nie bardzo, ale trochę.

Ale mały jasnowłosy figlarz uczył się pilnie. Wolał fortepian jak ślizgawkę, a ćwiczenia palcowe milsze mu były nad wszystkie zabawy z rodzeństwem i rówieśnikami. Postępy czynił coraz większe i rósł na pociechę swoich rodziców. Rósł na wielkiego artystę. Gdy miał lat ośm, grał już ładniej, niż nawet mamusia, a wcale nie był zarozumiały. Jeździł z rodzicami na wieczory, rauty i przyjęcia, gdzie słuchano jego gry. Nawet W. Książę Konstanty, brat cesarza rosyjskiego, który wiele złego Polakom zrobił, lubił przysłuchiwać się utworom małego Frycka. Ilekroć był w złym humorze posyłał po niego powóz z Belwederu i mówił: „Frycek, zagraj mi co na fortepianie!“

Wreszcie przyszła chwila bardzo uroczysta w życiu małego artysty: Pierwszy koncert publiczny. Było to w Warszawie w r. 1818. Zgadnijcie, ile lat miał wtedy twórca polonezów? Ośm lat skończył zaledwie!

Ubrała go mamusia w nowiutką sukienkę, dała biały kołnierzyk na szyję, pocałowała i przeżegnała, poczem wielki muzyk pojechał koncertować. Na sali zebrało się liczne grono znakomitych pań i panów i wszyscy słuchali gry małego wisusa, tego samego, co to raz zapoznał się z „panią rózgą“ za przedrzeźnianie się panu Brodzińskiemu.

A tylko mamusia Szopena nie mogła być na koncercie, bo miała dużo zajęcia w domu. Tedy po powrocie do domu wzięła wielkiego muzyka na kolana i wypytywała go, co też się najwięcej słuchaczom podobało. Frycek odpowiedział:

— Wie mama? Wszyscy patrzyli na mój biały kołnierzyk!

BAJKA O ZŁOTEJ SARENCE

Michałek i Marysia byli bardzo biedni. Nie mieli oni ojca ani matki, a niedobra ciotka wyrzuciła sieroty z domu i kazała im iść w świat. Poszły tedy oba biedactwa gdzie ich oczy poniosą. Idą już, idą bardzo długo, aż ujrzeli małą chatkę na skraju lasu. Zmrok już zapadał, więc zapukali do okna. A tam mieszkała stara bardzo, niedobra baba, zupełnie podobna do tej czarownicy, u której byli Jaś i Małgosia.

— Czego tu chcecie, dzieciska? zaskrzeczała stara wiedźma.

— Prosimy o nocleg, a jutro pójdziemy dalej — odpowiedział nieśmiało Michałek.

— No to kładźcie się u mnie spać, ale cicho mi być, bo jakby przyszedł mój małżonek, to was zaś żywcem pożre.

Ładna historya! pomyślał Michałek i schowali się oboje z Marynią do wielkiej beczki na kapustę. Za chwilę usłyszeli ciężkie kroki. Mąż starej wiedźmy przyszedł do domu, ale na szczęście ich nie spostrzegł. — I znowu sobie precz poszedł.

— Za to, że wam pozwoliłam przenocować — powiedziała nazajutrz stara wiedźma — musicie pozamiatać w mojem mieszkaniu. To rzekłszy, poszła do miasta. A było tam razem aż dwanaście małych i wielkich pokoi. Michałek ujął w garść jedną miotłę, Maryśka drugą i zamiatali, co się zmieści.

Wtem patrzą, a jeden pokój zamknięty na klucz. Co też tam może być? pomyślała Maryśka i przestała zamiatać z wielkiej ciekawości. Dlaczego dwunaste drzwi są zamknięte? Aha! zaglądniemy przez dziurkę od klucza. I zaglądnęli! Michałek aż skoczył z zadziwienia.

Wiecie, co było w dwunastym pokoju? Na środku stała śliczna złocista sarenka do złotego wózka zaprzężona.

— Wiesz ty co, Maryśka? Po co właściwie tej starej czarownicy złotego wózeczka i złocistej sarenki? Nam przydadzą się lepiej. Siadajmy i jazda!

I pojechali. Ba, ale po drodze przekonują się, że ta sarneczka to jakaś dziwna istota. Umie gadać ludzkim głosem i ma różne inne czarodziejskie własności. Rozumie język drzew, kwiatów i zwierząt, a wszyscy z nią rozmawiają. Przejeżdżali właśnie koło wielkiego pieca piekarskiego, gdy piec zaczął do nich mówić: „Bierzcie chleb, bierzcie chleb!“ Maryśka pobiegła co żywo i przyniosła całe naręcze świeżutkiego chlebusia. Pojechali dalej, nie widząc, że przy drodze stoi ogromna grusza. A wtem gruszka do nich: „Rwijcie gruszki, rwijcie gruszki!“ I to nie bylejakie, ale przepyszne gruszeczki! Jaś naładował do złotego wózka, co się tylko dało i powędrowali dalej.

Tymczasem stary ludożerca i jego żona spostrzegli, że brak złotego wózka i złocistej sarenki. Strach powiedzieć, co tam się działo, tak głośno krzyczeli i odgrażali się. Bo złoty wózek i sarenka to było ich całe bogactwo i dużo już worków pieniędzy uskładali dzięki czarodziejskiej sarence.

— Dalej! naprzód! krzyczał ludożerca, niech ich tylko złapię, a zaraz zjem obydwoje: Maryśką na podwieczorek, Michałka na kwaśno z buraczkami na kolacyę! I polecieli w pogoń za sierotami. Lecą, lecą, pytają się wszystkich, czy nie widzieli złotego wózka i złocistej sarneczki, aż wreszcie dopytali się i dogonili.

Stara wiedźma pwrzynagliła kroku i już była bardzo blisko sierotek. Boże, co teraz będzie? Michałka zgotuje na kwaśno z buraczkami. Wtedy czarodziejska sarenka uratowała przestraszone dzieci. Wyrzekła jakieś słowa zaklęcia i zaraz się wszyscy zamienili. Maryśka stała się różą, Michałek cierniem, sarenka liściem, a złoty wózek gałązką.

Przybiegła zdyszana wiedźma ze swym mężem. Patrzą, a tu rośnie krzak róży. Więc polecieli dalej. Ale nie dali za wygraną i nazajutrz znowu szukają zbiegów.

Tymczasem sarenka wyrzekła znowu słowa zaklęcia, przywróciła wszystkim dawną postać i pojechali dalej.

I znowu ludożerca dopadł ich śladów, i znowu stara wiedźma przyspieszyła kroku, by schwycić Michałka, gdy wtem ujrzeli ogromny staw, na którym pływało całe stado dzikich kaczek. Wtedy sarenka zawołała:

Kaczki, kaczki płyńcie tu
Mostek zróbcie nam co tchu!

Kaczki usłyszawszy to zbiły się w jedną gromadę i zrobiły ze siebie kładkę, po której złocisty wózeczek spokojnie przejechał.

Cóż kiedy ludożerca z wiedźmą widział to i słyszał, więc zaraz także powtórzył:

Kaczki, kaczki płyńcie tu
Mostek zróbcie mi co tchu!

I znowu kaczki zbiły się w gromadę, uradowany olbrzym wszedł na kaczy mostek, gdy wtem — na środku stawu, kaczki zaczęły krzyczeć: kwa! kwa! kwa! rozbiegły się na wszystkie strony, ludożerca z żoną wpadli do wody i utonęli.

A Michałek i Marynia wyrośli na porządnych ludzi, mieli wiele pieniędzy i czynili dużo dobrego na świecie.

POCZTA GRZESIA

Dzidzi w Zakopanem. Twoje listy dostałem, ale odtąd adresuj do Lwowa: Hotel George'a. Istotnie w „Podziale wielbłądów“ zakradła się omyłka: Starszy brat dostał 9 a nie 7 wielbłądów. Widać, że masz dobre serce, skoro ci tak żal Janka co się kręcił. Napisz mi długi list o tem wszystkiem, co się robi w Zakopanem.

Janince Rotwandównej. Dostaliśmy twoje wierszyki, ale bez listu. Czy masz naprawdę tylko 9 lat? Jeśli tak, to twoje wierszyki są wcale udatne. Jeden drukujemy:

WESOŁE KOCIAKI.

Wesołe kociaki
Rysiek, Mysiek, Bury
Wysunęły teraz
Swe ostre pazury
Pociągnęły łapy
Pchają nici motek
Bawi się jak myszką
Jeden drugi kotek
Tak się bawią w domu,
Bo brzydka pogoda
Ale moi państwo
Teraz nici szkoda!

Tolowi Budzyńskiemu. Serwus, grubasie! Czemu nic do mnie nie piszesz leniuszku? — Pewnie znowu układasz dramaty. Co porabia Mrówcia?

Jurkowi z Krynicy. Nie wiem nawet, czy się Jurek nazywasz, czy jesteś chłopak, czy dziewczynka? Bardzo niewyraźny podpis na kartce. A mówiłem, że pismo ma być wyraźne!

Jankowi Geli we Lwowie. — Cieszy mnie to, że jesteś grzeczny chłopczyk, a pani nauczycielka jest z ciebie zadowolona. A jeśli nie zrozumiesz czego w „Grzesiu“ to się zapytaj starszych.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg. Czcionkami drukarni Ign. Jaegera, Lwów, ul. Sykstuska 33.

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.

Ж 6852

ZWIERZYNIEC GRZESIA

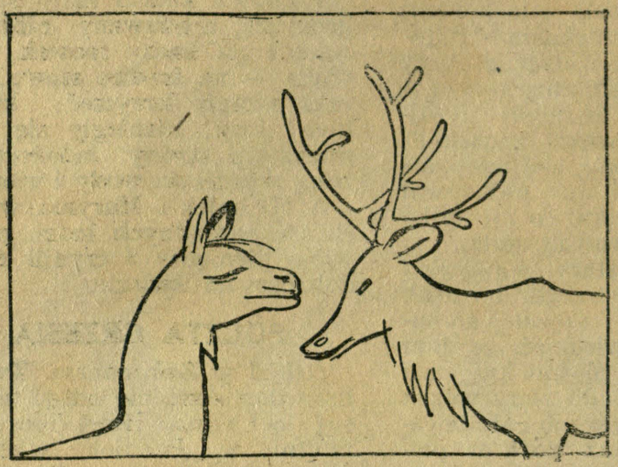

Tu pokazała głowę lama,
Choć, czego chce, to nie wie sama.
Daniel jej chce odsprzedać rogi,
Lecz kupiec z niego bardzo drogi.

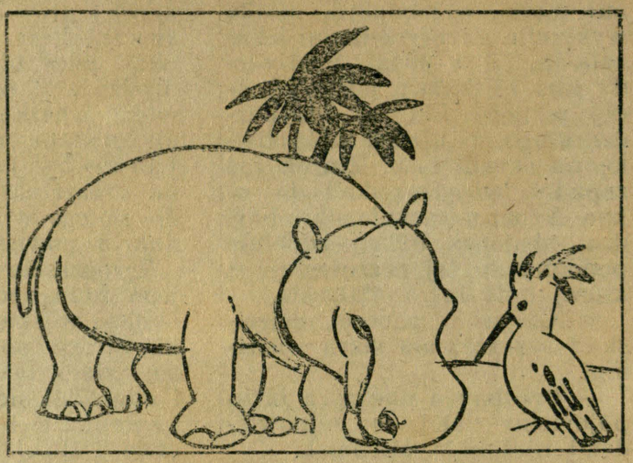

Dawid się dobrze bił z Goliatem,
Słabszy zwyciężyć może zatem.
Kto tu zwycięży, się kłopotam,
Czy dudek czy też hipopotam.

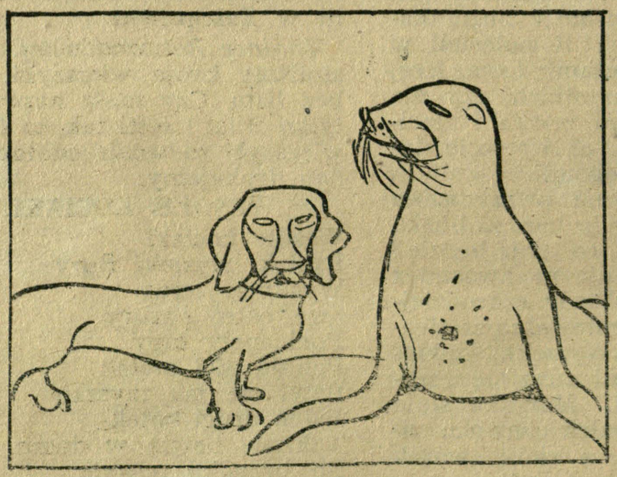

Z morza na ziemię wyszła foka,
A jamnik na nią zerk z pod oka,
Bo to pies morski. Ją chęć zbiera
Podstrzyc wąsiska u fryzyera.

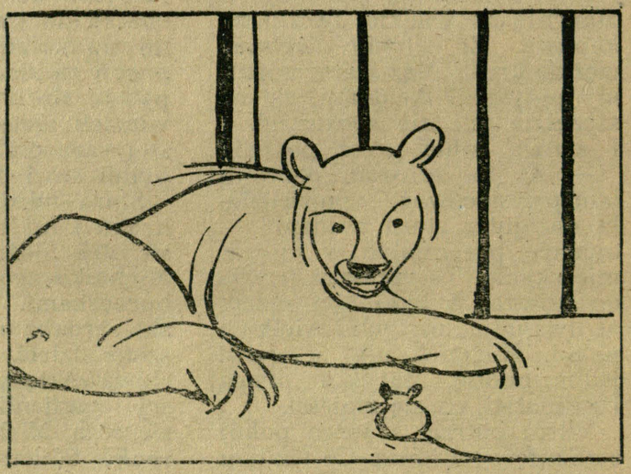

Widzicie tego tu opryszka?
To niedźwiedź: przy nim mała myszka.
Nabroił, więc za kratą gości,
Od niej ma z lasu wiadomości.

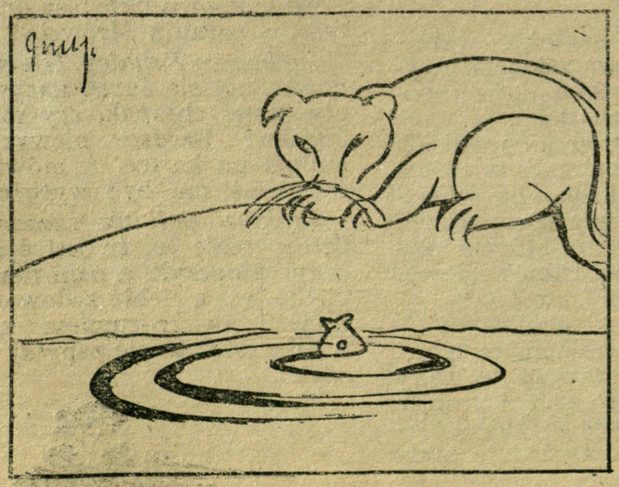

Wydra z nad brzegu patrzy chytrze,
Ma z wody katar, więc nos wytrze.
Dość już wilgoci! Myśli, czyby
Na brzeg tej nie zaprosić ryby.

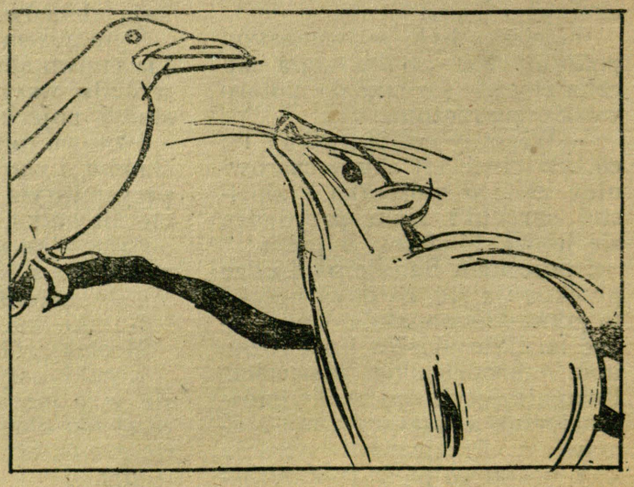

Pan Grus białego zrobił kruka,
Jakiego cały świat tu szuka.
Czy sprawka to nieczystych guseł?
Z podziwu spać aż przestał suseł.

Rok I. 1. września 1919. — Cena Mk. 1·— K 2·— Nr. 6.

GRZEŚ

PISMO OBRAZKOWE DLA DZIECI OD LAT 5.–80

WĄSY KRÓLA JANA

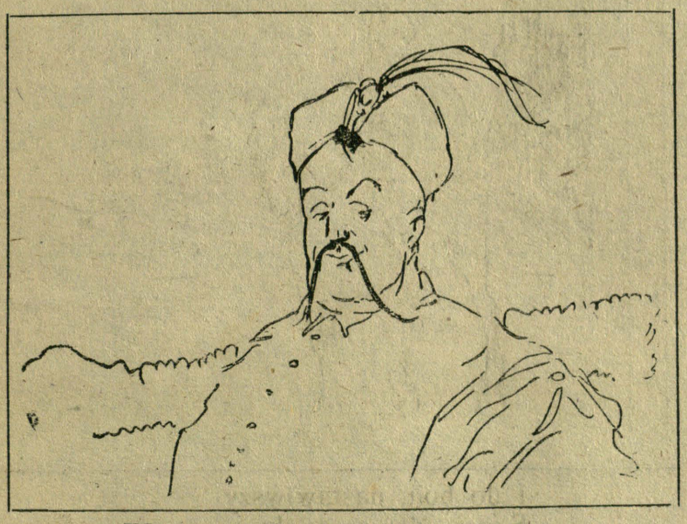

Król Sobieski się tu do was
Z pod dwu wąsów śmieje,
Jakich przed nim ani po nim
Nie widziały dzieje.

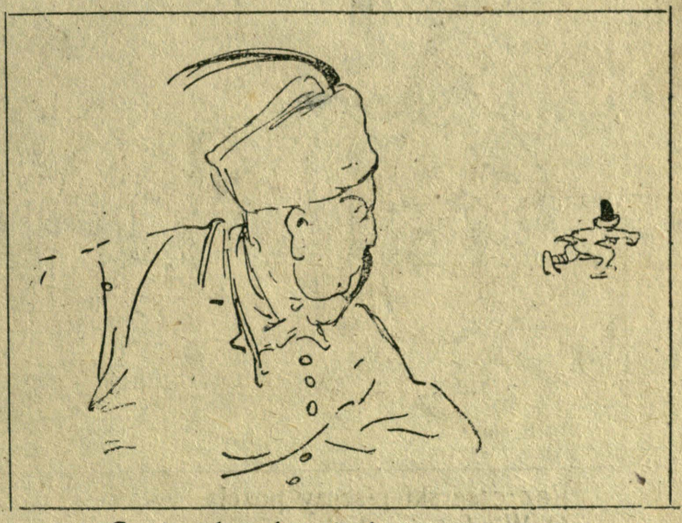

Są to okazałe wiechy
Od ucha do ucha,
Takie, w które nieprzyjaciel
Bezkarnie nie dmucha.

Kiedy Król pogładził wąsy,
Szło przez kraj wołanie:
„Póki wąsów tych na świecie,
Póty sławy stanie".

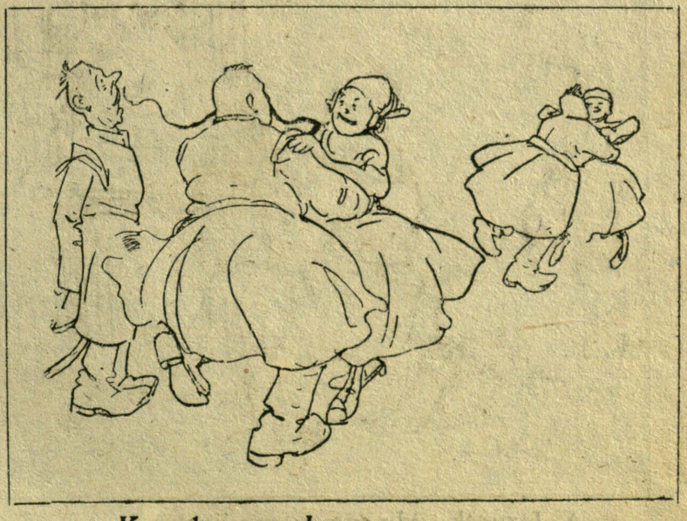

Kowalowa z Jaworowa
Szła raz z królem w pląsy,
Ino w ciżbie zawadzały
Wciąż o kogoś wąsy.

Chociaż tancerz był nielada
Z tego Króla Sobka,
Przecież w tańcu z poganami
Jeszcze lepiej hopka.

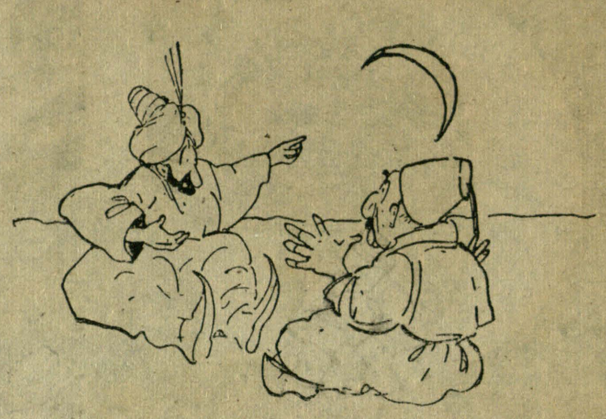

Ci, zgubiwszy swój półksiężyc,
Skarzą się wśród drogi:
„Jego wąsy mają twardsze
Niż półksiężyc rogi".

Raz cesarski piszczy poseł
O Wiedeń w obawie.
Król doń: „Puść mi nogi, wasze!
Zaraz tam się stawię".

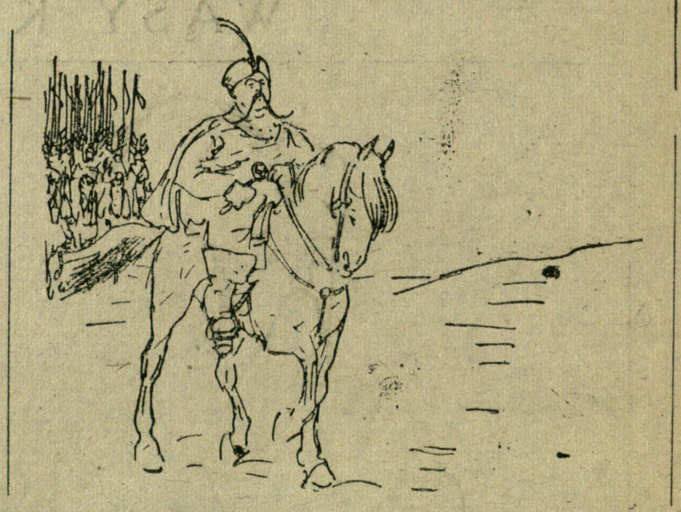

I do boju nastawiwszy
Srogie dwa wąsiska,
Jedzie do Najświętszej Panny:
Częstochowa blizka.

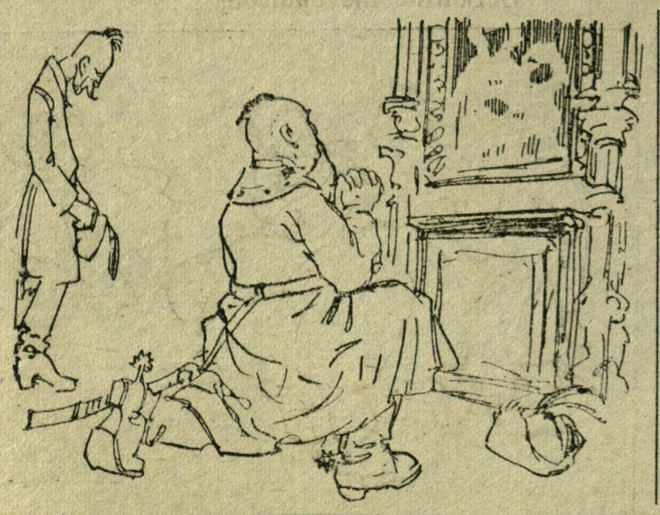

A Jezusek, gdy się w modłach
Dłonie Króla splotły,
Szepcze: „Skąd on wziął, Matulu,
Te dwie czarne miotły?".

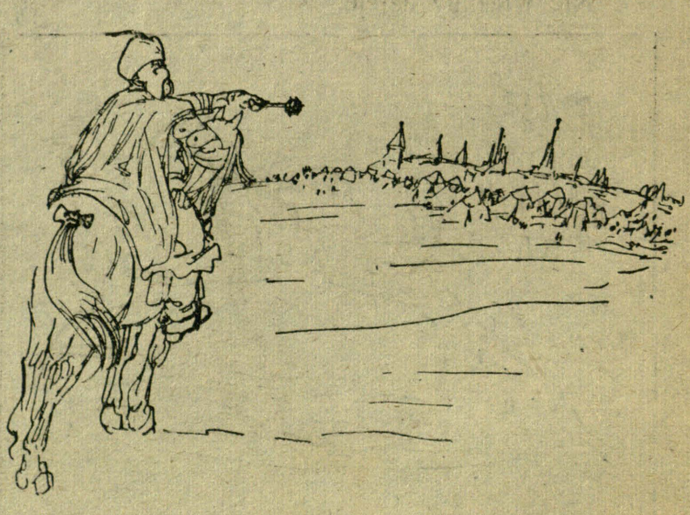

I szedł Król pod mury Wiednia,
Które Turek plami.
Przyszedł, spojrzał i zwyciężył,
Ruszywszy wąsami.

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6852 ІП

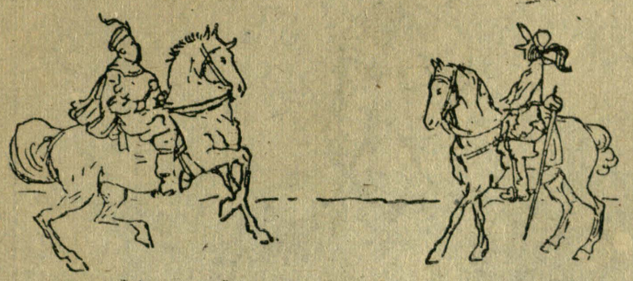

Jadą k'sobie dwaj mocarze:
Cesarz długoloki
I w żelazne łuski zbrojny
Król, wziąwszy się w boki.

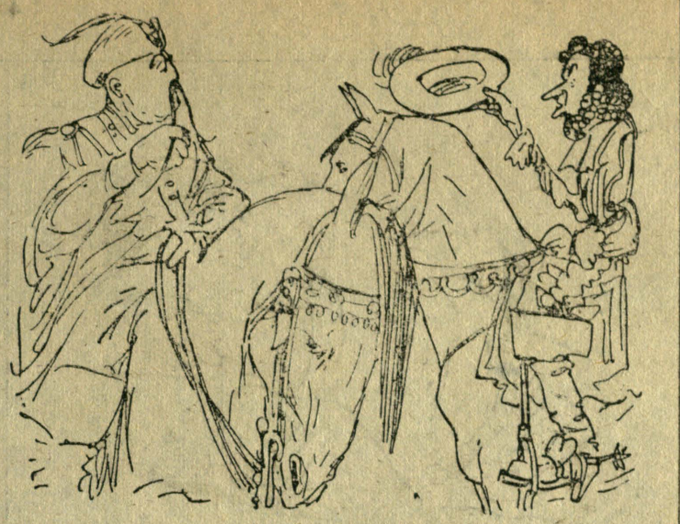

Cesarz łapie za kapelusz,
Kiedy zbroi łuska
Sięgła w górę, lecz Sobieski
Tylko wąsa muska.

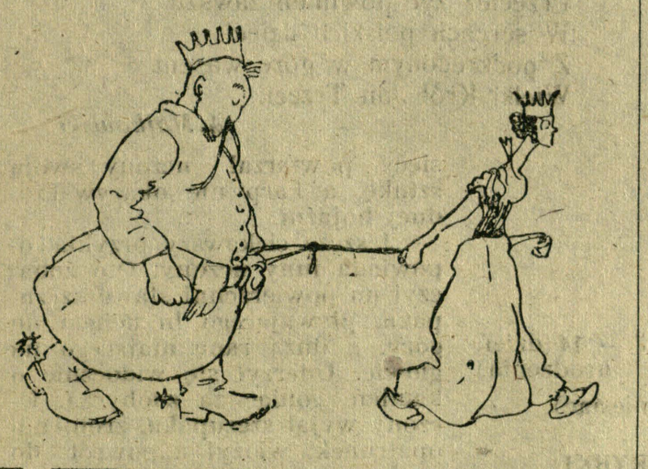

Czemuż i najwięksi ludzie
Mają swoje błędy?
Król Królowej się na pasku
Dawał wodzić wszędy.

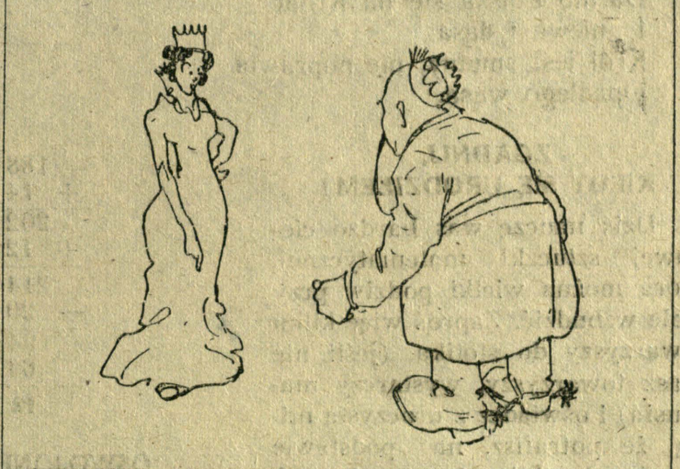

I te mężne, dumne wąsy,
Kłujące świat cały,
Przed Królową Marysieńką
W trwodze opadały.

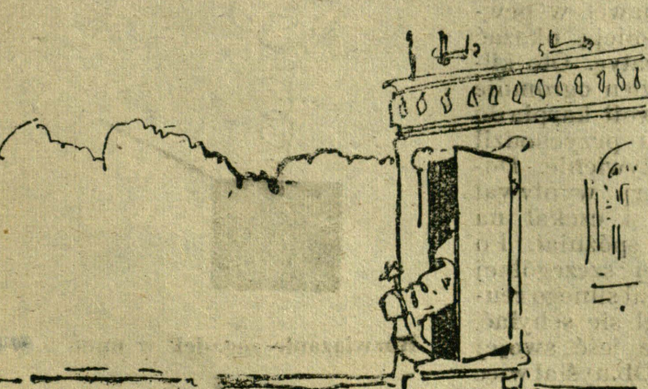

Opadały coraz niżej,
Aż biały Wilanów
Ukrył Króla ku żałości
Wszech rycerskich stanów.

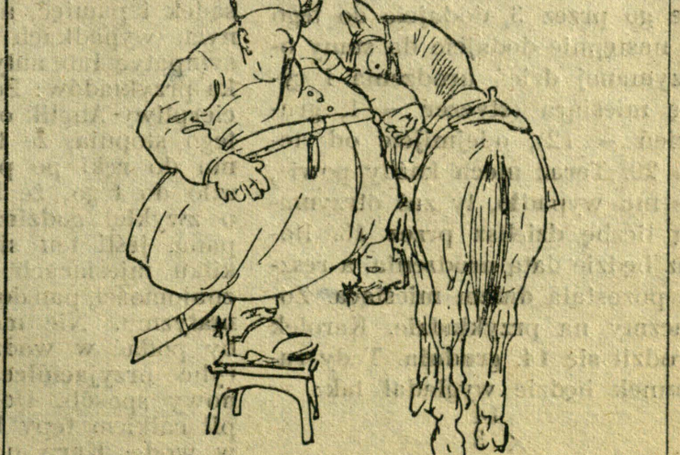

Już na koniu lazł po stołku,
Utrudzony tuszą,
Wąsy od utrapień, zgryzot
Szronem mu się prószą.

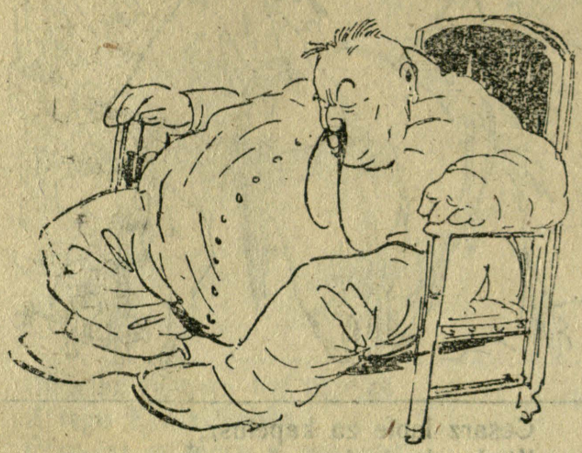

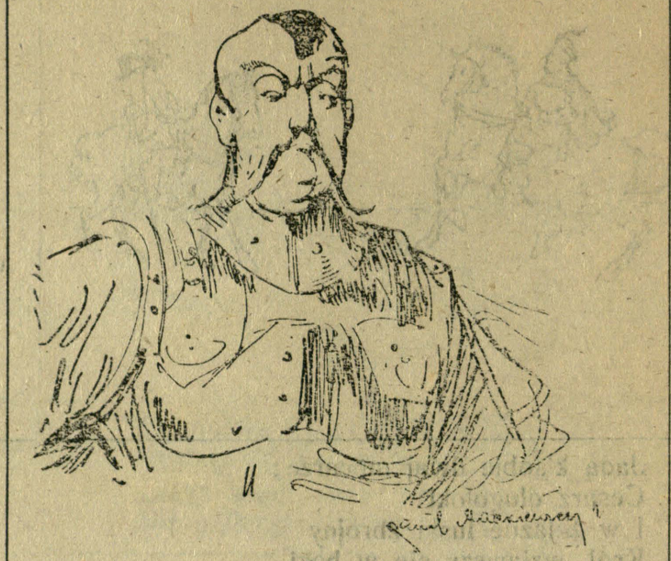

Darmo Polska się na Króla
I gniewa i dąsa.
Król jest smutny, nie poprawia
Opadłego wąsa.

Przecież żyć powinien zawsze
W sercach polskich dzieci
Z podkręconym w górę wąsem
Wielki Król Jan Trzeci.

A. Majkowski.

ZGADNIJ, KIEDY SIĘ URODZIŁEM!

Dziś nauczę was bardzo ciekawej sztuczki matematycznej, którą można wielki podziw przy stole wzbudzić. Zaproś więc kilku towarzyszy do stolika, (jeśli nie masz towarzyszy, wystarczy mamusia) i oświadcz z uroczystą miną, że potrafisz, na podstawie żmudnych obliczeń wyrachować, w którym dniu i miesiącu urodzili się... Jak to zrobić? Otóż tak: Niech wszyscy wezmą do rąk ołówki i rachują, co im powiesz. A mówić masz im tak: Napiszcie dzień swego urodzenia, pomnóżcie go przez 3, dodajcie do tego 5, następnie dodajcie do sumy otrzymanej dzień urodzenia i cyfrę miesiąca (styczeń = 1, grudzień = 12), odejmijcie od tego 20. Teraz niech każdy powie, ile mu wypadło, ty zaś otrzymaną liczbę dzielisz przez 13. Iloraz będzie datą urodzenia, a reszta pozostała dniem miesiąca. Zobaczmy na przykładzie. Karolek urodził się 14. grudnia. Tedy rachunek będzie wyglądał tak:

14
× 3
42
+ 5
47
× 4
188
+ 14
202
+ 12
214
— 20
194 : 13 = 14 (dzień urodzenia)
64
12 (miesiąc).

OSWOJONE RYBKI

Mówi się: głupi jak ryba, ale jakże możemy coś wiedzieć o inteligencyi ryb, kiedy one nam dotąd wcale zwierzeń nie robiły? Uczeni badacze obserwując świat podwodny doszli do przekonania, że ryby mają swój rybi rozsądek i pamięć, a nawet w pewnych wypadkach umieją okazać sympatyę lub antypatyę. Oto kilka przykładów: Pewien ogromnie cierpliwy Anglik oswoił karpia do tego stopnia, że ten przychodził mu do ręki po pożywienie. Doszło do tego, że karp wypływał o zwykłej godzinie i czekał na pana, jeśli ten się spóźniał. Po kilku miesiącach tej szczególnej znajomości, pan dostał silnego reumatyzmu. Nie mógł się schylać, by podać w wodzie jeść swojej rybce przyjaciółce. Obmyślał więc nowy sposób. Do patyka uczepił całkiem tępy haczyk i puścił w wodę. Karp uchwycił haczyk pan podniósł go lekko i położył na ziemi. Tutaj rybka dostała śniadanie i wten sam sposób powróciła do wody. Przez kilka miesięcy powtarzał uczony swoją sztukę, a karp nie okazywał żadnej bojaźni.

Jeszcze ciekawszy przykład opowiada inny uczony. Oto zobaczył na powierzchni stawu szczupaka, pływającego brzuchem do góry, a dużą ranę mającego na głowie. Uderzył się widocznie o kamień, goniąc za zdobyczą. Uczony wyjął szczupaka, zrobił mu opatrunek, włożył napowrót do wody, gdzie zwierzę prędko wyzdrowiało. Od tego czasu ile razy uczony zjawiał się nad wodą, szczupak podpływał do brzegu i dał się brać do ręki.

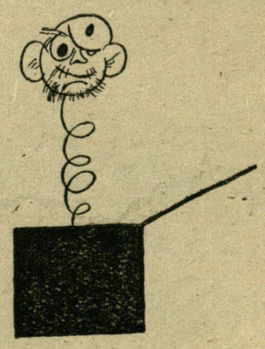

Rozwiązanie zagadek w num. 5.

I.

5 + 8 = 13,
(5 a 8 jest 3 naście).

II.

Każde z rodzeństwa miało 2 braci a 7 sióstr.

CIOCIA GUCIA JEDZIE DO ZAKOPANEGO

Wziąwszy klatkę i papugę
Oraz pieska kudłatego
Pojechała ciocia Gucia
W podróż do Zakopanego.

Chociaż wielki ścisk w pociągu,
Ciocia rześką jest panienką,
Z pakunkami do wagonu
Wlazła chyłkiem przez okienko.

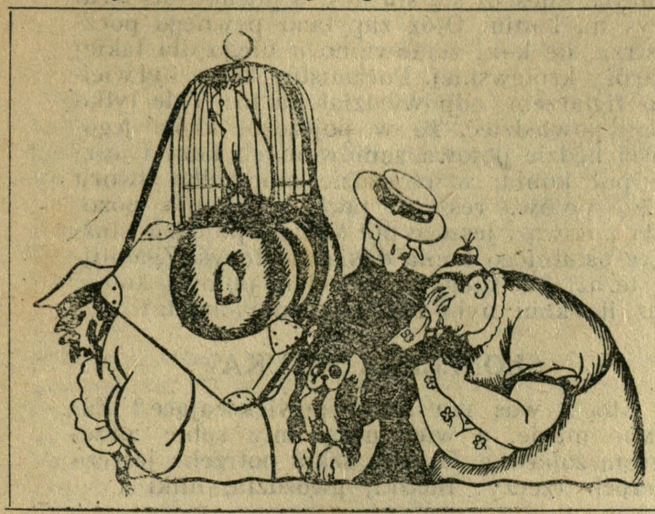

Ciotuś, psinka i papuga
Jakże miłą tworzą grupę!
Drzwi zamknęli i wygodnie
Siedzą wszyscy troje w c o u p é.

Wielka bieda z mieszkaniami!
Ciocia kręci się i wierci —
Góral pali fajkę, mówiąc:
Szukaj babo choć do śmierci!

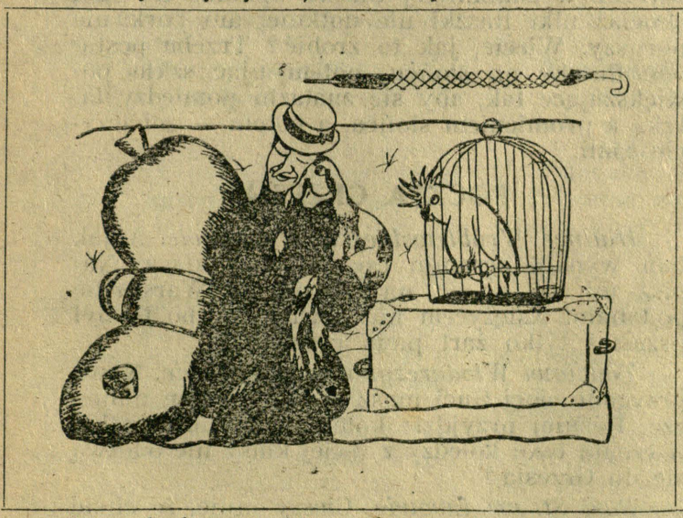

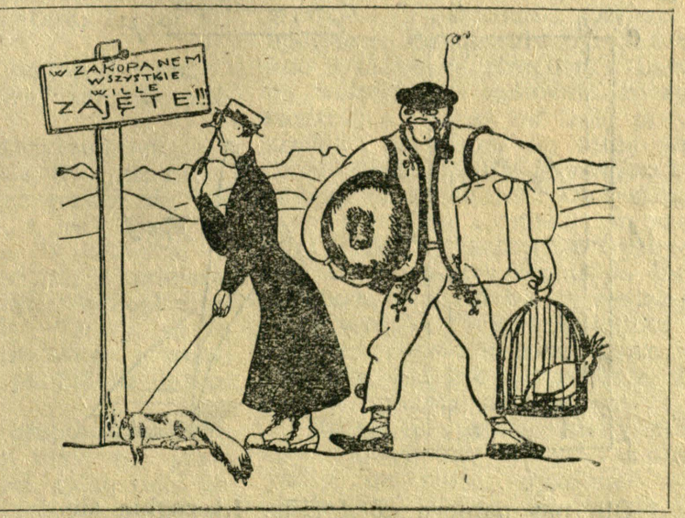

Aż znalazła wreszcie nocleg
I radośnie klaszcząc w ręce
Ciocia Gucia utrudzona
Do snu kładzie się w łazience.

Smacznie spi, a pies tymczasem
Kiełbaskami się weseli
Wtem pociągnął za linewkę — — —
Bodajże Cię dyabli wzięli!!

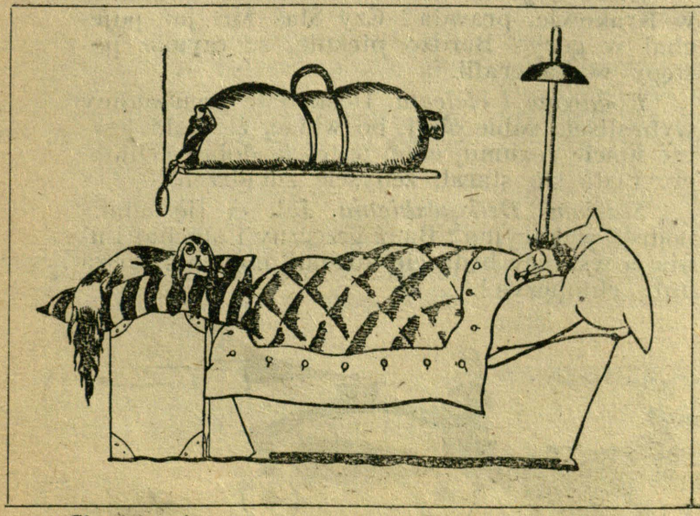

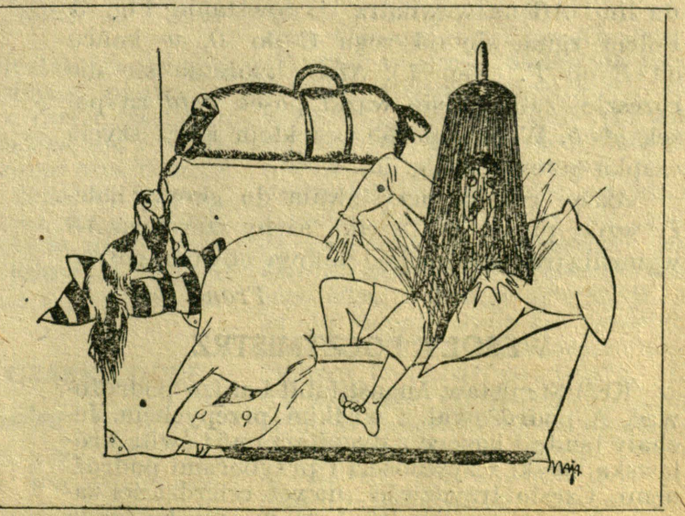

Ciocia poirytowana
Złotym ząbkiem głośno zgrzyta
Wieczór kładła spać się brudna
Rano wstała zaś umyta.

Potem idąc na przechadzkę
Rozmawiała z pewnym panem
O tem, jakie niewygodne
Są noclegi w Zakopanem.

CZAPKI HALLERCZYKÓW

Zazwyczaj chłopcy, bawiąc się w żołnierzy, robią sobie z papieru czaka w formie pirogów. Ażeby zarzucić te brzydkie nakrycia głowy, podajemy im, jak mogą sobie robić z papieru n. p. niebieskiego czapki, jakie noszą Hallerczycy.

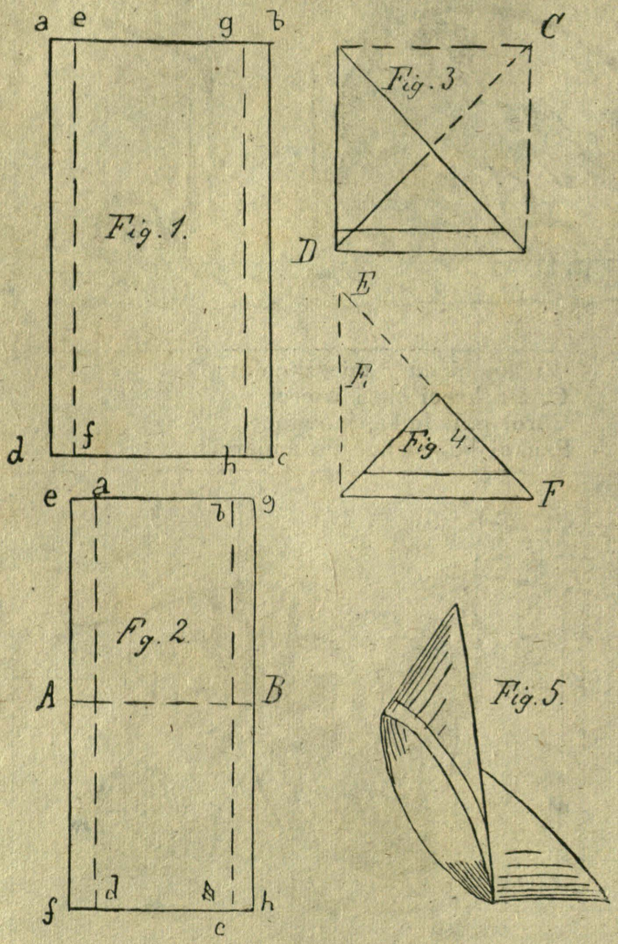

Oto pas papieru *abcd* (Fig. 1.) zagina się wzdłuż z jednej i drugiej strony wązkimi paskami *aefd* i *gbch*, tak, ażby powstał pasek *eghf* (Fig. 2.). Następnie zgina się w połowie, t. j. na linii *AB* na wewnątrz i powstanie Fig. 3. Potem zgina się od rogu *C* do *D*, *w* końcu od *E* do *F*. (Fig. 4.). Ażeby złożenie się nie rozeszło, zakłada się wązki pasek *aefd* za pasek *gbch*. W ten sposób bez kleju i bez szycia czapka gotowa! (Fig. 5.).

Ażeby czapka przystawała do głowy, należy wziąć papier tak wielki, ażeby szerokość *AB* wynosiła trochę więcej od połowy obwodu głowy.

Franc. Bar.

WESOŁY POCZTMISTRZ

Król Stanisław August lubił bardzo podróżować. A podróżował z wielkim przepychem. Jechały landa i karoce z dygnitarzami i świtą królewską, bryki z żywnością i przyborami podróżnemi. Często trzydzieści, nawet czterdzieści zaprzęgów naliczyć można było w orszaku króla. A na postojach oczekiwały konie rozstawne, aby jazda tem szybciej odbywać się mogła. Bywały także podróże skromniejsze. W jednej karocy jechał wtedy król, w drugiej marszałek dworu, w bryce mieścili się służący, a pochód otwierał foryś na koniu. Otóż zapytano pewnego poczmistrza, ile koni zamówiono u niego dla takiej podróży królewskiej. Poczmistrz, który był wielkim figlarzem, odpowiedział na to: Tyle tylko mogę powiedzieć, że w pojeździe króla jegomości będzie połowa zamówionych koni i jeszcze pół konia, w pojeździe marszałka dworu będzie połowa reszty i także pół konia, pozostałą połową i jeszcze pół koniem pojedzie służba, a ostatniego konia dosiądzie foryś. Zgadnijcie teraz, jak mógł król jechać połową konia, oraz ile koni było razem zamówionych?

SŁONECZNA SZTUKA

Kto z was ma szkło powiększające? Zapewne macie, a więc urządzimy sobie przedziwną zabawkę. Oprócz szkła potrzeba jeszcze czterech rzeczy: flaszki, gwoździa, nitki i — słońca.

A teraz zawieście w przeźroczystej flaszce gwóźdź na cienkiej białej nitce i powiedzcie zebranym, że teraz stanie się cud magiczny: Gwóźdź w zamkniętej flaszce upadnie na dno, chociaż nikt flaszki nie dotknie, ani korka nie poruszy. Wiecie, jak to zrobić? Trzeba postawić flaszkę na słońcu, potem ująć szkło powiększające tak, aby się znalazło pomiędzy flaszką a promieniem słońca, a potem — zobaczycie sami.

POCZTA GRZESIA

Halince Wróblewskiej w Warszawie. A jak tam wypadł egzamin do wstępnej klasy. Napisz mi, co ci się najbardziej w Warszawie podobało. Księżycem nie martw się, bo to był przecież tylko żart pana rysownika.

Tadziowi Włodarczykowi we Lwowie. Nową przygodę cioci Guci masz w tym samym numerze. Później przyjdzie kolej na kominiarczyka. A czemu twoi koledzy z 3-ciej klasy nie odezwą się do Grzesia?

Basi St. we Lwowie. Cieszy mnie, że ci się podobam. Napisz do mnie długi list, bo inaczej pomyślę, że jesteś leniuszkiem, tak jak ten grubas Tolo.

Ewci Szy. w Krakowie. Smutne wakacye w Krakowie, prawda? Czy Staś Mr. już pojechał w góry? Bardzo pięknie, że czynisz postępy w kaligrafii.

Kocurowi i cielęciu. Doskonałe pseudonimy wybraliście sobie obaj, bo widać, że mało jeszcze macie rozumu, choć jesteście dobrzy chłopcy. Będę się starał, żebyście zmądrzeli.

Stasiowi Dzikowskiemu. Jak ci się udała podróż wakacyjna? Bądź grzeczny i słuchaj Lunia, a wszyscy będą cię kochali, mówiąc: Co za miły chłopczyk!

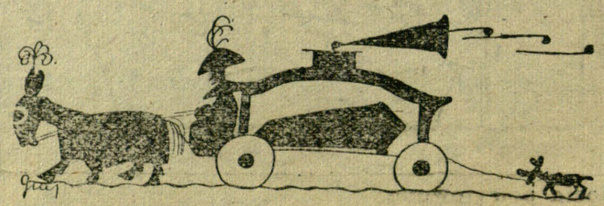

BAJKA O JEŻU, KTÓRY PRZEŚCIGNĄŁ ZAJĄCA

Cały las zanosił się od śmiechu, śmiały się szyszki na drzewach, biedronki w trawie, chichotały kosy i dzięcioły, nawet stary puhacz uśmiechał się pod nosem, chociaż był bardzo spiący. Przedmiotem kpin powszechny był szarak, który dał się haniebnie wziąć na kawał jeżowi. Rzecz całą opowiadała wiewiórka. Było zaś tak:

Pewnego jesiennego poranku stał sobie pan jeż przed drzwiami swego mieszkania i wygrzewał się na słońcu. Dzień był bardzo piękny, pan jeż miał dobry humor i gwizdał sobie jakąś piosenkę, wybijając takt kolcami. Potem począł powoli przechadzać się po ogrodzie i wreszcie wyszedł na spacer w pole. Tu spotkał zająca i rzecze uprzejmie:

— Dzień dobry panu, panie zającu.

— Jak się masz, biedaku, cóż porabiasz?

— Idę na przechadzkę.

Zając roześmiał się na cały głos:

— Hi, hi, hi! Na przechadzkę?! Taka pokraka z krzywemi nogami chodzi na przechadzkę! Przecież ty wogóle nie umiesz chodzi.

Pan jeż uczuł się bardzo dotknięty kpinami zająca.

— Tylko proszę bardzo, bez docinków! Jeśli wątpisz, czy umiem chodzić, możemy spróbować wyścigów!

— Hi, hi, hi! — zaśmiał się zając — żartujesz chyba, ścigaj się lepiej ze ślimakiem, nie ze mną!

Jeż ze złości najeżył swoje kolce do góry i mówił dalej:

— A jednak proszę cię spróbuj, zrób mi tę łaskę.

Po cichu zaś myślał: Pan zając jest mocny w nogach, ale słaby w głowie. Nauczę ja tego głupiego śpiocha rozumu!

— Ostatecznie zgadzam się, co mi szkodzi, będziemy się ścigać — mówił zając.

A jeż odpowiedział:

— A więc za pół godziny, bo muszę wpierw zjeść śniadanie.

I szybko poszedł do domu, aby naradzić się z żoną, która jeszcze była w negliżu.

— Ubieraj się prędko, moja droga, musisz pójść ze mną w pole, bo mam pojedynek z zającem i muszę się z nim ścigać.

— Czyś ty zmysły postradał, mój mężu? — zawołała pani jeżowa i byłaby go ukłuła jedną ze swych szpilek, ale przypomniała sobie, że pan mąż ma także dużo szpilek w zapasie i może się odpłacić pięknem za nadobne.

— Ośle stary — wołała dalej pani jeżowa — cóżeś narobił! Musisz przegrać zakład! Słyszane rzeczy, żeby jeż ścigał się z zającem. Tylko taka zakuta pała, jak ty, mogła na coś podobnego przystać!

— Nie gadaj tyle, jeno chodź prędko ze mną.

I poszli. Po drodze jeż wyjawił żonie swój chytry plan: Otóż wyścigi odbędą się na polu, zając będzie biegł jedną miedzą, a jeż drugą.

— A cóż ja tam będę robić? zapytała pani jeżowa.

— Tobie przypada bardzo ważne zadanie, choć niezbyt trudne. Staniesz sobie na jednym końcu miedzy, ukryjesz się i będziesz spokojnie czekać, a gdy nadbiegnie zając, wtedy wyjdziesz z ukrycia i zawołasz: Ja już tutaj jestem!

Tymczasem nadbiegł zając.

— Zaczynamy? zapytał chełpliwie.

— Jazda! Krzyknął jeż.

Odliczyli: Raz, dwa, trzy!

Poczem zając puścił się jak strzała naprzód, a jeż? Siadł sobie najspokojnie w bruździe i wcale nie ruszył się z miejsca. Pewny siebie zając dobiegł z łatwością do mety. Patrzy, aż tu jeż czeka już na niego i woła:

— Ho, ho, ja już tu dawno czekam!

Zdumiał się głupie zajęczysko i ani mu przez myśl nie przeszło, że to nie jeż, tylko pani jeżowa, bo pani jeżowa jest, jak dwie krople wody do pana jeża podobna i nikt tego odróżnić nie potrafi, tembardziej zając.

— Spróbójmy jeszcze raz, mówi zając, teraz mnie nie dogonisz.

I znowu poleciał jak strzała. Przybiega na miejsce, patrzy: w bruździe jeż już czeka na niego (bo ani się z miejsca nie ruszył).

Tak biegał zając sześćdziesiąt cztery razy, od jeża do jeżowej, i nie mógł poznać, że go wzięło na kawał. Nareszcie upadł zemdlony, a jeż z jeżową poszli do domu i śmieli się z głupiego szaraka.

NA ZŁODZIEJU CZAPKA GORE...

Monolog

Józek (siedzi przy stole, kieszenie surduta ma opakowane jabłkami — jedząc łapczywie, mówi:) Dawno już nie jadłem tak dobrych owoców, jak dzisiaj!... Udało mi się wybrać, co najlepsze... jakie to piękne... jakie soczyste i smakowite. — U przekupki w mieście na straganie takich niema, — a chociaż czasem są, to drogo kosztują. — Ja jednak nie mam tyle pieniędzy, ażebym mógł sobie pięknych owoców nakupić!.. Gdy kupię u przekupki za kilka groszy jabłek, to prawda, że jest ich wiele, ale nie takie dobre i smakowite, jak te... Jabłka od przekupki są malutkie, drobne, często robaczliwe, a w smaku cierpkie, że aż gębę wykrzywiają, bo to najczęściej padałki... — (Zajada). Aaa!... jakie te jabłka są słodkie i smakowite!... (Delektuje się ze smakiem). To aż przyjemność sprawia takie jabłko zajadać!... A w dodatku, że one mnie nic nie kosztowały!... (Ogląda się w koło bojaźliwie). Tak jest, naprawdę, nic mnie nie kosztowały.... (Ciszej), bom je sobie sam pozrywał w sąsiednim ogrodzie... (Tajemniczo). (Zajada z apetytem. Po chwili spogląda w okno i mówi ze strachem). Lecz, co widzę?... to sadownik ze sąsiedztwa!... Czego on tutaj przyszedł?... czy może on mnie widział, kiedy jabłka zrywałem?... czy za mną szuka?... Oh! skóra drży na mnie.... trzeba co prędzej jabłek z kieszeni się wyzbyć, bo jakby rewizyę zrobił po kieszeniach, to zaraz by się złodziejstwo wydało. (Wyjmuje jabłka z kieszeni, chowa je gorączkowo do szuflady, ale tak niezgrabnie, że jabłka upadają na podłogę.

Ja się tu spieszę, ażeby mój czyn karygodny ukryć, a one, jakby na złość, upadają mi ciągle na ziemię, że muszę je z ziemi podnosić. — (Ociera pot z czoła). Ażem się spocił: raz ze strachu przed sadownikiem, a drugi raz z pośpiechu, ażeby jabłka co prędzej ukryć. — Oj, niechcę tego drugi raz przechodzić... (Patrząc w okno). Sadownik jeszcze coś z ojcem rozmawia... ale o czem?... (Nasłuchuje). Nie mogę wcale słów dosłyszeć... lecz zapewne nie o mnie mowa, bo z pewnością byłby ojciec już mnie zawołał, lub sam tutaj przyszedł ze sadownikiem... Zapewne sadownik miał jakiś interes do mojego ojca, i dlatego przyszedł... a ja się niepotrzebnie tak przestraszyłem!... (Oddycha swobodnie). Dobrze to ludzie powiadają, że na złodzieju czapka gore!... Lecz strachu najadłem się co niemiara więcej może, jak jabłek... Wolę obejść się bez smakowitych jabłek, ale nieprawnie wziętych, które teraz po przejściu takiego strachu mogą mi jeszcze zaszkodzić...

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж6852

ZWIERZYNIEC GRZESIA

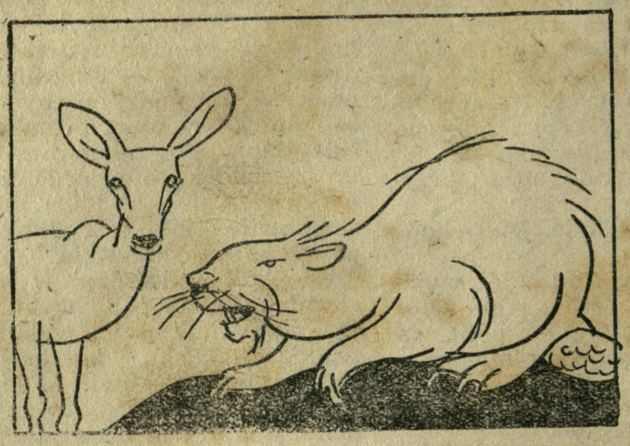

Jak się miewasz, panie bobrze?
Rzecze pani jeleniowa,
Dziękuję Ci, wcale dobrze,
Lecz mnie trochę boli głowa.

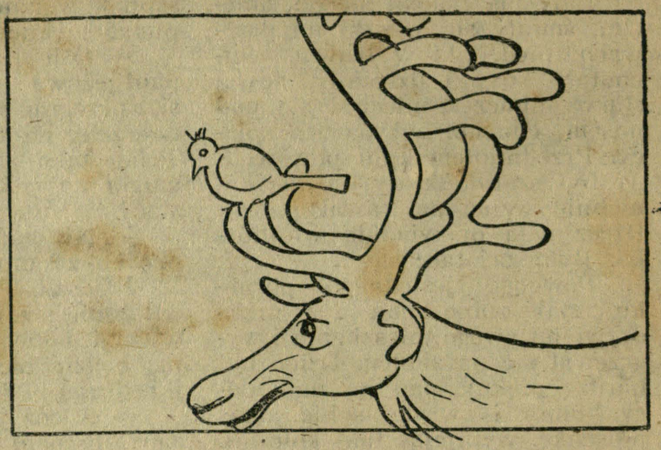

Kto mi tam po rogach łazi,
Czy to myszka, czy to kotka?
Rzekł renifer i zobaczył
Na swych rogach zimorodka.

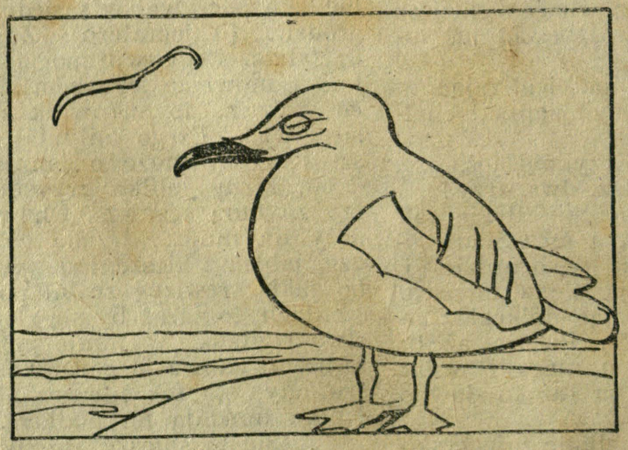

Mewa grzeje się na piasku
W doskonałym jest humorze,
Bo się cieszy razem z nami,
Że już mamy polskie morze.

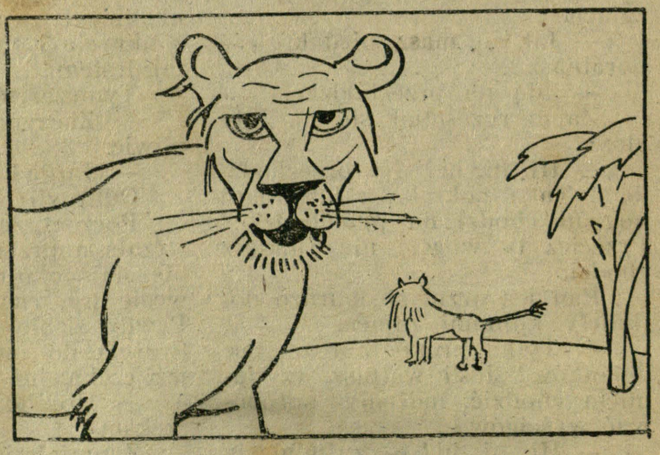

Lwica bardzo jest zajęta,
Ma strapienia i mozoły,
Chciałaby swojego synka
Do porządnej wpisać szkoły.

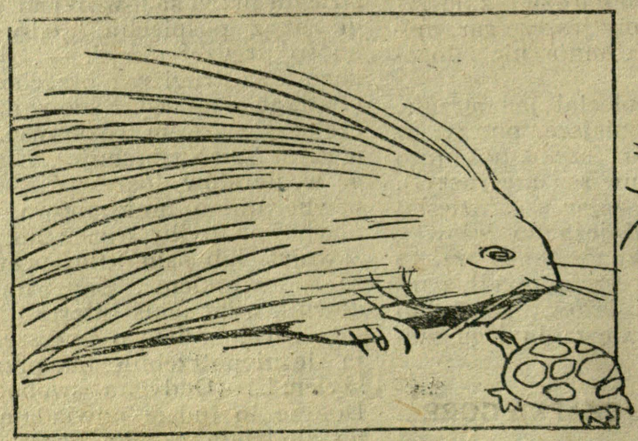

Oj niezdaro, ty żółwiku
Jeżatka żółwiowi rzecze,
Terefere, kukuryku
Rzekł żółw i dalej się wlecze.

Lampart ślicznie się ubiera,
Kiedy chodzi po ulicy,
Siostrą jego jest pantera
A oboje — bolszewicy.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg.

Czcionkami drukarni Ign. Jaegera, Lwów, ul. Sykstuska 33.

Rok I. 15. września 1919. — Cena Mk. 1·— K 2·— Nr. 7.

GRZEŚ

PISMO OBRAZKOWE DLA DZIECI OD LAT 5 — 80

BITWA POD GRUNWALDEM

Raz rzekł Kazio do Grzesia:
Nie chcę być Rinaldem;
dziś się bawić będziemy w bitwę
pod Grunwaldem.

Więc — „ene-due-rabe" — i w końcu stanęło:
Grześ będzie mistrz krzyżacki,
a Kazio — Jagiełło.

Krzesło — koniem, rajzbret — tarczą,
a linie za miecze starczą.

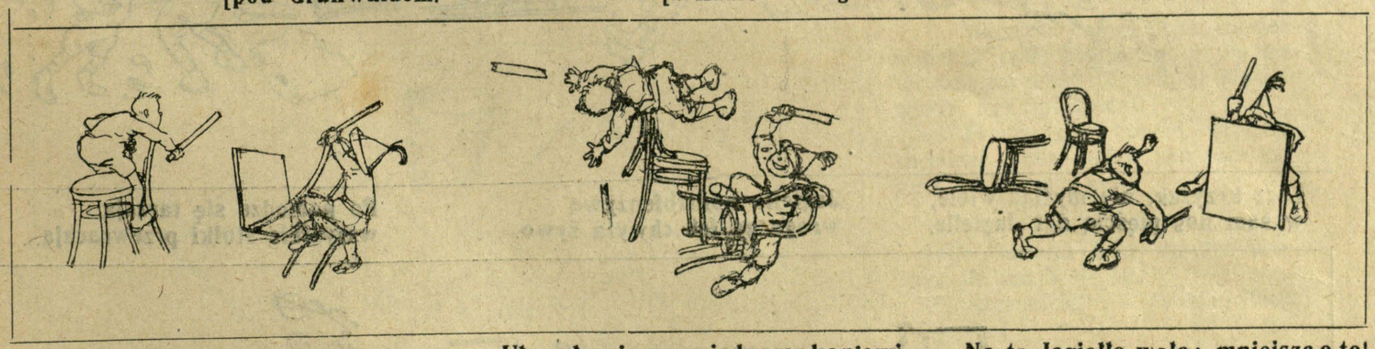

Harce rozpoczęły wojnę,
bo rumaki niespokojne.

Ułamała się noga jednemu koniowi
przerwę to w walce stanowi.

Na to Jagiełło woła: mniejsza o to!
Bijmy się dalej piechotą.

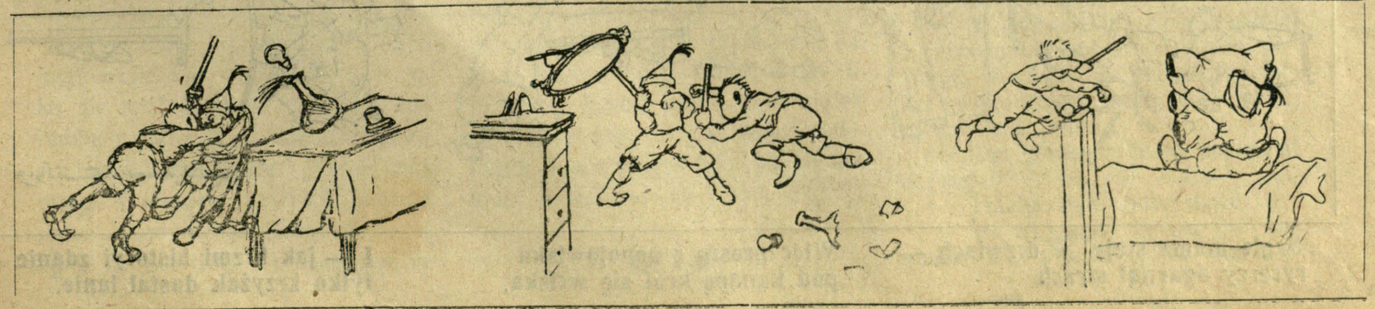

Że wojna to nie zabawka —
ze stołu leci karafka.

Krzyżak potrącił zwierciadło,
z komody na ziemię spadło.

Poczem mistrz skoczył na łóżko
i zasłonił się poduszką.

Jagiełło, nie bity w ciemię,
krzyżaka ściągnął na ziemię.

Ale z krzyżakiem, niestety,
leżą na podłodze bety.

To król mistrza, to mistrz króla
wzdłuż i wszerz pokoju kula.

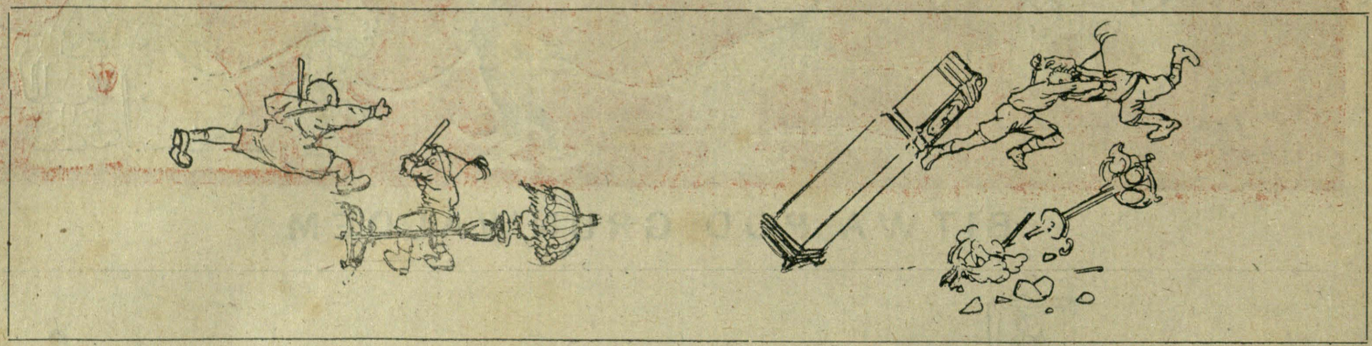

Potrącił lampę Jagiełło
i w tej chwili coś brzęknęło.

Za lampą zegar się wali;
król i krzyżak walczą dalej.

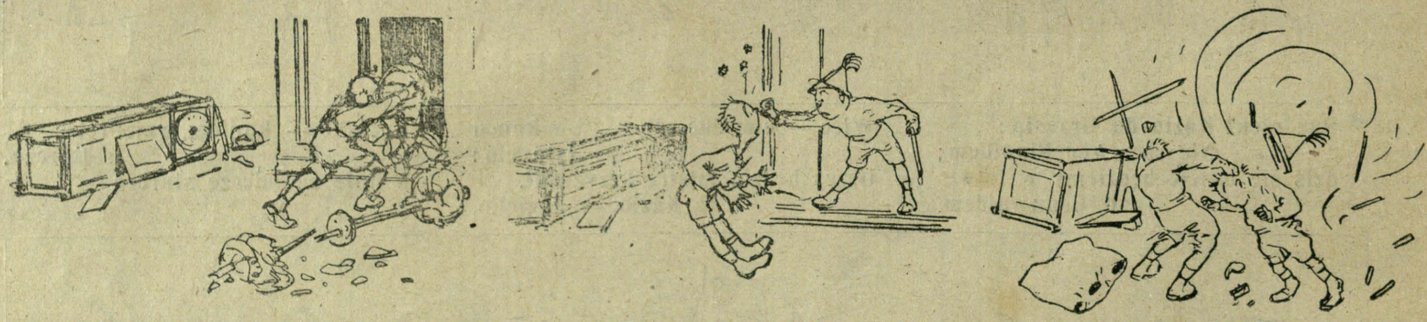

Lecz krzyżak, nie myśląc wiele,
w sam nos pięścią dał Jagielle.

Jagiełło kontrofenzywą
wroga za łeb chwyta żywo.

Po podłodze się tarzają,
wszystkie stołki przewracają...

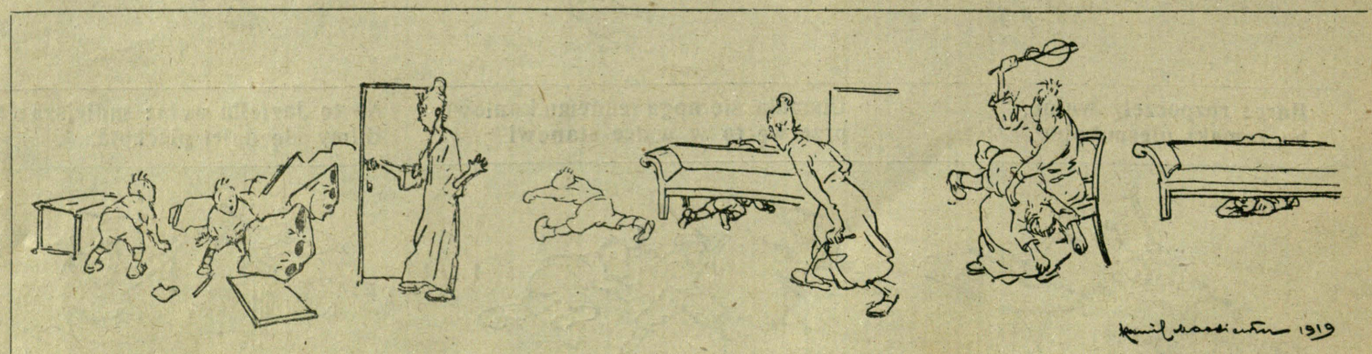

Nagle mama staje w drzwiach —
rycerzy ogarnął strach.

Więc prosto z pobojowiska
pod kanapę król się wciska.

I — jak brzmi historyi zdanie —
tylko krzyżak dostał lanie.

B. Hertz

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 8772 ІП

GRZEŚ DO SWYCH RÓWIEŚNIKÓW

Nie ździw się, Kaziu, ani ty Maniusiu, że przez chwilę Grześ będzie z wami mówił poważnie. Nie zawsze mi bowiem figle w głowie i wesołe historyjki, czasem trzeba sobie trochę paluszkiem zapukać do główki i pomyśleć trochę. Ale nad czem? Oto się skończyły ferye i wracamy do szkoły. Przepięknie bawiliśmy się, a Bozia dała nam dużo słońca i pogody na koniec wywczasów wakacyjnych, tem smutniej więc wracać do książek, kajetów, ołówków i bibuły. Ale obowiązek woła, mamusia każe, pan nauczyciel patrzy surowo z poza okularów, więc słuchamy.

Wróciliśmy do szkoły. Ja, wasz figlarny koleżka, Grześ, ty Stasiu, Maniusiu, Heniu, Tymciu i jak się tam wszyscy czytelnicy nazywacie..

Właśnie wczoraj wpisano mię znowu do szkoły. A wiecie, co myślałem sobie, gdy mię mamusia do wpisów prowadziła? Byłem dumny i szczęśliwy. Nawet bardzo dumny. Bo szedłem do takiej szkoły, jakiej od stu kilkudziesięciu lat dzieci polskie nie widziały. Do szkoły w wolnej i niepodległej Polsce, do szkoły, w której niema ani niemieckiego szulmajstra, ani „russkiego" inspektora, ani hymnów o austryackim cesarzu. Czy rozumiecie to wszyscy dobrze? Teraz wam w sekrecie powiem, że się rozpłakałem, pomyślawszy o tem wszystkiem. To głupie — prawda — płakać z uciechy?

Ale nie wystarczy tylko cieszyć się! Trzeba pamiętać o tem przy każdej sposobności, na każdej lekcyi i przy każdem zadaniu. Im lepiej się będziemy uczyć, tem lepszą będzie Polska, im więcej będziemy się do nauki przykładać, tem większą i potężniejszą będzie nasza ojczyzna.

Jakie to dziwne i w pierwszej chwili niezrozumiałe! Ale tak jest w istocie. Z małych dzieci wyrosną przecież wielcy ludzie, a z ludzi składa się społeczeństwo. Pamiętajcie, że wykształcić się musicie na dzielnych członków społeczeństwa, na dobrych obywateli państwa polskiego.

Widzę wasze zdziwione minki, kochani rówieśnicy! Pytacie pewnie, skąd się Grzesiowi zebrało na tak poważne myśli? Nie dziwcie się! Można figlować i bąki zbijać co niemiara, ale trzeba nosić głęboko w serduszku ukrytą myśl poważną. A tą moją myślą, dzisiaj się z wami dzielę. Więc do nauki, ażebyśmy wyrośli na mądrych i dzielnych Polaków. A po skończonej lekcyi Grześ zawsze chętnie z wami zabawi się i pofiguje!

KUBEK Z PAPIERU

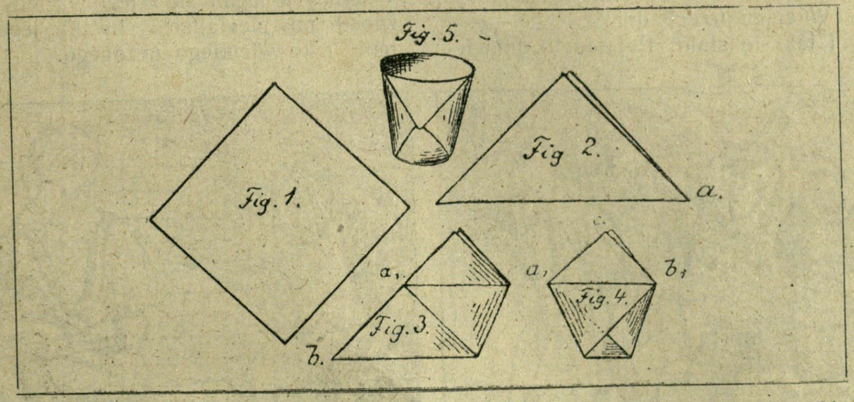

Grześ będąc raz w polu, zapragnął napić się wody, ale pod ręką nie miał żadnego naczynia, któremby mógł ją z potoku zaczerpnąć. Ale że był dowcipny i pomysłowy, wyjął z kieszeni kawałek papieru, zrównał go do kwadratu (Fig. 1.), zgiął na pół (Fig. 2.), następnie jeden koniec **a** zagiął do **a**, (Fig. 3.), a w końcu zagiął koniec **b** do **b**, (Fig. 4.). Ażeby kubek miał zupełnie formę prawidłową, należy trójkąciik **a, b, c** zegiąć (Fig. 4.) ku dołowi, a otrzyma się kubek (Fig. 5.).

Fr. B.

■ ■

POCZTA GRZESIA

A. Stępińskiej w Warszawie. — Bardzo ci dziękuję za tak obszerny liścik, który czytałem z przyjemnością. Ile ty masz lat, bo bardzo rozumnie piszesz? W następnym numerze wydrukujemy twoją zagadkę i twój „wynalazek" pisma tajemnego. O łamigłówkach pomyślimy. Grześ nie jest taki mały, jak myślisz, ale chce być przyjacielem wszystkich małych polskich dzieci.

Romciowi Jabłońskiemu. — Nie wiem, czego nie rozumiesz w czapce Hallerczyka, przecież to bardzo łatwe! A zresztą nie martw się, jeśli co jest dla ciebie zbyt trudne, jak urośniesz, to łatwiej zrozumiesz. A gdzie to znalazłeś taki wesoły papier listowy z małpeczką?

Jureczkowi. Dobra ta twoja historyjka o cioci Isi, ale radbym czegoś więcej o tobie się dowiedzieć.

Myszce Altenb. Wierszyk o krasnoludkach tak mnie przejął, że zasnąć nie mogłem, mimo to jeszcze nie nadaje się do druku. Zdaje mi się, że z Myszki jest mały leniuszek, bo mogła już dawno napisać duży list do Grzesia.

ICEK W SZKOLE

— Uważajcie dzieci, mówi pan nauczyciel na lekcyi rachunków — jedna gęś kosztuje 3 korony. Ile będzie kosztowało pięć gęsi? Kto powie?

Nikt nie wie, dzieci milczą. Wtem Icek siedzący zawsze w oślej ławce zaczyna machać gwałtownie rękoma.

— Widzicie dzieci. Icyk chociaż siedzi w oślej ławce wie, a wy nie wiecie, czy wam nie wstyd? No powiedz Icek, powiedz!

— Proszy pana psora, ja sze chciałem spitacz, gdzie pan psor kupuje takie tanie gęsi?

—

Tego samego Icka zapytał profesor ile jest 5 + 10?

— Szesnaście! — zawołał Icek.

— Źle!

— No to ośmnaście.

— Źle!

— Dwadzieścia.

— Wyjdź z klasy! — zawołał zirytowany nauczyciel.

Icek wyszedł. Na korytarzu spotkał swego kolegę, który go zapytał, czemu taki smutny.

— Pan profesor mnie się pytał ile jest 5 + 10.

— Trzeba było powiedzieć: 15.

— Idź ty głupi! Ja mu już dawałem 20, a jemu to za mało.

HISTORJA O CZŁOWIEKU, KTÓRY

Był sobie raz w dawnych czasach pewien człowiek imieniem Grzegorz, który zapragnął tajemnicę posiąść tajemnicę robienia złota. Wyobrazić sobie, że gdy posiędzie tę sztukę będzie szczęśliwym i bogatym. Długie lata płynęły mu na studyach i poszukiwaniach.

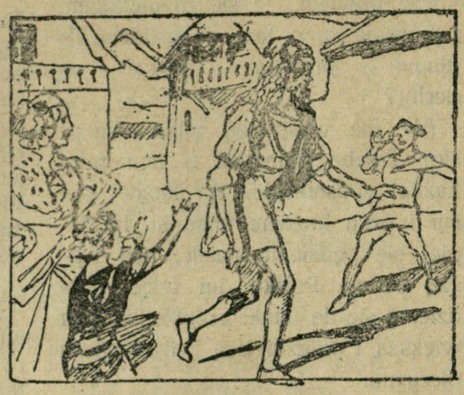

I wcale nie zważał nato że śmieję się z niego ludziska, a dzieci pokazują go palcami, wyszydzając czarodziejskie praktyki. Raz gdy mu już zabrakło metalów do poszukiwań, postanowił poszukać ich w głębi ziemi.

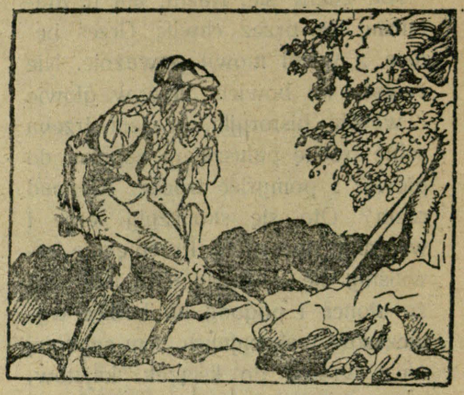

Kopał tedy długo rydlem na ustronnem polu, aż wreszcie natrafił na skarb. Były to dwa konie ulane ze samego złota, które od niepamiętnych czasów leżały głęboko w ziemi. Przed wiekami kazał je sporządzić dla siebie pewien magnat, który przed śmiercią ukrył je w ziemi.

—Już wiem co zrobię! pomyślał uradowany Grzegorz i oznajmił swym przyjaciołom, że udało mu się odkryć tajemnicę robienia złota. Teraz będzie bardzo bogaty i szczęśliwym. Ale przyjacieli nie chcieli temu wierzyć i dalej szydzili z Grzegorza.

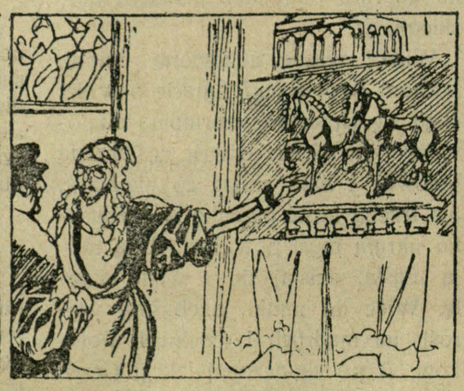

—A więc jeśli nie wierzycie, to wam udowodnię. Przynieście mi tu zaraz dwa konie z miedzi, które stoją na starożytnym pomniku na rynku miasta a ja zamienię je na szczerozłote W ciągu trzech dni!

I tak się stało. Po trzech dniach

oczom zdumionych mieszkańców ukazały się dwa przepyszne rumaki z prawdziwego złota. Sława Grzegorza rozeszła się po całej okolicy. Wszyscy ubiegali się o jego względy, znosili mu pieniądze i chwalili jego imię, jako wielkiego uczonego.

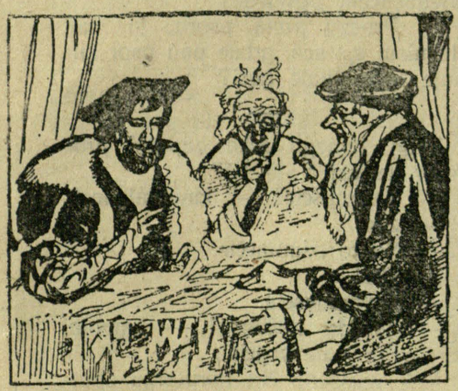

Ale wkrótce zaczęto się go obawiać. Uczeni ludzie zeszli się na naradę i powiedzieli:

— To bardzo źle, że Grzegorz odkrył tajemnicę złota.

Wszystkie skarby świata nie będą nic warte, on zaś stanie się największym paskarzem na całej kuli ziemskiej. Musimy go usunąć.

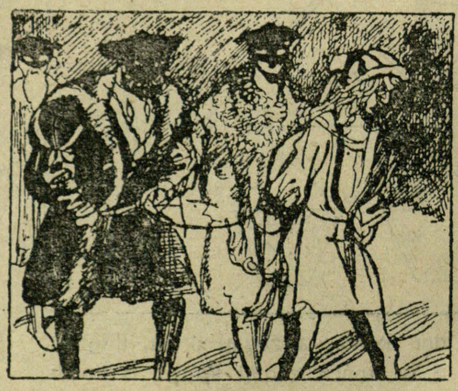

W ciemną noc przyszło dwóch ludzi w czarnych maskach i zaprowadzili go na sąd. Sędziowie orzekli, że Grzegorz musi do końca dni swoich pozostać w więzieniu. Grzegorz zobaczył swój błąd, ale już było żapóźno Konie miedziane, które mu dano do odlania zniszczył więc nie mógł wykazać, że poprostu po-

pełnił oszustwo. Aby usunąć Grzegorza z oczu ludzi, rozgłoszono, że odkrywca złota umarł. A on tymczasem siedział w ciemnem więzieniu pod strażą surowego dozorcy. Był ów dozorca człowiekiem bardzo chciwym i powiedział Grzegorzowi tak. Jeśli zdradzisz mi tajemnicę robienia złota, to ci ułatwię ucieczkę.

ODKRYŁ TAJEMNICĘ ZŁOTA

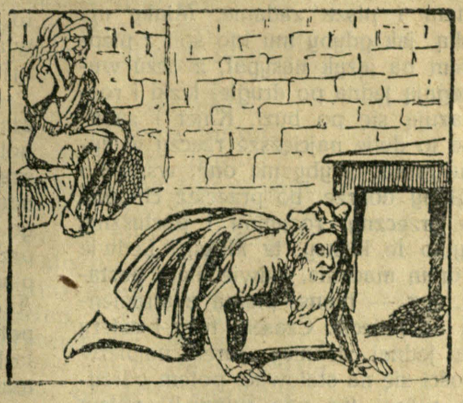

— Dobrze odpowiedział Grzegorz — ale pod warunkiem, że przez cały miesiąc zachowasz zupełnie milczenie nie odezwiesz się ani słowem.

Chciwy dozorca zgodził się na tę propozycyę i już cieszył się w duszy, że będzie kiedyś bardzo bogatym. Marząc o swem przyszłem szczęściu usnął błogo, a wówczas odkrywca złota wyciągnął mu z zanadrza klucze od swych kajdan i ukrył je we wnętrzu swej gęstej czupryny.

Nazajutrz dozorca spostrzegł brak kluczów, szukał ich pilnie po całem więzieniu ale nie mógł o nie zapytać Grzegorza, gdyż przyrzekł milczeć przez cały miesiąc.

Nadeszła pełnia księżyca, której niecierpliwie oczekiwał dozorca, gdyż w owej chwili właśnie miał otrzymać wedle umowy tajemnicę robienia złota. Uderzyła północ i wyszli obaj z więzienia. Odkrywca złota

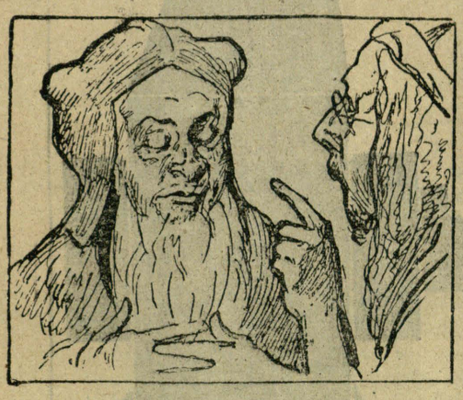

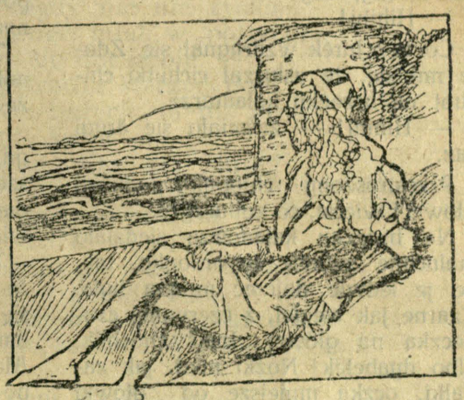

ušmiechał się tajemniczo i myślał nad swym planem. Nagle rzekł:

— Teraz zamknij oczy, i powstań tak przez dziesięć minut, bo jeśli choć na chwilę otworzysz, nie dowiesz się niczego!

Posłuszny dozorca przymknął szybko oczy, a w tej chwili chytry Grzegorz wydobył klucz ukryty we włosach otworzył żelazną obręcz u swych kajdan i czmychnął, gdzie raki zimują, Nikt odtąd o nim nie słyszał i tylko wieści tajemnicze krążyły o człowieku, który znalazł tajemnicę robienia złota, ale nie był wcale szczęśliwym. Bo złoto nie stanowi szczęścia. Trzeba jeszcze mieć dobre serce i myśl bogobojną

ZABAWY TOWARZYSKIE

Trzy litery

Bardzo wesołą może być zabawa w „trzy litery". Jest ona bardzo prosta, nie wymaga wielu uczestników, ani też wiele namysłu. Oznajmiasz jednej osobie w towarzystwie, że chcesz jej zrobić piękny podarunek. A mianowicie złotą szkatułkę, w której są trzy złote litery. Pierwszą z tych liter jest **C**, drugą **P**, trzecią **G**.

Teraz zagadnij, co zapytany zrobi z temi literami. Np. tak:

— Co zrobisz z literą C?
— Wyrzucę ją przez okno.
— Co zrobisz z literą P?
— Pocałuję ją.
— A z literą G?
— Pójdę z nią na spacer.

Teraz musisz wyjawić, co litery oznaczały. Jeżeli np. pomyślałeś, że C = ciocia, P = piesek, G = gruszka, wówczas śmiech ogólny powstanie w pokoju. Bo wyniknie stąd, że ciocię trzeba wyrzucić przez okno, pieska pocałować, a z gruszką pójść na spacer. Rzecz jasna, że kombinacye mogą być najrozmaitsze.

ZĘBY ŚLIMAKA

Ślimak to wielki łakomiec i strasznie dużo je. Zęby rzędami jedne obok drugich wyrastają mu na języku. Ślimak nie gryzie tymi zębami, tylko rozgniata pożywienie. Ślimak morski gdy się tylko obudzi rano to rozgniata zębami muszlę, a smaczną ostrygę zjada na śniadanie. A nie wiecie, ile ma zębów? Nie mniej, ni więcej, tylko 1500! Ciekawa byłaby historya, gdyby tak panu ślimakowi popsuły się zęby i poszedł do dentysty, aby je wyrwać lub zaplombować. Ileby go to czasu i pieniędzy kosztowało? A teraz zapytaj się cioci swojej, ile zapłaciła za plombę w jednym zębie i oblicz, ileby musiał zapłacić ślimak!

Ale uważaj, żeby ciocia się nie obraziła, gdy o to zapytasz i powiedz, że to tylko niewinny żarcik.

■■■

KLEKS

Jurek siedzi przy stoliku nad kajetem i pisze zadanie. Minkę ma taką, jak gdyby mu kto soli z pieprzem na język nasypał, z oczu wybiegają jedna po drugiej łezki i rozmazują się po buzi. Kajet i zadanie to dwie najcięższe rzeczy w życiu Jurka. Gdyby nie one, wszystko byłoby dobrze, bo przecież chłopak to grzeczny, rozumny i posłuszny. Tylko te kleksy, te kleksy! Ledwie piórem machnie, ledwie literę postapi, już — bums! plama z atramentu na kajecie. Czasem trzy i cztery na jednej stronicy. Jurek najpierw złości się na stalówkę, potem odrzuca pióro, (to ono winno!), potem znowu zaczyna pisać i znowu wielki kleks czerni się na papierze. Już nie można wytrzymać! A na domiar to pierwsze zadanie w nowym roku szkolnym, pierwsza lekcya.

Jurek płacze. Nie będzie pisał zadania, nie będzie chodził do szkoły, nie, nie! Czy to jakiś atrament zaczarowany, czy co?

— Hihihi!

Co to? Jurek wzdrygnął się. Zdaje mu się, że usłyszał cichutki chichot na brzeżku kałamarza.

— Hihihi! — zaśmiało się drugi raz.

Przestraszony chłopak podniósł głowę i wiecie, co zobaczył?

Na brzeżku kałamarza siedziało maluchne zwinne stworzonko, tak, że je ledwie dojrzeć można było. Czarne jak węgiel, z czerwoną czapeczką na główce. Jakiś chochlik, albo dyabełek! Nóżki miał, jak zapałki, oczka mniejsze od główki przy szpilce, cały zaś wzrostu był nie wiele wyższego, niż sama szpilka. Fikał co chwila nóżkami, a ile razy fiknął, to mu z buciczka spadały krople atramentu na kajet chłopaka.

— Jak się masz, Jurku! Nie znasz mię? Za to ja ciebie znam doskonale! Hihihi! Ja jestem kleks, czyli krasnoludek z kałamarza. Znam cię dlatego, bo ty robisz najwięcej kleksów ze wszystkich dzieci! No, pisz teraz dalej zadanie. Hihihi!

Jurek ochłonął ze zdziwienia i zapytał nieśmiało:

— Jeżeli tak, jeżeli ty jesteś kleks, to powidz mi proszę, dlaczego właśnie ja najwięcej plamię zeszyty? Kto temu winien?

— Hihihi! Zaraz ci to wytłumaczę! — odpowiedział czarny krasnoludek i znowu fiknął nóżką mniejszą od zapałki. Wynająłem sobie mieszkanie, na samym spodzie twego kałamarza i tam spię spokojnie przez cały dzień. Gdy ty zaczynasz pisać zadanie, to ja zaraz się budzę. A wiesz dlaczego? Bo sięgasz niepotrzebnie aż do spodu kałamarza i łaskoczesz mię końcem pióra w mój malutki nosek. Hihihi! To bardzo niemiłe! Ze złości zaczynam wtedy kichać i nalewam na twoje pióro tyle atramentu, aby poplamić twój kajet. Ale spróbuj tylko maczać pióro ostrożnie w kałamarzu, nie sięgaj zadaleko, nie walaj stalówki i palców, a wtedy nie przerwiesz mi mi snu i nie będziesz miał splamionego kajetu! Hihihi! Życzę ci postępów w nauce w nowym roku szkolnym! Bądź zdrów, urwisie, Serwus!

To rzekłszy, skoczył czarny krasnoludek w odmęty kałamarza, tak, że aż atrament zabulkotał.

— Jurku, Jureczku! Bój się Boga, co ty robisz? Spisz w najlepsze nad kajetem, zamiast pisać zadanie! — mówiła mamusia, która właśnie weszła do pokoju.

Teraz dopiero spostrzegł chłopak, że usnął przy stoliku. Rozglądnął się dokoła, obejrzał dokładnie kałamarz, szukając dziwnego gościa. Ale nigdzie nie dostrzegł ani śladu po nim. Widocznie to był sen. Widocznie śniło mu się, że rozmawiał z czarnym chochlikiem, który przez cały dzień spi na dnie kałamarza. A może nie? Hm, hm! Jurek myślał nad tem długo. Poczem zaczął na nowo pisać zadanie. Ale już zupełnie inaczej! Sięgał ostrożnie piórem, maczał je lekko w kałamarzu i nie zrobił ani jednego kleksa na kajecie. Bo kto może wiedzieć, czy to był sen? A nuż to prawda i rzeczywiście na dnie kałamarza spi złośliwy chochlik? Po co go budzić? Niech spi dalej, kiedy mu z tem dobrze.

Jurek nie zdradził nikomu swojej tajemnicy. A wszyscy nie mogli się dość nadziwić, skąd ta przemiana: kajety we wzorowym porządku, pismo czyste i schludne, palce niesplamione atramentem. A nikt nie domyślał się, że to wszystko sprawił czarny kleks.

ZAGADKOWE RUINY

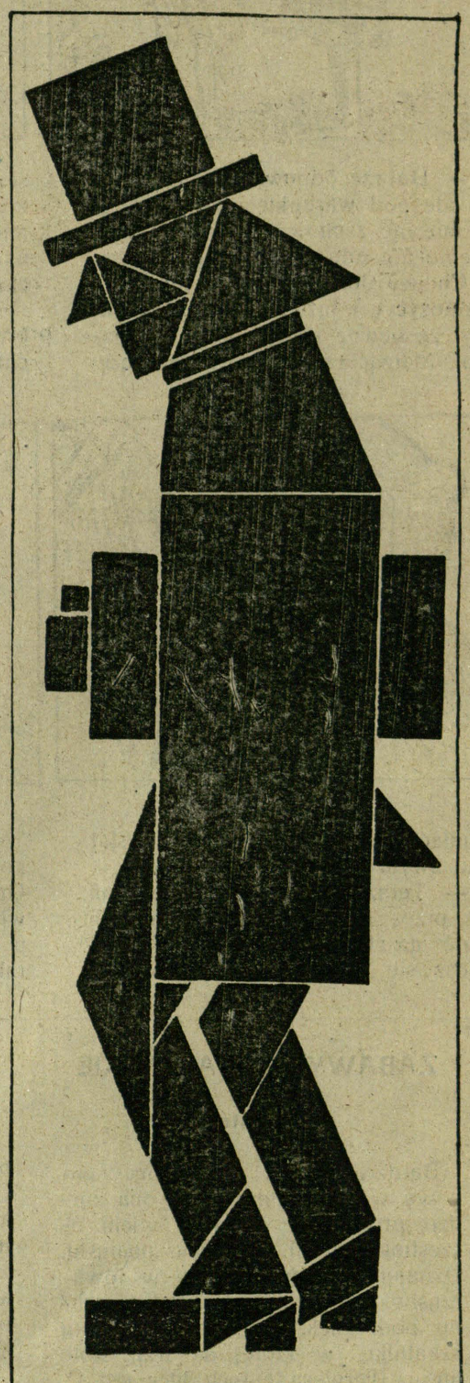

Na dołączonym obrazku widzicie ruiny, które zdawaćby się mogło, że pochodzą z jakiego zburzonego zamku. A tymczasem stanowią one gruzy rozbitego i zniszczonego pruskiego „Schulmeistra". Chodzi o to, ażeby te kawałki złożyć w całość i zobaczyć, jak taki szulmeister wyglądał za życia.

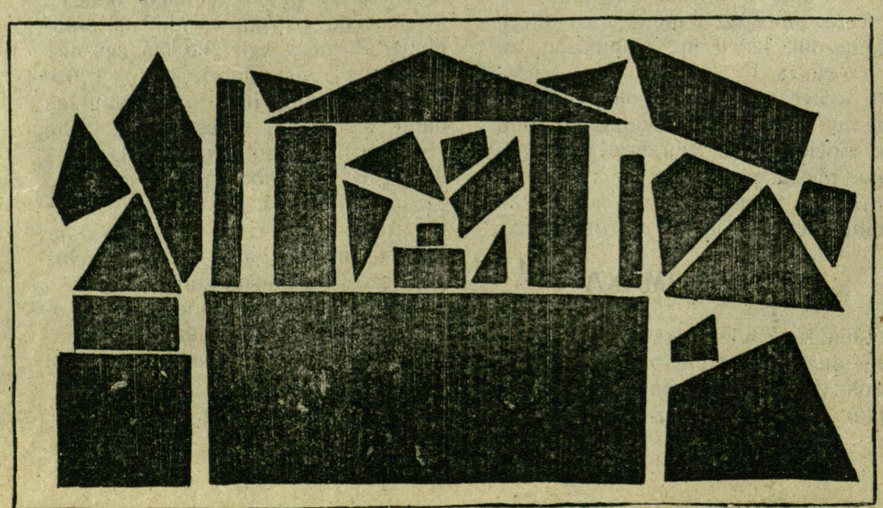

PORTRETY CIENIOWE

Miejsca czarne na podanym wam wzorze należy wyciąć bardzo starannie albo ostrymi małemi nożyczkami albo bardzo ostrym scyzorykiem. Jeżeli wycinacie scyzorykiem, to należy papier położyć na szklanej płytce lub na twardej deszczułeczce i uważać, aby papier się nie postrzępił, lecz miał kanty ostre. Wycinać należy najpierw szczegóły drobniejsze, a na ostatku plamy wielkie. W końcu wycina się kontur głowy. Tak wycięty portret trzyma się pomiędzy zapaloną świecą a białą ścianą lub białym arkuszem papieru przytwierdzonym do ściany lub deski, a wtedy obraz wystąpi należycie, bo plamy czarne na wzorze okażą się białemi. Im dalej od lampy będziemy trzymali obraz, tem portret będzie wyraźniejszy. Ażeby numeru nie psuć, lepiej na białym papierze przerysować bardzo dokładnie kontury całego rysynku i czarnych plam i dopiero potem wyciąć odpowiednie miejsca, jak wyżej wskazano. Podany portret przedstawia znakomitego męża, Ignacego Józefa Paderewskiego, o którym pewnie wiele słyszeliście. *Fr. B.*

MĄDRY MACIUŚ

Mądry Maciuś ma najlepiej:
Tego bieda się nie czepi.
Bąki zbija, głupstwa płata,
Kpi świat z niego, on ze świata —
Toż przy dobrej wzajem chęci
Obaj z siebie są kontenci.

Różnie różnych los obdarza:
Berło wkłada w dłoń mocarza,
Uczonemu sławę niesie,
Kupcu zyski w interesie,
Niezabudkom oczy sine
— Maciusiowi... głupią minę!

Taka mina, całe szczęście,
Lepsza, niż najtęższe pięście.
Maciuś dzięki minie głupiej
Wszędzie wkręci się lub wkupi.
Król, królowa, czy rycerze,
Nikt nic za złe mu nie bierze.
O co nikt się nie pokusi,
Wpada samo temu trusi.
Na co żaden z dygnitarzy,
Na to Maciuś się odważy.
Co ma być, niech sobie będzie,
Jemu wstęp otwarty wszędzie!

Oj, nie jeden, nie jedyny
Dał się wziąć na lep tej miny.
Oj, niejeden z rzeszy onej,
Co to istne Salomony,
Maciusiowi, jak pacholę,
Wyprowadzić dał się w pole.

A więc skąd te pośmiewiska?
Bo sam nigdy nic nie zyska.
Choćby ginąć miał w potrzebie,
Ani ruszy się dla siebie.
Lecz gdy trzeba staczać boje
W sprawie innych, to nie doje,
Ani dośpi, świat osłupi
Poświęcenie! Czy nie głupi?

Czyni, co mu się podoba,
A pozatem leń, nieroba.
Pasąc, legnie na ziem twarzą,
A tu kozy w szkodę łażą.
Złaj go zaś, to pięknie skrzeczy:
— „Wielkie rzeczy! Wielkie rzeczy!“

Nieraz kijem też dostanie.
I skąd owo zaniedbanie?
Stąd, że (chyba wpływ to guseł),
Maciuś spiący wiąż, jak suseł.
Dniami drzemie, dniami ziewa,
Aż się trzęsą liście drzewa.
Trzeźwy zaś dopiero nocą,
Kiedy gwiazdy zamigocą.

Gdy więc miesiąc w górę spłynie,
Mgły srebrzący po dolinie,
Gdy się siło w dym okuli,
Że jest białe, jak w koszuli;
Gdy koników świerk na łanie,
Jak weselne brzęczy łkanie;
Gdy świat szczęśliw, że spać może, —
Wtedy, o tej właśnie porze,
Mądry Maciuś, kpiarz wioskowy,
Nuż z gwiazdeczką do rozmowy!
Chociaż trzech nie zliczy we dnie,
Nuż pleść księżycowi brednie;
Lub z sowami w jakieś kłótnie;
Lub się znów zaduma smutnie,
Westchnie gorżko i zapłacze,
Aż zeń na głos drwią puhacze
I krzyk z mogił słychać trupi;
— „Mądry Maciuś — głupi, głupi!“

Stanisław Rossowski.

■ ■ ■

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg. Czcionkami drukarni Ign. Jaegera, Lwów, ul. Sykstuska 33.

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж 6852

PIJANY KACZOR

Wiśniak gołów. A te wiśnie
gosposia na śmietnik ciśnie.
Stanął kaczor u śmietnika
i wilgotne wiśnie łyka.

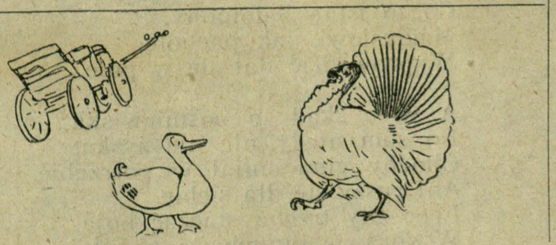

Drzewo tańczy, a znów bryka,
choć bez koni, sama bryka.
Indyk strasznie dziś zmieniony!
Podobny się stał do wrony...

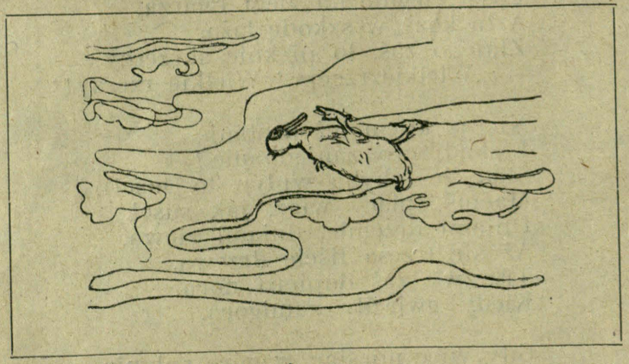

To wcale nie winna noga,
tylko skacze cała droga.
Spaceruję w różne strony,
alem dziwnie osłabiony.

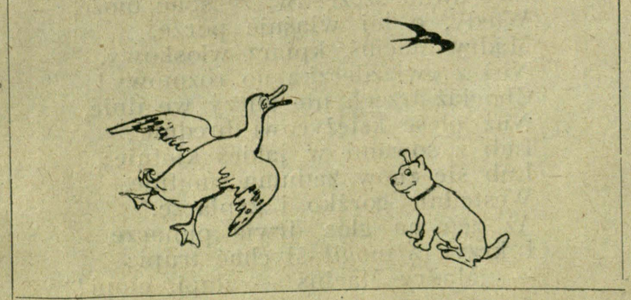

Nie chce mi się chodzić w kółko:
frunę lepiej za jaskółką.
O jej!... Znów mi jakoś źle...
Słabo... W głowie kręci się...

Kwak-kwak — woła — kwa-kwa-kwak!
To delicye!... Co za smak!
Kaczor minę ma wesołą...
Co to?... Świat się kręci wkoło?...

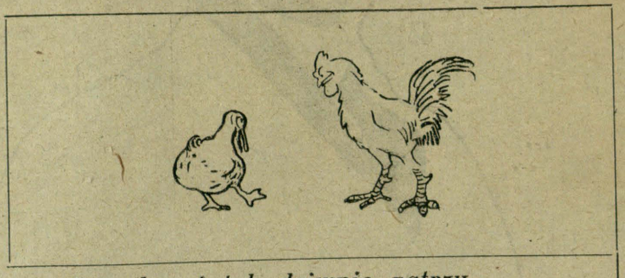

Pan kogut tak dziwnie patrzy,
żem ja wesół, wiśnie zjadłszy.
Co to mi się stało w nogę,
że prosto chodzić nie mogę?

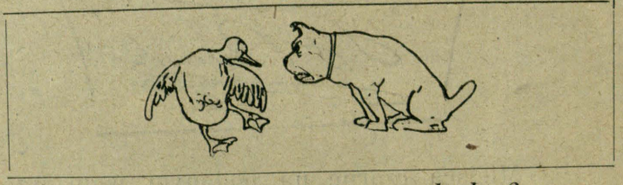

Coto?... Ten pies mi przeszkadza?...
Pan nie jesteś żadna władza!
Odejdź!... Pokazujesz kły?
Ja potrafię też być zły.

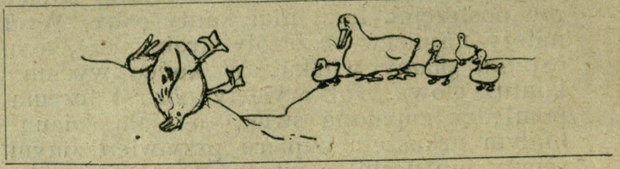

Przewrócił się, leży w rowie.
Oj! co kaczka na to powie?
Leży, drży mu tylko pięta.
Płacze kaczka i kaczęta.

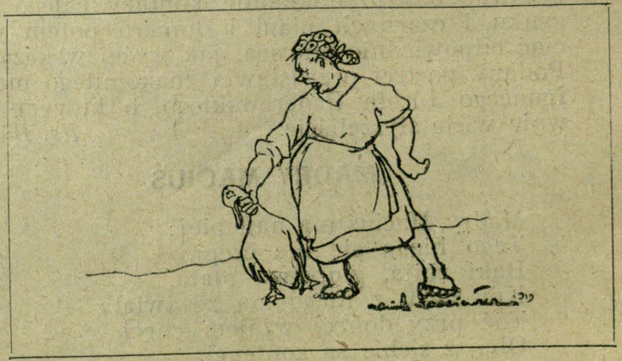

Wreszcie powiada kucharka:
— Chory jesteś?... Marsz do garnka.

Rok I. 1. października 1919. — Cena Mk. 1·— K 2·— Nr. 8

CIOCIA GUCIA NA WAKACYACH

Chociaż gwarne są letniska,
Gdzie przyjeżdża tyle ludzi,
Ciocia czuje się niedobrze,
Ciocia dąsa się i nudzi.

Więc kontentna jest nad wyraz
I radością wzbiera łono,
Gdy ogromnie miłym listem
Ciocię na wieś zaproszono.

Na koleji małym dworcu
Czeka już na ciocię bryczka
I siostrzeniec piękny Mrysio,
Który ma tak pulchne liczka.

Więc windują się na bryczkę,
Dawszy sobie przedtem pysio,
Po prawicy siadła ciocia,
Po lewicy kuzyn Mrysio.

Trzeba ciocię przyjąć godnie,
Więc do stołu wnet zasiedli.
Były kurki i mizerya,
Nie zabrakło nawet knedli.

W pewnej chwili rzekł pan domu:
„Żonko! teraz wino podasz“.,
Ciocia wznosi piękny toast:
„Niechaj żyje pan gospodarz“.

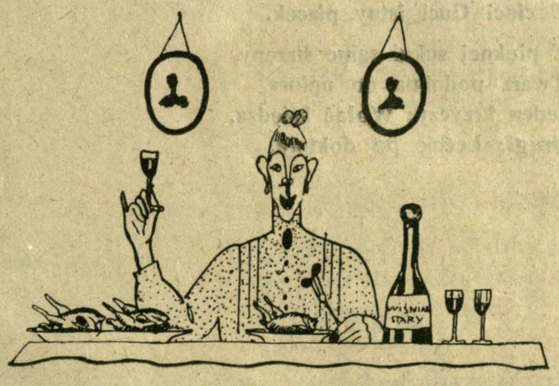

Znaną polska jest gościnność,
Wszystko na usługi gości,
Trzeba zażyć całą gębą
Wszelkich wiejskich przyjemności.

Słońce ranne tak wspaniałe
Swoim blaskiem w oczy kole,
A więc wozem drabiniastym
Ciocia rankiem wio na pole.

Za godzinę, pełen snopów
Wóz się znalazł znów na gumnie,
A za samym szczycie wozu
Ciocia Gucia sterczy dumnie.

Lecz że snopów było dużo
A wjazd znowu był za mały,
Wóz, wjeżdżając do stodoły,
Przygniótł ciocię do powały.

Krzyk się zrobił i harmider,
Ratuj! kto ma w sercu Boga!
W pierwszej chwili trudno poznać,
Gdzie jest ręka gdzie jest noga.

Czeladź zbiegła się z widłami
Tłusty Wojciech, chudy Wacek,
Odrzucają górne snopki
Z cioci Guci istny placek.

Z pięknej sukni same strzępy,
Twarz podobna do upiora,
Jeden krzyczy: Wołać księdza,
Drugi: Lećcie po doktora.

Jeden tylko pan gospodarz
Milczkiem się uśmiecha skrycie,
Bo wie, że kobieta każda
Ma ogromnie twarde życie.

Po tej strasznej awanturze,
Z której wyszła ledwie żywa,
Przeleżała tydzień w łóżku
I znów się do życia zrywa.

Staw i łódka uwiązana
Zapraszają do podróży,
Dalej bierzmy się do wioseł
Poco się namyślać dłużej.

Biedna Ciocia nie przeczuwa
Nową srogą awanturę,
Kuzyn Mrysio przez złośliwość
Bowiem w łódce zrobił dziurę.

Ledwie ciocia podpłynęła
Do wysepki małej krzaków
Łódź zaczęła nagle tonąć,
Trzeba iść na pastwę raków.

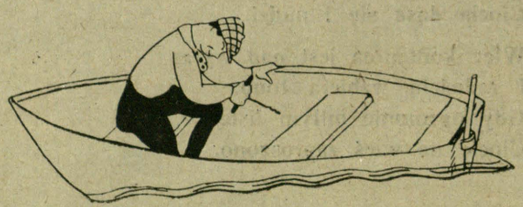

Walczy ciocia dzielnie z nurtem
Kostyum na niej całkiem lepki,
Jeszcze tylko kilka ruchów
I u brzegów jest wysepki.

Ręką chwyta się gałęzi
Na brzeg skacze z walki słaba,
Ocalona ciocia Gucia
Ale mokra niby żaba.

Co za brzydka awantura
Prawda mali czytelnicy?
Sama jedna na wysepce
Niby Robinson w spódnicy.

Łódka w wodę się pogrąża,
Widać jeszcze brzegów kanty,
Ciocia wzniosła w góry ręce
— „Ratuj święty Kalasanty!

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6852 ІП

HALLERCZYK

Władkowi się życie
Przykrzy już spokojne.
Od tego jest chłopiec,
Żeby szedł na wojnę.

Gdy zobaczył w szafie
Raz suknię mamusi,
Myśli: jest niebieska,
Być na mundur musi.

I prosi, nos gniotąc,
A w oczach dwie łezki:
„Ja tak chcę, mamusiu,
Mieć mundur niebieski".

Mamusia nie lubi
W oczach syna chmurek,
A więc z ciocią szyją
Władkowi mundurek.

Władek sam dogląda
I znów prosi: „A to,
Co zostanie, zmieńcie
Na czapkę rogatą!".

Panie szyją czapkę,
Jak straszne ma rogi,
Władek aż się cieszy,
Że w niej będzie srogi.

Potem do tatusia
Jedzie prośba nowa:
„Tatuś coś obiecał,
Niech dotrzyma słowa!".

Tatuś nie ma dobrej
Jak zwykle pamięci,
Więc Władek odchodzi
I minkę nasmęci.

Lecz żal tatusiowi
I w parę godzinek
Już ma Władzio w rękach
Śliczny karabinek.

Próbuje nabijać,
Czy to tu, czy nie tu,
Naraz nowy okrzyk:
„Mnie trzeba bagnetu!".

Chłopiec w pełnej zbroi
Idzie na podwórze,
Kogut się wystraszył,
Zmyka wojsko kurze.

Władek maszeruje,
Pada, wstaje, strzela,
Aż raz trafił stróżkę,
Jak nieprzyjaciela.

A potem osowiał,
Chodzi, myśli, liczy
I z dnia na dzień więcej
Bywa tajemniczy.

Pyta mama, tatuś:
„Co jest chłopcu temu?
Dzisiaj przy obiedzie
Nie jadł nawet kremu!".

Aż raz rano wstali,
Otwarta szufladka,
Pusty pokój, łóżko,
Nigdzie niema Władka.

Tylko list na stole,
Co w sobie zawiera?
„Mamusiu, tatusiu,
Jużem u Hallera".

Patrzą w list rycerza,
Bo tak zwać go trzeba,
A litery w liście
Idą aż do nieba.

I łapie się tatuś
Za dwa wąsy płowe,
Mamusia za ślicznie
Fryzowaną głowę.

Żeby na czas zdążyć!
Dworzec przecie blizki,
Jadą, spakowawszy
Wszystko do walizki.

A tymczasem Władek
Uszedł świata sporo,
Wszyscy go po drodze
Za żołnierza biorą.

Idzie: twarda mina
Do buzi przyszyta,
O pana Hallera
Wciąż się ino pyta.

Gdy się już w tej drodze
Zmęczył dobrze, sterał,
Mówią mu, że chce go
Widzieć pan jenerał.

Czerwonego z szczęścia
Żołnierze go wiodą.
Widzi: przed nim stoi
Jakiś z czarną brodą.

„Ktoś ty?" — pyta ostro
Pan w rogatej czapie,
A Władek na baczność
I za broń się łapie.

„Melduję posłusznie..."
— Ledwie słowa zbiera —
„Ja uciekłem z domu
Do pana Hallera".

Pan w czapie się śmieje
Z tej Władka ochoty,
Blask mu w czarnych oczach
Zamigotał złoty.

A Władek go prosi:
„Z pana własnych ust-że
Nie mógłbym usłyszeć,
Czy się znam na mustrze?".

Zabrzmiała komenda:
„W tył zwrot, w lewo, w prawo",
Władek się obraca
Z weterana wprawą.

Z jeneralskiej twarzy
Zwolna uśmiech znika,
„Czy wiesz, przed kim stoisz?"
Pyta ochotnika.

A twarz Władka cała
Rumieńcem oblana.
„Ja... na fotografii...
Raz widziałem pana".

Potem w adjutanta
Patrzy wciąż rumiany,
A adjutant rzecze:
„Jesteś zapisany...."

Naraz jakiś turkot
Na drodze się wszczyna.
To z mamusią tatuś
Zjechali po syna.

A pan Haller kończy
Adjutanta słowo:
„Zapisany-ś, ale
Aż na — wojnę nową".

Stanisław Maykowski.

CO TO JEST?

Znajdziesz mnie w każdej minucie raz, w każdym momencie dwa razy, natomiast nie znajdziesz mnie w roku ani w stuleciu.

Odpowiedź: Litera M.

MAGICZNA LICZBA

Jestem połową od dziesięciu, prawie dziesiątką albo szóstką, a naprawdę połową ośmiu.

Jaka to liczba?

Odpowiedź: Zero.

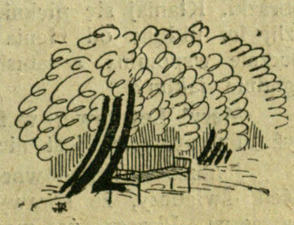

AWANTURA

Pan M. miał psa. Nazywał się Medor. Ot taki sobie pies, bez rasy, ale o nadzwyczajnej inteligencyi. W czasach kiedy chleb sprzedawano tylko na kartki, pan M., któremu racya 800 gramów na tydzień zaledwie wystarczała do żymaczywszy mu więc powód, dla swego wiernego towarzysza. Wytłómaczywszy mu więc podów, dla którego postanowił się z nim rozstać, wziął kapelusz i wyszedł z psem na drugi koniec miasta.

W wędrówce swej spostrzegł pan M. w pewnym domu bramę, zamkniętą sztachetami. Korzystając ze sposobności, wziął psa za kark, wrzucił do środka i uciekł. Następnie, ażeby zatrzeć swe ślady przed Medorem, którego węch był bardzo delikatny, wskoczył do tramwaju i odjechał. Podczas gdy pan uciekał, biedna ofiara wyła żałośnie i drapała do drzwi.

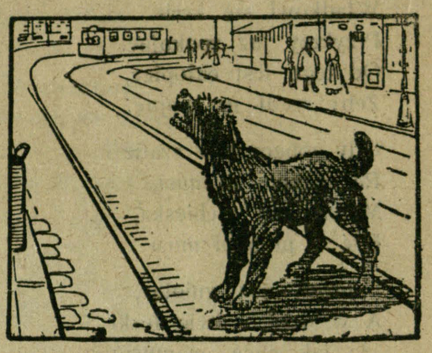

Stróż, słysząc hałas, w obawie szkody pociągnął za sznurek. Drzwi uchyliły się, Medor prześliznął się przez szparę i znalazł się na trotuarze. Natychmiast odkrył ślad swego pana, lecz stracił go wnet w tem miejscu, gdzie pan M. wskoczył do tramwaju. Zdziwiony i zaniepokojny biedny pies zaczął wyć do księżyca, chociaż daleko jeszcze było do nocy, a potem pobiegł na oślep ulicami miasta.

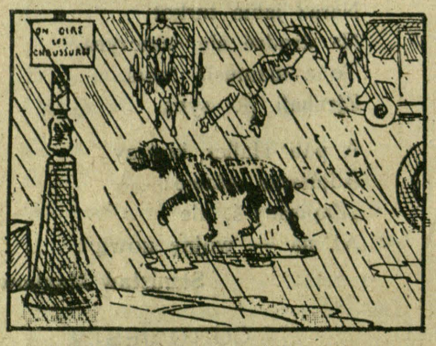

I rozpoczął smutną Odyseję psów bezdomnych. Ośm dni takiej problematycznej egzystencyi zrobiło z psa dobrze pielęgnowanego przez swego pana, stworzenie godne pożałowania. Wychudły do kości, ze spuszczonym ogonem i wywalonym językiem, stanowił uciechę dla policyantów, polujących na tanią pieczeń z rożna.

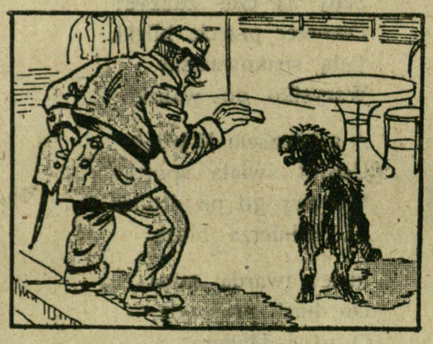

I tak pewnego dnia, policyant widząc Medora w pożałowania godnym stanie, wyciągnął z kieszeni tradycyonalny kawałek cuku i podając go psu rzekł chytrze: Masz tu mój mały dobry cukierek. Medor podniósł już głowę, ażeby pochwycić cukier, gdy nagle przypomniał sobie identyczne sceny, kończące się niewolą i zawachał się przed pokusą.

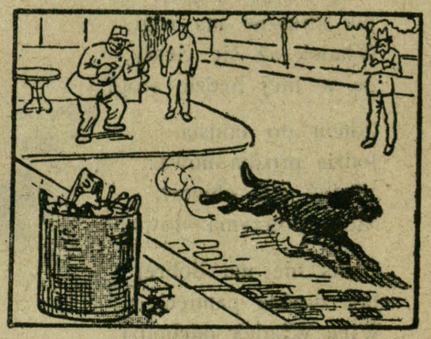

W tej chwili policyant wsunął drugą rękę do tylnej kieszeni swego surduta, aby wyciągnąć z niego to straszliwe lasso, na końcu którego męczyło się już tyle schwytanych bezdomnych piesków. Lecz czujny Medor odwrócił się błyskawicznie i pomknął jak strzała środkiem ulicy.

POCZTA GRZESIA

Karolkowi Mersonowi w Borzewie. Wzruszył nas twój miły liścik z wyrazami uznania dla „Grzesia". Cieszy nas to, że ci się podobały nasze bajki i obrazki. Kłaniaj się pięknie mamusi i tatusiowi i zaszlij im ukłony od Henia Z., który ich bardzo serdecznie wspomina, a tatusia budzi w kolorze... niech zgadnie jakim?

Maryi Lewkower w Krakowie. Moja droga Maryś. Tylko papież jest nieomylnym.

Janince Rotwandównej w Warszawie. Miły twój liścik świadczy, że sprawy „Grzesia" leżą ci blisko na sercu. Piszesz, że masz 9 i pół roku i choć tatuś twierdzi inaczej, nie czujesz się za duża i za poważna na dowcipy „Grzesia". Świadczy to o tem, że masz wesołe i czyste serduszko. Sobieski był to człowiek tęgiej tuszy, więc i na rysunku nie można było zrobić z niego Don Kichota. Z nadesłanych nam miłych wierszyków drukujemy z chęcią dwa pierwsze.

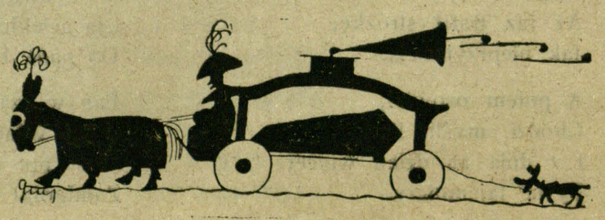

MEDORA

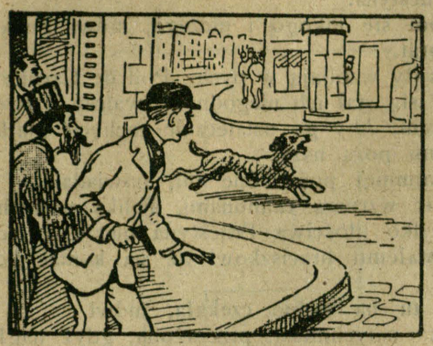

Uciekając tak przed niebezpieczeństwem stał się wnet postrachem mieszkańców, którzy na jego widok uciekali z krzykiem. Kilku jednak odważniejszych puściło się w tropy Medora z rewolwerem w ręku i gdyby nie szybkość pospiesznego pociągu z jaką uciekał, byłby się stał łupem domorosłych myśliwych.

Znalazłszy się wreszcie w ogrodzie zamiejskim, bezpieczny już przed pogonią usiadł Medor na brzegu trawnika i rozmyślał nad złością ludzką, która w każdym widzi wroga. Bo i cóż on temu winien, że padł ofiarą ograniczeń aprowizacyjnych i braku serca swego pana egoisty i łakomca?

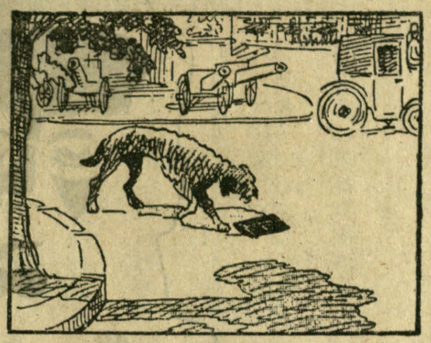

Tak rozmyślając, wstał, otrząsnął się z przygnębienia i rozpoczął nową wędrówkę bez celu. Nagle zatrzymał się przed leżącym na bruku portfelem. Przyuczony do aportowania obwąchiwał Medor długo portfel, pochwycił go delikatnie zębami i pobiegł, wietrząc ślad właściciela.

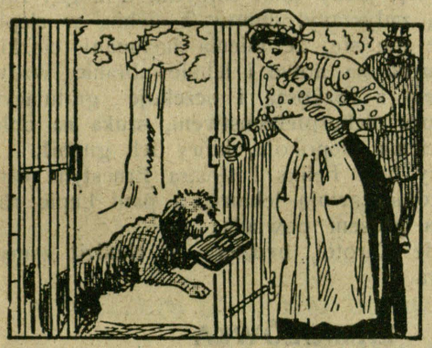

Tymczasem niejaki p. W., powróciwszy z miasta spostrzegł z przerażeniem, że zgubił pugilares z 20 tysiącami koron. Właśnie w tej chwili Medor, dobiegłszy do zamkniętej furtki, począł szczekać głośno. „Rozalio“ krzyknął pan W. „wyrzuć tego psa, którego szczekanie mnie tak denerwuje“.

Rozalia otworzyła furtkę i Medor z pugilarem wpadł do środka. Pan W. poznawszy swą zgubę w pysku zbiedzonego psa, krzyknął ze zdumienia. Przeliczył pieniądze i przekonał się, że nie brakowało ani jednej tysiączki. Uradowany pobiegł do oficyn i sam przyrządził posiłek biednemu cyganowi, któremu zawdzięczał ocalenie swego majątku.

Pan W. postanowił zatrzymać u siebie Medora. Nazajutrz spacerował już Medor ze swym nowym panem, umyty, wyczesany, z wstążką na szyji. Nosek podniesiony w górę, i wypchany żołądek świadczyły, że piesek w nowym domu nie odczuwał więcej ograniczeń aprowizacyjnych.

MOTYLEK

Siada motyl na kwiatku,
Dana moja, dana!
Nie łap-że go w siateczkę,
Dziewczynko kochana.
Niechaj-że sobie buja
Ponad świeżą trawką,
Bo woli być motylkiem,
Niżeli zabawką.

STŁUCZONA LALECZKA

Hejże, Madziu, co się stało?
Patrz, laleczka twa stłuczona!
Główka zbita, brzuch rozpruty,
Jakże to wygląda ona?
Madzia oczom swym nie wierzy,
Stoi, patrzy zadumana,
Kto jej spłatał tego figla?
Przecie się nie stłukła sama,
A to Miluś, kotek mały,
Na figielek ten się skusił,
I laleczkę pazurkami
Łapek swych wnet udusił.
Leży lalka potłuczona...
A i nosek ma zdrapany!
. . . . . .
Czy też Miluś za te figle
Będzie wkrótce ukarany?

PORTRETY CIENIOWE

Podany portret przedstawia znakomitego wodza i oswobodziciela Galicyi wschodniej, Wacława Iwaszkiewicza.

Przepisy do zabawki rysunkowej podane już są w numerze poprzednim „Grzesia" przy identycznym portrecie Ignacego Paderewskiego.

JULES RENARD.

POIL DE CAROTTE *)

KURY

— Zdaje mi się, rzecze pani Lepic, że Honoryna zapomniała zamknąć jeszcze kury.

To prawda. Można się o tem przekonać przez okno. Tam, w głębi wielkiego podwórza, mały kurnik odrzyna się w ciemności nocy czarnym kwadratem otwartych drzwi.

— Feliksie, może pójdziesz je zamknąć? — rzecze pani Lepic do najstarszego z swych trojga dzieci.

— Nie jestem od tego, abym się zajmował kurami — rzecze Feliks, blady chłopak, opieszały i tchórzliwy.

— A ty, Ernestyno?

— Ach, mamo, ja się zbytnio boję!

Starszy brat Feliks i siostra Ernestyna zaledwie unoszą głowy, aby odpowiedzieć. Czytają, bardzo zajęci, z łokciami na stole, prawie głowa przy głowie.

— Boże, jaka ja jestem głupia! — rzecze pani Lepic. Nie myślałam o tem. Poil de Carotte, idź zamknąć kury!

Nazywa ona tak pieszczotliwie swego ostatniego synka, gdyż posiada on włosy czerwone i nakrapianą skórę. Poil de Carotte, który bawi się pod stołem, podnosi się i rzecze lękliwie:

— Ależ, mamo, ja się również boję.

— Jakto? odpowiada pani Lepic, taki duży chłopak, jak ty! to komiczne. Proszę, spiesz się!

— Trzeba go znać; jest uparty jak kozioł, rzecze siostra Ernestyna.

— Nie boi się nikogo i niczego, mówi Feliks, jego starszy brat.

Te pochwały wzbijają w pychę Poil de Carotte'a i bojąc się, by się stał ich niegodnym, walczy z swojem tchórzostwem. Aby go ostatecznie zachęcić matka obiecuje dać mu poza uszy.

— Przynajmniej poświećcie mi, powiada.

Pani Lepic wzrusza ramionami, Feliks wzdycha pogardliwie. Tylko litościwa Ernestyna bierze świecę i towarzyszy małemu braciszkowi aż na koniec korytarza.

— Będę tu na ciebie czekała, mówi.

Ale umyka natychmiast, przerażona, gdyż nagły powiew wiatru przydusił i zagasił płomień.

Poil de Carotte czując gęsią skórkę na całem ciele poczyna trząść się w ciemnościach. Są takie gęste mroki, iż zdaje się być ślepym. Czasem gwałtowny wiatr zawija go, jak zimne prześcieradło i unosi. Czy to nie lisy, albo nawet same wilki szepczą między jego palcami i na policzkach? Najlepiej rzucić się ku kurom na chybił—trafił, głową naprzód, aby przebić mrok. Macając chwyta haczyk drzwi. Kury, wystraszone odgłosem jego kroków, niepokoją się, gdakając na swych prętach. Poil de Carotte krzyczy do nich:

— Cicho bądźcie, przecież to ja! — zamyka drzwi i ratuje się, jakby miał skrzydła u nóg i rąk. Kiedy powraca, zadyszany, dumny z siebie, w cieple i świetle, zdaje mu się, że mienia łachmany ciężkie od błota i deszczu na nowe i lekkie ubranie, wzdycha, prostuje się z rozkoszą i oczekuje gratulacyi, a będąc już poza niebezpieczeństwem, szuka na obliczu rodziców cienia niepokoju, który ich gnębił.

Ale starszy brat Feliks i siostra Ernestyna czytają dalej spokojnie swoją lekturę, a pani Lepic naturalnym swoim głosem powiada:

— Poil de Carotte, będziesz je chodził zamykać co wieczora.

*) **Poil de Carotte** (marchwiana głowa) jest to imią francuskiego małego Grzesia, który urodził się z czupryną czerwoną jak marchew.

ŁAMIGŁÓWKA

Z następujących zgłosek: a — a — ce — cze — dres — im — la — le — li — łów — narz — nicz — pe — ry — si — te — tyk — wa — we — woj — ułożyć 9 słów znaczących: 1) miasto w Galicyi, 2) mieszkanie (odwrotnie), 3) naród w Europie, 4) polowanie, 5) piwo angielskie, 6) gubernator turecki, 7) człowiek gwałtowny, 8) lekarz zwierząt, 9) napis na kopercie. Początkowe litery czytane z góry na dół, a końcowe z dołu do góry dadzą imię i nazwisko generała polskiego.

ROZWIĄZANIE

1. Wojnicz.
2. Alec (cela).
3. Czesi.
4. ółw.
5. Ale.
6. Wali.
7. Impetyk.
8. Weterynarz.
9. Adres.

Wacław Iwaszkiewicz

■■■

ZABAWKA GEOMETRYCZNA

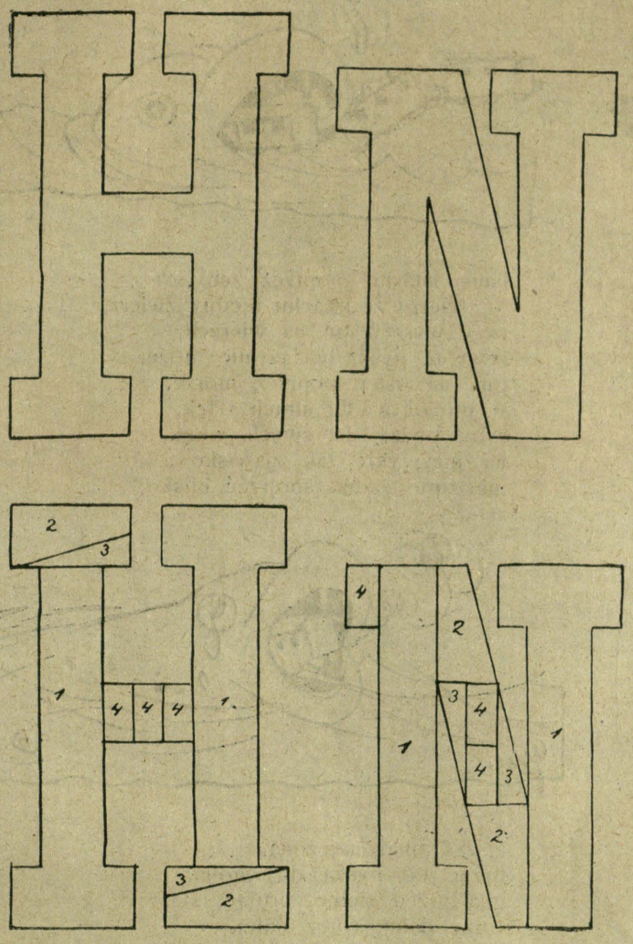

Literę „H“ przez odpowiedni podział na części zamienić na „N“.

STASIO MAGIK

(Bardzo łatwa sztuczka z kartami).

Bierze się talię kart, mięsza się dobrze, a kartę ze spodu zabiera się, nie pokazując publiczności, tylko sam sztukmistrz zapamiętuje ją sobie, (jest to, n. p. dama pik.). I wkłada, ciągle nie pokazując publiczności, n. p. pod lampę, czy pod książkę. Teraz rozkłada się karty wachlarzowato, grzbietem do góry tak, że publiczność nie widzi kart. Wówczas sztukmistrz zapowiada uroczyście:

— Jaś dotknie palcem tej karty, którą zechce. Proszę Jasiu, dotknij damy pik!

Wymienia się kartę, która leży pod lampą.

Jaś uroczyście trzyma palec na innej karcie. Bierzesz ją wtedy z wachlarza, nie obracając do publiczności i n. p. pod stołem patrzysz na nią. Widzisz n. p. dziesiątkę tref. Zatem zapowiadasz nazwę tej karty:

— A teraz Kasia dotknie dziesiątkę tref, proszę!

Kasia ma pod palcem kartę. Tak jak poprzednio, wysuwasz ją i oglądasz ukradkiem. Jestto n. p. król karowy. Na to obwieść:

— Proszę państwa — a tu pod lampą dotykasz się króla karowego i wyjmujesz, znowu nie pokazując karty, tylko grzbiet, z pod lampy ową damę pik z początku tam włożoną. Przekładając karty pod stołem, wyjaśniasz, pokazując teraz zgromadzonym karty:

— Łaskawi państwo, kazałem dotknąć Jasiowi damę pik i oto jest dama pik, Kasi dziesiątkę tref, proszę, co? Sam wydobyłem tu z pod lampą dotykam się króla karowego, nie tak?!

A zdumienie ogarnia wszystkie dzieci.

ODGADYWANIE WIEKU

DO LAT 63.

A	B	C	D	E	F
1	2	4	8	16	32
3	3	5	9	17	33
5	6	6	10	18	34
7	7	7	11	19	35
9	10	12	12	20	36
11	11	13	13	21	37
13	14	14	14	22	38
15	15	15	15	23	39
17	18	20	24	24	40
19	19	21	25	25	41
21	22	22	26	26	42
23	23	23	27	27	43
25	26	28	28	28	44
27	27	29	29	29	45
29	30	30	30	30	46
31	31	31	31	31	47
33	34	36	40	48	48
35	35	37	41	49	49
37	38	38	42	50	50
39	39	39	43	51	51
41	42	44	44	52	51
43	43	45	45	53	52
45	46	46	46	54	53
45	47	47	47	55	54
47	50	52	56	56	55
41	51	53	57	57	56
51	54	54	58	58	57
53	55	55	59	59	59
55	58	61	60	60	60
57	59	62	62	61	61
61	62	63	62	62	62
63	63	63	63	63	63

Oto masz rządki, w których są napisane cyfry od 1 do 63. Rządki opatrzone są literami A, B i t. d. Naklej te rządki na osobne tabliczki, albo co lepiej, przepisz je, by nie niszczyć „Grzesia“. Potem, co najważniejsze, zapamiętaj sobie, że na tabliczce A pierwszą cyfrą jest 1, na B—2, na C—4, na D—8, na E—16, na F zaś 32. Dajesz wtedy tabliczki osobie, której wiek odgadnąć chcesz, n. p. cioci Ludwice i mówisz:

— Proszę cioci, w której tabliczce jest cyfra, oznaczająca ilość lat ciotuni?

A ciocia na to:

— Na tabliczce A i F, Stasiu! Ty w tej chwili dodasz 1 + 32 (bo pierwszą cyfrą tabliczki A jest 1, a F 32) i wiesz już.

— Trzydzieści trzy lat!

Zawsze **odgadniesz liczbę, gdyż ona zawsze stanowi sumę pierwszych cyfr tabliczek, na których jest wypisaną.**

Rzecz naturalna, że zgadywacz musi umieć dodawać w główce, a wszyscy powinni pamiętać, że tak w zabawie, jak i na seryo nigdy się nie kłamie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Alfred Altenberg.** **Czcionkami drukarni Ign. Jaegera, Lwów, ul. Sykstuska 33.**

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж 6852

Legenda o zaginionym pociągu i o strasznej rybie

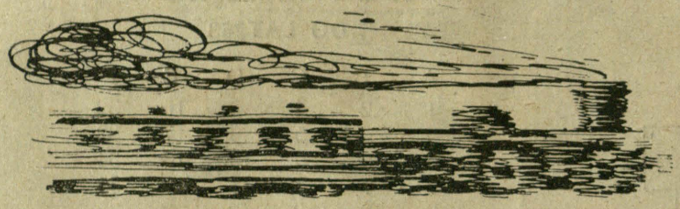

Pociąg wdal co pary jedzie,
nagle patrzy: góra z miedzi...
Cała z grubych kuta płyt,
i w obłokach ginie szczyt.
Gdy dojechał do tej góry
wnet urosły mu pazury
więc się pnie co sił ma wzwyż
— aż wtem góra rodzi mysz...
Od niezwykłej tej nowiny
pod pociągiem drgnęły szyny:

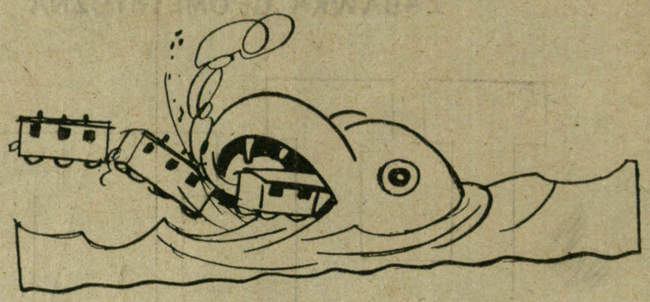

lśnią latarnie poprzez zęby,
— ścierpł ze strachu biedny zwierz,
oczy wyszły mu na wierzch,
zewrzeć pyska wciąż nie może,
gna na oślep poprzez morze,
w morzu wielki strach i lęk,
ryby pędzą do swych wnęk,
na niezwykłe tak zjawisko
nie śmie żadna spojrzeć blisko,

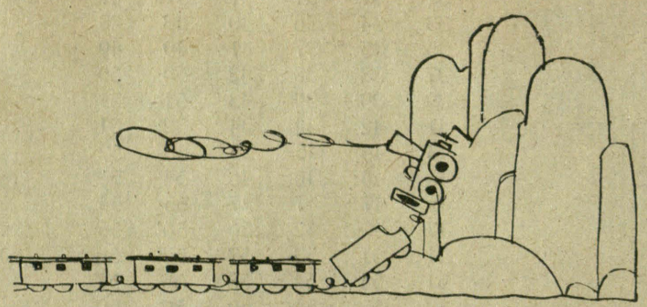

lecz nim zdążył wyrzec, ach,
leci góry cały gmach...
Lecą głazy, lecą skały,
pryska góra na kawały,
— pociąg skręca się przez pół,
z góry szczytu leci wdół,
od rozpędu z pary sykiem
łuk zatacza nad równikiem
— i na morza siny miąższ
spada w skrętach, niby wąż...
Aż tu widzi: ryba długa
strasznym zębem nad nim mruga:

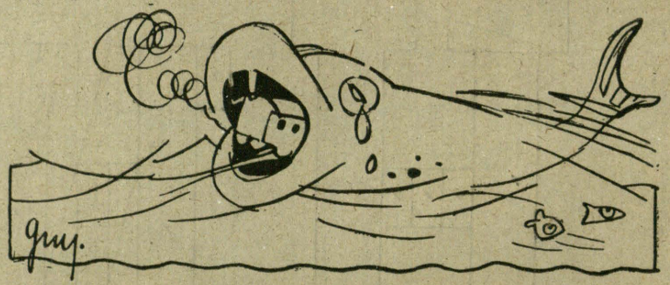

a zaś ona, najeżona,
drżąc od pyska do ogona,
gna przed siebie, prując fale,
coraz dalej, coraz dalej,
poprzez strefy ciepłych mórz
przepłynęła dawno już,
już dopływa do bieguna,
— zórz północnych świeci łuna —
wkoło tylko lód i mech,
nawet niedźwiedź z głodu zdechł

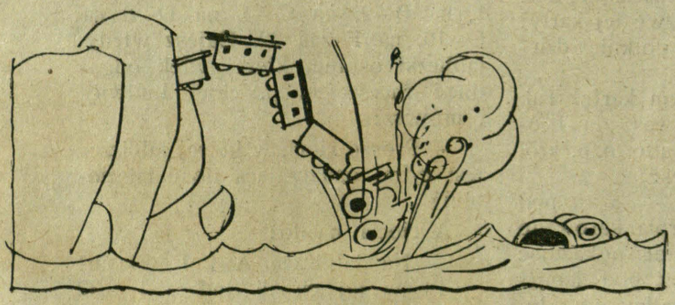

więc w paszczęki rybiej głąb
wjeżdża, zionąc dymu kłąb,
zębów gąszcz na dwoje tnie,
po gardzieli pędzi dnie,
topi w brzuchu skręt za skrętem,
— i już cały znikł ze szczętem...
W rybim brzuchu syk i ruch:
rybi brzuch, jak bania spuchł.
Wbrew swej woli i przyrodzie
ryba na wstecz wodę bodzie,
bo ją wciąż pociągu chód
z wewnątrz pcha ogonem wprzód:
Nad ogonem pary kłęby,

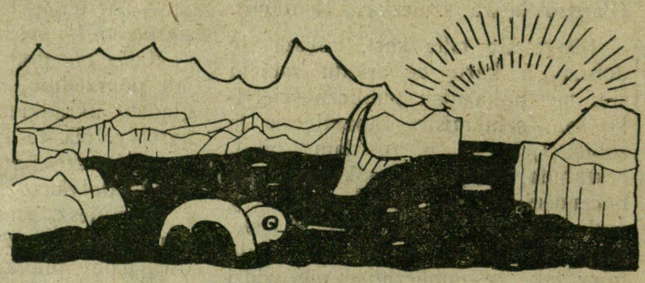

— kraj lodowy i ponury,
zewsząd lodu sterczą góry —
aż do samych niemal chmur
nic nie widać oprócz gór
— jeszcze chwilę, coś tam pluska,
błyska w lodach rybia łuska,
mignął ogon pośród brył,
znowu mignął, znów się skrył
— i tak miga, miga, miga,
ścigać próżna to fatyga,
pewno dawno w lodzie skrzepł....
— gońże sam go, kiedyś kiep.

Emes.

Rok I. 15. października 1919. — Cena Mk. 1·— K 2·— Nr. 9.

GRZEŚ

PISMO·OBRAZKOWE
DLA·DZIECI·OD·LAT·5—80

CIOCIA GUCIA NA WAKACYACH

Lecz choć płacze jak fontanna
I chusteczką ciągle kiwa
Zapomniano o ciotuni
Nikt się z brzegu nie odzywa.
Jeden tylko kuzyn Mrysio,
Konfitury kradnąc z tygla,
Podskakuje aż z radości,

Że dobrego spłatał figla.
Potem związał ogonami
Na podwórzu cztery koty —
Chłopcy bowiem są złośliwi
I wciąż mają w głowie psoty.
Posłuchajcie jakie były
Dalsze Cioci Guci losy;

Uwiązała przedewszystkiem
W jeden węzeł mokre włosy,
Potem ogień rozniecila
Trąc kamyczek po kamyku
I upiekła nad tym ogniem
Tłustą żabę na patyku.
Cicho wszędzie, głucho wszędzie

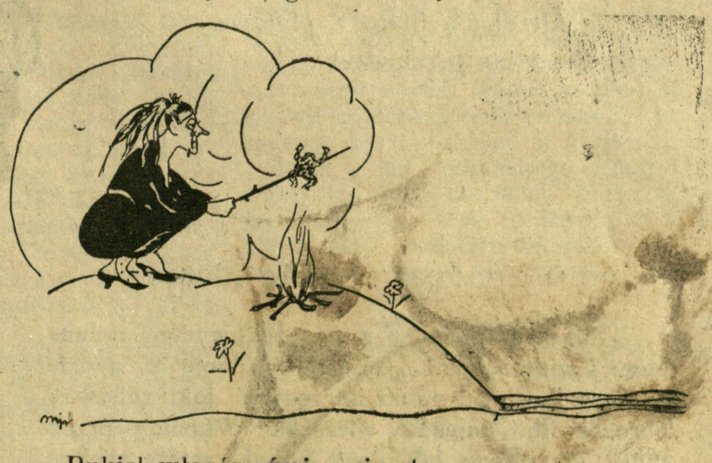

Pukiel włosów śmiesznie sterczy,
Dziwią się w gałązkach ptaszki
Ciocia płacze — żaba skwierczy.
Kiedy żaba się tak piecze
I gałązki suche płoną
Nieobecność Cioci Guci
Wreszcie w domu spostrzeżono.

Mryś się przyznał do wszystkiego
A więc ojciec przerwał wista
I po Ciocię nową łódką
Szle lokaja Ewarysta.
Mryś otrzymał tęgie kije — -
Trzeba kres położyć psocie!
Znalezioną na wysepce
Lokaj wiezie biedną Ciocię.
Ojciec teraz głos zabiera
I tłumaczy rzecz z ostrożna.
Ciocia taka rozłoszczona,
Że dogadać się nie można.
Krzyczy, łaje i strofuje
Wyciągnęła chudą szyje
„Mogłam śmiercią to przepłacić
Bo kto umrze ten nie żyje".
Darmo Mryś się składa czule:
Ciociu droga, słodka, miła.
I na klęczkach błaga z płaczem
By mu winę przebaczyła.

Ciocia Gucia jak widzicie
To zacięta jest niewiasta
Spakowała swoje kufry
I nazajutrz wio do miasta.
Cieszą znowu ją ulice
Swoim gwarem, swoim ruchem —
W mieście bowiem musi mieszkać
Kto prawdziwym jest mieszczuchem.
A że ciocia od tych przygód
Krewnych swoich ma we wstręcie
Więc „Grzesiowi" swój majątek
Zapisała w testamencie.

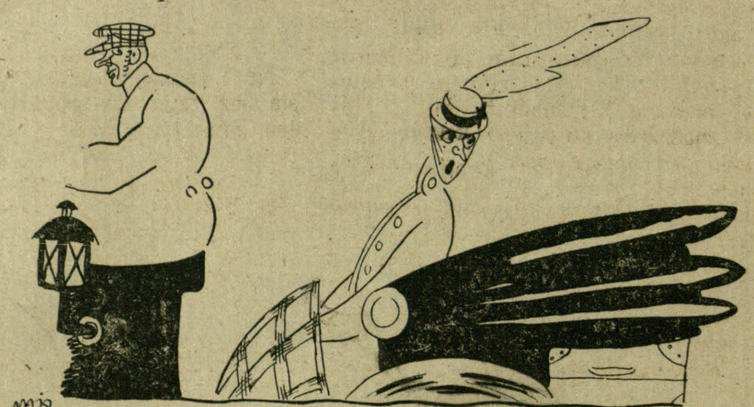

DO MAŁYCH CZYTELNIKÓW „GRZESIA"!

Napewno niejeden z was zachwycony rysunkami i wierszykami „Grzesia" próbuje w godzinach wolnych od nauki narysować jaki zabawny obrazek albo napisać wierszyk. Widzimy przez mury, jak czarne lub płowe główki wasze pochylają się nad stołem a małe rączki wasze błądzą po białym papierze, zapełniając go kreskami lub literami. Kilka już razy przysłaliście do „Grzesia" owoce waszego trudu.

Pragnąc zachęcić was do tej szlachetnej rozrywki i zachować ścisły związek między waszemi duszyczkami a Redakcyą „Grzesia" — zaprowadzamy w jednym z najbliższych numerów „Grzesia" specyalny dział p t. „Twórczość małych czytelników „Crzesia"' któremu poświęcić chcemy jedną stronicę naszego pisma.

A więc żwawo do roboty! Piszcie i rysujcie jak najwięcej i przysyłajcie nam swoje prace jak najprędzej. Najładniejsze wasze pomysły będę reprodukowane w dziale „Twórczość małych czytelników „Grzesia". Jako honoraryum za umieszczoną w „Grzesiu" pracę otrzyma każdy śliczną książkę z obrazkami.

Jeśli którejś z prac waszych nie użyjemy w numerze, otrzymacie w odpowiedziach od Redakcyi wytłumaczenie, dla czego to się stalo. Bo napisać ładny wierszyk lub narysować coś ciekawego jest rzeczą trudną i nie każdemu przyjdzie to tak łatwo.

A więc do roboty kochane leniuszki. „Grześ" czeka z niecierpliwością na owoce waszej pracy

Redakcya „Grzesia".

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6853 П

ANDRZEJ LICHTENBERGER
przetłómaczyła z franc.
W.

PIERŚCIONEK

— No cóż mała żabo? jakże się miewamy? — zapytuje wuj Jan, siedzącą na jego kolanach i bawiącą się łańcuszkiem od zegarka, Zosię.

Siostrzeniczka zwraca na brodate oblicze wujcia swoją różową twarzyczkę, o jasnych, śmiejących oczkach i figlarnych dołeczkach na pucołowatej buzi.

— Czy jesteśmy grzeczni? Zosia wybucha perlistym śmiechem, wyginając przytem chytrze usteczka, kręci się i z poza firanek gęstych blond loków żywemi oczkami przygląda się badawczo twarzom rodzinnej władzy. — Tatuś znaczącem poruszeniem brody daje znak niepewnego przyzwolenia; należy bowiem do tych, którzy wolą raczej usuwać przeszkody niż je powiększać. Ale mamusia — ta jakoś bardzo wymownie chrząknęła, robiąc przytem minę uroczystą.

— Zawsze grzeczna! to za wiele powiedzieć. Czy bowiem może z ręką na sercu zaręczyć wujowi Janowi, że Zosia jest zupełnie grzeczna, łagodna, pilna i staranna?

Podczas tego wybadywania Zosia spuszcza nosek, może z zakłopotania, a może dlatego, aby lepiej śledzić ruchy ręki wuja Jana, którą zanurzył w kieszeni od kurtki, jakby czegoś szukając.

Na Boga, nie posądzajcie Zosi o chciwość. Mogę wam przysiądz, że— z całą szczerością rzuciła się na szyję wujowi Janowi, obsypując go najgorętszemi pieszczotami. Czy nie miała jednak przeczucia, że za chwilę będzie szukał czegoś w jednej ze swoich kieszeni — za to zaręczyć nie mogę.

Gdy mama skończyła swoje uwagi — wuj Jan, marszcząc gęste brwi, rzekł pomrukując:

— Ha! Gdybym był wiedział o tem wszystkiem, może lepiej zrobiłbym, zostawiając pewną rzecz... Jak myślisz żabo?

Zosia zatrzepotała rączkami i śmieje się rozkosznie, protestując:

— Ależ nie, ależ nie!

Przedewszystkiem dziś, była bardzo grzeczna, uważała przy lekcji, daty rocznic umiała wyliczyć na palcach. Może się wujcio chce przekonać? Wprowadzenie wiary chrześciańskiej do...

Wuj Jan czyni gest przerażenia.

Dobrze już dobrze — polegam na zdaniu pani nauczycielki.

A powiedź że mi Zosiu, cobyś ty chciała mieć?

*

Co by Zosia chciała mieć? To też pytanie. Ależ wszystko co jest na świecie i cośkolwiek jeszcze. Zapytajcie się lepiej czego nie chciałaby mieć. Pożąda równie żarliwie, czarodziejskich lalek, lampy Aladyna, automobilu najpiękniejszego w mieście, rożowych cukierków z narożnego sklepiku, złotych rybek, małego pieska, różnokolorowych skrawków papieru itd.

— Nie przypominasz sobie o coś mnie dawniej prosiła, żebym ci przyniósł?

Cóż by to było? Ach tak!...

Zosia przypatruje się bacznie kieszeni wuja z pewnym zdziwieniem.

— Słonia — murzynkę — papugę?

No i jeszcze coś? No ale jeżeli Zosia już tego nie potrzebuje, to wuj Jan zabierze z powrotem...

— O wuju Janie!

Nie można już przedłużać oczekiwania. Było by to za silne na nerwy małej Zosi, która i tak zaczyna zdradzać z niecierpliwienie.

Nareszcie — z tajemniczej kieszeni wuja Jana wynurza się małe pudełeczko, które wręcza swojej małej siostrzenicze. Zosia otwiera drżącemi paluszkami i z okrzykiem zachwytu:

— Och wujaszeczku! Mamusiu!

To nie jest ani murzynka, ani papuga, ani nawet słoń. To rzecz o wiele cudowniejsza. To pierścionek. — Mamusiu pierścionek prawdziwy, złoty z perłami.

Tak moja pani, prawdziwy pierścionek, taki sam jak te, które błyszczą za wystawami jubilerskimi i na palcach różnych pięknych pań. I to Zosia, ta mała żaba będzie posiadaczką. Istne warjactwo.

— Doprawdy Janku, psujesz tego dzieciaka.

Uwaga matki podnosi radość córki do szaleństwa. Zosia rzuca się na szyję wujaszka, który po chwili wydostaje się z tego uścisku cały pomięty, z przekręconym na bok krawatem.

Ale to nie koniec. Czy tylko pierścionek będzie pasował?

Wuj Jan wybrał najmniejszy jaki był w sklepie. Mimo to jest trochę za duży na serdeczny paluszek Zosi. Możnaby go kazać zwęzić... Na wzmiankę o tem Zosia zrobiła oczy takie przerażone.

Rozłączyć się z pierścionkiem! Nigdy. Trzeba tylko nosić go na środkowym palcu.

— Patrz wujku — jak dobrze pasuje. Nawet prawie zamocno wchodzi, tworzy się bowiem dokoła niego obwódka z ciała. Lecz Zosia pcha pierścionek tak szczerze, że przełamuje przeszkodę i oto jest już na swoim miejscu.

— Patrz Wujciu, jak ładnie wygląda. I wiesz, teraz mogę być już pewną, że go nie zgubię.

*

Taka radość potrzebuje wynurzenia. Własny jej zachwyt ani rodziców, a nawet samego wuja Jana — nie wystarcza Zosi. Ona czuje potrzebę podzielenia się swoją radością z starą służbą. Frania — kucharka, z pośród swoich garnków czuje się w obowiązku dorzucić zdanie:

— Teraz panno Zosiu, już jesteś zupełnie piękna!

Marysia — pokojowa oświadcza, że Zosia ma całkiem minę narzeczonej.

Joasia, przydana specyalnie do usług młodej osoby, nie mniej zachwycona jest klejnotem, ponieważ jednak lubi wchodzić w drobiazgi — czyni uwagę.

— Nie powinna była panienka wkładać pierścionka na środkowy paluszek, on jest za mały.

Za mały — pierścionek! Także opowiadanie. Joasia nie rozumie się na niczem. I nie jest to mniemanie samej Zosi, lecz także jednomyślna opinia całego zastępu panien lalek, zaproszonych jedna po drugiej dla wyrażenia swego zdania i — Misia, Bisia, Toto, Ninka nie nużą się bynajmniej oglądaniem klejnotu swemi okrągłemi oczami. A filutce Loli zachciewa się czegoś więcej jeszcze, chętnie spróbowała by wtłoczyć pierścionek na swoją kartonową łapkę — niby branzoltekę.

Zosia — nie umie niczego odmówić swojej faworytce, dla zadowolenia więc jej kaprysu, już chce na chwilę zdjąć pierścionek... Przynajmniej usiłuje to zrobić. Lecz nie jest to rzecz taka łatwa jak się wydawało Zosi i jej laleczce Loli. Nie. Lecz wyobraźcie sobie, że ten pierścionek, który przed chwilą tak łatwo wsunął się na palec, teraz stawia opór.

Możnaby podejrzywać jakieś czary. Napróżno Zosia nim kręci i wykręca na paluszku to w tę to w ową stronę.

Zdawałoby się, że z im większą zaciekłością usiłuje zdjąć pierścionek, tem staje się on jeszcze węższy. A może odwrotnie — paluszek Zosi staje się grubszy. Istotnie przyglądając mu się bliżej widzi Zosia, jak dalece jest spuchnięty i czerwony. Któżby się domyślił, że ten pierścionek, który zaciska się na palcu, jak gdyby go chciał zadusić — mógł przez niego przejść całkiem swobodnie. To jest trochę dziwne i niepokojące. Głosem lekko podnieconym Zosia wzywa przechodzącą, przez pokój Joasię:

— Joasiu, ja chcę zdjąć pierścionek.

Joasia pomrukuje nie chętnie, wzrusza ramionami. Tu nie można nic zrobić. Zosia tak wytermosiła swój paluszek, że podobny jest do kiełbaski parowej, nabrzmiałej w gorącej wodzie. Nie pozostaje nic, jak być cierpliwą. Może wieczorem przy myciu zimną wodą z mydłem pierścionek zejdzie. Głos Zosi staje się bardziej ochrypły.

— A jeżeli i wieczorem nie zejdzie, Joasiu?

A no to trzeba będzie zostawić na palcu — albo można też będzie uciąć palec.

Wypowiedziawszy całkiem zimno ten straszny wyrok — Joasia ulotniła się. Zosia została, jakby wrosła w ziemię, przerażona przyszłością, która ją czeka. — Więc albo będzie wiecznym więźniem tego przeklętego kółeczka, albo utną jej palec! Okropność.

Ze wzmożoną energią Zosia zaczyna na nowo próby usunięcia pierścionka, kręci, szczypie się, kaleczy, poci... Naprożno. Jedynym rezultatem jest to, że nieszczęsny paluszek środkowy stał się z czerwonego fioletowy aż po czubek . paznogcia. Duszony przez obręcz czarodziejską, wyglądał, jak skazaniec. Dwie perły patrzyły z pierścionka na Zosię, niby dwoje mieniących oczu jakiegoś złego zwierza.

I całe życie chodzić i patrzeć na taki palec? Raczej umrzeć! A więc trzeba będzie go uciąć. Jak? Czem? Nożem, siekierą, szablą czy może maszynką do krajnia chleba? Straszna konieczność.

Nagle wuj Jan, tatuś i mama zadrżeli z przerażenia, bo oto Zosia jak bomba wpadła do salonu z wrzaskiem, przerywanym łkaniem.

— Mamusiu, mamusiu, już wolę, aby mi go odcięli zaraz.

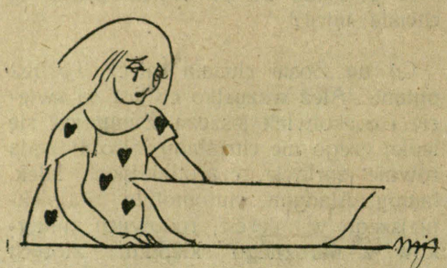

Ogólne zdziwienie. Urywane pytania. Niewyraźne i jąkające odpowiedzi. Wykrzykniki podziwu. Próżne pocieszenia. Napomnienia i wymówki. Dręczony wyrzutami wuj Jan pośredniczy i łagodzi sprawę. Przynoszą: mydło, miednicę z zimną wodą, zanurzają małą wymęczoną rączkę, masując ją umiejętnie. Łzy jedna po drugiej spływają po policzkach Zosi-męczennicy.

To nigdy nie zejdzie... nigdy!

Wtem niespodzianie Zosia odetchnęła głęboko, jakby pozbyła się wielkiego ciężaru. Oto jest. Nie wiedzieć jak i kiedy fatalny pierścionek zsunął się z paluszka. Oto leży teraz niewinnie na dłoni mamusinej. Z zachwytem i radością patrzy teraz Zosia na swój paluszek opuchnięty i czerwony, lecz — wolny. Hurra!

Wszyscy dokoła odetchnęli swobodnie. Zosia naturalnie staje się przez chwilę przedmiotem żartów i docinków, które jednak przyjmuje za dobrą monetę. Uspokojony wuj Jan zrzędzi potroszę.

— Poczekaj żabo, jeżeli ja spełnię kiedy twoje polecenia.

Zosia z twarzyczką wilgotną jeszcze od łez niedawno wylanych, głosem drżącym ze wzruszenia, ale już z minką filuterną, drwiąca ze wszystkich, zarówno jak z siebie samej odpowiada z półuśmiechem:

— Wiesz wuju Janie! Na przyszły raz przyniesiesz mi wypchanego słonia. Z nim nie będzie takich historyi — nieprawdaż?

PAWIE PIÓRKA

(BAJKA)

Po podwórzu chodził śliczny paw. Był bardzo dumny i z nikim nie chciał się zadawać.

Z początku ptactwo bardzo się tem martwiło, ale potem przestało. Zauważono bowiem, że choć paw ma piękny ogon, ale szpecą go przebrzydłe nogi; śpiewa zaś tak szkaradnie, że nawet żóraw od studni ładniej od niego skrzypi.

Razu jednego pomyślał sobie kogut:

„Mam głos daleko piękniejszy, niż ten dumny paw; nogi moje również nie są takie brzydkie. Gdybym posiadał taki wspaniały ogon, byłbym najwspanialszym ptakiem na świecie, może nawet rajskim ptakiem!“...

Zaczął się tedy rozglądać, czy nie udałoby się zdobyć pawiego ogona. A właśnie tego dnia służąca okurzała na ganku rozmaite drobne sprzęty miotełką, zrobioną z pawich piór.

„Doskonale“ — zawołał kogut.

Założył sobie na szyję sznurek od tej miotełki i dalej ciągnąć ją za sobą po podwórzu.

„Muszę teraz przepysznie wyglądać!“... — dumał, mrużąc z zadowolenia oczy.

Kwoka i gęś, spotkawszy tak ustrojonego koguta wytrzeszczyły oczy.

— A co! Pięknie wyglądam, nieprawda?... — rzekł, mijając zdumione damy. — Czyż nie jestem rajskim ptakiem, jeszcze wspanialszym od pawia!

— Nie — odrzekła prostoduszna gęś — jesteś kogutem z miotełką na grzbiecie.

POCZTA GRZESIA

Dzidzi z Zakopanego.

Dwa bardzo dowcipne rysunki twoje pt. „Smutny koniec cioci Guci“ otrzymaliśmy. Jak się dowiesz z tego numeru „Grzesia“ zaprowadzimy wkrótce osobny dział dla twórzości naszych małych czytelników. Tam znajdą umieszczenie twoje rysunki. Swemu braciszkowi Bdylowi kłaniaj się od „Grzesia“ i powiedz mu, że listu od niego nie otrzymaliśmy.

Autorowi historyi pt. „Jak to ludzie odkryli księżyc“. Jesteś bardzo dowcipny i sprytny. Rysunków jednak umieścić nie możemy, bo są robione bladym ołówkiem więc niemożliwe do reprodukcyi. Przyszlij nam jakiś rysunek piórem lub tuszem i napisz, jak się nazywasz i ile masz lat.

SZALONY ARTUR

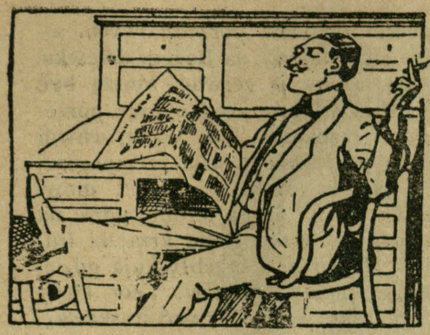

Pan Maillochet był właścicielem instytutu polewania ulic w Paryżu. Pan ten uważałby się za najszczęśliwszego człowieka na świecie, gdyby nie syn jego Artur, który był największym pod słońcem leniuchem. Dniami całymi rozpierał się w biurze ojcowskiem, czytając jedynie w dziennikach wiadomości „o wyścigach". Wkrótce umarła pani Maillochot i Artur odziedziczył pół miliona fr.

Po dwuch latach używania zostało z całego majątku zaledwie wspomnienie, Co miał począć? Z czego żyć? Posprzedawał swe klejnoty i ubrania a w końcu daremnie wywracał kieszenie. Nic ani centa! Psi głód wywracał mu wnętrzności. Przyciśnięty biedą zwrócił się do ojca, którego nie widział od dnia otrzymania spadku, z prośbą o pomoc. „Drogi chłopcze" odrzekł p. Mailochet

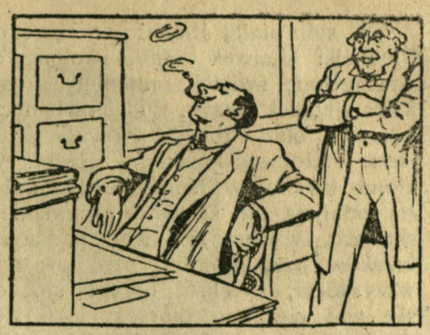

„zwracam ci miejsce, które dawniej zajmowałeś w mem biórze i daję ci miesięcznie 200 franków. Jeśli ci się to podoba, przyjdź jutro rano o zwykłej godzinie".

Synalek zgodził sią na to, obiecał pracować przykładnie i poprosił o 100 franków zaliczki. Przyszedł wprawdzie nazajutrz, lecz wałkonił się jak za dawnych czasów. Znowu leżał w krześle

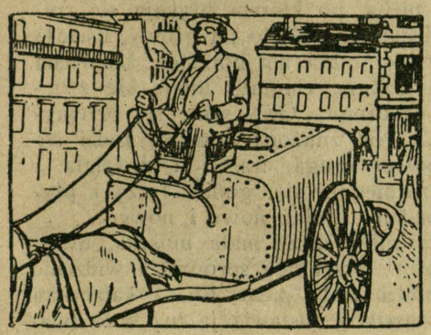

palił papierosy i myślał o hulaszczo spędzonych dwu latach. Ojciec pienił się ze złości i groził mu wydziedziczeniem. „Papo", rzekł pewnego razu Arturek. „Chciałbym pracować na świeżem powietrzu". „Od jutra możesz polewać ulice" odrzekł ojciec.

„Co za rozkosz, będę mógł więc powozić" wykrzyknął Artur radośnie. Myślę że uda mi się to świetnie i będziesz

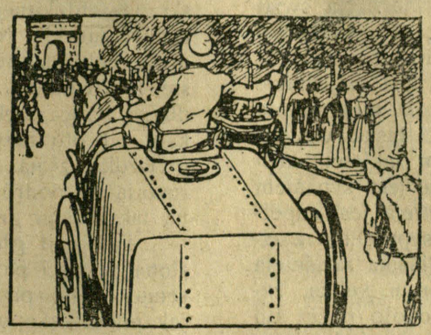

ze mnie zupełnie zadowolony. Ogolę się tylko by mie nie poznano i wio!"

Nazajutrz siedział Arturek dumnie na beczce do polewania.

Polał już kilka ulic i znajdował się ze swą beczką na Polach Elizejskich. A była to pora dnia w której pięknie ubrani Paryżanie wychodzili na spacer do lasku bulońskiego. Zazdrośnie spoglądał na nich Artur i przypomniał

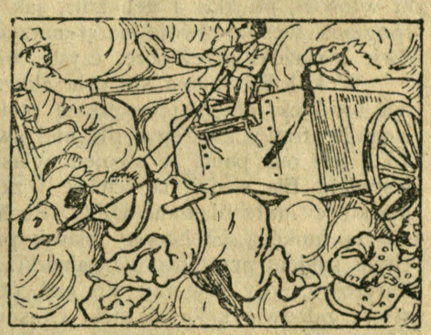

sobie swoje dobre czasy, kiedy sam rozbijał się po mieście w ładnym powoziku. Pełen goryczy i złości uderzył konia batem.

Stary koń zadrżał radośnie i puścił się w cwał przepełnioną pojazdami ulicą. Beczka skacząc oblewała przechodniów, powozy i samochody. Nie oszczędziła nawet srogiego policjanta. A Arturek królując na beczce promieniejący rozda-

wał ukłony na prawo i na lewo.

Nikt mu ich nie oddawał, lecz on tego nie widział. Biedne konisko gnało co sił. A był to dawniej koń wyścigowy.

Przyjeżdżali właśnie pod Bramą Zwycięstwa, gdy w tem nagle koń padł nieżywy. Artur zakreślając potężny łuk w powietrzu znalazł się ogłuszony na bruku.

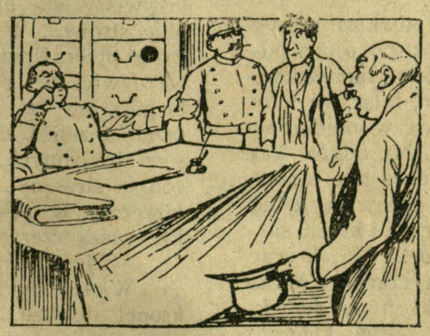

„Gdzie tak pędzisz warjacie," zapytał policjant nawpół przytomnego Arturka. „Jechałem na gumach w aleje" odrzekł Artur.

Policjant odprowadził go do komisarjatu. Komisarz zaś widząc błędny wzrok Arturka, posłał go do szpitala więziennego. Przy pomocy zimnych kąpieli, wróconо mu przytomność. Rozgoryczony ojciec, którego wezwano do chorego wziął

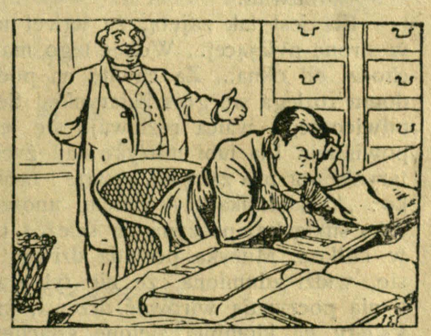

synka na stronę i oświadczył mu, że wyśle go do domu poprawy, jeśli nie zabierze się do uczciwej pracy. Przerażony i skruszony synalek przysiągł na siwe włosy ojca, że będzie odtąd uczciwym człowiekiem. Słowa dotrzymał i w czasie zajęć nie czytał gazet, nie palił papierosów lecz pracował uczciwie. Poprawę swą zawdzięczał biednemu nieżywemu koniowi.

ELA W OGRÓDKU

(Obrazek w słońcu)

U stóp białej ścianki parterowego domku, ogródek. Niewielki skrawek ziemi, okolony dookoła zielonemi sztachetami; światek zamknięty w sobie i skończony. Kilka grządek jarzyn, poprzerzynanych białemi ścieżkami... Po obu stronach głównej ścieżki przypadły do ziemi rozłożyste krzaki porzeczek... W środku okrągły klomb kwietny ze lśniącą czarną kulą szklanną, w której odbijają się zabawnie wszystkie przedmioty... Na skrajach, wzdłuż zielonego parkanu, kilka większych krzaków bzu, jaśminu, parę sosenek i górujące nad wszystkiem, strzeliste łodygi słoneczników, uginające się pod ciężarem olbrzymich, żółtych kwiatów... — w zepsutej rynnie domu ćwierkają wesoło wróble... Z pogodnych, błękitnych przetworów nieba spływa na ziemię żar słoneczny... Powietrze rozgrzane drży i wibruje...

Oto wszystko.. Nie, nie wszystko... zamknięciem najpiękniejszem skończonego w sobieobrazka jest Ela, trzyletnia dziewczynka, która jak kolorowa, ruchoma plama odrzyna się od białego tła ścieżki. Zabawna, drobna, żywa laleczka w różowej sukience, w białych pończoszkach, w żółtych buciczkach, które wyglądają raczej na zabawkę niż na buciki. Wokół okrągłej główki spływają miękko na ramiona złociste, kręcone kędziorki włosów, miękkie i delikatne, jak jedwab.. Na świat spogląda wesoło dwoje ocząt-marzydeł, dwa bławatki, dwie gwiazdki przeźrocze, czyste, błękitne...

Wokół Eli skupia się cała akcya... Dla niejistnieje ten ogródek, dla niej ćwierkają ptaki, dla niej szumią cichutko trawy i drzewa, dla niej świeci łaskawe słonko... Jest ona panią w swojem własnem zaklętem królestwie... Ela siedzi na ścieżce i zajęta jest sypaniem piasku w małe blaszane kubki. Pochłonięta jest zupełnie tą funkcyą. Srebrzysty piasek przesypuje się z cichym sykiem przez drobne paluszki... Piąstka zaciśnięta kurczowo, gdy otworzy się nad otworem kubka, zawiera zaledwie kilka ziarnek. Czasem około nóżki Eli ukaże się czarny ruchomy punkcik... to mrówka, wygrzebana z piasku, umyka przed nieznanym olbrzymem.

Wówczas dziewczynka zaprzestaje zabawy, pochyla się i śledzi ruch owada z zaciekawieniem, niepozbawionem śladu obawy. Usteczka wymawiają słowo: „gaga...“ Przetłumaczone na nasz język znaczy to „gad...“ Od czasu do czasu w otwartem oknie ukazuje się głowa matki i słychać następujący dyalog:

— Elu!

— Cio?

— Co ty robisz?

— Bawim.

Ela jest tak zajętą, że nawet nie odwraca głowy w stronę pytającej... Wobec tego mama uspokojona odchodzi od okna... Za chwilę na podwórku sąsiedniego domu rozlega się głos katarynki... Senne, fałszywe tony odwiecznego walca rozlewają się leniwo w omdlałem powietrzu. Ela lubi muzykę nad życie... Na odgłos katarynki porzuca zabawę, wstaje i mówi do siebie cichutko: „kankaminka“. A potem, unosząc zabawnie jedną ręką sukienkę, poczyna na ścieżce tańczyć i kręcić się w kółko... Muzyka posiada dziwną moc... Ela, kręcąc się, widzi zdumiona, że nie tylko ona tańczy... Wraz z nią poczynają wirować drzewa, krzaki, biały domek, kwiaty na klombie, zielone sztachety... Więc klaszcze w dłonie, śmieje się srebrnym głosikiem i woła uradowana.:

— „Kankaminka! kankaminka!“

Potem, drepcząc zabawnie po ścieżkach malutkiemi stopkami, wyrusza na zwiedzenie ogródka... Nęci ją gąszcz krzaków porzeczkowych i cały nieznany jej świat po tamtej stronie... W pewnem wolniejszem miejscu wciska się między gałązki, rozchylając je rączkami. Niewielki krzak zakrył ją całkiem swojem listowiem. Ela podnosi główkę i widzi wszędzie dokoła siebie różowe świecące kuleczki owoców porzeczkowych. — Wiszą one tak ładnie, jak cukierki na Bożem drzewku. Ręka sama wyciąga się, ażeby je zerwać. Muszą być słodkie i dobre. Ośmielona wkłada prędko parę porzeczek do buzi i rozgryza ząbkami, lecz w tej chwili twarz jej wykrzywia się pocieszne a usta czemprędzej wypluwają kwaśny i cierpki owoc... „Pecze“ mówi Ela poważnie i przeciska się na drugą stronę, gdzie na kilku grządkach rozsiadły się nizko gęste krzaczki truskawek. Wśród ciemnej zieleni liści przebłyskują gdzieniegdzie różowe, nęcące plamy owoców. Lecz kiedy Ela zbliża się i wyciąga rękę, ażeby zerwać truskawkę, znika ona wśród jednolitego tła zieleni.

Słońce pali.... omdlałość rozlewa się w powietrzu.. Ela jest znużona i śpiąca... Więc wsuwa się między gąszcz truskawek, wynajduje sobie wygodną jamkę między dwiema grzędami i kładzie się na ziemię, podkładając piąstkę pod głowę... Jest jej chłodno i zacisznie... Nad głową jej rozciąga się baldachim listków nieruchomych i wilgotnych. Promienie słońca nie dochodzą do tego miejsca. Śledzi przez jakiś czas poplątaną, dziwną gąszcz gałązek... w jednem miejscu otwiera się jakby małe okienko... widzi przez nie skrawek błękitnego nieba, po którem błąkają się srebrne chmurki... Na listku, tuż około jej głowy, usiadła mała, ceglasta biedronka... Ela nie boi się... uśmiecha się zadowolona... A srebrne chmurki tulają się z jednego końca nieba na drugi... Oczy same się przemykają.. I oto dziwo... Pod znużoną powieką rodzi się gwiazdka złota... potem druga, trzecia i dziesiąta ... ruszają w podróż, rozbiegają się, gonią, łączą i płyną tak całemi gromadami, wciąż nowe i nowe...

Tuż nad głową Eli brzęczy mała muszka, uwięziona w sieci pajęczej... Brzęk ten sprowadza widzenie senne... Oto przychodzi mały pając Eli, z katarynką jak pudełeczko od zapałków, ustawia ją tuż koło twarzy dziewczynki i stroiąc pocieszne minki poczyna grać.. Na dźwięk ten przybiegają kwiatki z klombu: drobniutkie siostrzyczki-stokrótki, braciszki-fijołki, pękata ciotka rezeda, smutne bratki z aksamitnemi oczami... na małym skrawku ziemi przed katarynką ustawiają się kołem i wziąwszy się za ręce rozpoczynają taniec... Ukryta pod krzakiem pokrzywy mała żaba otworzyła wyłupiaste, zdziwione oczy i przypatruje się zabawie... Pając przytupuje buciczkami i zanosi się od radosnego śmiechu... A wesołe stokrótki, smutne bratki, skromne fijołki wiją się i kręcą w takt muzyki... Czapeczki powykrzywiały się im od tańca, główkami potrząsają na obie strony... W tej chwili żaba z pod krzaku zakrzeczała przeraźliwie: „pan Ham!“ i znikła w gąszczu... Na dźwięk ten rozplata się taneczne koło i kwiaty rozbiegają się w pospiesznej ucieczce... Rozchylają się krzaki i zbliża się powolnym krokiem on, ten postrach serc dziecinnych, zjadacz młodych ciał, nigdy nienasycony i straszny... Na głowie rożki, w ustach czerwony języczek, w ręku rózga i łańcuchy... Podchodzi do Eli, rusza czerwonym językiem i kłaniając się mówi:

— Jestem pan Ham!“

W tej chwili na twarz Eli spada kilka ciepłych kropel deszczu... Budzi się więc, otwiera oczy... dookoła rozlega się jednostajny szum. Niebo i ziemia połączyły się strunami deszczu... Już cała sukienka Eli i twarz jej ociekają wodą... lecz nie podnosi się, bo ciepła ta kąpiel po upalnym dniu bardzo jej smakuje... W tej chwili silne ręce mamy unoszą ją z ziemi i głos niespokojny pyta słodko:

— Elu... coś ty tam robiła na ziemi?.

Dziewczynka odpowiada całkiem poważnie:

— Robiłam lulu.

Henryk Zbierzchowski.

SYLWETKI

Sylwetkami nazywamy rysunek, wyobrażający cień człowieka lub jakiegokolwiek przedmiotu, otrzymany przez wypełnienie konturów farbą czarną. Nazwa ta pochodzi od francuskiego generalnego kontrolora i byłego ministra finansów **Etienne de Silhouette** (ur. 5. lipca 1709, um. 20. stycznia 1767), który około roku 1757 sztuką rysowania sylwetek się zajmował. Ze stanowiska artystycznego sylwetki nie mają wiele wartości, chociaż i w tym kierunku wyrobiło się kilku zdolnych rysowników n. p. Konewka i inni. Sylwetki mogą mieć znaczenie jedynie tylko dla fizyognomistów tj. badaczy i znawców usposobienia ludzi z rysów lub składu twarzy. Te czarne, ostrymi rysami zrobione profile twarzy zastępywały dawniej dzisiejsze fotografie, za nim ta sztuka została wynaleziona, rozwinięta i udoskonalona. Ażeby sywetka odpowiadała swojemu założeniu, powinien profil twarzy, być zrobionym przez środek twarzy tj. przez środek czoła, nosa, ust i brody.

Rysowanie sylwetek nie należy do trudności. — Oto na ścianie rozwiesza się arkusz białego papieru i między tym papierem a światłem ustawia się osobę, której sylwetkę chcemy zrobić. Cień rzucony na papier należy dokładnie odrysować ołówkiem i sylwetka w naturalnej wielkości będzie gotową. Im bliżej głowa będzie powierzchni papieru, a im dalej światła, tem ostrzejszy, czarniejszy i dokładniejszy będzie obraz cieniu. Rysunek naturalnej wielkości, któryśmy otrzymali, pomniejsza się następnie zapomocą pantografu lub kwadratów.

Ażeby cień padał wyraźny, bo trudno głowę utrzymać w spokoju i nieruchomo, dobrze jest oprzeć ją o jaką stałą podporę. Czasem już samo za silne bicie pulsów czyni rysunek chwiejnym i niepewnym. Podając te warunki spodziewamy się, że nie jeden z czytelników zechce zrobić cieniowe portreciki swoich braciszków, siostrzyczek lub przyjaciół. Jako okaz podajemy wam sylwetki dwóch sławnych ludzi: Paderewskiego i Mickiewicza.

Fr. B.

■ ■ ■

REBUS

Rozwiązanie Rebusu umieścimy w następnym numerze

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.

Ж 6852

BOHATERSKIE PRZYGODY PAJACA I LALKI

I.

Rysunki i wierszyki J. Ostrowskiej.

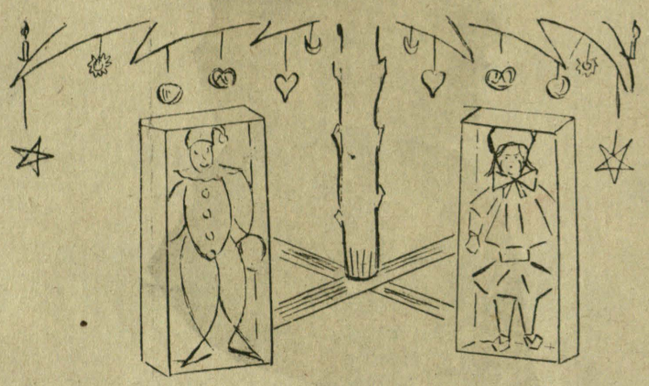

Pod choinką w dzień Wigilii
Pierwszy raz się zobaczyli.

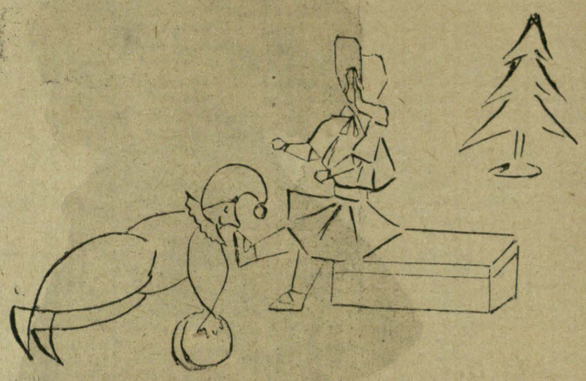

On padł plackiem w blasku świeczek
I całował jej trzewiczek.

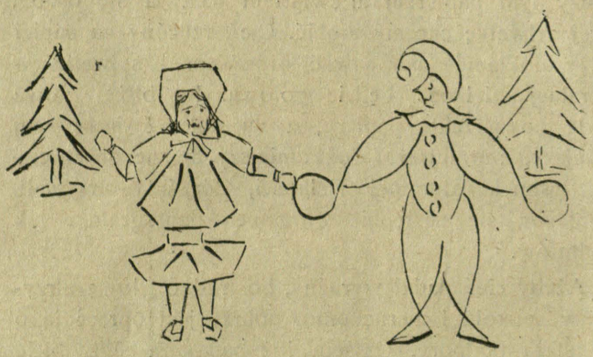

Nastąpiła prędko zgoda:
Ślub brać będzie para młoda.

Poco długie ceregiele?
Jadą konno na wesele.

Do kościoła droga zmierza
Przez bór dziki, pełny zwierza.

Tam za drzewem niedźwiedź czeka,—
Porwał lalkę i ucieka.

C. d. n.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg. Czcionkami drukarni Ign. Jaegera, Lwów, ul. Sykstuska 33.

Rok I. 1. listopada 1919. — Cena Mk. 1·— K 2·— Nr. 10.

GRZEŚ

PISMO OBRAZKOWE DLA DZIECI OD LAT 5—80

KUBUŚ i BUBUŚ

(GRZESIA ZE „SZCZUTKA")
CZĘŚĆ II.

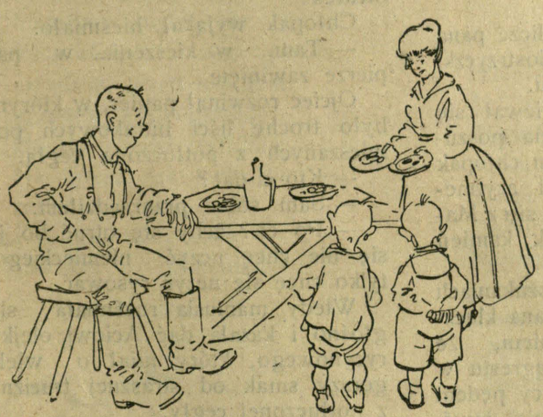

Pan Grześ z żoną swą Grzesiową
Mieli piękny dom i sługi.
Chłopcy się chowali zdrowo
Jeden Kubuś, Bubuś drugi.

— „By mamusia tu spokojne
Chwile miała dniem i nocą
Biorą was z sobą na wojnę
Kubuś z łukiem, Bubuś z procą!".

Gdy tak u domowej grzędy
Siedzieli raz przy obiedzie
Przyszedł rozkaz od komendy:
Niech Grześ znów na wojnę jedzie!

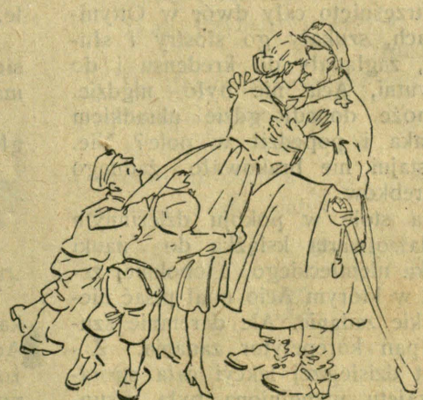

— „Wracaj zdrów, mój Grzesiu miły
Daję ci na drogę gruszek" —
A chłopaki z całej siły
Ciągną matkę za fartuszek.

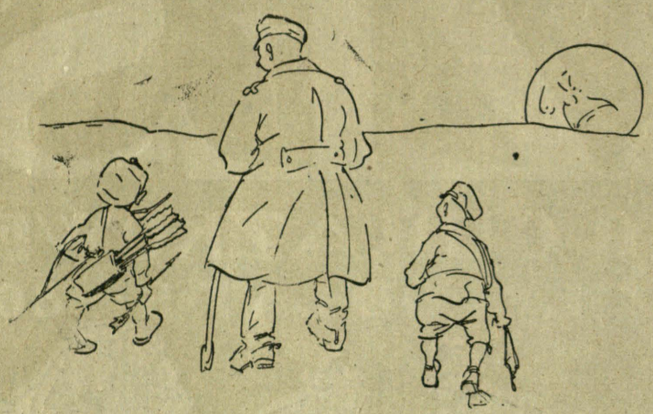

Poprzez lasy, poprzez trawy
Poprzez pola i zagony
Jdą. Kubuś z procą z prawej
Bubuś z łukiem z lewej strony.

Pośród różnych zajęć wielu
Niema jednej wolnej chwili.
Bardzo często też do celu
Chłopcy strzelać się uczyli.

PRZYGODA ACIA

(Z ŻYCIA ARTURA GROTTGERA)

Na ścianie w stołowym pokoju wisi dużo smutnych obrazków, o których dzieci dużo słyszały i wiedzą że to jest cykl Artura Grottgera p. t. „Lituania".

— Mamusiu — mówi Andzia — mnie bardzo żal tego pana Grottgera.

— Dlaczego ci go żal, dziecko?

— Bo musiał być taki smutny, bardzo smutny, jak te jego śliczne obrazy.

Mamusia uśmiechnęła się.

— Nie dziecko, pan Grottger nie zawsze taki smutny, jako mały chłopak był takim wisusem, jak ty.

Chłopakowi roziskrzyły się oczy.

— Takim samym?! Mamusiu opowiedź mi coś o tem. **Wtedy** mamusia zaczęła opowiadać.

... Mimo najgorliwszych poszukiwań nie można było Acia znaleść Przetrzęśnięto cały dwór w Ottyniowcach, szukały go siostry i służące, zaglądały do kredensu i do drewutni, Acia nie było nigdzie. A może dopadł gdzie ukradkiem źrebaka i popędził w pole? Nie. W stajni nie brakowało żadnego ze źrebków.

Na stole w pokoju dziecinnym leżała otwarta książka do nauki języka niemieckiego, a obokniej zeszyt, w którym Acio miał pisać niemieckie zadanie. Ale daremnie szukał pan korepetytor zadania. Zamiast dzisiejszej lekcyi cała stronica kajetu wypełniona była rysunkami, u góry biegały źrebaki, podobniusieńkie, do tych, które stoją w stajni, u spodu rozpoznać można było łatwo surowe oblicze pana Grottgera i buzię małej siostrzyczki Acia. Ale zadania ani śladu.

Pan korepetytor rozgniewał się bardzo i także poszedł na poszukiwanie Acia. Co sobie ten chłopak myśli! wczoraj nie umiał arytmetyki, od rana przekomarzał się z Manią, a teraz przepadł jak kamień w wodę.

Nareszcie! Po długich szukaniach przybiegła z ogrodu zdyszana klucznica wołając z przerażeniem, że Acio leży pod krzakiem agrestu w ogrodzie bez życia. Wszyscy pędem zbiegli do ogrodu, mamusia, tatuś, pan korepetytor i służba. Boże, Boże, co się temu Aciowi stało?

Pod krzakiem agrestowym zaszyty w gęstowie leżał Acio blady, z zamkniętemi oczyma i mimo krzyku i nawoływań nie ruszał się wcale.

— Aciu, dziecko drogie, co ci się stało? zawołała drżącym głosem mamusiu.

A wówczas chłopak smutnym głosem odpowiadał:

— Dajcie mi spokój. Umarłem.

— Aciu, co to znaczy, wstawaj raz, co tu robisz?

— Nie ruszajcie mnie, jestem otruty i już nie żyję.

Mimo tych zapewnień mamusia kazała klucznicy i furmanowi zanieść Acia natychmiast do dworu. Położono go na łóżku i rozebrano, ale pokazało się, że chłopakowi właściwie nic nie brakuje. Mimo to mówił on ciągle: Jestem otruty!

Wtedy ojciec rozgniewał się na wisusa i rzekł gniewnie.

— Powiedź mi zaraz, czem się otrułeś?

Chłopak wyjąkał nieśmiało.

— Tam... w kieszeni... w papierze zawinięte...

Ojciec rozwinął papier, w którym było trochę liści burakowych pomieszanych z potłuczoną cegłą.

— Kto ci dał?

— Sam sobie przyrządziłem.

— Po co? żeby się otruć bo ja się nie chcę uczyć niemieckiego, tylko chcę się uczyć rysować.

Wtedy mamusia rozśmiała się głośno i kazała dać Aciowi olejku rycynowego, który miał o wiele gorszy smak od strasznej trucizny z potłuczonej cegły.

Co się potem stało, tego wam nie powiem. Tatuś zawołał Acia do gabinetu, odbyła się tam długa, bardzo długa konferencya, ale jaka.... nie powiem. Acio zrozumiał, że postąpił nierozsądnie a także, że można się uczyć rysować, ale nie zaniedbywać innych przedmiotów. I postanowiłnie truć się już nigdy więcej proszkiem ceglanym. Uczył się pilnie, a każdą chwilę wolną poświęcał ukochanym rysunkom.

Wszystko co żyło w Ottyniowcach było już sportretowane w kajecie Acia: konie, krówki, pługi, brony, klucznica, fornale, pastuch i nawet gęsiarka.

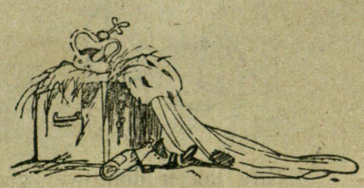

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6332 п

BOĆKI NIEUKI

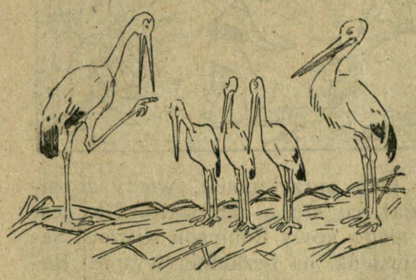

Było pod koniec lata,
więc rzecze Bocian-tata:
„Kochane bocianięta,
niech każde z was pamięta
że odlot zbliża się:
leniuchom będzie źle.
Kłopotów nie chcąc potem,
urządzim przed odlotem
egzamin z geografii:
kto do Afryki trafi?...
Nie wiesz, jak lecieć tam —
zostaniesz tutaj sam".
Mama na gnieździe stała
i — „tak-tak" — klekotała.

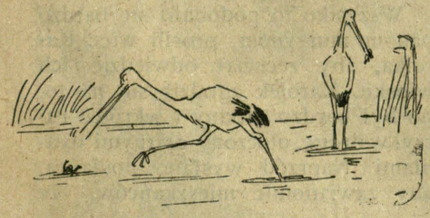

Ale dzieci bocianie
myślą sobie: „Gadanie!
toć jeszcze dni gorące —
można skakać po łące;
rodzice straszą nas,
na odlot jeszcze czas".
A więc w ciągłej zabawie
tylko brodzą po stawie:
do nocy od świtania
na żaby polowania.
Choć w innych gniazdach już
badano przestrzeń mórz,
boćki słyszą to, ale
powiadają: „Kowale"!

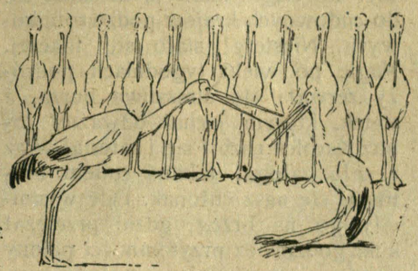

Nadeszło lotów święto.
Już gniazda wyprzątnięto.
Zleciały się bociany,
wiecują śród polany.
Wtem szepnie siostrze brat:
„Spójrz, sam profesor siadł".
Nałożył okulary
profesor, Wojtek stary...
Bocianki strach przenika.
„Mów: gdzie leży Afryka?"...
„Na ścianie, proszę pana,
wisi, namalowana
Afryka... fryka... tam"...
„Ja ci tu frykę dam!" —
Krzyknie profesor Bociek,
aż mały potem ociekł.

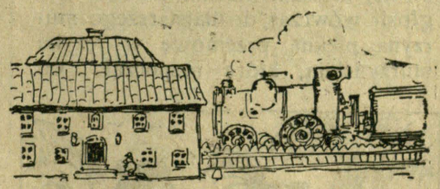

Z cichej leśnej polany
odleciały bociany.
Został tylko brat z siostrą.
Chłód dokuczał im ostro,
więc on jej rzecze: „Wiesz,
pofruniem chyba też"...
„Ale jakże trafimy
do tych krajów bez zimy,
gdzie ciepłe wiatry wieją?"...
„Głupstwo! jedźmy koleją:
bez żadnej geografji
maszyna sama trafi".

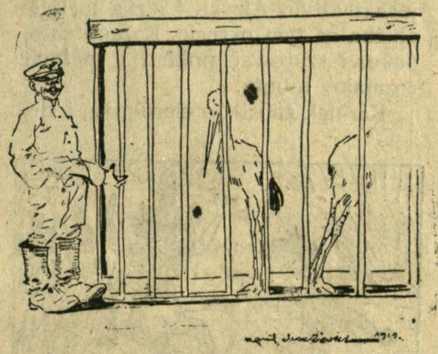

Więc na stację z ochotą
spieszą boćki piechotą.
„Prosim o bileciki
prościutko do Afryki" —
klekocą do kasjera.
Kasjer oczy otwiera...
A tu ludzi gromada
wkoło boćki opada.
„Łap, trzymaj!" — krzyczy tłuszcza;
Do drzwi malców nie puszcza
i wkrótce niebożęta
na nogach miały pęta...
A jeszcze na ostatek:
wsadzono je do klatek.

Benedykt Hertz.

V.V.

O TEM, JAK SIĘ KAROLEK

Karolek nie chciał się uczyć w pruskiej szkole w Gdańsku, dlatego pokazał pewnego pięknego poranku „perskie oko“ szulmajstrowi i uciekł na okręcie w daleki świat. Marzył oddawna o cudownych przygodach i awanturniczych wyprawach, dlatego przyjął służbę na statku, który jechał aż do Afryki. Ciężka to była służba na tym okręcie. Kazano chłopakowi szurować pokład i spełniać rozmaite roboty.

Karolek znosił to cierpliwie, i cieszył się ciągle nadzieją dostania się do cudownych krajów podzwrotnikowych. Niestety! stało się inaczej. Nagle po wielu tygodniach podróży zerwała się straszliwa burza, a statek, którym jechał odważny łobuz Karolek rozbił się i zatonął wraz z całą załogą. Jakimś cudem uratował się nasz chłopak. Fale wyrzuciły go na brzeg, gdzie przeleżał kilka godzin bez przytomności palony gorącymi promieniami południowego słońca.

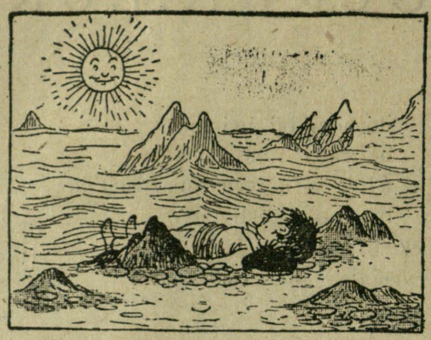

Gdy oprzytomniał, wtedy zrozumiał, co się z nim stało. Oto jest z niego nowy Robinson Kruzoe! Samiusieńki na bezludnej wyspie! Boże, Boże, co tu zrobić? Poszedł najpierw do lasu, aby się ochłodzić i poszukać jakich malin lub poziomek do jedzenia, ale zamiast malin znalazł doskonałe daktyle i banany. Rozkoszuje się nasz Karolek ich smakiem, gdy w tem...

... z poza krzaków wypadła z okropnym wrzaskiem gromada dzikich

murzynów, ludzi o wiele straszliwszych, niż byli zbójcy w „Powrocie taty“. Na czele ich biegło ogromne murzynisko, nastroszone dziwacznymi piórami z pękatą buławą w ręku. Był to sławny w całej Afryce Król Mabulasów a nazywał się Tup-tup. Ten czarny monarcha lubił bardzo ludzi białych, ale nie surowych tylko usmażonych w potrawce lub pasztecie. Tup-Tup ucieszył się bardzo zobaczywszy rumianego Karolka i już zamierzył się, aby z niego zrobić potrawkę. Ale Karolek nie był tchórzem, wydobył więc co prędzej rewolwer z kieszeni i zastrzelił czarnego króla Tup-Tup.

Gdy to spostrzegli towarzysze króla Tup-Tup, rzucili się plackiem na ziemię wrzeszcząc w niebogłosy, że Karolek będzie odtąd ich bóstwem i królem, a to dlatego, że nosi w swojej kieszeni piorun. Karolek wygłosił wówczas do najstarszego murzyna piękną przemowę w języku murzyńskim, którą rozpoczął od słów: ty - drab - złam - kark, poczem wytłumaczył zachwyconym słuchaczom, że umyślnie wysłał króla Tup-Tup do raju zapomocą pioruna, aby mu zrobić przyjemność.

Wszystko to podobało się bardzo panom murzynom, prosili więc Karolka, aby zechciał odwiedzić ich wioskę. Karolek zgodził się na to, bo był bardzo głodny i wkrótce ruszył w drogę, otoczony czarnymi dyabłami. Naprzód wysłano posłańca, aby zawiadomić mieszkańców, że

OŻENIŁ Z MURZYŃSKĄ KSIĘŻNICZKĄ

mają nowego króla z piorunami i że należy go uczcić bardzo dobrą kolacyą. Posłaniec miał także zawiadomić córkę króla Tup-Tup, że jej tatuś pojechał na wycieczkę do raju. Córka króla Tup-Tup była panienkę przecudnej urody a nazywała się Tru-Tru.

Księżniczka Tru-Tru, była bardzo zachwyconą przygodą swego tatusia i wyraziła chęć poznania strasznego białego człowieka, który nosi pioruny w kieszeni. Zapragnęła go koniecznie poznać i prosiła, by mogła zjeść chociażby jeden kawałeczek nóżki jego na drugie śniadanie. A potem powiedziała, że pragnie koniecznie zostać jego żoną. I ogłosiła swą królewską wolę najstarszemu ministrowi.

Gdy tylko Karolek pojawił się w murzyńskiej wiosce, pan minister skłonił się głęboko i objawił mu wolę księżniczki. „Ładna historya“ — pomyślał Karolek, ale nie chcąc budzić podejrzeń przystał na zaszczytną propozycyę. Prosił tylko aby wesele odbyło się w przyszłym miesiącu, bo przypuszczał, że do tego czasu uda mu się uciec. Tymczasem przedstawiono go księżniczce Tru-Tru. Była ona naprawdę bardzo pięknа, jak to widzimy na obrazku. Cokolwiek przypominała małpę i nosiła drogocenne kołczyki w nosie.

Na cześć swego narzeczonego wydała księżniczka Tru-Tru wspaniałą ucztę. Do stołu, urządzonego ze starych skrzyń zasiadło dostojne towarzystwo. Sami hrabiowie i książęta murzyńscy. Na pierwsze danie przynądził kucharz dworski doskonałe krokodyle ogony, pieczone na rożnie, potem rozkoszowali się wszyscy posilnym rosołem z tygrysiego zęba, sałatą z liści rycynusowych, na deser zaś podano kotlety z grzechotnika w kokosowym so-

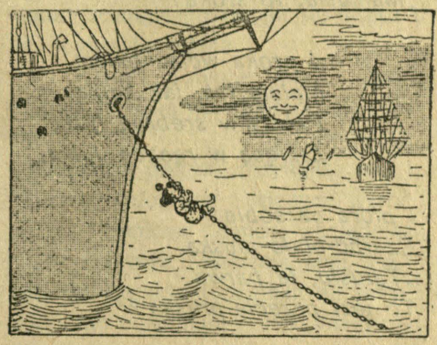

się. Karolek musiał udawać, że kolacya smakuje mu wyśmienice.

Zakochana w Karoliku księżniczka Tru-Tru nie opuściła go ani na chwilę. Aby mu dać dowód swego przywiązania, wdrapywała się na najwyższe drzewa i rzucała mu z góry słodziutkie banany. Czas miał szybko, a Karolek zdołał już wybadać drogę do najbliższego miasta, skąd można było uciec w świat i zostawić czarną narzeczoną.

Pierwszej nocy wykradł się ze swojej chaty i pełzając na brzuchu uciekł, gdzie pieprz rośnie. Kiedy murzyńskie chatki były już daleko wstał i puścił się pędem w drogę. Zatrzymał się dopiero o świcie. Ze zdumieniem jednak dostrzegł w krzaku księżniczkę Tru-Tru która śmiała się do niego na dzień dobry.

Udali się razem w dalszą podróż w najlepszej zgodzie. Po przybyciu do miasta Liberyi Karolek chciał się grzecznie pożegnać z panną Tru-Tru Ale gdzie tam! Powiedziała, że chce mieć koniecznie za męża boga piorunów który umie wysyłać ludzi do kraju szczęśliwości. Kiedy noc nadeszła Tru-Tru rzuciła się w morskie fale popłynęła do statku którym miał odjechać jej niewdzięczny narzeczony, wdrapała się po łańcuchu na pokład i schowała się.

Kiedy okręt był już na pełnem morzu księżniczka ukazała się znowu zdumionemu Karolkowi. „Cóż robić?“ pomyślał nieszczęśliwy marynarz, będę musiał się z nią ożenić ale musi najpierw zdobyć sobie sama swój posag.

A więc Karolik kupił duży

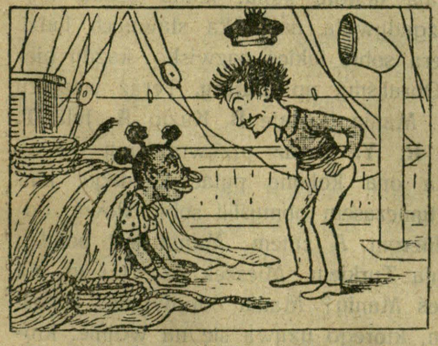

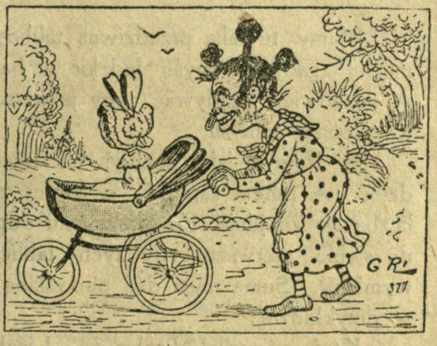

płócienny namiot i kazał księżniczce dawać przedstawienia. Przyszło jej to bardzo łatwo. Pokazywała ludziom, jak murzyni jedzą żywe króliki, jak połykają chrabąszcze i jak tańczą dzikie tańce. Wszystko to podobało się publiczności bardzo, więc Karolek zebrał pokaźną sumę pieniędzy. Tymczasem biedną księżniczkę Tru-Tru spotkała wielka niespodzianka. Oto ujrzała w Marsylii rodaczkę, starą murzynkę z kraju Mabulasów, która tu była kucharką. Nazywała się Miku-fiku. Pani Miku-fiku wytłumaczyła księżniczce Tru-Tru że nasz Karolek nie jest wcale żadnem bóstwem które nosi pioruny w kieszeni, bo taki piorun można dostać w każdym sklepie.

Tru-Tru oburzona, że tak zażartowano sobie z niej, z księżniczki krwi królewskiej rozpruła nożem kurtynę i uciekła do swej ojczyzny wraz z panną Miku-fiku. Tam poszła za mąż za króla Mabulasów, a gdy jej murzyński bocian przyniósł córeczkę, Miku-fiku została jej piastunką i dotąd żyją szczęśliwie.

SROKA

Stanęła na oknie,
Dygnęła ogonem,
Mierzy w pokój oczkiem,
Na coś złakomionem.

Wszyscy przy herbacie
Siedzą teraz właśnie,
Aż zdumiony Julek
W obie rączki klaśnie,

I otwarłszy buzię
Tak, jak jest szeroka,
Krzyknie z całej siły:
„Mamusiu, to sroka!"

A sroka wciąż okiem
Małem tak, jak kulka,
Patrzy w srebrną łyżkę,
Lśniącą w rączce Julka,

I pióra na sobie
Czarno-białe muska.
„Tatusiu, ta barwa
To jest przecie pruska?"

A tatuś potwierdza
I mówi, że zdradnie
Bardzo często sroka
Srebrne łyżki kradnie.

Więc tak: Oczy Julka
Łyżki odtąd strzegą.
„Więc ten mundur pruski
Na niej jest dlatego!"

Stanisław Maykowski.

CZARODZIEJSKA TABLICA

Mamy tu taką przedziwną tablicę, zapomocą której można zgadywać myśli ludzkie w bardzo łatwy sposób. A mianowicie zgadywać cyfry jakie sobie ktoś z naszych towarzyszy pomyśli.

— Pomyśl jaką liczbę! tak trzeba najpierw powiedzieć. A potem zapytać, w której z siedmiu tablic ta liczba sie znajduje. Po otrzymaniu odpowiedzi dodaje się do siebie pierwsze cyfry tych tablic, który zagadnięty wymienił. Suma musi dać pomyślaną cyfrę. Zobaczmy w przykładzie:

Ktoś pomyślal liczbę 33. Liczba 33 znajduje się w tablicy I. i VI. Pierwszą cyfrą tablicy I = 1, pierwsza cyfra tablicy VI = 32. A zatem 1+32=33.

Kto inny pomyślał np. liczbę 12. i mówi: Liczba, którą pomyślałem znajduje się na tablicy III. i IV. Wtedy ty dowiadujesz się, że pierwsza cyfra tablicy III=4, tablicy IV=8. Czyli: 4+8=12.

A teraz spróbujcie innych przykładów!

I

1. 3. 5. 7. 9. 11. 13. 15. 17. 19. 21. 23. 25. 27. 29. 31. 33. 35. 37. 39. 41. 43. 45. 47. 49. 51. 53. 55. 57. 59. 61. 63. 65. 67. 69. 71. 73. 75. 77. 79. 81. 83. 85. 87. 89. 91. 93. 95. 97. 99.

II

2. 3. 6. 7. 10. 11. 14. 15. 18. 19. 22. 23. 26. 27. 30. 31. 34. 35. 38. 39. 42. 43. 46. 47. 50. 51. 54. 55. 58. 59. 62. 63. 66. 67. 70. 71. 74. 75. 78. 79. 82. 83. 86. 87. 90. 91. 94. 95. 98. 99.

III

4. 5. 6. 7. 12. 13. 14. 15. 20. 21. 22. 23. 28. 29. 30. 31. 36. 37. 38. 39. 44. 45. 47. 52. 53. 54. 55. 60. 61. 62. 63. 68. 69. 70. 71. 77. 78. 79. 84. 85. 86. 87. 92. 93. 94. 95. 100.

IV

8. 9. 10. 11. 12. 13. 14. 15. 24. 25. 26. 27. 28. 29. 30. 31. 40. 41. 42. 43. 44. 45. 46. 47. 56. 57. 58. 59. 60. 61. 62. 63. 72. 73. 74. 75. 76. 77. 78. 88. 89. 91. 92. 93. 94. 95.

V

16. 17. 18. 19. 20. 21. 22. 23. 24. 25. 26. 27. 28. 29. 30. 31. 48. 49. 50. 51. 52. 53. 54. 55. 56. 57. 58. 59. 60. 61. 62. 63. 80. 81. 82. 83. 84. 85. 86. 87. 88. 89. 90. 91. 92. 93. 94. 95.

VI

32. 33. 34. 35. 36. 37. 38. 39. 40. 41. 42. 43. 44. 45. 46. 47. 48. 49. 50. 51. 52. 53. 54. 55. 56. 57. 58. 59. 60. 61. 62. 63. 96. 97. 98. 99. 100.

VII

64. 65. 66. 67. 68. 69. 70. 71. 72. 73. 74. 75. 76. 77. 78. 79. 80. 81. 82. 83. 84. 85. 86. 87. 88. 89. 90. 91. 92. 93. 94. 95. 96. 97. 98. 99. 100.

ZGADYWANIE NAZWISK

Wszyscy siadają dokoła stołu. Jedna osoba wychodzi i będzie zgadywała nazwiska sławnych ludzi. Towarzystwo obiera sobie jakieś nazwisko, każdy bierze jedną literę. Obraliśmy np. **Batory.** Teraz wszyscy dzielą się literami. Mania dostaje **B**, Kazio **A**, Jula **T**, Mieszek **O**, inni **R**, **Y**. Teraz przywołujemy osobę, która wyszła. Ma ona kolejno pytać każdego, kim jest, bo wszyscy tymczasem obmyślili sobie słowa, odpowiadające ich literom. A zatem: Mania jest bombą, Kazio aniołem, Jula Turkiem, Mieszek osłem i td. Na pytanie: Kim jesteś Maniu? Mania odpowiada: Jestem takim przedmiotem, którego używa się na wojnie, który zabija ludzi, znajduje się na samolocie i td. Zgadujący musi domyśleć się, że tu chodzi o bombę i td. Następnie z wszystkich liter odgadnąć musi słowo główne: Batory. Można używać wielu nazwisk sławnych ludzi np. Wilson, Szopen, Kościuszko i td.

■ ■ ■

BAŚŃ O ZŁOTEM DRZEWIE

Skromnie i ubogo było w tym pokoju. Białe ściany zdobiło kilka porozwieszanych map, pod ścianami stały dwa wązkie, żelazne łóżka, szafa na ubranie, na której widniał globus a środek pokoju zajmował długi, atramentem poplamiony stół, przy którym siedzieli dwaj chłopcy na twardych, drewnianych stołkach. Obaj mogli mieć około lat dwunastu.

Blondynek ślęczał nad jakimś trudnym ustępem Neposa i wertował słownik łaciński a ten, z ciemną czupryną biedził się nad wyciąganiem pierwiastka z jakiejś wysokiej liczby. Filolog nazywał się Janek a matematyk Henio.

Chłopcy podnosili od czasu do czasu głowy z nad zeszytów i spoglądali z utęsknieniem na otwarte okno, przez które muchy z głośnym brzękiem wlatywały i wylatywały. Tam, za oknem, w ogrodzie, słońce kładło złote blaski na gazony i drzewa i jak na szyderswo zaglądała do pokoju chłopców kwitnąca gałęź gruszy.

Całą jeszcze godzinę mieli biedacy tak ślęczyć nad książkami a minuty na zegarze pełzły, jak ślimaki w ogrodzie, gdy się na krzaki dzikiego agrestu dostaną. O samowolnem skróceniu pracy nie było nawet co marzyć, gdyż w sąsiednim pokoju, siedział przy biórku doktór Powidło, któremu powierzeno pieczę nad chłopcami. Drzwi do jego pokoju były otwarte i profesor mógł lada chwila stanąć przed pupilami i sprawdzić ich pilność i sprawowanie.

— Doprawdy ten Hanibal mógł był coś mądrzejszego wymyśleć niż niż przedzierać się koniecznie przez Alpy, odezwał się Janek. A Henio wymrukiwał jakieś zawite liczby, sumy tych liczb i pierwiastki z tych sum. Po chwili wytężonej pracy ziewnęli obaj.

Nagle doleciało ich głośne brzęczenie. To złoty żuk zabłąkał się do pokoju. Trzy razy okręcił koło nad głowami chłopców i — plusk, leżał w kałamarzu.

— Dobrze ci tak, zawołał Henio, poco nie siedzisz tam, gdzieś powinien i włazisz, gdzie cię nie potrzebują! Utonąć jednak w atramencie jest to śmierć marna; czekaj, przyjacielu, wyratuję cię.

Chciał trzepoczącego się chrabąszcza piórem z kałamarza wydobyć, ale Janek prędzej udzielił biedakowi pomocy, wyjmując go palcami z jego czarnej topieli. Potem go chłopcy osuszyli bibułą i przyglądali się, jak się przedniemi łapkami starannie wycierał.

— Ma czerwone lusterko na plecach i czarne różki, konstatował Janek, ocierając o jasną czuprynę zawalane atramentem palce.

— To jest złoty chrabąszcz, chrabąszcz-król. Mieszka w pałacu z jaśminu a okrywa się płatkiem róży. Swierszcze i koniki polne tworzą jego nadworną orkiestrę a robaczki świętojańskie mu przyświecają...

— Jesteś pleciuga, wiesz? Wtrącił Henio.

— Kto króla chrząszczy ujrzy, protestował Janek dalej, ten jest zieckiem szczęścia. Zobaczysz Heniu, nas coś szczęśliwego czeka, jakaś przygoda może. Dzisiaj jest pierwszy maj a przy takim dniu dzieją się czasem różne cuda. Patrz, jak on kiwa na nas porozumiewawczo czułkami i wznosi złote pokrywy skrzydeł. Zaraz się przemieni w krasnoludka i stanie przed nami w królewskim płaszczu i hełmie złocistym.

— Zaraz pofrunie, wyrzekł Henio — szszsz — masz swój cud!

Chłopcy na palcach przybliżyli się do okna i spoglądali na lśniącego chrabąszcza. Błyszcząc jak klejnot, frunął przez błękitne powietrze i zniknął za żywopłotem.

W sąsiednim pokoju dał się słyszeć podejrzany a wielce niepokojący szmer i chłopcy czemprędzej powrócili do książek. Zapomnieli o złotym chrabąszczu. Jeden wymrukiwał dalej łacińskie słówka, drugi wytężał myśl nad ciągnącemi się, jak ogniwa łańcuszka liczbami. Spojrzeli obaj po sobie i ziewnęli.

. . . . . .

— Patrz, patrz, to cud! Szepnął Janek i wskazał na kałamarz. Z kałamarza wyrastał zielony pęd i rósł szybko w górę. Wkrótce sięgnął sufitu.

— To chyba sen, odrzekł Henio również szeptem i przetarł oczy.

— Nie, to jest baśń, prawdziwa baśń Heniu, a my jesteśmy w niej bohaterami.

Pęd rósł i stawał się coraz wyższy, grubszy, puszczał gałęzie i gałązki, liście i kwiaty. Sufit zniknął z oczu zadziwionych chłopców, rozstąpiły ściany i utworzyła się mroczna, kwiecista altana.

— Idźmy! Zawołał Janek i pociągnął za sobą opierającego się Henia.

Kwitnące gałęzie rozchyliły się i ukazały chłopcom ścieżynę wśród mchu. Promienie słońca, zaglądając przez ażurowe sklepienie lasu, rzucały tysiące złocistych plam na mech, z którego wychylały jasne główki rumianki i jaskry... W górze, wśród gałęzi latały ptaki o lśniących piórach. Dalej las się rozjaśniał więcej jeszcze. Między gałęźmi błysnęło coś, jakby płomień i Janek szepnął do swego towarzysza:

— Teraz dopiero się zacznie!

Wyszli na jasną, słońcem zalaną polanę, na której rosło samotne drzewo. Nie było to jednak drzewo zwyczajne. Miało złote liście i cudne, krągłe, złote owoce. Chłopcy stali zachwyceni. Janek już nieraz czytał i śnił na jawie o drzewie takiem.

Z za pnia tego cudownego drzewa wyglądał karzełek, nie większy jak trzyletnie dziecko, wysmukły i zgrabny. Miał zielony płaszczyk na sobie i złoty hełm, po którym zaraz chłopcy poznali, kogo mają przed sobą. Karzełek zbliżył się parę kroków i ukłonił się:

Zaczarowana księżniczka oczekuje na swego wybawcę, który z was odważy się jej pomódz?

— Ja! Zawołał radośnie Janek.

Zjawił się natychmiast biały koń; potrząsł niecierpliwie grzywą i gryzł złote wędzidło.

(C. d. n.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg. Drukarnia Ign. Jaegera Lwów, Sykstuska 33.

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж 6852

BOHATERSKIE PRZYGODY PAJACA i LALKI

II.

Rysunki i wierszyki H. Ostrowskiej.

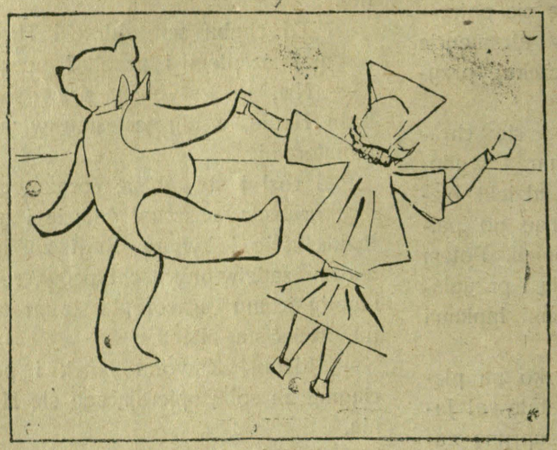

Dosyć już tych łanaberyi!
Chodź ze mną do menażeryi.

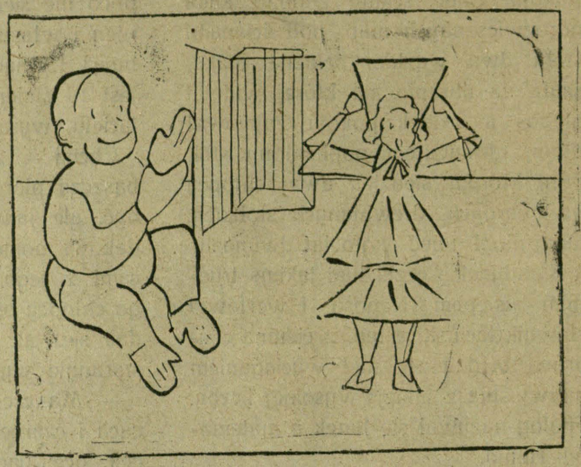

Stara małpa szuka krewnej, —
Przy niej będzie los twój pewny.

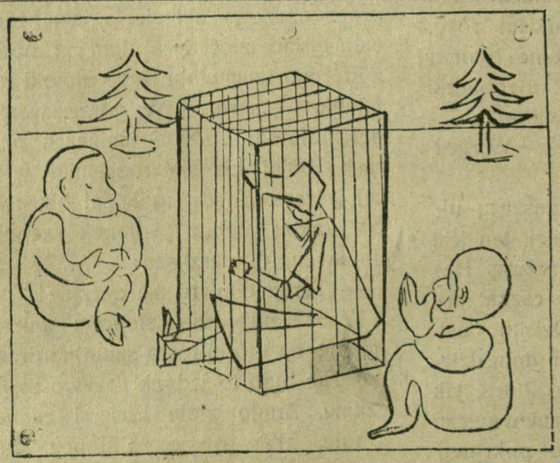

Nie chcesz? — A więc bierz manatki
Bo zamkniemy cię do klatki.

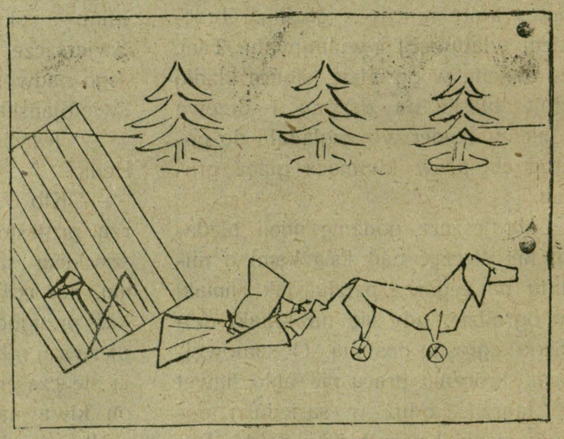

Szczęściem jamnik, stróż w tym domu,
Ucieka z nią pokryjomu.

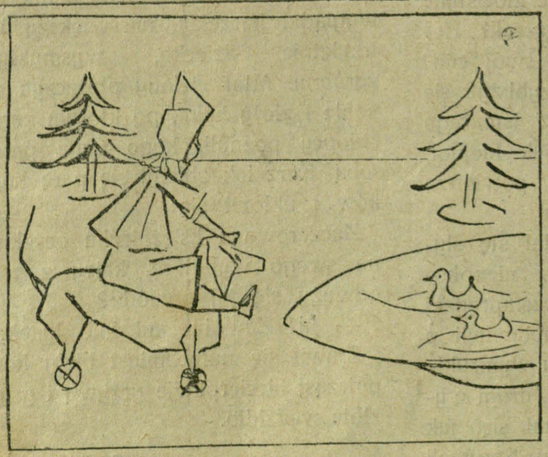

Biegną. Morze. Więc buch w wodę!
Przewiozły ich kaczki młode.

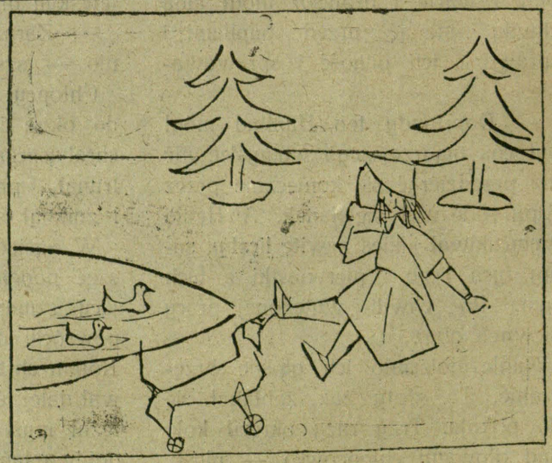

Lecz, gdy przeszli przez głębinę,
Lalka mówi: tu już zginę...

Rok I. 15. listopada 1919. — Cena Mk. 1·— K 2·— Nr. 11.

GRZEŚ

PISMO OBRAZKOWE
DLA DZIECI OD LAT 5 ~ 80

KUBUS i BUBUŚ

(PRZYGODY SZALONEGO GRZESIA ZE „SZCZUTKA", CZĘŚĆ II.)

Maszerują chłopcy żwawe
Idą z ojcem wśród zachwytów
Będą robić dziś obławę
Na paskarzy i bandytów

Co się temu panu stało
Czemu klęczy i rozpacza?
To nasz Kubuś swoją strzałą
Trafił w sam nos włamywacza

Ty zaś co paskujesz żydku?
Pewnie cukier, mąka, kawa
Będzie z tobą bardzo brzydko
Bo już zbliża się obława!

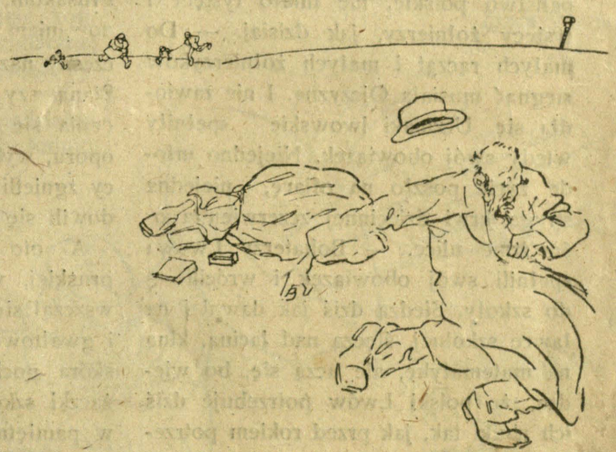

Paskarz, słysząc zdala kroki
Grzesia, Busia i Kubusia
Rzucił szybko swe tłumoki
A sam zrobił — „husia - siusia"

Teraz boli cię paskarzu,
Bywa tak, gdy człowiek broi
Leżysz z wykrzywioną twarzą
Do wesela się zagoi.

Poprzez lasy, bory, trawy
Poprzez pola i zagony
Idą Kubuś z żydkiem z prawej
Bubuś z jeńcem z lewej strony.

(C. d. n.)

O DZIECIACH LWOWA i GDAŃSKA

(PRZYPOMNIENIE HISTORYCZNE)

Listopad jest miesiącem dzieci lwowskich, o tem wie już chyba każde dziecko polskie. Dnia 22. listopada mija pierwsza rocznica odsieczy Lwowa i uwolnienia miasta od najeźdźców ukraińskich. Uczniacy gimnazyów lwowskich, rówieśnicy Grzesia i was wszystkich, czytelnicy, stanęli pierwsi do szeregu z karabinami w ręku, które ledwie dźwignąć potrafili. — Nie trzeba tego przypominać i raz jeszcze opowiadać, bo chwała lwowskich orląt obiegła całą Polskę. Biedne było jeszcze wówczas państwo polskie, nie miało tysięcy i tysięcy żołnierzy, jak dzisiaj. — Do małych rącząt i małych żołnierzyków sięgnąć musiała Ojczyzna. I nie zawiodła się. Uczniaki lwowskie spełniły wtedy swój obowiązek. Niejedno młode życie poszło na ofiarę, niejedna struga krwi dziecinnej zczerwieniła o śni żone ulice. — Bohaterzy Lwowa spełnili swój obowiązek i wrócili — do szkoły. Siedzą dziś jak dawniej na ławce szkolnej, ślęczą nad łaciną, klną na matematykę, ale uczą się, bo wiedzą, że polski Lwów potrzebuje dziś ich nauki tak, jak przed rokiem potrzebował ich rąk w okopach. Od karabinu maszynowego wrócili do kajetu i lekcyi szkolnej. Wiedzą, że muszą wyróść na dzielnych i rozumnych obywateli Rzeczypospolitej, która z nich oby tak dumną kiedyś była, jak jest dziś z wojennego czynu.

Obrona Lwowa przez dzieci i młodzież przeszła do historji. Ale wiedzcie o tem, że było jeszcze drugie miasto, równie drogie sercu polskiemu, w którem chłopcy mali za broń w ciężkiej chwili porwali.

To — nasz Gdańsk!

Było to już po drugim podziale Polski, kiedy Prusacy drapieżną łapą sięgnęli po wolne miasto Gdańsk.

Gdańszczanie ani myśleli poddać się Prusakom, woleli pozostawać pod panowaniem Polski. Hindenburg owoczesny nazywał się — von Raumer. — Stanąwszy pod miastem zażądał poddania się. — Gdańszczanie próbowali oporu, wybuchła rewolucya, ale Prusacy zgnietli ją w potokach krwi i usadowili się na dobre w porcie polskim.

Aż oto w trzecią rocznicę okupacyi pruskiej, w zielony czwartek 1797 r. wszczął się w mieście tumult tak nagły i gwałtowny, że pruskim grenadyerom skóra pocierpła. Cóż się stało? Oto żaczki szkolne polskie — jak czytamy w pamiętnikach Wolskiego — ukartowały pospołu z mieszczanami spisek przeciw najeźdzcom.

„Zrobił się lament wielki, a dowództwo nad wszystkiem wzięli gimnaziści gdańscy. Cóż ale to tylko dziecinność była więc się prędko uspokoiło".

Niczego więcej o tych żaczkach nie wiemy, to pewna, że uledz rychło musieli w walce z przemocą. — Ale i ta krótka wiadomość wystarczy. A mówi wiele: Mówi, że tak jak dzieci Gdańska w r. 1797, a dzieci Lwowa w r. 1918 za broń porwały, tak wszystkie dzieci ziemi polskiej potrafią zawsze spełnić obowiązek wobec Ojczyzny!

ZABAWA W ZGŁOSKI

Wszystkie osoby grające siedzą obok siebie w kółko. Jedna z osób A skręconą chusteczkę lub rękawiczkę — rzuca na drugą osobę B z kółka, wymawiając pierwszą zgłoskę jakiegoś wyrazu n. p. „pa". Osoba, B, do której chusteczka została skierowaną, powinna prędko bez długiego namysłu dodać jedną lub dwie dalsze zgłoski tj. tyle zgłosek, ile ich potrzeba do utworzenia całego słowa. Tym sposobem w powyższym przykładzie może dodać zgłoski: „rasol" — „ra" — „rawan" i t. p. przez co utworzą się słowa: pa-rasol, pa-ra, pa-rawan i t. d. Po danej odpowiedzi, osoba B rzuca z kolei chusteczkę na inną osobę C, wymawiają znów jakąś inną zgłoskę i w ten sposób gra postępuje naprzód.

Jeżeli który z uczestników nie da natychmiastowej odpowiedzi, tj. jeżeli zbyt długo się namyśla, lub dopowie zgłoskę nie odpowiednią, tj. nie mającą związku ze zgłoską podaną lub wreszcie, gdy powtórzy zgłoskę już przedtem przez kogoś dopowiedzianą, to daje fant.

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6872 II

KONCERT ANTKA MIĘTUSA

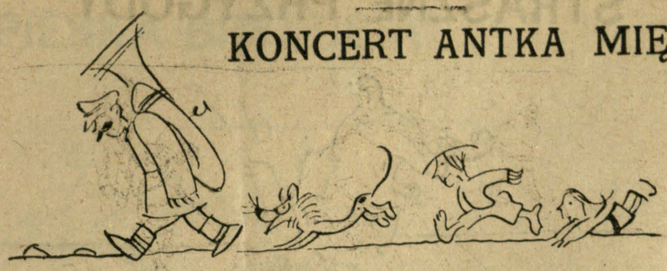

Antoś Miętus, wyleczywszy się w szpitalu z rany w nogę, od granatu ukraińskiego, wstąpił do muzyki wojskowej. Że chłop był mało pojętny, a płuca miał jak miechy kowalskie, po wielu próbach nauczył się grać jedynie na helikon-basie.

Jest to największa trąba w orkiestrze dętej, którą muzykant opasuje cały swój korpus, niby zwojami potwornego pytona. Wydaje chrapliwy

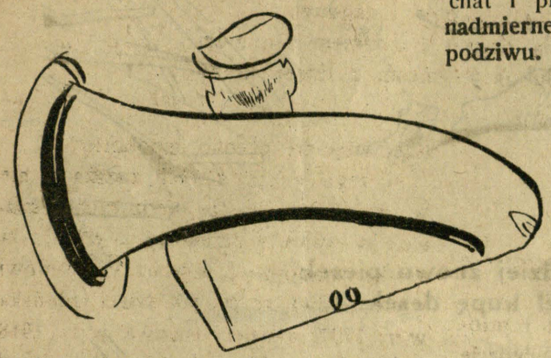

dźwięk, podobny do ryku woła, rzadko tylko odzywa się w orkiestrze jako cząstka akompaniamentu i zaczarowany świat melodyi jest jej zupełnie nieznanym.

W połowie sierpnia Antoś Miętus dostał nareszcie dwutygodniowy urlop

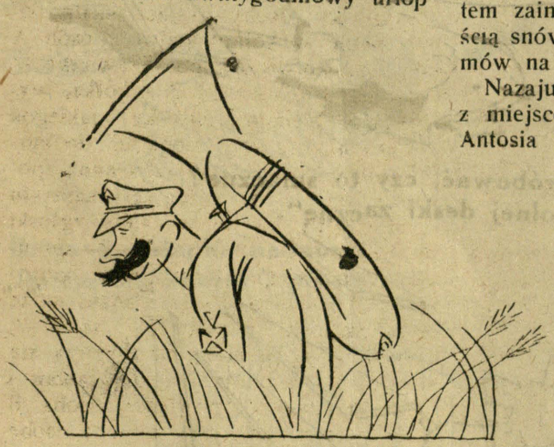

na żniwa. Nie namyślając się długo zarzucił swą ukochaną trąbę na plecy i ruszył do swojej wsi rodzinnej. Po kilkunasto godzinnej podróży koleją znalazł się wreszcie na stacyi końcowej. Do wsi miał jeszcze dwa kilometry, leżała przed nim jak na dłoni. Więc ścieżyną polną na przełaj, brodząc po pas w łanie pszenicy, szedł do domu z duszą radosną.

Był pogodny ranek sierpniowy. — Słońce zestrzeliwszy wszystkie swe promienie w złocistych blachach helikon-basu, tysiącem chwytających za oczy iskier odbijało się od jego gładkiej powierzchni. I szedł ci tak Antek Miętus polami z swą ukochaną trąbą na plecach w aureoli słonecznych iskier, niby wizya nie z tego świata.

Zdaleka już dostrzeżono go we wsi. Stawali kmiotkowie na progu swych chat i przesłaniając oczy dłonią od nadmiernego blasku, żegnali się pełni podziwu.

— „Jezus Marya! cóż to za gość, błyszczący, że aż ślipia się łzawią“?

A gdy się już znalazł na gościńcu wśród chałup, biegł za nim z krzykiem i gwizdem tłum wyrostków bosych, w rozwianych koszulinach, wzbijając w powietrze tumany srebrnego kurzu.

Lotem błyskawicy przeleciała przez całą wioskę wiadomość, że Antoś Miętus wrócił zdrów i cały z wojenki, a przywiózł ci ze sobą taką ogromną trąbę złocistą, jakiej dotąd ludzkie oko nie widziało, ani ucho nie słyszało. Helikon-bas stał się przedmiotem zainteresowania całej wioski, treścią snów dziecięcych, tematem do rozmów na polu i po chatach.

Nazajutrz wysłano więc deputacyę z miejscowym organistą na czele do Antosia Miętusa, z zapytaniem, czyby nie zechciał urządzić koncertu na swojej cudacznej trąbie. Antek wspaniałomyślnie zgodził się.

Był to dzień niedzielny. W godzinach popołudniowych na małej łączce przed kościółkiem, zebrała się bez mała cała wioska. Nawet księdza czarna sutanna ukazała się na progu plebanii. Czekano niecierpliwie. — Otoczony słuchaczami Antek Miętus toczył dumnem okiem po kolorowym tłumie. Czuł się bohaterem dnia. Złociste sploty helikon-basu obejmowały jego mocny turzy korpus. — W pewnej chwili wyjął z kieszeni małą zatłuszczoną książeczkę, z której grał zwykle podczas marszu.

Otworzył ją na chylił trafił w środku. Duże litery zwiastowały kompozycyę: Marsz z „Hugenotów“ Mayerbeera. Antek nigdy nie rozumiał dobrze, co to znaczy, więc jakże tu tłumaczyć chamom ze wsi.

— „Numer 24“ ogłosił poprostu. — Koncert rozpoczął się. Antek patrząc w nuty, począł głośno liczyć pauzy muzyczne:

— „Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm...“

A, potem nadął policzki i zatrąbił dwa razy krótko. Zadudniało powietrze niby od ryku bawoła:

— Mu! mu!!!“

I znowu odezwał się głos muzykanta:

— „Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć, dziesięć“.

Mu!! — Zagrzmiała raz trąba, a potem zaczęło się od początku monotonne liczenie taktów pauzy.

Kawałek był skończony. Na twarzach słuchaczy malował się zawód i zdziwienie. Nie takiego koncertu spodziewali się po wspaniałym instrumencie. Antek tymczasem zaczął produkować się numerem 37. Było w nim jeszcze więcej pauz, a jeszcze mniej tonów. —

Zdziwieni słuchacze poczęli pytać:

— No i nic więcej?

— Więcej, odrzekł Antoś — gra orkiestra.

I Antek zapaliwszy się do własnej muzyki, produkował się już dziesiątym utworem z rzędu:

— „Raz, dwa, trzy., cztery — mu! mu!! — raz, dwa, trzy, — mu! — raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć — mu! mu!!

Ignis

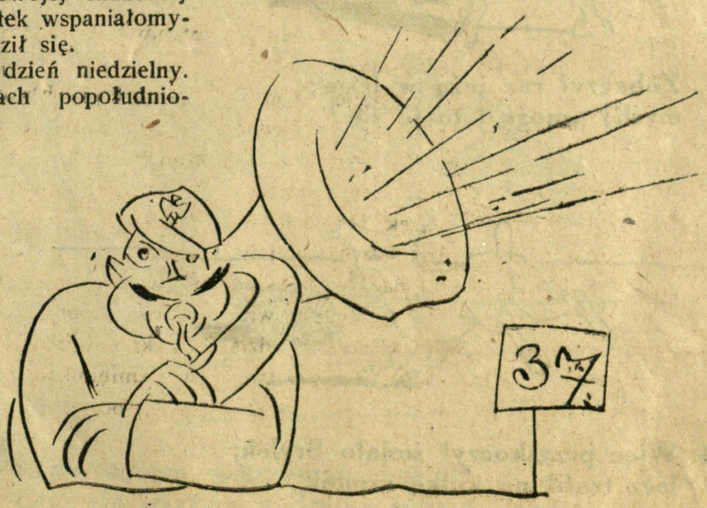

STRASZNE PRZYGODY

1. Psotny Bryluś, małe szczenię,
gryzł wszystko, nawet kamienie.

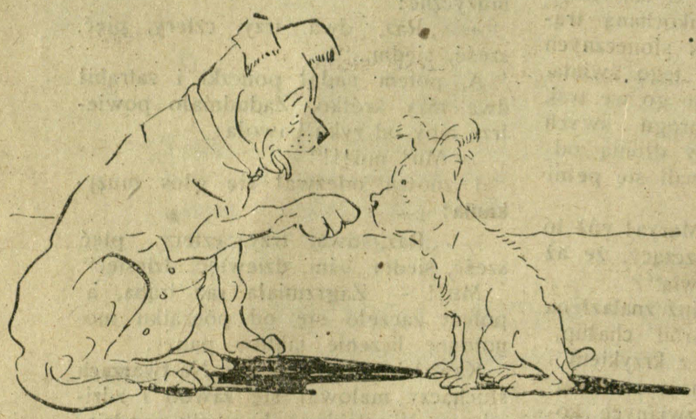

2. Daremne były nauki
jego mamy, starej suki.

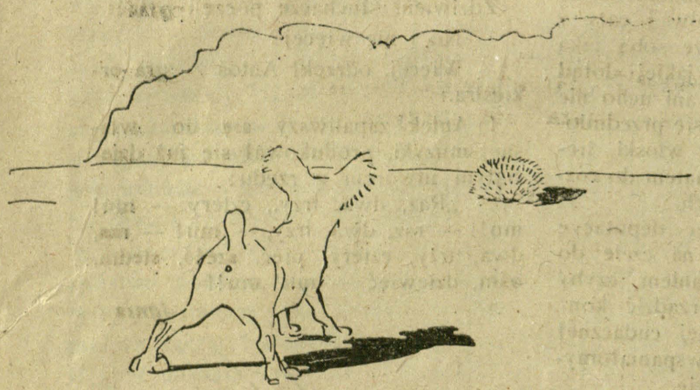

3. Zobaczył raz jeża w lesie;
myśli: „może i to je się?"

4. Więc przyskoczył śmiało Brylek,
lecz trafił na kulkę szpilek...

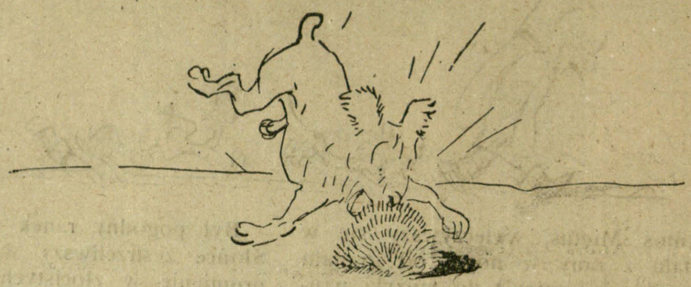

5. A gdy pokaleczył pysk,
straszny podniósł lament, pisk.

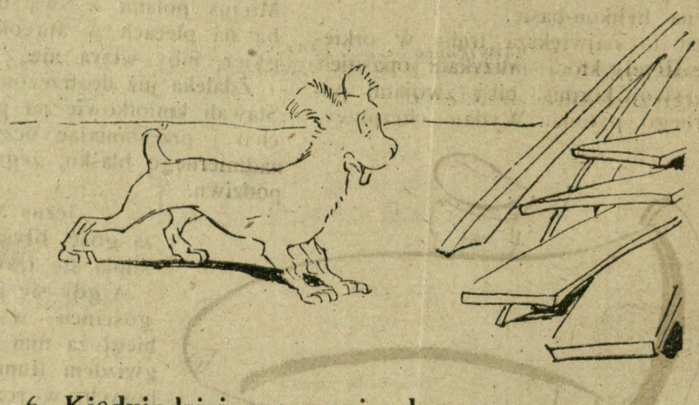

6 Kiedyindziej znowu piesek
zauważył kupę desek.

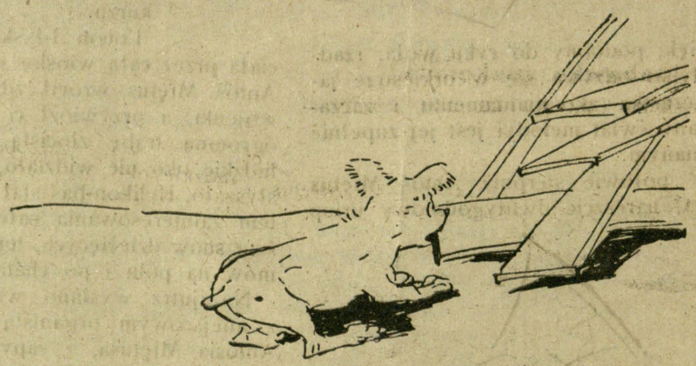

7. „Trza spróbować, czy to smaczne?
Od tej dolnej deski zacznę".

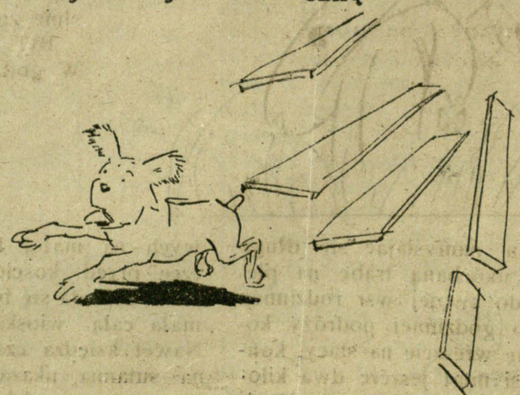

8. Ledwo zdążył szarpnąć nieco,
a tu deski na łeb lecą.

PIESKA BRYLUSIA

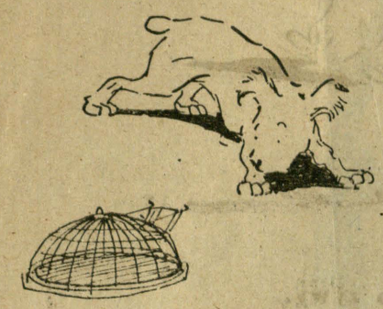

9. Skulił ogon .. Wtem, pod ścianą
widzi pułapkę drucianą..

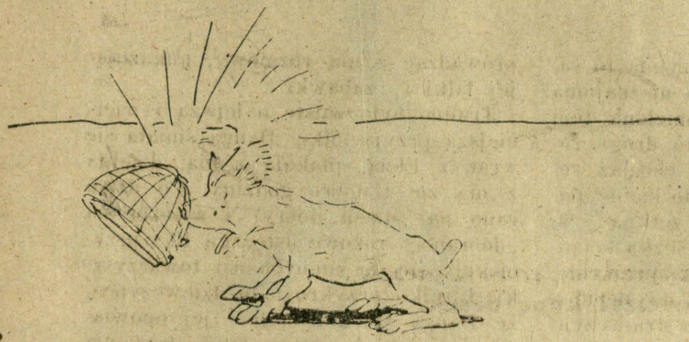

10. Ot, zabawka znakomita!"
Raptem coś go za nos chwyta.

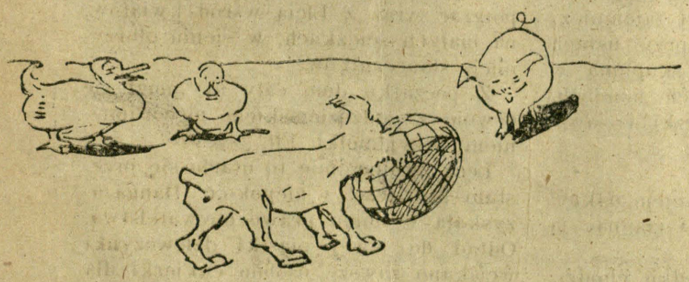

11. Biega z pułapką na nosie,
Śmieją się kaczki i prosię.

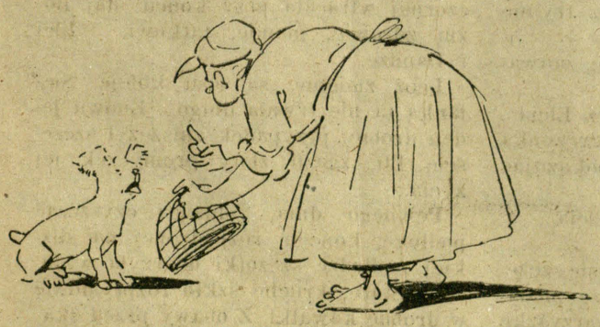

12. Łapkę zdjęła gospodyni
i uwagi ostre czyni.

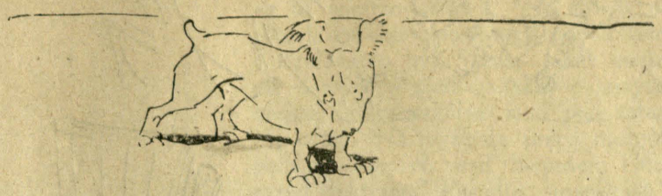

13. Bryluś, bardzo zawstydzony,
rozgląda się w różne strony

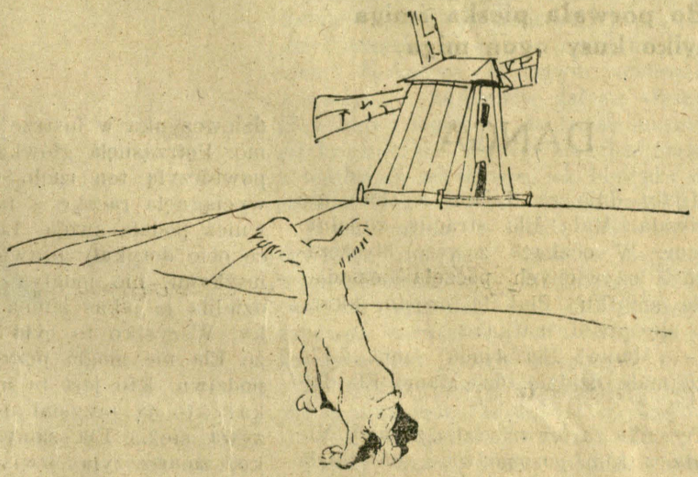

14. Patrzy — aż tu śmiga młyna
dziwnie ruszać się zaczyna.

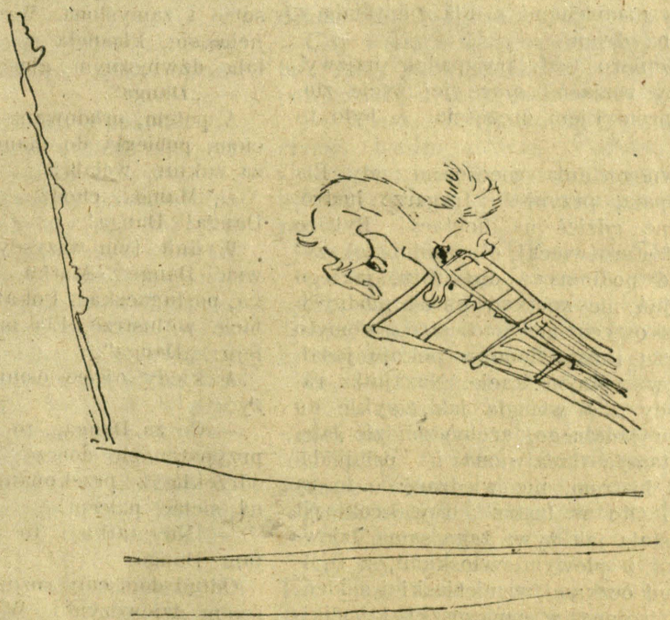

15. Łapie zębem, wstrzymać chce ją...
Lecz się wszyscy z Brylka śmieją.

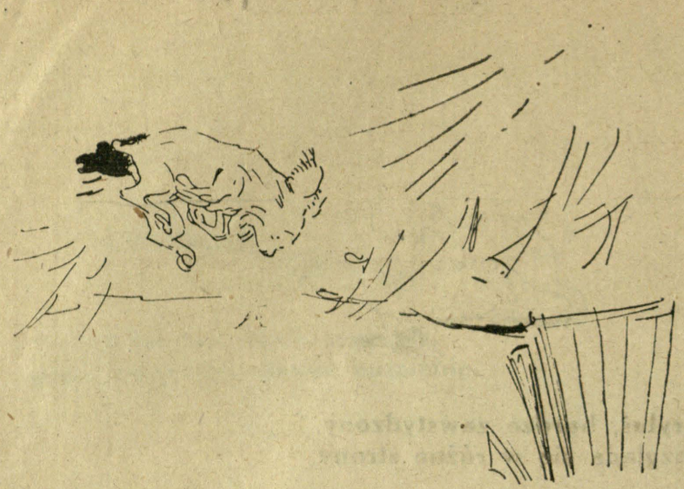

16 **Bo porwała pieska śmiga — tylko kusy ogon miga.**

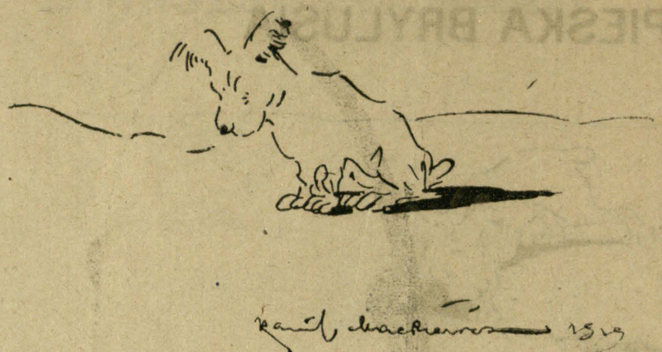

17. **Wreszcie upadł, ledwo żywy, między osty i pokrzywy... Patrzcie, jak wygląda dziś nasz psotny, malutki bryś.**

Benedykt Hertz.

DANGA

Mijały dnie za dniami a słota nie ustawała. Mała Ela straciła zupełnie humor. W oczkach zawsze błyszczących i ożywionych poczęła osiadać mgła smutku. Płakała często, skarżąc się przed matką:

— „Mamo! Ela binda sama... Ela chce małe dzidzi... daj Mamo Eli dzidzi..."

Tęskniła za towarzyszką zabawy. Nie miała z kim porozmawiać, nie miała przed kim pochwalić się zabawkami, które leżały porzucone w kącie. Lecz, że takie „małe dzidzi" nie da się, jak wiadomo, z rękawa wytrząsnąć, więc prośbę dziecka przyjmowali ojciec i matka uśmiechami a Ela smutniała z dnia na dzień.

I dopiero traf, przypadek najzwyklejszy rozjaśnił szare jej życie złotym promykiem szczęścia. A było to tak:

Pewnego dnia wieczorem, gdy Ela już spała, przynieśli tragarze lustro, kupione gdzieś na licytacyi. Był to sprzęt staroświecki, o jednej dużej szybie od podłogi aż do sufitu, jakiego dziś już nie spotkać wśród modnych groteskowych mebli. Lustro obmyto z kurzu i ustawiono w pokoju jadalnym w wolnym kącie. Nazajutrz rano, gdy Ela wbiegła jak zwykle do pokoju jadalnego, ażeby zbudzić lalę, przystanęła zdziwiona i osłupiała przed lustrem, nie wiedząc, co to za czary. Oto w lustrze, dwa kroki od niej, stała jak żywa taka sama dziewczynka z płowymi włoskami, z fijołkowemi oczkami, w niebieskiej sukience, ustrojona w pończoszki i buciki, z minką zdziwioną i osłupiałą. Nigdy jej dotąd Ela nie widziała, a jednak tak dobrze jej była znana.

Więc uśmiechnęła się przyjaźnie a dziewczynka w lustrze uczyniła to samo. Potrząsnęła główką a nieznajoma powtórzyła ten ruch. Ośmielona tem wyciągnęła rączkę a tamta druga również podała swoją. Lecz chociaż ręce obie dotykały prawie do siebie paluszkami, nie mogły się zetknąć, bo dzieliła je jakaś zimna i ślizka ścianka. Wszystko to było tak niezwykłe, że Ela nie mogła przyjść do siebie z podziwu. Kto jest ta mała dziewczynka? kto ją przysłał do Eli? jak nazywa się?... Ela zamyśliła się głęboko, zmarszczyła brwi, skupiła całą swoją uwagę. Zdawało się, że przypomina sobie coś bardzo odległego, że rozwiązuje jakąś zawiłą i tajemniczą zagadkę. Z paluszkiem przy ustach stała tak długą chwilę, skupiona w sobie i zamyślona. Wreszcie uśmiechnęła się, klasnęła w rączki i zawołała dźwięcznym głosem:

— „Danga".

A potem, uradowana swojem odkryciem, pobiegła do mamy i ciągnąc ją za suknię, wołała:

— Mamo... chodź... prędko chodź... Danga! Danga!

W dniu tym wszyscy musieli podziwiać Dangę... Matka, ojciec, kucharka, posługaczka... Pokazując swoje odbicie w lustrze, Ela mówiła z tryumfem: „Danga".

A kiedy ojciec ośmielił się zauważyć:

— Co za Danga... to przecież Elcia... przypatrz się dobrze — dziewczynka odrzekła z przekonaniem, pokazując na siebie palcem:

— Nie tatku... tu jest Elcia... a tam Danga.

Odtąd dom cały rozdzwonił się szczęściem dziewczynki. W Dandze znalazła nareszcie wymarzoną towarzyszkę zabawy. Strojąc pocieszne minki, wystawała całymi dniami przed lustrem, opowiadając swej towarzyszce bajki, prowadząc z nią rozmowy, pokazując jej lalki i zabawki.

Trudno było zaiste o lepszą i wierniejszą przyjaciółkę. Danga śmiała się wraz z Elcią, płakała z nią, dzieliła z nią złe i dobre godziny. Co dzień rano na „dzień dobry" i wieczór na „dobranoc" różowe usteczka Elci przyciskały się do zimnych ust towarzyszki. I tylko przykro było dziewczynce, że Danga słuchała pilnie jej opowiadań, ruszała nawet ustami, lecz nie mogła nigdy przemówić ani słowa. A kiedy z nastaniem pogody Elcia poczęła się bawić w ogródku, nigdy nie opuściła szklannej klateczki, ażeby poigrać wraz z Elcią wśród kwiatów, na białych ścieżkach, w cieniu olbrzymich słoneczników.

Z początku dom cały nie mógł się oswoić z cudzoziemskiem nieco imieniem przyjaciółki Eli.

Lecz zwolna imię to utarło się, przestało zadziwiać i niepokoić. Danga uzyskała w domu prawo obywatelstwa. Odtąd do lewej piąstki dziewczynki wciskano zawsze osobno cukierki dla Dangi, stawiano ją zawsze za przykład grzeczności w tych chwilach, gdy Elcia poczynała grymasić, tolerowano, gdy dziewczynka przy modlitwie wieczornej wtrącała przy końcu: daj Boziu zdrowie, mamie, tatkowi, Elci i Dandze.

Lecz zmienne są losu koleje. Sielanka ta nie trwała długo... Znowu jeden drobny przypadek zniszczył szczęście Eli, zgasił złoty promyczek jej życia...

Pewnego dnia, służąca czyszcząc podłogę, końcem rozpędzonej na ślizkiej podłodze szczotki uderzyła w lustro. Stare, kruche szkło rozprysło się w drobne kawałki. Z obawy przed skaleczeniem powyciągano z oprawy ostre szczerby i w tem miejscu, gdzie dawniej śmiała się wesołem jaśnieniem

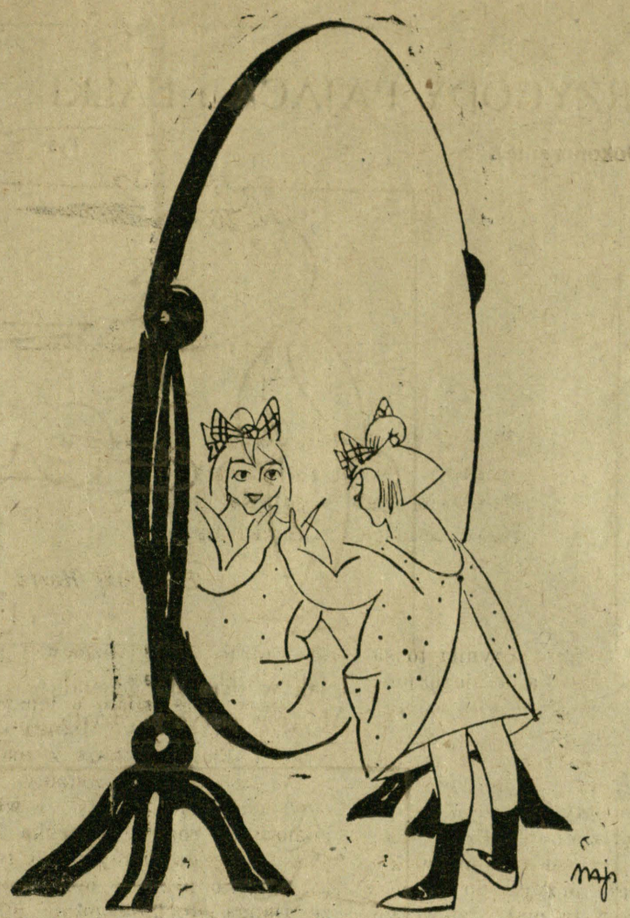

kryształowa szyba, pozostała tylko szara i chropowata deska... Ela przez ten czas bawiła się w ogródku... Nie przeczuwając nic złego, przybiegła po pewnym czasie do pokoju, ażeby pochwalić się przed towarzyszką bukietem żółtych jaskrów. Lecz kiedy stanęła przed lustrem, serduszko jej ścisnęło się boleśnie... Nie było klatki szklannej, nie było Dangi drogiej... Szara deska raziła oko swą popękaną, szorstką powierzchnią... Łzy zakręciły się w oczach dziewczynki... Biegała z kąta w kąt, szukała w każdym pokoju... lecz Dangi nie znalazła...

Dom cały rozbrzmiewał płaczem Eli... Dziewczynka była niepocieszona... Nie pomogły cukierki i zabawki. Przez łzy skarżyła się i pytała wszystkich z wyrzutem: „Gdzie moja Danga? Gdzie moja Danga?“

Na pytanie to trzeba było odpowiedzieć. Dziecko domagało się uporczywie wytłumaczenia... W niem dopiero mogło znaleźć choć trochę ukojenia. Po naradzie zawyrokowano krótko:

— Danga umarła!

Lecz słów tych nie mogła zrozumieć główka Elci; trzeba było szukać pojęć prostszych i zrozumialszych... Powiedziano więc Elci po prostu:

— Ham zjadł Dangę!

I teraz dopiero dziewczynka pojęła... Serduszko jej, znalazłszy winowajcę, zwróciło przeciwko niemu całą swoją złość i całą odpowiedzialność. W skwalifikowaniu czynu leżała pewnego rodzaju moralna osłoda... zjedzona dziewczynka domagała się litości...

Więc po namyśle Ela zawyrokowała przez łzy:

— Binda Danga... Ham kaka be!

Lecz czas i cukierki leczą najcięższe bole.

Po kilku dniach Ela uspokoiła się... Obraz Dangi począł oddalać się, maleć, zacierać w pamięci...

Każdy dzień otwierał nowe, nieznane światy... rozchylały się ku życiu cudne kwiaty, w momentach zamyślenia budziły się leniwo nowe pojęcia...

Czasem jeszcze przesuwał się przez główkę obraz Dangi, ale taki już daleki, taki niewyraźny, taki smętny, jak te blade chmurki, co płyną bezszelestnie po niebie, wsiąkając w przestrzeń... Czasem jeszcze zakwitło wyraźniejsze wspomnienie, wyłonił się jakiś szczegół... ostatni niezjedzony cukierek w rączce lub pusty kąt pokoju przywodził na myśl wyblakły, daleki obraz...

Wówczas we fijołkowych oczach Eli ukazywała się mimowoli jedna mała łezka i zasychała na rzęsach...

Biedna Danga!

Henryk Zbierzchowski

BAŚŃ O ZŁOCISTYM DRZEWIE

(Dokończenie.)

— Janku, nie jedź! Ostrzegał Henio, lecz Janek, nie słucha,ąc go nawet dosiadł białego rumaka. Koń zarżał radośnie i uniósł się w powietrze, z rozwianą na wietrze grzywą. Na chwilę obaj mknęli wysoko w powietrzu ponad lasem.

Szalona to była jazda. Janek siedział tak pewnie w siodle, jakby najzwyczajniejszą ławkę szkolną miał pod sobą, a nie konia. Na myśl, że przed niespełna godziną ślęczył nad Neposem i drżał przed doktorem Pobidło, roześmiał się głośno. Mały uczeń stał się nagle okazałym, silnym rycerzem w zbroi, z mieczem, przy ostrogach i w hełmie z pióropuszem.

Znowu zarżał jego wierzchowiec radośnie. Las się skończył i koń i jeździec stanęli przed wspaniałym zamkiem. Kolorowe chorągwie powiewały z wieżyc, z za murów dał się słyszeć głos trąb i rogów a na tarasie ukazała się księżniczka. Powiewała chusteczką, a wyglądała tak prawie, jak Helenka od sąsiada, z którą rycerz Janek bawił się.

Janek raźnie z konia zeskoczył i dzwoniąc ostrogami szedł po marmurowych schodach ku księżniczce. W otwartych drzwiach stał jakiś człowiek, zapewne marszałek dworu, dziwnie jakoś rycerzowi Jankowi znajomy...

Marszałek dworu wyciągnął rękę,złapał rycerza Janka za ucho i krzyknął:

— Zasnąłeś hultaju, dam ja ci!

Prysły czary. Janek siedział znowu przy poplamionym atramentem stole przed nim leżał otwarty Cornelius Nepos i łaciński słownik. Naprzeciw siedniał Henio i pisał tak pilnie, że aż pióro trzeszczało. Koła Henia zaś stał doktor Pobidło i groźnie spoglądałna nich.

Gdy wreszcie godzina rekreacyi wybiła, przy podwieczorku w ogrodzie opowiedział Janek przyjacielowi swój sen.

— Wiesz, że to dziwne, przerwał Henio, bardzo dziwne. Podobny sen i ja miałem. Tylko koniec mojego snu był inny. Niema w niem zaczarowanego zamku.

— Ach, opowiedz! Przynaglał Janek.

— Aż do złotego drzewa mój sen zgadza się zupełnie z Twoim. Ty wsiadłeś na białego konia i uleciałeś na nim by oswobodzić księżniczkę, ja...

Co, co Ty? niecierpliwił się Janek.

— Ja zostałem, potrząsnąłem drzewem i napchałem sobie kieszenie złotemi liśćmi. A potem obudził mnie ten nieznośny doktor i sen się przerwał.

Potem spożyli chłopcy resztę podwieczorku i zaczęli grać w piłkę.

Czy sny chłopców sprawdziły się? Tak. Janek został poetą i bujał wyobraźnią ponad zaczarowane bory a Henio, który otrząsał liście ze złotego drzewa, został jego wydawcą.

J. K.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg. Drukarnia Ign. Jaegera: Lwów, Sykstuska 33.

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж6852

BOHATERSKIE PRZYGODY PAJACA i LALKI

(Dokończenie). Rys. H. Ostrowskiej.

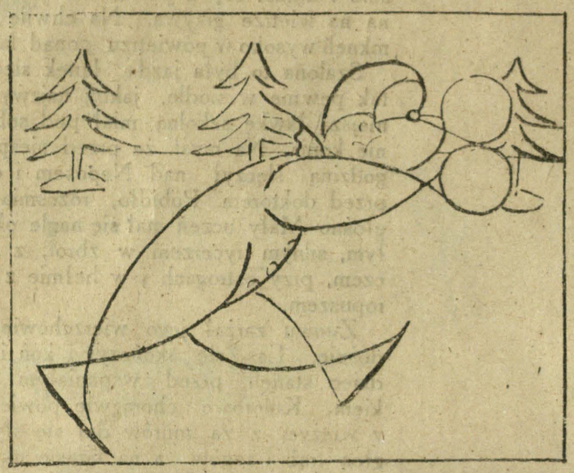

A tymczasem w wielkim pędzie
Pajac myśli co to będzie

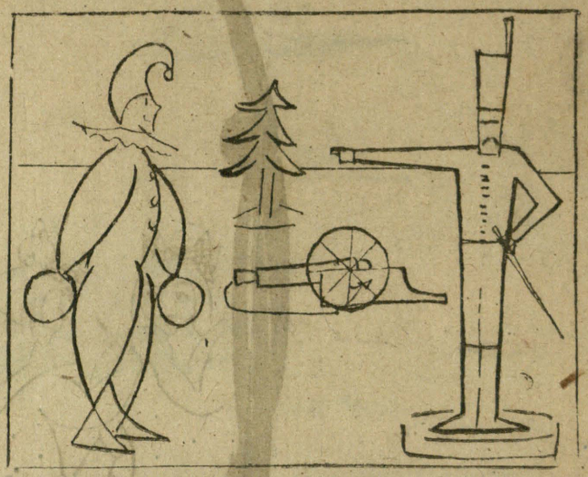

I jak w dym do generała
Aby mu pożyczył działa

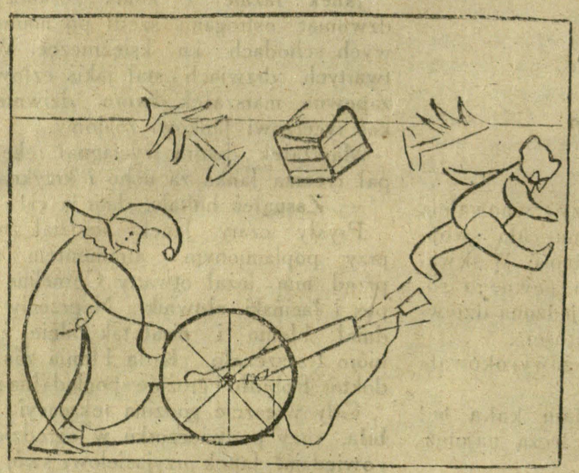

Wszystkie klatki porozstrzelał
Ale nic nie poweselał

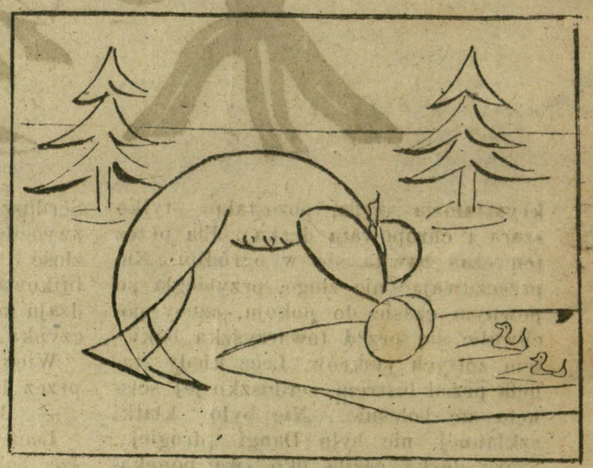

Pędzi dalej. Łzami kropi
Morze. Dość już. Tu się topi

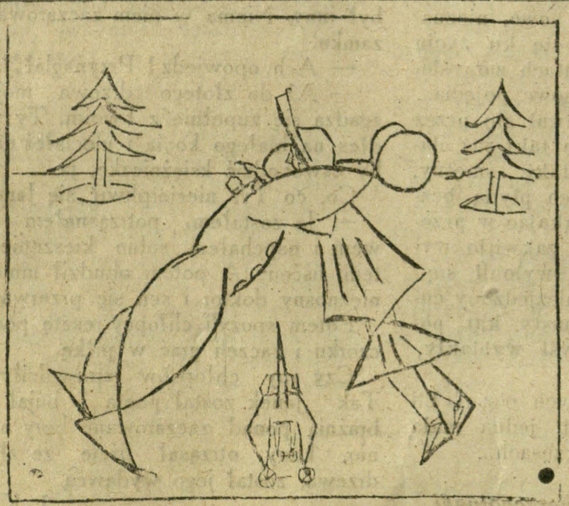

Wyłowiony przez jamnika
Wierną Lalkę napotyka

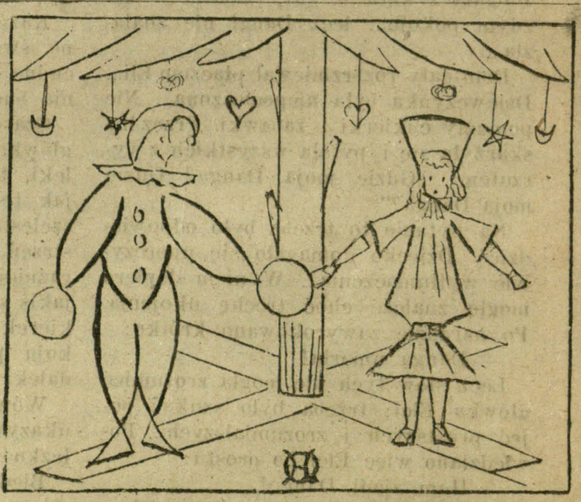

Więc ślub, radość.— tu dziecinki,
Kres podróży wkrąg choinki.

Rok I. 1. grudnia 1919. — Cena Mk. 1·— K 2·— Nr. 12

GRZEŚ

PISMO OBRAZKOWE DLA DZIECI OD LAT 5—80

KUBUS i BUBUŚ

(PRZYGODY SZALONEGO GRZESIA ZE „SZCZUTKA", CZĘŚĆ II.)

Wiodą więźniów obaj chłopcy
Razem z Grzesiem wśród igraszek
Wtem pod rękę się nawinął
Nowy podejrzany ptaszek.

Pan Grześ poznał w nim odrazu
Podróżnego bolszewika
— Hola! takich, jak ty bratku
U nas w Polsce się zamyka.

Chodzić dzisiaj bez opieki
Nie jest teraz zbyt bezpiecznie
Więc go Grzesio zaraz bierze
Razem z sobą bardzo grzecznie.

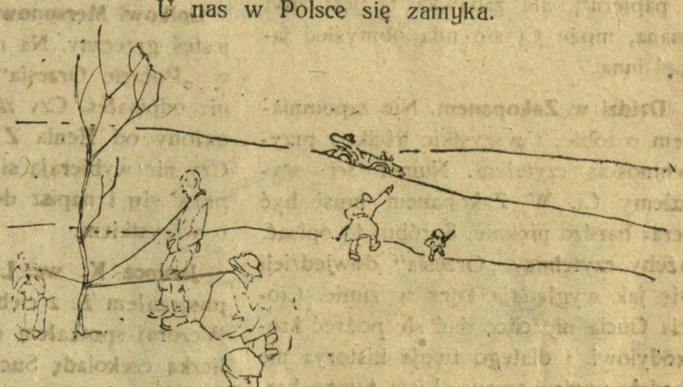

Przywiązali ich do drzewa
Kubuś dzielny jest na straży,
A gdzie tamci polecieli?
Pewnie znowu coś się zdarzy.

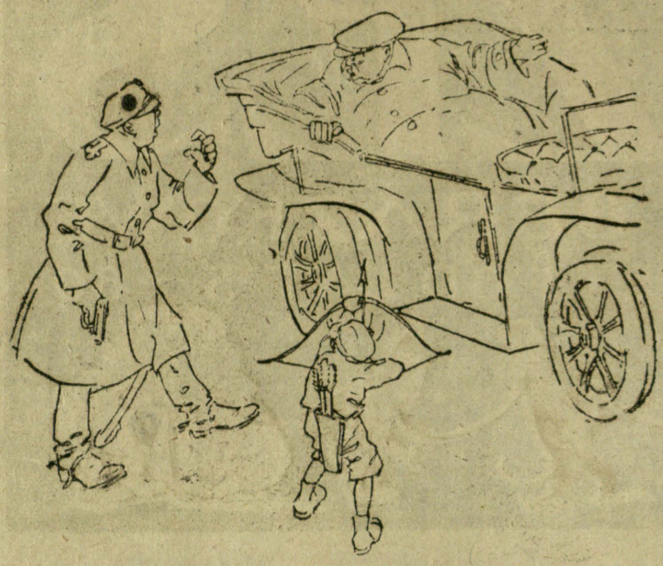

Proszę bardzo pana bliżej
Już tu mamy gości tylu
Pogadamy z sobą trochę
Zaraz złaź z automobilu.

Bubuś z ojcem razem spieszą
Do Kubusia szybkim biegiem
A ten, co go w środku wiodą
Jest szkodliwym bardzo szpiegiem.

POCZTA GRZESIA

Wszystkie poczty w Polsce niedomagają w czasie wojny, więc i poczta „Grzesia" spóźniła się. Niektórzy niecierpliwi czytelnicy już dawno czekają odpowiedź na swe liściki. Dziś im „Grześ" odpowiada.

Tadziowi Włodarczykowi w Krakowie. Numer szósty wysłano, już go pewnie dostałeś. W dzisiejszym numerze spotkała Cię niespodzianka: zostałeś współpracownikiem „Grzesia".

Juliuszowi Fallekowi w Krakowie. Bardzo ładnie narysowałeś „rewolwer z papieru", ale zabawka ta jest zbyt znana, może Ci się uda obmyśleć jakąś inną.

Dzidzi w Zakopanem. Nie zapomniałem o tobie, i wszystkie liściki z przyjemnością czytałem. Numer 3ci wyszlemy Ci. W Zakopanem musi być teraz bardzo pięknie. Spróbuj to opisać, ażeby czytelnicy „Grzesia" dowjedzieli się jak wyglądają tatry w zimie. Ciocia Gucia nie chce dać się pożreć krokodyłowi, i dlatego twoja historya nie będzie wydrukowana. Listu twego braciszka nie otrzymaliśmy.

Oleńka w Częstochowie. Wierszyk o „Królewnie róż" udatny, choć trochę za długi. A czemu Oleńka nic więcej o sobie nie napisała?

Staszkowi w Dębowcu. Jeżeli tak bardzo lubisz rysować, to powinieneś się uczyć, bo warto. Pracę swoją przyszlij a zobaczymy. Czy codziennie chodzisz piechotą do szkoły?

Janinie Bądzyńskiej we Lwowie. Rebus będzie drukowany.

M. Missionowi w Sosnowicy na Podlasiu. Historyjka o kasztanach bardzo wesoła, ale trzebaby opowiedzieć ją tak, aby i inne dzieci zrozumiały.

M. R. w Bochni. Wydrukujemy, ale później. A dlaczego „mały rycerz" nie podał swego nazwiska?

Lolkowi Mersonowi w Borzewie. Nie jesteś grzeczny. Na moje pozdrowienia w „Poczcie Grzesia" do tej pory nic nie odpisałeś. Czy załączyłeś rodzicom ukłony od Henia Z. i jak się mają? Czy nie wybierają się do Lwowa? Popraw się i napisz do mnie słów kilka o wszystkiem.

Janince K. we Lwowie. Nie przypuszczałem że z ciebie taki łakomczyk. Wczoraj spotkałem cię na ulicy z tabliczką czekoladę Sucharda w buzi. Byłaś tak zajedzona, że nawet nie odkłoniłaś mi się. Gniewam się.

KĄCIK MAŁYCH LITERATÓW.

MÓJ OGRÓDEK

Mam ja sobie ogródek
A w moim ogródku pełno niezabudek.
A jak zakryje małe grządki śnieżek,
To ja widzę ogródeczka brzeżek.

Tadzio Włodowczyk

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6955/II

ŚW. MIKOŁAJ U CIOCI GUCI

Ciocia siedząc w swym fotelu
Który pod nią miękko gnie się
Cały dzień przemyśliwała,
Co Mikołaj jej przyniesie.

A tymczasem dwu siostrzeńcom
Nowy koncept spać nie dawał.
Więc z okazyi Mikołaja
Wymyślili nowy kawał.

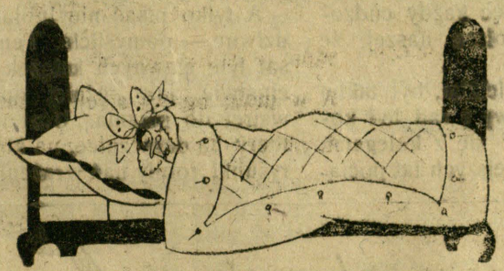

I nadeszła noc podarków
Ciocia nic nie przeczuwając
Spi pod swoją ciepłą kołdrą
Jak pod miedzą stary zając.

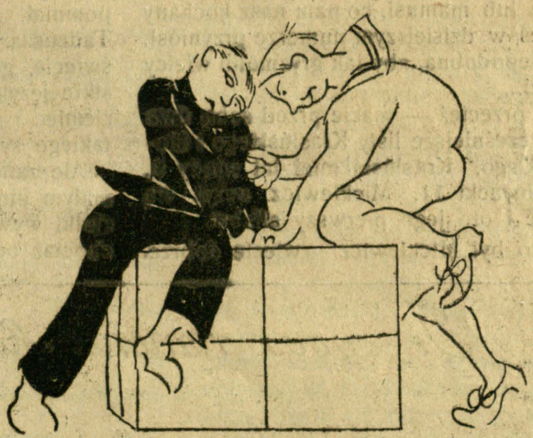

A tymczasem dwaj siostrzeńcy
W małej kuchni za podwórkiem
Jakieś pudło tajemnicze
Obwiązują silnie sznurkiem.

Przyszedł ranek — pod poduszkę
Ciocia wsuwa dłoń wychudłą
„Prędko! chodźcie tu wisusy
Rozpakujcie mi to pudło"!

Lecz gdy wreszcie pękły sznurki
Ciocia jak opłatek zbladła
Bowiem z wnętrza pudełeczka
Z piskiem wstrętna mysz wypadła.

JAK WIELCY LUDZIE UCZYLI SIĘ PISAĆ?

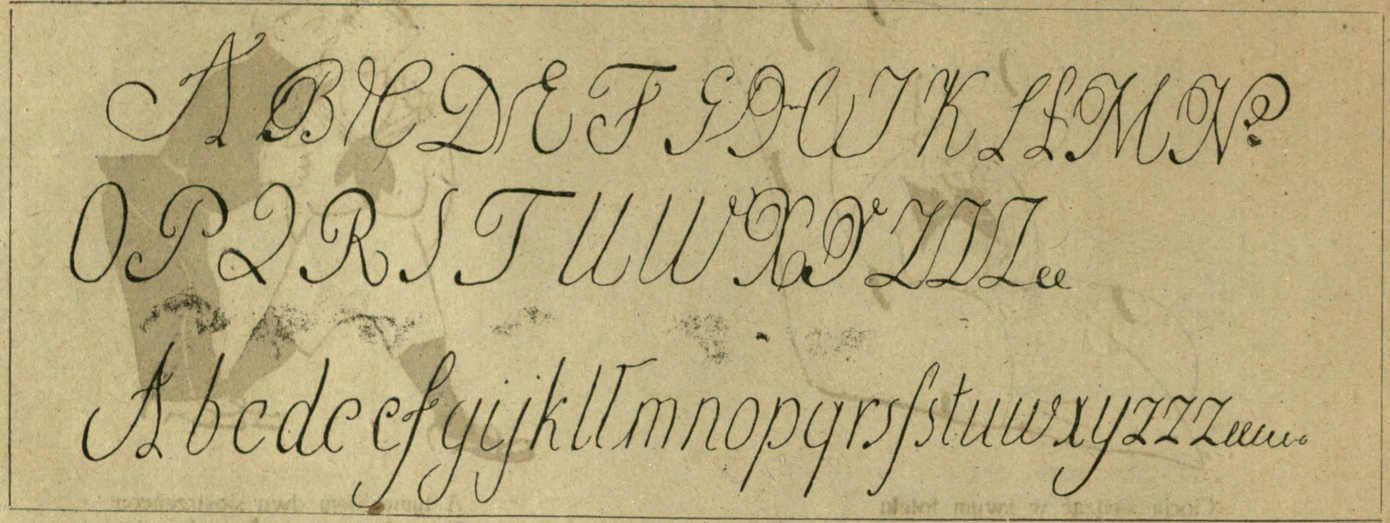

Abecadło ośmioletniego Adasia Mickiewicza

Co to jest — spytacie zapewne tatusia lub mamusi, co nam nasz kochany Grześ w dzisiejszym numerze przyniósł.

Niepodobna, aby tak gryzmolili wielcy poeci...

A przecież — macie przed sobą dwa najwcześniejsze listy Krasińskiego i Słowackiego. Krasiński miał lat wtedy 9, a Słowacki 11. Mickiewicz uczył się pisać i oto jego pierwszy alfabet.

Kto był Mickiewicz — wiecie dobrze. Zawstydziłbym was, gdybym wam przypomniał, że to ten wielki autor „Pana Tadeusza", który jest znany w całym świecie, gdyż był tłómaczony na wszystkie języki. Zna go więc każdy cudzoziemiec i zazdrości Polsce naszej, że takiego syna wydała.

Ale zanim stał się wielkim, był takim małym bimbasem jak wy i rad był koziołki wywijać i bawić się z kolegami, chociaż od najwcześniejszych lat pociągała go książka, z której chciał się jaknajprędzej nauczyć czytać, by być tak mądrym jak tatuś, którego szanowali w całej okolicy.

A tylko pisać nie lubiał. — Jakie to dziwne — pomyślicie. Ten, który napisał tyle sławnych książek — w dzieciństwie, jak później opowiadał, czuł wstręt do pisania. Uczono go kreślić litery na deszczułce, na której te dziwne rysunki robiły nań wrażenie wnętrzności

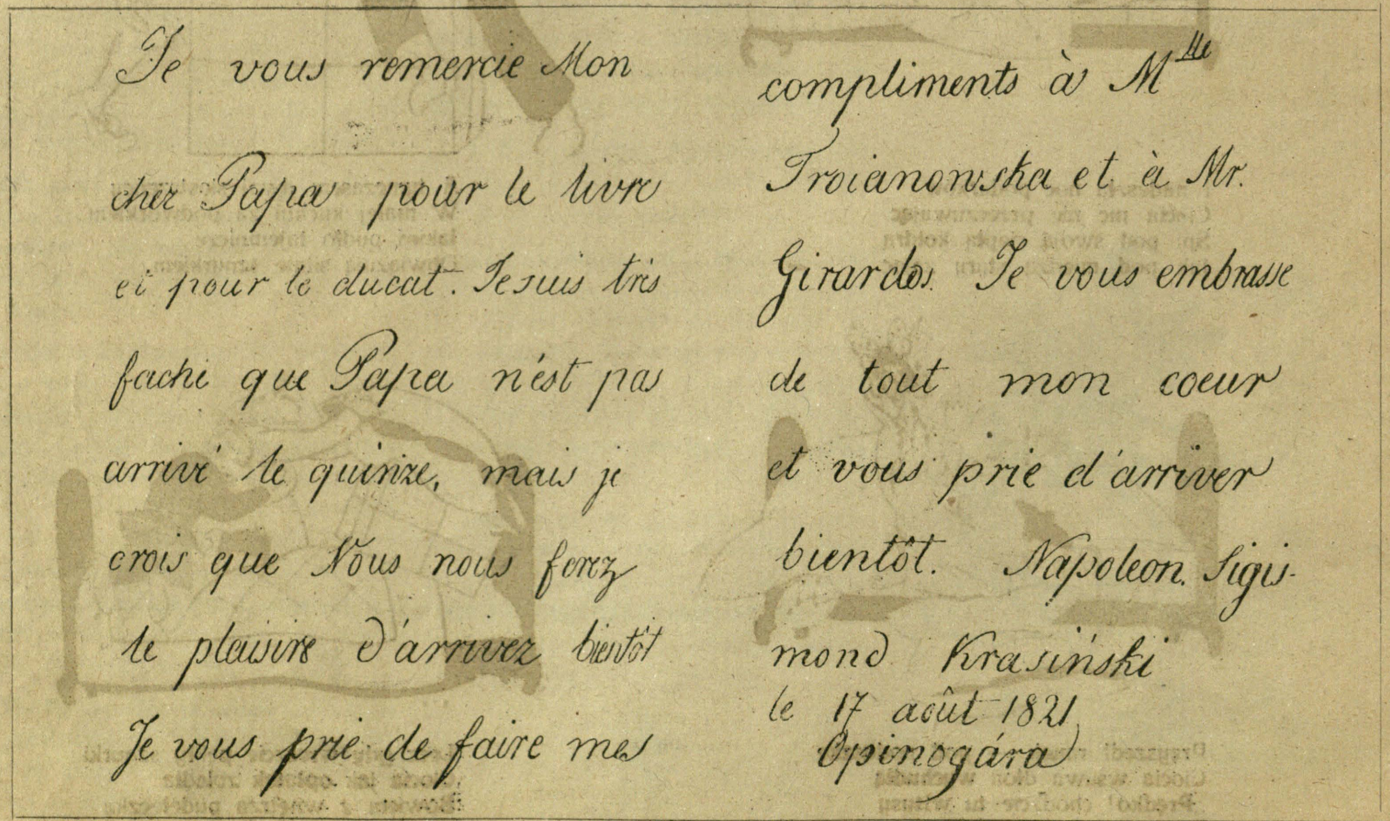

Je vous remercie Mon
cher Papa pour le livre
et pour le ducat. Je suis très
fachi que Papa n'est pas
arrivé le quinze, mais je
crois que Vous nous ferez
le plaisir d'arriver bientôt
Je vous prie de faire mes
compliments à Mlle
Trocianowska et à Mr.
Girardot. Je vous embrasse
de tout mon coeur
et vous prie d'arriver
bientôt. Napoleon Sigis-
mond Krasiński
le 17 août 1821
Opinogára

Zygmuś Krasiński do tatusia

zgniecionego pająka, a pająków zawsze szczególnie się bał i brzydził. Raz powiedziała mu mamusia: „Piszesz, jak kura grzebie; gdybyś był wielkim panem, sekretarz by za ciebie machał piórem, a ponieważ jesteś ubogim, musisz sam sobie dać radę". Wtenczas — mówi Mickiewicz — zacząłem się przezwyciężać i starałem się pisać lepiej. Ale to jakoś nie szło. Dlaczego? Bo nie przykładał się za młodu. Kiedy później, wygnany za patryotyczne wiersze z Polski, znalazł się Mickiewicz w Moskwie i wstąpił do urzędu — surową naganę otrzymał za kaligrafię. Mimo to był bardzo pilnym chłopcem i przykładał się starannie do nauk. Starszych szanował i lgnął do nich, bo wiedział, że wiele się tam nauczyć może. Opowiada córka Mickiewiczą pani Gorecka, że wielką przyjemnością dziecinnych lat ojca było towarzystwo jednej sędziwej przyjaciółki i sąsiadki jego rodziców, której opowiadań ojciec, będąc małym chłopaczkiem, chciwie zawsze słuchał.

Uwaga ta jego i zajęcie zjednały mu szczególniejsze jej łaski i nieraz, gładząc go ręką po głowie powtarzała: „obaczycie, że z tego dziecka będzie człowiek, bo lubi starszych słuchać".

W chwilach wolnych od nauki był wesołym trzpiotem: płatał figle, ale nigdy takich, które innym przykrość sprawiały. Bo był dobrem dzieckiem.

Jako paroletni malec lubił siadać na ogoniastej sukni swojej matki i ciągnąc się w ten sposób za nią po pokoju. Wyobrażał sobie, że płynie, albo jedzie sankami.

O czternaście lat młodszym od Mickiewicza był Zygmunt Krasiński, drugi największy polski poeta, który urodził się zdala od kraju — bo w Paryżu. W dzieciństwie zapowiadał już wielkie zdolności i nadzwyczajną uczuciowość. Gdy zachorował i gdy go pytano, co mu jest, odpowiadał, że bardzo boli, ale prosił, by nie mówić nic matce, bo się martwić będzie. Był dzieckiem bardzo dobrze wychowanem i grzecznem. Kiedy go razu pewnego ktoś z gości, widząc, że figlował, nazwał hultajkiem, pobiegł do matki ze skargą.

— A cóżeś mu odpowiedział — zapytała matka.

— Nic, odrzekł Zygmuś, bo nie chciałem być grubijaninem.

Widzicie, jak to ładnie. Gdyby był niegrzecznym dzieciakiem, odpowiedziałby coś brzydkiego i naraziłby się jeszcze na to, że „Madame rózga" byłaby w robocie, jak to pamiętacie z życia małego Szopena, co wam tak ładnie Grześ kiedyś opowiedział.

W ósmym roku życia pisuje listy francuskie do matki i ojca, a jeden z takich listów, choć trochę późniejszy i do kogo innego, macie przed sobą.

Jeszcze tu i ówdzie nie wie jak napisać, jeszcze się myli, poprawia i przekreśla, ale przyjrzyjcie się, jak list ładnie napisany, jak starannie i jak czysto, a z pewnością bez płaczu, narzekań i dąsów, jakie niejeden z was przy pisaniu wyprawia.

Przeczytajcie go z uwagą, a jeśli nie umiecie po francusku — poproście mamusi. Mnie brak miejsca wam przetłómaczyć, bo chcę jeszcze wam coś opowiedzieć ciekawego. Wszystko, o czem wam tu piszę — to nie są bajeczki, ale prawda, zapamiętajcie to sobie i napiszcie ładnie i czytelnie (tak jak Krasiński) do Grzesia, czy wam się podobało.

Oprócz francuskiego, umiał już Zygmuś trochę po łacinie i jako ośmioletni chłopczyna chwali się w liście do

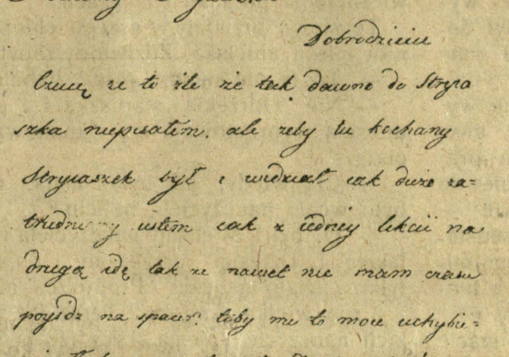

matki, że nieźle deklinuje scriba, scribae, co znaczy pisarz.

Uczy się także arytmetyki. Dziewięcioletni uczeń oblicza takie zagadnienie: „Robotników 17 przez 6 dni na tydzień, a po 12 godzin na dzień pracujących, zrównało ziemię na ogród w 9 tygodniach i 4 dniach, co godzina 3 stopy kwadratowe wyrównując. Jakież było pole tego ogrodu? I co ta robota kosztowała, rachując po 2 grosze za każdą stopę kwadratową?

Kto z was to rozwiąże — spróbójcie. A Krasiński rozwiązał. Miał też Zygmuś sporą bibliotekę, a w niej polskich książek 39, francuskich 133 i jedną niemiecką.

Wśród nich chował chłopczyna podłużną książeczkę, ładnie oprawną w czerwoną skórę ze złoconymi brzegami i na niej wypisał dużemi literami: „Album Zygmunta Krasińskiego". W podwójnych liniach wypisywał tu sobie Zygmuś różne wiersze polskie i francuskie, różne myśli i uwagi sławnych ludzi. Jedną taką myśl podkreślił czerwonym ołówkiem: „Należy więcej kochać rodzinę, niż samego siebie, ojczyznę więcej niż rodzinę, a ludzkość ponad ojczyznę."

Razu pewnego urządził ojciec Zygmusia we własnym domu egzamin 12-letniego synka. Zaprosił na tę uroczystość najznakomitszych ówczesnych mężów krajowych, najcelniejszych nauczycieli szkół. Młody uczeń obudził podziw i uradował wszystkich przytomnością umysłu, żywością odpowiedzi i obfitością zaczerpniętej nauki.

W nagrodę za świetny egzamin dostał od ojca strzelbę i poluje na kuropatwy i kaczki, które znosi z tryumfem do domu, a jeszcze z większym tryumfem zajada, dumny będąc, że na to zapracował.

Tak wesoło ale i pracowicie przeszła mu młodość. Uczył się przeważnie w domu, a dopiero na ostatni kurs zapisał go ojciec do ówczesnej szkoły w Warszawie tzw. liceum, które po skończeniu dawało mu prawo wstępu na uniwersytet. Do końcowych egzaminów przygotował się pilnie, a posłuchajcie, z jakim humorem opowiada w liście o przebiegu egzaminu piśmiennego:

„Czarownik kilka razy na dzień przychodzi do nas, zagląda pod stoliki, czy słowników lub książek nie mamy. Ciągle zaś przy nas siedzi profesor. Nie wolno ani słowa gadać jeden do drugiego, ani się radzić, jednak nie zachowują tego przepisu, bo się śmieją, gadają i krzyczą i nie tak to jest nudne, jakby mogło być".

Trzeci list, jaki macie przed sobą, to list Juliusza Słowackiego. Pisał go poeta, będąc starszym od dwóch swoich poprzedników i dlatego pismo więcej wyrobione i gładsze. Ale podobnie, jak i tamte, staranne i czytelne. Znajdą się i tu błędy i złe wyrażenia jak np. d u ż o z a t r u d n i o n y j e s t e m (tak się po polsku nie pisze), które wynajdziecie, przeczytawszy list, ale przecież zapominać nie można, że to pisze zaledwie 10-letni chłopaczek, który mimo to niejednego z was jeszcze zawstydzić może.

Cóż mam wam o nim powiedzieć? Nie ustępował wcale pod względem pilności i pracowitości ani Mickiewi

List Julka Słowackiego

czowi ani Krasińskiemu, a tylko był z nich najbardziej chorowity i słaby. Z powodu tego delikatnego zdrowia dziecka, nie męczono go zbytnio naukami, lecz pozwolono się bawić, ile chciał, bacząc jednakże na to, by znalazł się zawsze w dobranem dla siebie towarzystwie Że był zdolny, bardzo zdolny, w lot przyswajał sobie wszystkie nauki, nad któremi rówieśnicy jego ślęczyć musieli godzinami.

Kiedyś, gdy dorośniecie, zajrzycie z pewnością do niejednej z kart jego przecudnych poezyi, ale i przyznacie mi z pewnością, o ile pamiętać będziecie ten artykuł w Grzesiu, że najpiękniejszym klejnotem w koronie jego natchnień, była ta cudna miłość do matki, którą opromienił swoje życie, spędzone na tułaczce i wygnaniu. Tej matce poświęcał każdą chwilę samotnych swych wspomnień i na cześć jej wyśpiewał najpiękniejszy wiersz. Był dobrym synem, który za przykład wam wszystkim może służyć.

A gdy zechcecie zobaczyć, jak wyglądał czteroletni pieszczoszek swej matki, ubóstwiany przez nią dla pracowitości i talentu — to zajdźcie do muzeum Ossolińskich we Lwowie — tam wisi niewielki obrazek, przedstawiający młodego Julka w postaci milutkiego aniołka ze skrzydełkami u bioder i łukiem w rączynach.

Wpatrując się w te listy, jakie macie przed sobą, pomnijcie, że ci, którym dziś Polska cała hołd i cześć składa, którzy jej są umiłowaniem największem, byli kiedyś jak wy dziećmi, jak wy uczyli się pisać i pisali niezdarnie, a stali się później chlubą całego narodu — naśladujcie ich więc w czynach, a może i z was wyrosną zmartwychwstałej Polski wielcy synowie — na jej chwałę i pożytek.

DLACZEGO BABUSIA PISAĆ NIE UMIAŁA

Niedzielna cisza spoczywała na polach i lasach, na chatach i liliowych szczytach poblizkich gór, które otaczały pierścieniem maleńką wioskę, że wyglądała jak klejnot ułożony na wgłębionem smaragdowem pastwisku. Pod drzwiami małej chatki leżał zwinięty w kłębek pies i przerywał swą poobiednią drzemkę wówczas tylko, gdy mu natrętna mucha dokuczyła zanadto. Kłapał wówczas zębami i chwytał prześladowczynię w locie, by zaraz potem mrużyć znowu zaspane oczy.

Obok na ławie siedział mały, siedmioletni chłopak i z trudem gryzmolił na łupkowej tabliczce jakieś kulasy, mające wyobrażać litery. Chwilami z utęsknieniem patrzał na dalekie, wiejskie błonie, po którem, niby małe, czarne mrówki, uganiali jego towarzysze. Westchnął i trzymał jakiś czas rysik bezczynnie w ręku. Po chwili jednak poczucie obowiązku nakłoniło go znowu do żmudnej pracy.

Z otwartych drzwi chaty wyszła stara babusia. Pochyliła się nad wnukiem i z litością patrzała na jego bazgroty i wysiłek.

— Biedactwo! Zamruczała i pogładziła kościstą ręką jasne włosy chłopca. Nawet dziś, w dzień świąteczny nie dają mu spokoju!

Chłopak zrobił nieszczęśliwą minę i ze skargą w oczach popatrzał na babkę.

— Czego to teraz nie wymaga się od tych dzieci! Powiedziała starowina, siadając ciężko obok chłopca, na ławie. — Nie umiem ani czytać ani pisać a z honorem przeszłam przez życie, mam mądre dzieci, wnuki. Co nam, wieśniakom po takich rzeczach!

Te słowa brzmiały w uszach chłopca niby pieśń anielska. Zdziwiony zapytał:

— To ty nie umiesz pisać babciu?

— Nie. Odrzekła staruszka i z godnością wyprostowała się. Zapanowała cisza.

— Czy wtedy, jak byłaś mała, nie było wcale nauczycieli, babciu?

— O, byli! Mieliśmy nauczyciela i to jakiego! Dziesięć przykazań i co się tylko chciało nauczył. Proboszcz miał z niego wielką wygodę. Teraz już takich nauczycieli niema. Lecz, że ja się nie uczyłam pisać, zawdzięczam to rzeczy bardzo dziwnej.

Chłopiec aż usta otworzył z ciekawości i patrzał na babusię, jak na obraz.

— Zawdzięczam to matce mojej, że nie umiem pisać. Ona też nie umiała i uszła przez to wielkiemu niebezpieczeństwu. Jak matka moja zamąż poszła, to jakoś się jej nie bardzo dobrze wiodło. Oboje rodzice musieli ciężko pracować od rana do nocy, aby jakoś koniec z końcem związać. Jednego dnia poszła matka do drewutni po pościółkę dla kóz. I taka ją nagle złość zdjęła nad tą złą dolą, która twardo się jej trzymała, że siadła sobie na drzewie i gorżko zapłakała. Nagle stanął przed nią wspaniale ubrany pan. Był niby strzelcem, a za kapeluszem miał zasadzone pióra kogucie. Zapytał się matki czego tak rzewnie płacze, a gdy mu swą biedę przedstawiła, począł się śmiać i powiedział:

— Pomogę ci. Zrobię cię tak bogatą, że na całe życie będziesz miała dosyć.

Wyciągnął małą, czerwoną książeczkę i czarne pióro i podał to matce.

— Podpisz się tu. Wiele znajdziesz ludzi podpisanych w tej książeczce, którym pomogłem.

Uradowana matka moja wzięła z jego ręki książkę i pióro czarne i chciała życzenie obcego pana spełnić, ale podpisać się nie umiała, postawiła więc, na wskazanem miejscu, znak krzyża.

W tem książka w jej ręku stała się tak gorącą, że ją z krzykiem daleko za siebie odrzuciła i widziała na własne oczy, jak się czerwone kartki spaliły na popiół. Gdy podniosła przerażone oczy, nieznajomego już nie było a w powietrzu czuć było straszliwy zapach siarki. Wtedy matkę moją przeszedł dreszcz i przejrzała, że ten obcy pan, to był zły. Wyleciała na pole i długo biegała nieprzytomna. — Że nie umiała pisać, że dała w książce dyabelskiej znak krzyża, uratowała swoją duszę od wiecznego potępienia. Całe życie przestrzegała ostro, aby żadne z jej dzieci nie uczyło się pisać. I gdyby to odemnie zależało, nie uczyłbyś się i ty tego, biedaku. Ale teraz, to zupełnie inny porządek niż za dawnych, dobrych czasów.

Tak mówiła stara babusia i westchnęła, wspominając owe dobre, dobre czasy. Wnuczek westchnął także. Zaświtała mu myśl, że urodził się o sto lat za późno i najchętniej byłby tabliczkę rozbił o jaki kamień. Ale pan nauczyciel miewał czasem dziwne nawyczki, z jakiemi ściśle związana była obfitość brzozowych prętów w pobliskim lesie.

J. K.

ŁAMIGŁÓWKA

. Dawna stolica polski
. ryba
. przyrząd do krajania
. człowiek który orze
. nazwa części mieszkania
. mieszkanie lisów
. przyrząd do szycia
. słodki artykuł spożywczy
. zwierzę pociągowe
. część świata.

Początkowe litery tych słów dają nazwisko sławnej autorki polskiej.

Rozwiązanie w następnym numerze

PRZYGODA MAŁEGO ZBYSIA WĘDROWNIKA

(OBRAZEK)

Mały Zbych to prawdziwy oryginał... Trzyletni pędrak, okrągły i pucułowaty, z brzuszkiem wystającym, toczy się zabawnie, jak kulka, na dwóch krótkich, kabłąkowanych nóżkach, z których zawsze mimo usilnych starań mamy i niani opadają melancholijnie majteczki. Z pulchnej okrągłej twarzy spogląda na świat dwoje oczu małych, błyszczących i ciekawych. Czasami oczy te, schylone nad kwiatem albo nad owadem, prześwietla jakiś przedziwny wyraz skupienia i natężonej uwagi. Wówczas zdaje się, że na pewien krótki moment widzą one jakieś przedziwne tajemnice, rzeczy z tamtego świata, dawno już zapomniane i niezrozumiałe dla dorosłego człowieka. A twarz chłopca to prawdziwe pobojowisko.

Zawalana, podrapana, pełna piegów, siniaków i blizn, jedyna w swoim rodzaju, mogłaby świadczyć o jakichś zaciekłych walkach, o życiu ruchliwem, pełnem wypadków i niespodzianek.

A jednak jest to charakter łagodny, poczciwy i nie wchodzący nikomu w drogę. Cechy te występują najlepiej w stosunku malca do starszej o rok siostrzyczki Wisi. Zbych ma respekt przed jej mądrością i ostrymi pazurkami. Wogóle ulega jej we wszystkiem i ma wstręt do tworzenia sobie własnego światopoglądu. Wisia to już miniaturka kobietki. Sprytna, dumna, uparta, złośliwa, ma w sobie zawiązki na przyszłą despotkę. Mimo swoich czteru lat miesza się do gospodarstwa, łaje służbę i wypowiada od czasu do czasu jakąś mocną, stanowczą sentencyę w guście tej: „Wisia to bardzo mądra dziewczyna a Zbysio to ostatni dureń". A chłopiec z miną poważną i głosem pełnym wewnętrznego przekonania powtarza za nią jak małpka: „Wisia to mądla dziewczyna a Zbysio to ostatni duleń".

Zresztą mały Zbych nigdy się nie nudzi. Ponieważ jest średnim w rodzeństwie, więc jak to się zwykle dzieje, najmniej na niego zwraca się uwagi. Wskutek tego cały dzień toczy się na swoich krótkich nogach przez trawniki parku, ugania za motylami albo zrywa „kaki" (kwiaty).

W wolnych chwilach bywa bity przez wszystkich. Bije go mama, tato, ciocia, Wisia, niańka, kucharka i służba folwarczna. Zbych przyzwyczaił się już do tej operacyi. Przyjmuje te razy zasłużone lub niezasłużone ze stoickim spokojem. I tylko wykrzywia po wszystkiem twarzyczkę w grymas niezadowolenia i drapie się zabawnie w zbolałe miejsce. Lecz czasem i on ma swoje humory. Wówczas, zaledwie go dotknie ręka karząca, wydaje ze swego gardła przeraźliwy, przenikający jak sztylet krzyk i drze się tak z całych sił nie dla bolu, tylko dlatego, że czynność ta sprawia mu wielką satysfakcyę. Wie on dobrze, jak się to kończy. Mama, wzruszona jego nieszczęściem, przynosi mu zawsze „cuklu" lub „buły".

Chłopiec największe zaufanie czuje tylko do niani. Ona jedna chodzi z nim na dalekie spacery do lasu, ona jedna tylko umie śpiewać takie ładne i zabawne piosenki, które roznoszą się wśród drzew tajemniczem echem i mają takie dziwne słowa, jak:

Tam gdzie czysta woda
Tam koniki piją
Tam gdzie ładna panna
Tam się chłopcy biją.

Tylko, że w wierszu tym malec nigdy nie mógł zapamiętać porządku poszczególnych wierszy i później powtarzał za nianią w ten sposób:

Tam gdzie ładna panna
Tam koniki piją.

Malec ma jedną zaletę, która zapowiada piękny charakter. Oto nie kłamie nigdy, choć nieraz ta prawdomowność odbija się gorzko na jego skórze. Giną na przykład pewnego dnia bez śladu kalosze mamy. W domu krzyk, awantura, piekło. Cała służba szuka, zdejmują obrazy ze ścian, odsuwają meble, zwijają dywany. W atmosferze unosi się gniewny, despotyczny krzyk zagniewanej mamy. Zbych tymczasem najspokojniej stoi w kącie i potrącany przez służbę zajmuje się z powagą, nie licującą z naprężeniem chwili — wydłubywaniem oczu złotowłosej lalce Wisi. Po półgodzinnem daremnem poszukiwaniu, mamie zaświtała nagle jakaś myśl w głowie. Zbliża się do chłopca i z podstępną miną pyta:

— „Zbysiu! nie widziałeś gdzie kaloszy mamy"?

Zbyś wierząc drutem w pustych już oczodołach lalki, odpowiada całkiem spokojnie:

— „Widziałam"!

Mówiąc o sobie używa stale formy żeńskiej. Mama indaguje dalej:

— „A gdzie je podziałeś, powiedz Zbysiu. Mama musi iść do miasta a tam pada straszny śnieg. Bez kaloszy może się mama rozchorować i umrzeć. Powiedz Zbysiu, gdzie schowałeś kalosze mamy"?

A Zbyś odpowiada po krótkim namyśle:

— „Schowałam do peca"?

I rzeczywiście znajdują w piecu do połowy już stopione kalosze.

Zbyś ma manię wędrowniczą. Zielony ganeczek i park, w którym wolno mu się bawić, nie wystarczają mu. Zna już tam każdą piędź ziemi, żaden kwiat nie ostał się przed jego chciwą ręką. Wyobraźnia jego pożąda szerokich przestrzeni. Gdyby nie gęsty parkan, przez który zaledwie kot się przecisnąć może, powędrowałby za góry i lasy, w ten nieznany, ciekawy świat, o którym marzy najcudowniejsze baśnie. Najbardziej pociąga go las, sąsiadujący z parkiem, pełen tajemniczego cienia, świergotu ptactwa i dziwnego szumu drzew. Chodzi tam czasem w niedzielę z nianią, lecz nigdy nie zapuszczają się w głąb. Już kilka razy, gdy furtka przez zapomnienie była otwartą, puszczał się samopas w tamtą stronę, lecz zawsze w czas zauważono jego nieobecność i zawracano go z drogi. A las szumiał tajemniczo, tak grał i śpiewał, tak wołał go do siebie i nęcił, jakby znał jego tęsknotę i nieukojone pragnienie.

Pewnego dnia, w skwarne, upalne popołudnie Zbyś z nianią bawił się w parku. Rodzice udali się na drzemkę, cały folwark ukrył się przed gorącem, nigdzie nie było widać żywej duszy. Niania z młodszym braciszkiem na rękach, usiadła pod cieniem klonu, oparła się o jego szeroki pień i wnet, zmożona gorącem, przymknęła oczy zapadając w błogi sen. Była ogromna niezamącona cisza, żaden listek nie drgnął na gałęzi, tylko zdaleka dolatywał niewyraźny, przytłumiony szum. Zbyś rozglądnął sie jeszcze raz dokoła, a potem ile tylko sił mu starczyło począł toczyć się w stronę furtki. Na szczęście otwarta. Oglądnął się po za siebie. W oddali, na ciemnem tle zieleni widniała nieruchoma, czerwona plama spiącej niani. Bez namysłu puścił się w dalszą drogę... miał teraz do przebycia najgorszą partyę; ścieżka z małem wzniesieniem, wiodąca do lasu, była z folwarku widoczna, jak na dłoni. Zgrzany, zlany potem dopadł pierwszych drzew lasu i utonął w jego ciemnej, cienistej głębi. Był już bezpiecznym.

Drzewa witały go cichym, radosnym szumem i wyciągały ku niemu gałęzie, niby miłujące, spragnione pieszczoty ramiona. Pomiędzy drzewami wił się niby srebrna nitka strumyczek leśny, spłukując delikatne puszyste mchy i tworząc na wykrotach drzewnych małe wodospady. Ku jego chłodnym brzegom biegły gromadami grzyby, niby rozbawione karły w dużych, kolorowych kapeluszach.

(D. n)

Henryk Zbierzchowski

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg. Drukarnia Ign. Jaegera Lwów, Sykstuska 33.

Ж 6852

O TADZIU, KTÓRY WSZYSTKO UMIAŁ

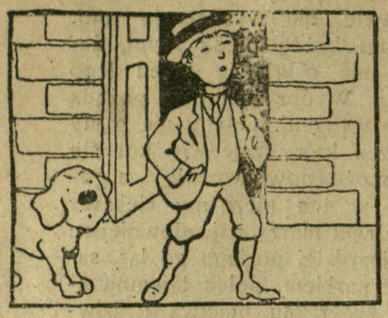

Tadzio ma czternaście lat, ale mądrzejszy jest od wszystkich dorosłych ludzi. Zna się na wszystkiem, wie wszystko i umie wszystko.

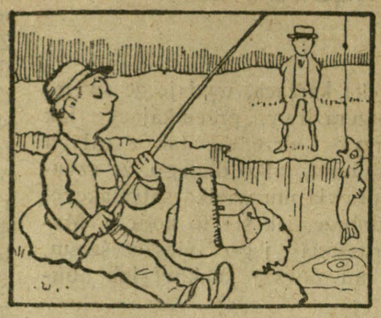

Nad strumykiem siedzi rybak i zarzuca wedkę. Złowił już karpia, szczupaka i kilka karasi. Tadzio przygląda się temu, i rzecze: Ja to lepiej potrafię.

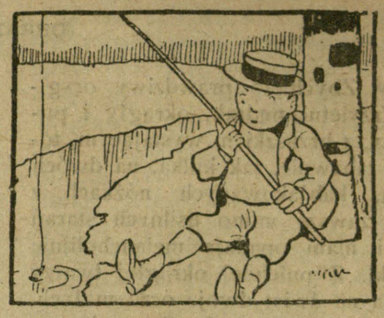

Po co właściwie siedzieć długo nad brzegiem i cicho czekać aż ryba połknie haczyk? Można to zrobić o wiele prędzej!

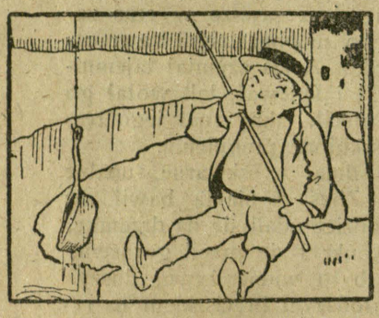

To mówiąc zasiadł Tadzio nad brzegiem strumyka i... i... zarzucił szybko wędkę z robaczkiem na haczyku. Za chwilę dumny i pewien siebie wyciągał ją. Zdobycz była obfita: stary zardzewały rondelek

Strzelec zabił w lesie zająca i niesie go do domu. — O, wa! — rzecze

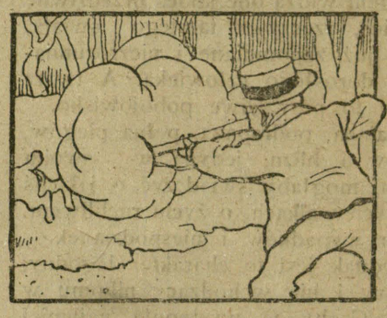

wtedy Tadzio — co mi to za sztuka! Ja potrafię tak, a nawet jeszcze lepiej!

Zabrał potajemnie wujaszkowi strzelbę z nad biurka i poszedł na polowanie. Zaraz zobaczycie jaki z Tadzia dzielny myśliwy. Puf! rozległo się za chwilę w lesie....

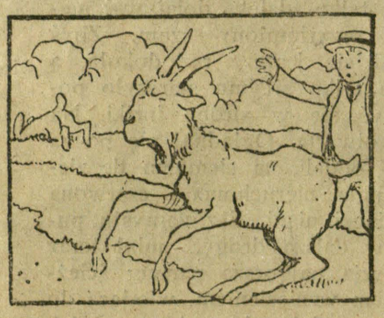

..... i rozległ się żałosny bek capa domowego, którego Tadzio trafił

w pośladek, za co tatuś musiał za karę leśniczemu zapłacić. Co tam potem w domu było po polowaniu łatwo się domyślicie.

Pewnego dnia tapicer urządzając

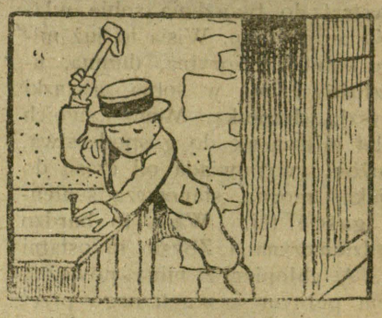

mieszkanie wbijał gwoździe w ścianę. „On nie umie wbijać gwoździ — powiedział Tadzio — muszę wam pokazać jak to się robi.

I zaraz zabrał się do roboty. Wziął młotek i gruby gwóźdź, poszedł do kuchni i nuże walić z całej siły w stół kuchenny, niedawno kupiony.

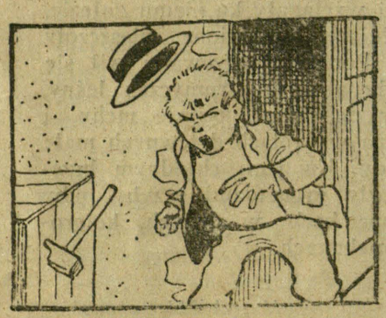

Tadzio wie wszystko i wszystko umie, i byłby wbił gwóźdź doskonale.

Tylko młotek był lichy, gwóźdź wojenny a stół do niczego. I dlatego....

Krew trysła z palców mądrali. Stłukł sobie paluchy porządnie i pokaleczył, tak, że mu musiano obandażować całą rękę.

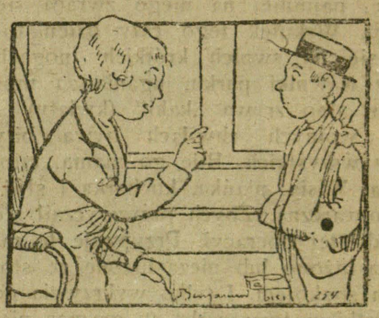

— Opamiętaj się chłopcze — rzekła Tadziowi matka i przestań być mądralą. Kto chce wszystko umieć, musi się wpierw wszystkiego nauczyć.

Rok I. 15. grudnia 1919. — Cena Mk. 1·— K 2·— Nr. 13

DZIECIOM POLSKIM Z OPŁATKIEM

Czego ci życzyć dziatwo polska
Naszej przyszłości łanie żyzny?
Abyś wyrosła jak najprędzej
Na chwałę kraju i ojczyzny,
Byś w cudnym roku zmartwychwstania
Posiadła hart i moc wytrwania.

A więc, gdy w wieczór wigilijny
Łamać będziecie się opłatkiem,
Kiedy w niejednem młodem oku
Zalśni wzruszenia łza ukradkiem,
Niechaj myśl wasza się zatrzyma
Na wszystkich, których z wami niema.

Którym nie było przeznaczone
Wigilię spędzać w krewnych kole,
Bo gdy ojczyzna ich wezwała,
Ochotnie wyruszyli w pole
I nakształt muru żelaznego
Swą piersią naszych kresów strzegą.

Wiatr mroźny spiewa im kolędę
W strzeleckim rowie, na widecie,
I w oczy w przestrzeń zapatrzone
Mokre tumany śniegu miecie
A zamiast drzewek z świecidłami
Gwiazdy im świecą nad głowami.

Pamiętaj o nich polska dziatwo
I niechaj ci przykładem będą,
Że gdy ojczyzna jest w potrzebie
Nie czas nam cieszyć się kolędą,
Lecz walczyć, póki sił nam starczy
I wrócić z tarczą lub na tarczy.

W tobie jest bowiem nasza duma
I nasza siła młoda, czerstwa.
Już pokazałaś raz we Lwowie
Pierwsze pazury bohaterstwa,
A więc nas przyszłość nie przestrasza,
Gdy tak jest dzielną młodzież nasza.

Henryk Zbierzchowski

KUBUŚ i BUBUŚ

(PRZYGODY SZALONEGO GRZESIA ZE „SZCZUTKA". CZĘŚĆ II.)

I z tryumfem jeńców wiodą
Przez ścierniska i rozołgi,
By szkodliwym osobnikom
Wreszcie koniec zrobić srogi.

Grześ zamierzył się brauningiem
Łuk pochwycił Bubuś — żaczek
Kubuś napiął katapulkę
I strzelają jak do kaczek.

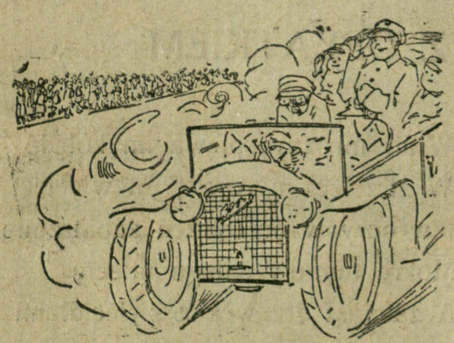

A gdy koniec im zrobili
Wsiedli w auto pełni dumy.
Mknie maszyna do kwatery
Z krzykiem ich witają tłumy.

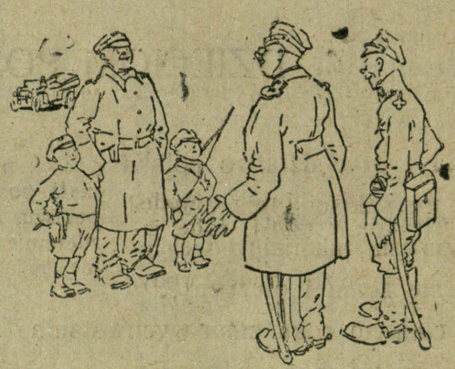

Sam generał ich pochwalił
Który gulę miał na oku
I w nagrodę za odwagę
Dał im urlop na pół roku.

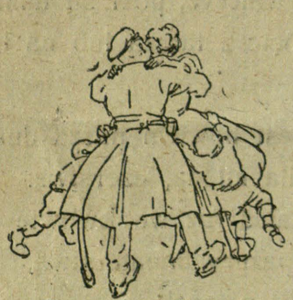

Toż to była radość w domu
Nie wiem czy ją w zwrotce zmieszczę
Chłopcy do spódnicy matki
Przyczepili się jak kleszcze.

Miło to być na wojence
Śnić o nowych przygód planach,
Ale przecież jest najlepiej
U rodziców na kolanach.

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА АН УРСР № 6952 іп

PRZYGODA MAŁEGO ZBYSIA WĘDROWNIKA

OBRAZEK

(Dokończenie)

Po kilku minutach drogi drzewa uciekły w tył i oczom zdumionego Zbysia ukazała się przecudna polana leśna, pełna kwiatów i paproci, napełniona niby kryształowy puchar przeczystem powietrzem, w którem pławiły się roje kolorowych motyli, jętek, muszek i komarów. A puchar ten przykryty był baldachimem najbłękitniejszego nieba, po którym niby biały żagiel szybował srebrny, rozmarzony obłoczek. Chłopiec klasnął w ręce i zawołał pełen niewypowiedzianego zachwytu jedno tylko słowo: „Kaki"! — A były tam kwiaty bladoniebieskie, różowe, żółte, fioletowe i białe, kwiaty wątłe, niskie, tulące się do stóp paproci, i wysokie, dumne, na wyprostowanych szypułkach, przerastające wzrostem chłopaka. Gdzie spojrzał wszędzie wyglądały ku niemu z trawy ciekawie te kolorowe oczy kwietne, a stare sosny, niby gromada olbrzymów, wzięły się za ręce i rozpoczęły powolny, poważny tam dokoła polany. Zbyś rzucił się ku kwiatom... niby pijany szczęściem rwał je wszystkie i układał w bukiet dla mamy. A potem usiadł nad strumykiem i począł je po kolei rzucać na wodę.

Blado niebieskie dzwonki, żółte jaskry, drobne niezapominajki spadały bez szelestu na powierzchnię wody, zatrzymywały się chwilę w miejscu, okręcały się z prądem, uderzały o brzegi a potem porywała je wartka fala i niosła w dal. Czasem nadpłynął gdzieś z góry listek, na którym niby na tratwie żeglował przerażony owad lub gąsienica, wahał się chwilę nad wodospadem, utworzonym z zeschłej gałęzi, a potem staczał się z falą w dół. Na chwilę znikał w wirze a potem znów wypływał na powierzchnię, lecz już bez swego pasażera. Wszystko to przewijało się przed zdumionemi źrenicami chłopca, niby najcudowniejsza bajka piastunki.

Nagle przedarł ciszę donośny, wszystko przenikający krzyk:

— Zbysiu! Zbysiu!!!

Skończyła się bajka. Chłopak poznał głos mamy. Szukając go... a gdy go znajdą, wiedział już, co go czeka Rozglądnął się bezradnie dokoła siebie. A wówczas poraz drugi rozległo się wołanie, tylko już znacznie bliżej, wpadło w głąb lasu, rozbiło się na tysiąc ech i znikło gdzieś w dali, niby wspomnienie...

Na środku polany rozsiadł się rozłożysty, gęsty krzak. Chłopak pobiegł w tę stronę, położył się na ziemi i tak jak kot zaczaił się w jego nieprzenikliwej gęstwi. Znalazł tam akurat tyle miejsca, ile było potrzeba dla tak małego człowieczka. Skulił się, wciągnął nogi i czekał.

Las cały rozgrał się gwarem i hałasem. Trzeszczały gałązki, echa wołań rozpaczliwych mamy grały po lesie, oddalając się i zbliżając do jego kryjówki. Zbyś nie myślał opuszczać krzaka. Było mu tak miękko, zacisznie, chłodno. Wyciągnął znużone członki i odpoczywał. Po chwili krzyki szukających ustały i znowu zapanowała w lesie niezamącona cisza. Wówczas w ciszy tej usłyszał chłopak dziwną muzykę. Brzmiała ona z niewidzialnego miejsca tuż nad jego głową. Nie była to właściwie muzyka, tylko jakiś jeden ton, dźwięczny i nieskończony ....nnnnnnnnn....

Wytężył wzrok i spostrzegł, że tuż nad jego głową zawisł nieruchomo komar i on to wydawał ten dziwny ton. Pod wpływem tej monotonnej muzyki poczęło go ogarniać senne rozmarzenie. Otwierał oczy jak mógł szeroko, lecz powieki same opadały. W pewnej chwili zdawało mu się, że przez gąszcz przedziera się do niego jakaś mała postać w dużym kolorowym kapeluszu, że staje tuż koło jego głowy, zdejmuje kapelusz i krzywiąc zabawnie uśmiechniętą twarzyczkę przedstawia się:

— „Jestem pan grzyb".

Zbyś odpowiada wyniośle:

— „A ja jestem Zbych" — a potem zasypia snem długim i słodkim...

Budzi go ze snu jakiś wilgotny język, który liże mu twarz. Otwiera oczy i tuż przy swej głowie widzi mordę psią i dwoje zielonych, świecących w ciemności oczu. To biga, ulubiony kundel folwarczny. Tak ciemno... co się z nim dzieje... chłopiec przeciera oczy i usiłuje sobie coś przypomnieć. W tej chwili rozsuwają się krzaki i dwoje rąk silnych unosi go z ziemi. Zbyś jest na rękach ojcowskich. Przy drżącem świetle smolnego łuczywa ogląda ich wszystkich, ojca, matkę, ciocię, ludzi folwarcznych i gromadę chłopów ze wsi. Na wszystkich twarzach maluje się radość i szczęście, tylko oczy matki okrążone odwódkami a na oczach jej błyszczą przy świetle pochodni jakieś perełki cudne i świecące. Mama wyrywa go z rąk ojca, przyciska do piersi, zasypuje tysiącem pieszczot i całusów. Mówi przytem głosem, zdławionym przez łzy:

— „Mój malcze zatracony, mój słodki kochany chłopaku, moja ty zgryzoto serdeczna. Bogu dzięki znalazłeś się. Szukaliśmy cię pół dnia. I gdyby nie poczciwy pies, który cię wywęszył, kto wie, coby się stało z tobą. Powiedz chłopcze, coś ty tam robił pół dnia w tym krzaku"?

A Zbysio odpowiada spokojnie, przecierając zaspane oczy:

— „Spałam"!

Powoli przypomina sobie wszystko. I w miarę tego jest zdumiony coraz więcej. Nie dostał bicia, wszyscy wyrywają go sobie z rąk, nawet gniewna ciocia patrzy na niego wzrokiem wilgotnym i miękkim, który nie wzbudza w chłopcu lęku. Także niebo, niby ucieszone, czyste, mruży do niego tysiąc złotych oczu, jakby go wołało do siebie na jakąś ucieszną zabawę. A potem odnoszą go z tryumfem do domu, nie jak winowajcę ale jak króla przy świetle pochodni, która czerwoną łuną rozświeca drogę. Zbyś jest zdumiony coraz bardziej i nie rozumie przyczyny swego dzisiejszego powodzenia. Lecz, że ma wrodzone lenistwo do tworzenia sobie własnych pojęć, o ludziach i wypadkach a Wisia już śpi, pozostawia sobie chęć dociekania przyczyny tego do jutrzejszej rozmowy z Wisią

Po chwili już, Zbysio z dużym cukierkiem w ustach, które jest tak słodki i trwa tak długo, znajduje się w swojem łóżeczku. Z drugiego pokoju przez przymknięte drzwi biegnie do dziecinnego pokoju nikła smuga światła lampy i słychać przytłumiony odgłos rozmowy mamy i tata. Cukierek się skończył, Zbysio, ukołysany ciemnością i wrażeniami dnia, popadł w ten słodki stan pół snu, pół jawy. Lecz ile razy otworzy oczy, widzi na szybie okna miesiąc, który ogromny i świecący, zdaje się zaglądać do dziecinnego pokoju. Światło jego srebrne i przykuwające do siebie oczy, nie daje chłopcu usnąć. Więc mamrocze przez sen:

— „Bozia pali lampu... Zbysio będzie spała.. Zbysio gasiła lampu Bozi, fu! fu!"

Po jakimś czasie otwierają się drzwi dziecinnego pokoju, jakaś postać podchodzi do łóżka chłopca i pochylona nieruchomo przysłuchuje się jego miarowemu oddechowi. Z drugiego pokoju odzywa się głos męzki:

— „Śpi?"

A z dziecinnego pokoju odpowiada mu przytłumiony głos kobiecy, z jakąś serdeczną tkliwością i umiłowaniem bez granic:

— „Śpi"...

Henryk Zbierzchowski.

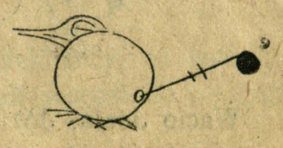

DWAJ

Ojciec papierosa pali
Możebyśmy sprobowali?

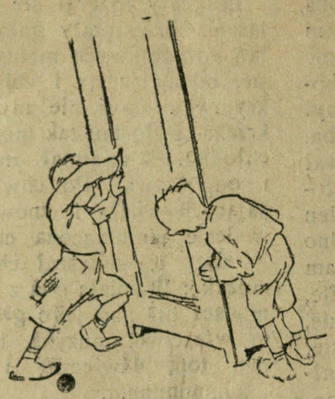

Wiem, schowane są w tej szafie.
Ja otworzyć ją potrafię.

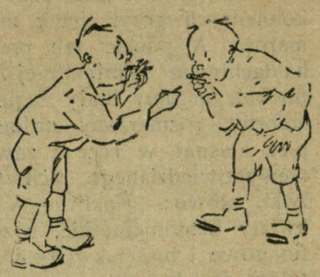

Wnet do szafy się dobrali.
Józio pali, Wacio pali. . .

Robiąc dziwne miny buzią,
kółka z dymu puszcza Józio.

Wacio sztuki też zaczyna:
dymi nosem, jak z komina.

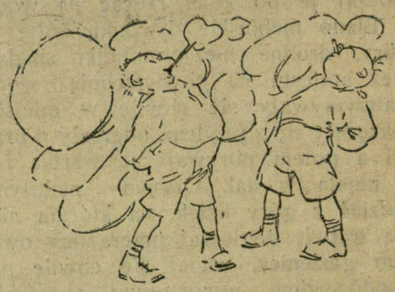

Radość sprawia im szaloną,
że już w kłębach dymu toną.

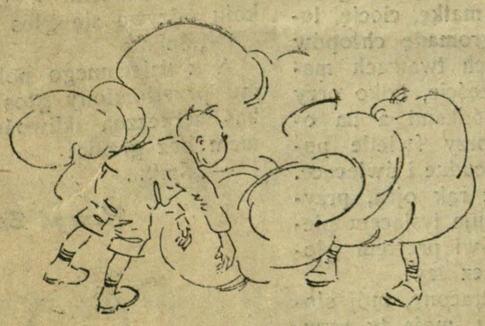

Wacio Józia, Józio Wacia—
prawie się nie widzą bracia.

Wacio tego ma za wiele:
czuje w głowie karuzelę.

PALACZE

Brat uśmiecha się z ukosa
i dym dalej puszcza z nosa.

Lecz mu nagle rzednie mina:
dziwnie blady być zaczyna.

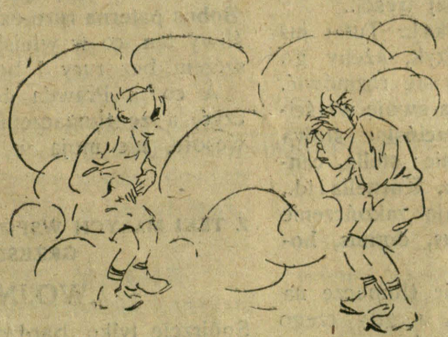

To za głowy, to za brzuchy
chwytają się nasze zuchy.

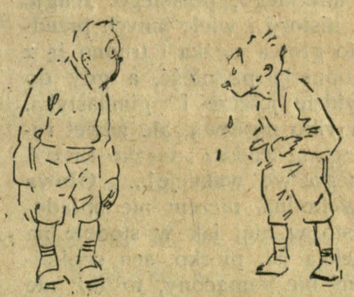

Smętne patrzą dwaj palacze;
Wacio nawet łzami płacze.

Papierosy w kąt rzucili,
głowy z wstrętem odwrócili.

Wyglądają coraz gorzej,
coraz gorzej, strasznie chorzy...

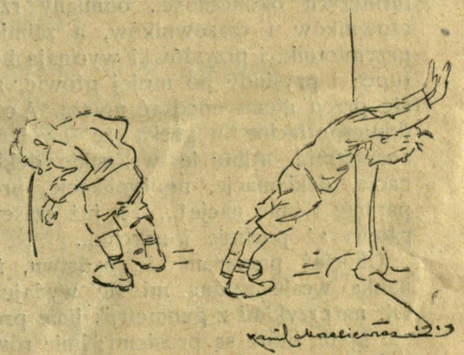

Wreszcie malcy, na wyścigi,
pojechali wprost do ... Rygi.

Benedykt Hertz.

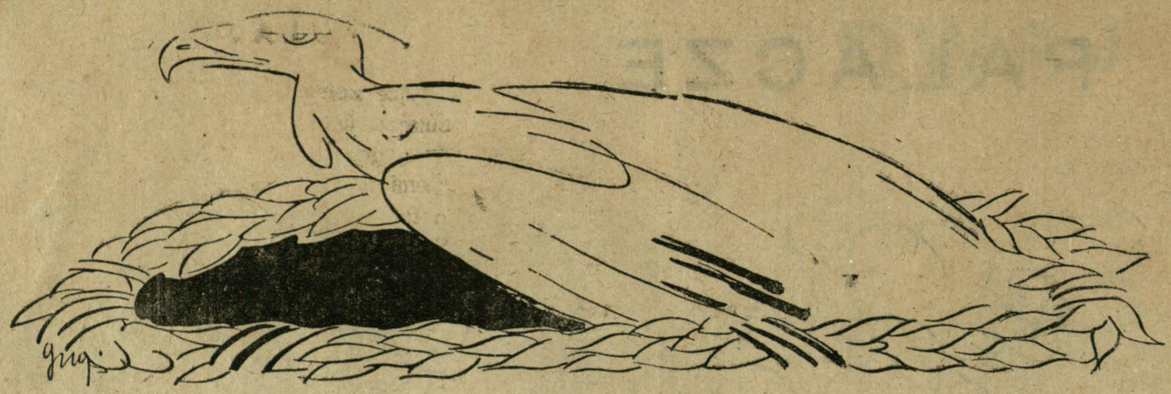

LEKCYA ŁACINY

(MONOLOG)

Antoś (wchodzi na scenę poziewając, mówi po chwili): Powiadają mi w domu, że jestem śpiochem, że w czasie szkolnym, trudno mnie z rana dobudzić, a we wakacje to się sam wcześnie budzę... Przecież to jasne jak słońce, niema w tem nic dziwnego. W czasie szkolnym, gdy wieczór człowiek napcha do głowy tyle łaciny, greki, niemieckiego, polskiego, religji, geografji, historji i wiele innych przedmiotów, to głowa ciężka i trudno ją z rana z poduszki podnieść, a gdy do tego przyjdzie jeszcze i gimnastyka, to już nietylko z głową, ale nawet rękami i nogami trudno i ciężko ruszyć.

Co innego we wakacje!... Głowa wolna, swobodna, niczem nie obładowana, pusto w niej jak w stodole na wiosnę, lekka jak piórko, sen spokojny, niczem nie zamącony, to też nie dziwota, że we wakacje sam się budzę i to dość wcześnie.

Podczas kursu w nocy śnią mi się różne figury geometryczne i formułki matematyczne, różne kraje ze swojemi rzekami, górami i miastami, różne wojny i fakty historyczne wśród awanturniczych okoliczności, odmiany rzeczowników i czasowników, a zaimki, przymiotniki i przysłówki wycinają hołupce i prysiudy po mojej głowie, że się przed niemi opędzać muszę. A cóż dopiero łacina i greka ze swojemi aorystami... Albo te wszystkie deklinacje, deklamacje, multyplikacje, preparacje i inne nacje!... To już czasem głowa aż puchnie i usycha...

Chociaż przyznam się państwu, że nauka wcale trudną mi się wydaje... Ot, na przykład z geometrji: linie proste są te, które są prostemi; linie równoległe są te linie, które równo leżą; trójkąt to figura, która ma trzy kąty, czworobok to figura, która ma cztery boki; sześcian to ciało, które ma sześć ścian, i t. d. Albo na przykład z zoologji: Wielbłąd to zwierzę, które wiele błądzi, zimorodek to ptaszek, który się w zimie rodzi, gęś to ptak co gęga, kaczka co kwacze, a kukułka, co ciągle woła: kuku, kuku...

Mógłbym bardzo wiele podobnych przykładów przytoczyć, ale te które wymieniłem, wystarczą na udowodnienie, że trzeba tylko dokładnie wniknąć w treść danego słowa a odgadnie się istotę rzeczy i określi jej treść...

Co innego lingwistyka!.. Tutaj już potrzeba znać obcy język, ażeby go można zrozumieć i nim się rozmówić. Chociaż każdy z nich ma swoje właściwości, na przykład: łacińskie słowa jak łatwe mają brzmienie: **stella, candella, puella, Domicella, Kornella** i td., i prawie wszystkie mają zakończenie na **us** n. p. **Deus, meus, domus, bonus, portus** i td.

Ja z łaciny na polskie tłumaczę na zawołanie **ex abrupto,** a gdy czego dokładnie nie rozumiem, to pomagam sobie w ten sposób, że dobieram słowo polskie, które jest podobne do łacińskiego, n. p. **Usque ad finem** to znaczy: kluski zjadł z winem. (Bierze książkę, otwierają i czyta z niej jedno zdanie za drugiem i tłumaczy na polskie.) **Praesente medico nihil nocet.** Prezenty nie szkodzą nic lekarzowi. **Omnibus completis Caesar summa diligentia Romam profectus est.** Ponieważ omnibus był pełny, jechał Cezar w górze na dyliżansie do Rzymu. **Magna fuit quandam capitis reverentia cani.** Niegdyś wielki był strach psa przed swoją głową. **Romulus conditor fuit Romae.** Romulus był cukiernikiem w Rzymie. **Romani cum in lictu erant albam togam exuebant.** Gdy Rzymianie leżeli w łóżku, ściągali z siebie koszule. **Epaminondas uxorem ununquam duxit.** Epaminondas nigdy nie prowadził żony na spacer. **Suevi ex equi des'l'unt ac pedibus proeliantur.** Szwedzi zeskakują z koni i walczą nogami. **Litterae non erubescunt.** Literaci nie rumienią się. **Est modus in rebus.** Rebusy są teraz w modzie. **Spiritus asper.** Sznaps mocny. **Non multum carmen honoris habet.** Niewiele honoraryum przynosi wiersz. **Amicus populi Romani.** Zwolennik popularnych romansów. **Donec eris felix multus numerabis amicos.** Donek i Feliks numerowali wielu przyjaciół. **Caesar er at in consilio inconstans.** Cezar był na konsylium w Konstancyi. **Alea jacta est.** W alejach jatka jest. **Pacta sed bona.** Pałka rzeźbiona. **Talis pater, talis films.** Ojciec Talis miał syna Talisa. **Beatus ille, qui procul negotiis Bobus paterna rure exercet suis.** Szczęśliwy ten, co w wiejskiej pokorze barszczem bez rury i bobem żyć może.

A co?... Prawda że umiem tłumaczyć, a że tłumaczenia te są niektóre wesołe, nie moja w tem wina.

Fr. B.

Z TEKI MAŁYCH WSPÓŁPRACOWNIKÓW GRZESIA.

„WOJNA".

Spójrzcie tylko, bardzo proszę,
na Karolka bohatera —
ledwie zwalczył hajdamaków,
wnet do innych się zabiera.

Po okrutnie mężnej szarży
wśród ułańskich konnych szyków
przeniósł się do artyleryi,
by wystrzelać bolszewików.

Piesek Ramzes podniósł uszy
i wraz z panem pełen ducha
zapach prochu chciwie wchłania
i wysrrzałów armat słucha.

Bum! jak groźnie ryczą działa!
deszcz granatów i szrapneli
szerzy popłoch u najeźdźców,
co nam Polskę zabrać chaieli.

Umykają gdzie pieprz rośnie,
drżąc ze strachu jak zające.
Wraca dzielnie wojsko nasze
uśmiechnięte, tryumfujące.

Juliusz Fallek.

POLSKIE KOLĘDY

WŚRÓD NOCNEJ CISZY...

Wśród nocnej ciszy
Szlakiem polskich pól
Wędruje Rozpacz
I braciszek ból.
Krzyżem puste chaty znaczą
Na cmentarzach głośno płaczą,
Wiatr tańczy wśród pól.

Ej wichrze, wichrze,
dokąd-że nam iść?
Wymiotłeś naród...
Jak jesienny liść
Na mogiły, na kurhany,
Twym oddechem zimnym zwiany
Lęci zwiędły liść.

Od srebrnej Wisły,
Aż po Karpat brzeg,
Same mogiły
W których Polak legł.
Pośród rowów, twierdz i szańców,
Pełno owych krwi różańców
Co wsiąkały w śnieg.

Więc gdy po męce
Owych srogich dni
Wyrwałaś Polsko
Grot, co w sercu tkwi,
Na Twem czole smutnem, bladem
Rubinowy błysnął dyadem
Niby z kropel krwi.

LULAJŻE

Lulajże żołnierzu
Lulajże lulaj,
A ty go matulu
Ziemio utulaj,
A ty go swych lasów
Szumem pożałuj,
I zgasłe źrenice
Całuj, o całuj.
Kołysz go drzew pieśnią,
I szmerem rzeczki,
Na sercu błękitne
Posiej dzwoneczki.
Błękitne dzwoneczki
Z poranku wonią,
Niechaj mu o Polsce
Dzwonią i dzwonią.

O Polsce wstającej
Po srogich ranach,
O królu w Warszawie,
Nowych hetmanach,
Zaszumią, zadzwonią
Całą gromadą,
A potem na grobie
Główki pokładą.
Lulajże żołnierzu
Lulajże lulaj
A ty go matulu
Ziemio utulaj...

Ignis.

STASIO MAGIK

(BARDZO ŁATWA SZTUCZKA KARTAMI)

Niemal zawsze figury w kartach (król, dama, chłopiec) są otoczone obwódką i nigdy prawie poobu stronach przestrzeń między górną obwódką a brzegiem karty nie jest równa przestrzeni między dolną obwódkę a brzegiem karty. Jeden pasek między obwódką nad głową a brzeżkiem jest szerszy, drugi węższy. Wybierz tedy rys. 6 kart, same figury i ułóż je tak na stole, żeby wszystkie miały węższy pasek na górze, a szerszy na dole. I teraz zapowiedz.

— Panie i panowie, wychodzę do drugiego pokoju. Proszę jedną lub więcej kart obrócić. Chociaż karty są zupełnie jednakowe u góry i u dołu, o tak proszę: — (tu pokaż, że figura się nie zmieni, jeżeli obrócimy ją) — mimoto poznam zaraz.

Wychodzisz z pokoju.

Tymczasowo Hela obróciła dwie karty.

Wracasz i patrzysz: wszystkie karty mają szerszy pasek na dole, tylko jedna ma go na górze. I obwieszczasz całemu towarzystwu, wśród oklasków.

— Chłopiec pikowy.

Zapewne znajdą się dowcipniejsi, którzy przypuszczać będą, że figura zmieni się przecież, gdy ją obrócimy. Każ im wtedy zgadywać, a towarzystwo będzie miało niewyczerpane źródło śmiechu.

POCZTA GRZESIA

Jance S. w Warszawie.

Zwierszyków nam nadesłanych chętnie drukujemy miłą „Choinkę".

Pod choinką stoją dzieci
Wzięły się za ręce
I kolędy nuta leci
Aniołom w podzięce.

Dzięki wam anioły śliczne
Wy radości posły,
Żeście dary takie liczne
Na gwiazdkę przyniosły.

A Piotr otwarł nieb wierzeje
I kolędy słucha,
I z radości aż się śmieje
Od ucha do ucha.

Stasiowi W. we Lwowie.

Pytasz się nas, czy „Grześ" od stycznia będzie wychodził dalej. Ależ naturalnie i to w szacie piękniejszej niż dotychczas.

Kaziowi powiedz, że obrazki jego bardzo się nam podobały i że na gwiazdkę Redakcja „Grzesia" przygotowuje dla niego miłą niespodziankę.

Czy bardzo przestraszyłeś się końca świata?

Józiowi K. w Tarnowie.

Przesyłaj swoje obrazki. „Grześ" czeka na nie niecierpliwie. Ale rysuj tuszem a nie kolorowemi kredkami.

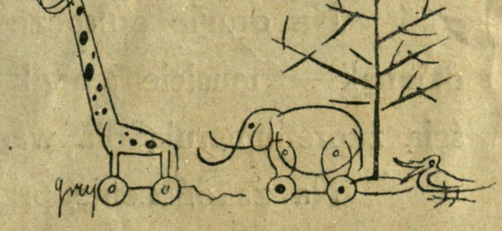

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg. Drukarnia Ign. Jaegera Lwów-Sykstuska 33.

0·52 р
ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж 6852

Do małych czytelników „Grzesia“!

Niniejszym numerem „Grześ“ zamyka pierwsze półrocze swego istnienia. Jak świadczy cały stos listów, pisanych waszą małą rączką, pozyskał on w zupełności wasze serduszka. Całym szeregiem ilustrowanych bajek i opowiadań „Grześ“ starał się was rozerwać lub pouczyć. Czy przypominacie sobie przygodę cioci Guci, świetne czyny Kubusia i Bubusia, opowieść o wąsach Króla Sobieskiego, historyę Dangi i tyle jeszcze innych? „Grześ“ stał się tak popularnym, że nawet zwierzęta w Dżungli zajmują się jego lekturą, jak to przedstawia wam rycina u góry.

Na drugie półrocze „Grześ“ przygotowuje już dla was mnóstwo niespodzianek — musicie jednak być bardzo grzeczni, a wówczas rodzice z pewnością zaprenumerują dla was to miłe pisemko.

Na zakończenie przesyłamy Wam serdeczne życzenia: Wesołych świąt.

Redakcya „Grzesia“.

R, 2, 1920, - Nr 1-2, 8/9, 10 = 5

Bs. 4-7, 11-R.I.

Rok II. 1. stycznia 1920. — Cena K 2·— (k.) Nr. 1.

GRZEŚ

PISMO·OBRAZKOWE
DLA·DZIECI·OD·LAT·5—80

DZIEJE SROCZKI W WIELKIM SWIECIE

rys. i tekst St. Ostrowskiej

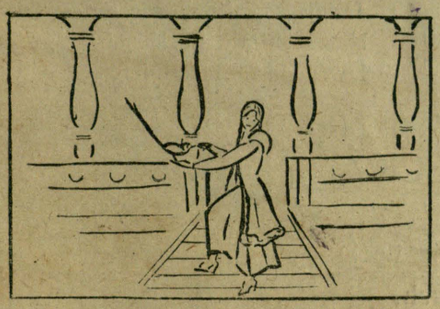

Zobaczywszy szlachcianeczkę,
Która miała sroczkę skrzeczkę,
Zachwycona Margrabina
O ptaka się dopomina.

Więc nazajutrz od poranka
Idzie w pański dom szlachcianka
I ze szczerym bolem w sercu
Stawia klatkę na kobiercu.

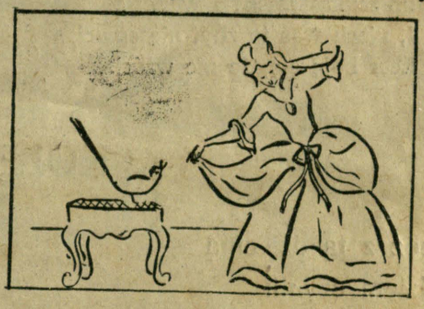

Margrabina ku swej szkodzie
Chce mieć ptaka na swobodzie:
„Ach lecz ona niema manier
Zbrukała mi cały panier!“

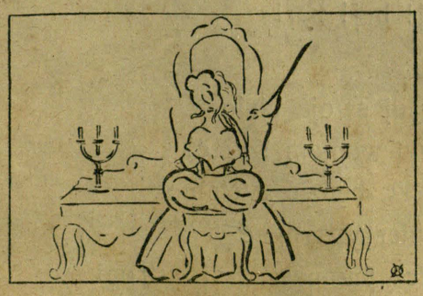

Sroczka bada w sposób ścisły
Fryzur kunszty i wymysły:
Wśród klejnotów i jedwabi
Wszystko błyszczy, wszystko wabi

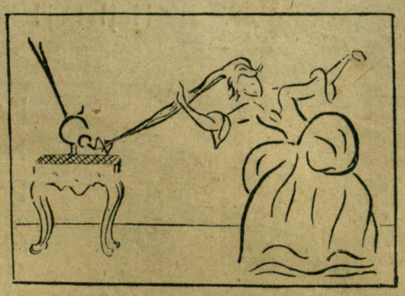

Aż ją znęcił pośród szpilek,
Spinający lok motylek;
Ciągnie go co siły dzioba:
Niezmiernie się jej podoba.

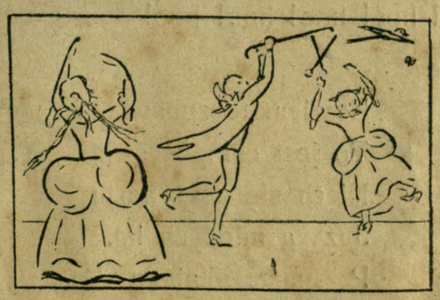

Przerażona Pani płaczem,
Z nożyczkami, z pogrzebaczem,
Cała służba gna za sroką,
A ta robi — perskie oko.

Popołudniu... Co? — wizyta.
Szambelanic Panią wita
I usiada wdzięcznym stanem
Na krzesełku wyplatanem.

Sroczka myśli: „Widzę za nic
Ma mnie pyszny szambelanic!"
Więc dla bliższej znajomości
Hops! pod krzesło jegomości.

Przez plecionkę najdogodniej
Widzi jasny atłas spodni.
Co tak błyszczy w tej osobie?
Myśli sroczka... hyc! i dziobie.

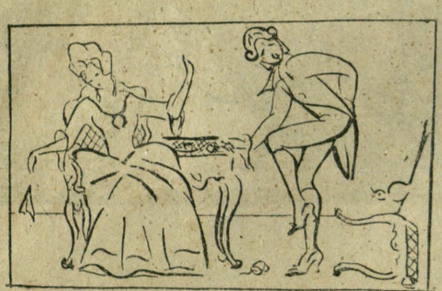

Szambelanic wrzasnął z trwogi,
Filiżanką trzask! i w nogi.
I, niech was to zbyt nie smuci,
Lecz boję się, że nie wróci.

Magrabina już ma spazmy,
Szykują jej kataplazmy...
A sroczka, wlazłszy na wazon,
Drze się: poszedł przez farmazon!

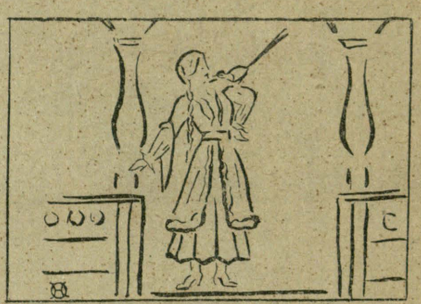

Tak się kończą moje dziecię
Dzieje sroczki w wielkim świecie:
Nie zrobiła tam karjery
I wróciła do chaumiere'y.

KOLĘDA POLSKIEGO DZIECKA

A cóż z tą dzieciną
Będziem czynili
Braciszkowie mili
Co się nam kwili?
Wystrugajcie jej z patyka
Małą szablę i konika
Hoc! hoc! hoc! hoc! hoc!

Komin go nie nęci
I kołderki puch.
Patrzcie co za skaucik,
Że aż rośnie duch.
Już mitręga mu nie obca
Czuwaj! oto hasło chłopca
Hej! hej! hej! hej! hej!

Bowiem te zabawki
To jest chłopca świat.
Niech się uczy hartu
Już za młodych lat.
Po nauce alfabetu
Nichaj puka z pistoletu
Puk! puk! puk! puk! puk!

Hartuj swoje ciało
I wytrwaniem świeć!
Polska będzie z ciebie
Żołnierzyka mieć.
Miecz przepaszesz i ostrogi
W puch rozbijesz nasze wrogi
Tra! ta! ta! ta! ta!

Henryk Zbierzchowski

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6553 іп

PODRÓŻ FAKIRA DO NIEBA.

Około bramy wschodniej panował niezwykły ruch. Pod białymi murami kupcy wędrowni rozkładali swe kramy. Sprzedawano tam kolorowe szale jedwabne, piękne inkrustowane fajki, złote nauszniki, szklane błyskotki na szyję i amulety przeciw złym duchom. Po rozżarzonym od słońca piasku skrzypiały przeraźliwie koła ładownych wozów, przemykały się chyżo przez tłum malowane lektyki, iskrzyły się jak kwiaty kolorowe turbany, białe płaszcze beduinów i welony kobiet. Pół nagi żebrak zaległ w pewnem miejscu całą szerokość drogi i wyciągając straszny kikut obciętej ręki, krzykiem wszystko przejmującym domagał się jałmużny. Choć już było blizko zachodu — słońce, rozżarzone ogromnie, zalewało cały ten rozkrzyczany, kotłujący się tłum, palącymi, przeraźliwie białymi promieniami. Lecz już pod białymi murami... już w ciasnych zaułkach czaiły się cienie, wydłużając się i zajmując sobą coraz więcej przestrzeni, a w dali, na krańcach widnokręgu unosił się fioletowy róż pyłków słonecznych, w którym pławiła się ziemia i niebo, dalekie góry i szczyty palm. Na samym szczycie bladego nieba tulała się samotna srebrna chmura, jak szept modlitwy ludzkiej, skamieniały w locie ku niebu; już róż zachodzącego słońca wsiąkał delikatnie w postrzępione jej rąbki, już złotą obwódką zarysowały się jej brzegi. Więc zdało się w pewnej chwili, że w jednostajnem, nieprzeniknionem sklepieniu niebieskiem otworzył się wyłom na nieskończoność, i że przez wyłom ten, jak przez złote okno spoglądają ku ziemi figlarne, roześmiane, cudne główki, owe niezapomniane „putti“ Rafaela lub Corregia. W pewnej chwili, w tłumie, kotłującym się wokół wschodniej bramy rozlega się głos bębenka. Uporczywy, nudny jego dźwięk wzbija się ponad gwar tłumu, ponad nawoływania kupców i krzyki mułników. Wciska się w każdą szczelinę, zapełnia sobą przestrzeń, drażni ucho monotonią. Co to? co się stało? mimowoli zwracają się wszystkie spojrzenia w stronę, skąd rozlega się ten dziwny dźwięk.

To indyjski fakir, przybysz z dalekich stron, zaprasza na przedstawienie. Na skrawku wolnej ziemi, obok ruchliwej drogi, rozłożył swój kolorowy dywan. Mały chłopczyk z podwiniętemi nogami siedzi na brzegu dywanu i uderza w bębenek. Wzrok ma spuszczony ku ziemi. Drobne jego piąstki uderzają w napiętą skórę bębenka ze ścisłością automatu. Przez podartą koszulę przebłyskuje chude, brunatne ciałko; bębenek gra, woła, drażni... obiecuje chwilę cudu i zapomnienia. A on, cudotwórca, wielki fakir, stoi na środku dywanu i martwem spojrzeniem obrzuca tłum widzów, który otoczył już dywan zwartem, ruchliwem kołem. Z chudych ramion spada mu czerwona koszula, przepasana sznurem. Na piersi wiszą amulety. Głowa łysa, bez jednego włoska; twarz zmięta i ascetyczna. Tłum widzów rośnie, falują turbany, zasłony, białe płaszcze... na przodzie w pierwszych szeregach widać kilka czapek angielskich. Rośnie ciekawość... wre hałaś i gwar rozmowy. Dzieci obsiadły gęsto okoliczne drzewa i mury. Wreszcie fakir wyjął z małego woreczka piszczałkę i gwizdnął. W jednej chwili ucichło wszystko. Tłum z zapartym oddechem kołysze się lekko na wszystkie strony. — Przedstawienie zaczyna się wreszcie. Fakir stoi na jednem miejscu nieruchomy i jakby przyrośnięty do ziemi. A potem zwolna poczyna się kręcić w kółko; obroty jego są zrazu spokojne, powolne. Tłum rozróżnia jeszcze rysy twarzy, amulety na szyi, powróz w okół bioder. Lecz szybkość obrotów zwiększa się z każdą chwilą... zaciecierają się szczegóły, wszystko zlewa się w jeden ton czerwony, a wreszcie pozostaje wrażenie jakiejś plamy, wirującej w jednem miejscu z przerażającą szybkością. I mijają tak długie chwile, a fakir wciąż kręci się w jednem miejscu, oblany łuną zachodzącego słońca. Niespokój ogarnia tłum widzów. Wzrok nie może oderwać się od wirującej plamy, rozprzęgają się nerwy, działa potężna siła suggestyi. Jeszcze chwila, a cały ten milczący tłum zacznie się sam kręcić jak szalony na jednem miejscu. Lecz w tejże chwili, fakir, jakąś nadludzką siłą powstrzymany w wirze, zatrzymuje się nagle w ciągu obrotu i stoi znów nieruchomy i jakby skamieniały w swem miejscu. Oko nie może się w pierwszej chwili przyzwyczaić do tego bezruchu. Jeszcze wiruje w oczach czerwona plama, jeszcze zda się nie którym, że fakir się kręci, jeszcze mgła snuje się w źrenicach. Lecz oto zaczyna się właściwe przedstawienie. Tamto to był tylko wstęp, sposób przejścia w stan transu. Oto fakir odwiązuje sznur opasujący mu biodra, zawiązuje na jednym końcu pętlicę i rzuca ją całą siłą w powietrze. Rozległ się świst przerzynanego powietrza, jeden koniec sznura uniósł się w górę i zaczepił się gdzieś wysoko na niewidzialnym punkcie, hen, w stronie chmury ze złotymi rąbkami. Drugi zaś koniec sznura zawisł tuż przy ziemi i kołysze się niespokojnie, wyprężony od własnego ciężaru. I dziw co się dzieje.

Oto fakir chwyta się sznura obiema rękami, próbuje jego siły, a potem zwinnie jak małpa poczyna się po nim piąć w górę. Serce zamarło w piersiach widzów; wszystkie głowy podniosły się z podziwem w górę. A fakir pnie się coraz wyżej i wyżej... już jest na wysokości palmy... zatrzymał się chwilę... zapewne spuści się znów na ziemię... lecz nie... pnie się dalej... czerwona jego koszula widoczną jest stojącym na dole wyraźnie jak na dłoni... już jest na wysokości minaretu... wygląda jak karlik... jak duża lalka... lecz nie wraca na ziemię... dąży ku chmurom... maleje w oczach... zaciera się... lecz jest jeszcze, jest... widzą go wszyscy... wygląda jak ptak... jak punkt czerwony... jest już przy chmurze ze złotymi rąbkami... wsiąka w wyłom, prowadzący w nieskończoność... zaciera się, przepada, znika bez śladu... A jeszcze głowy drą się w górę, jeszcze oczy dopatrują się go na chmurach... jest taka doskonała cisza w tłumie, że słychać jak zmięte trawy rozprostowują zwolna swe łodyżki, jak ze szczytu drzewa figowego odrywa się zwiędły liść i upada z szelestem na ziemię.

W tej chwili z tyłu, za zwartem kołem widzów, rozlega się skrzeczący, monotonny głos:

— „Dobrzy ludzie! pieniążek dla fakira, pieniążek dla świętego człowieka“..!

I przez zapatrzony, skamieniały z podziwu tłum, przeciska się fakir, potrząsając miedzianym talerzykiem i żebrząc:

— „Pieniążek dla fakira! pieniążek dla świętego człowieka“!

Henryk Zbierzchowski

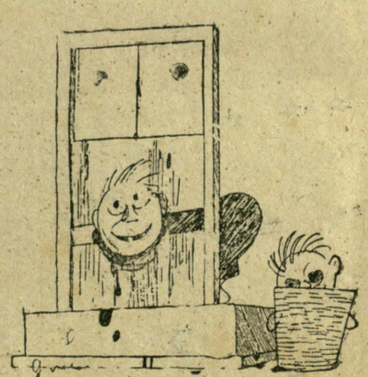

PODRÓŻ

Do lotnictwa zapalony,
Staś kupował wciąż balony.

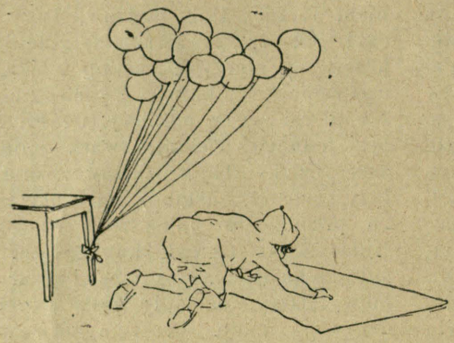

A gdy miał ich zapas duży,
szykował się do podróży.

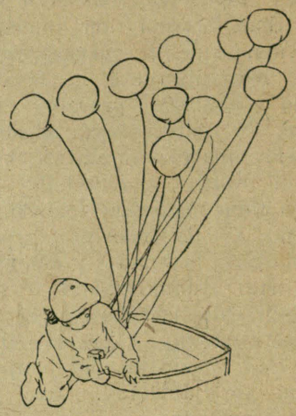

Od baloników sznureczki
przymocował do łódeczki

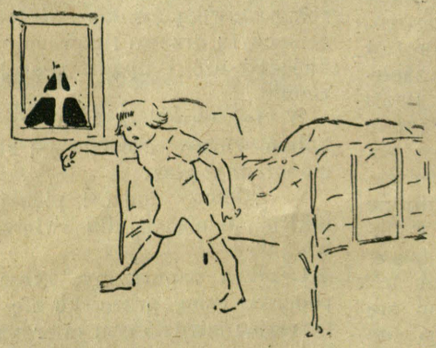

I raz wylazł z łóżka nocą...
jedzie, gdzie gwiazdy migocą.

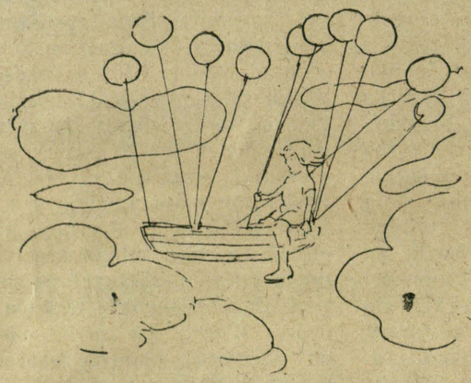

Jedzie, jedzie wciąż do góry...
wjeżdża między białe chmury.

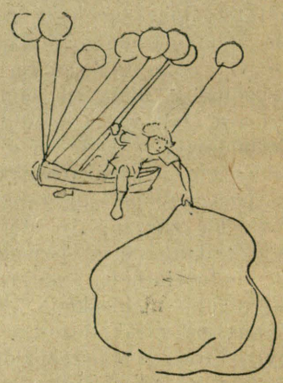

Jedną chmurkę wziął do łodzi:
mieć poduszkę nie zaszkodzi.

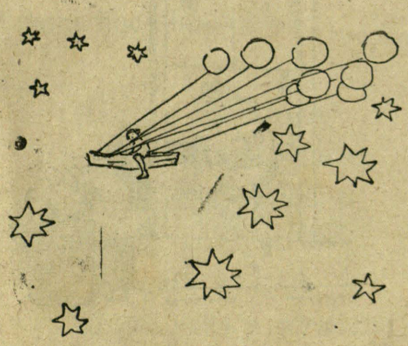

Teraz miękko... Kontent z jazdy,
wpada Staś pomiędzy gwiazdy.

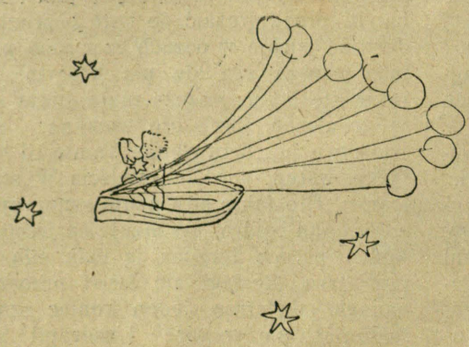

Świecą gwiazdy, niby szkiełka,
więc je zbiera do pudełka.

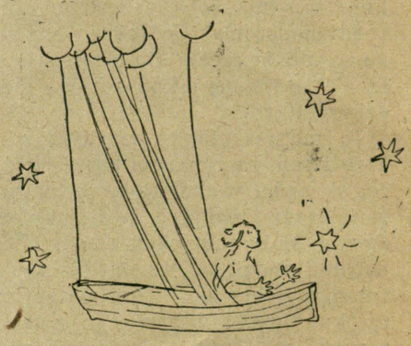

I do czapki też przypina —
zaraz inna będzie mina.

NADPOWIETRZNA

rys. K. Macklewicza.

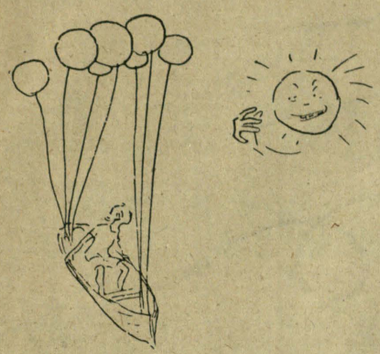

W tem ktoś wyjrzał przez okienko.
to pan Księżyc kiwa ręką.

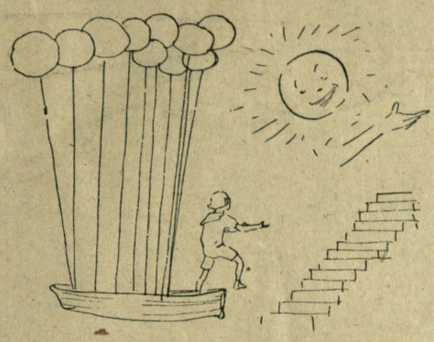

Wysiada chłopiec z balonu.
księżyc prosi do salonu.

Na cześć Stasia bal wydaje —
potrawy znoszą lokaje.

Wielki tłum się gości zbiera:
Saturn, Jowisz i Wenera...

A kometa, z miną pawia,
chłopcu ogon swój nadstawia.

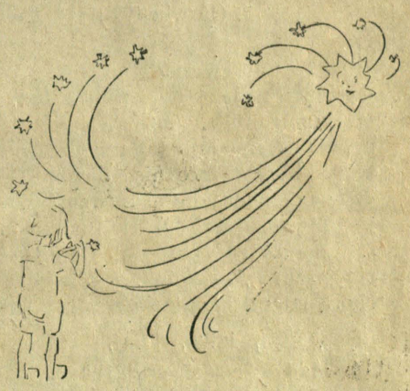

Żeś miał z kaligrafji piątkę,
wyrwij piórko na pamiątkę.

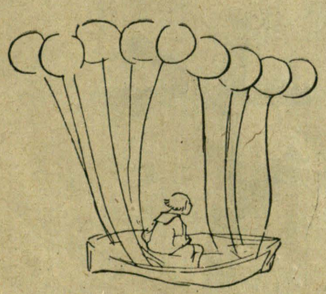

Gdy go wszyscy pożegnali,
balonami jedzie dalej.

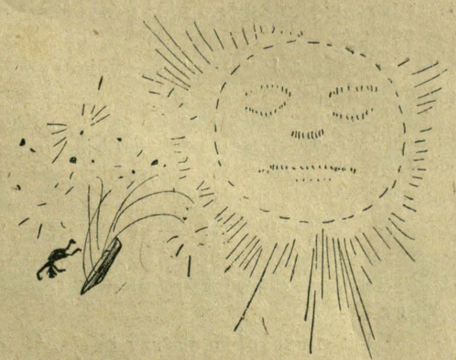

Nagle zbliżył się do słońca —
pękły sznury od gorąca.

Lecz sprawiła dobra wróżka,
że spadł do własnego łóżka.

Benedykt Hertz.

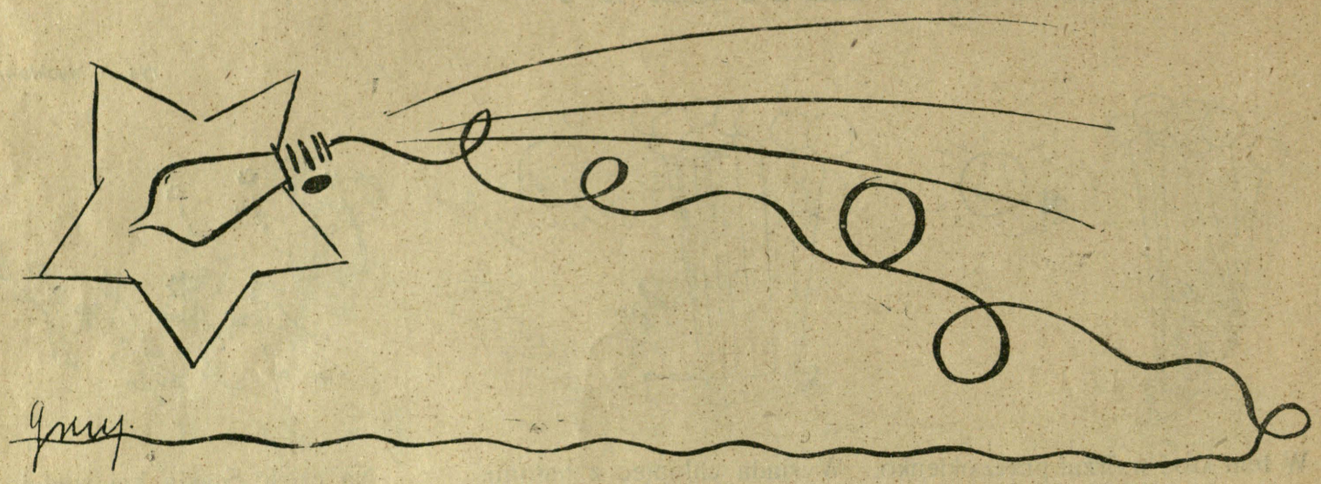

Z TWÓRCZOŚCI MAŁYCH CZYTELNIKÓW GRZESIA.

UCIESZNA PODRÓŻ DO GDAŃSKA

(Powiastka).

Tak smutno, chłodno na dworze, deszcz pada, od rana już, niebo chmurami zasnute. Krople deszczu bębnią w szyby jadalni a w piecu wiatr huczy żałośnie. Jakże smutno, dzieciom zmuszonym siedzieć w pokoju. Zwłaszcza Edek i Bodzio nudzą się, że aż żal patrzeć! Danusia bawi się psem „Dingiem", a Jasia usypia chorą laleczkę, śpiewając przy kołysce:

„Lulaj, laluś, lulaj,
Mądre oczki stulaj!"

— Jasiu! mam myśl! — zawołał Bodzio wbiegając do pokoju, gdzie się bawiły dziewczynki.

Janka podnosi złotą główkę, a przyłożywszy paluszek do buzi, szepcze:

— Cicho, Bodziu! „Zosia" zasypia. Co mi tam twoja lala, jedziemy z Edkiem do Gdańska, zabieraj Dankę i chodźcie do jadalni, a my tymczasem stół przewrócimy.

— Po co? — pytają dziewczynki z zaciekawieniem.

— Chodźcie zobaczyć! — woła Bodzio, wybiegając.

Jasia zapomniała o chorobie lalki, Danusia porzuciła „Dinga" i biegną pospiesznie do jadalni. Chłopcy przewrócili stół do góry nogami, a na kiju od szczotki, przywiązanym do jednej z nóg stołu wisi szeroki żagiel z prześcieradła.

— Cóż to będzie? — pytają dziewczynki.

— Już jest... okręt... jedziemy do Gdańska — odpowiada Bodzio i Edek naprzemian, dumni ze swego arcydzieła.

— Okręt? — pyta Danka, a oczy jej błyszczą, radością. —

— Wejdźcie czemprędzej na dywanik — ostrzega z przejęciem Bodzio.

— Podłoga to woda, możecie utonąć...

Zachwycone dziewczynki wybiegają po „Dinga". Po chwili wracają z psem i sadowią się pospiesznie na okręt.

— Aj! aj! aj! — zapomniałam o „Zosi!" — woła przerażona nie na żarty Janka. „Ding" i lalka są już na okręcie, nie może on jednak wyruszyć w drogę, gdyż Bodzio zapomniał o łódkach a Edek wioseł nie zabrał. Dopiero gdy łódki i wiosła zostały uwiązane na boku okrętu, wszyscy odetchnęli swobodnie: gdyby okręt zatonął, będzie na czem się ocalić.

— Baczność! Odbijamy! — woła Edek. Bodzio wstrząsa stołem, niby odpychając okręt od brzegu. „Ding" porusza się niespokojnie i wybiega na podłogę.

— Aj! aj! utonie! — woła przerażona Jasia.

Bodzio ciągnie psa za ogon. „Ding" warczy, ale wraca posłusznie na okręt. Danusia wyjmuje z kieszonki fartuszka ogromną cytrynę.

— A to na co? — pyta Edek.

— A cóż to, nie wiesz, że cytryna to najlepszy środek na morską chorobę? —

Edek z uznaniem patrzy na Danusię.

Bodzio na widok cytryny mówi do siebie półgłosem:

— Szkoda, że nie wziąłem cukru, bardzo lubię cytrynę z cukrem.

Po chwili okręt odbija od brzegu. Chłopcy robią wiosłami, pomagając maszynie, którą reprezentuje młynek od kawy. Okręt płynie równo, bez nadmiernych wstrząśnień. Pogoda jest śliczna, na złość chlapaninie na dworze. Droga do Gdańska jest długa i pełna niebezpieczeństw. Wisła, po której okręt płynie jest bardzo głęboką, nie wolno więc nikomu z podróżnych wychylać się.

Danusia poczyna nucić:

Hej, flisacza dziatwo,
Płyń do Gdańska tratwą...

— To jest okręt, a nie żadna tratwa — woła zaperzony Bodzio, gotów rozpocząć kłótnię.

Sprzeczkę przerywa odgłos dzwonka. Do pokoju wchodzi wujaszek z Olkiem i Hanką. Dzieci wyskakują z okrętu, by powitać kuzynów.

O podróży do Gdańska zapomniano.

Julcio Fallek.

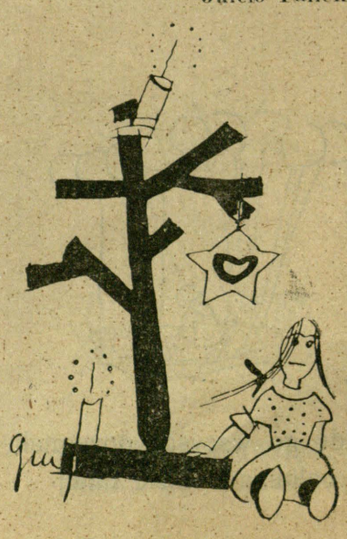

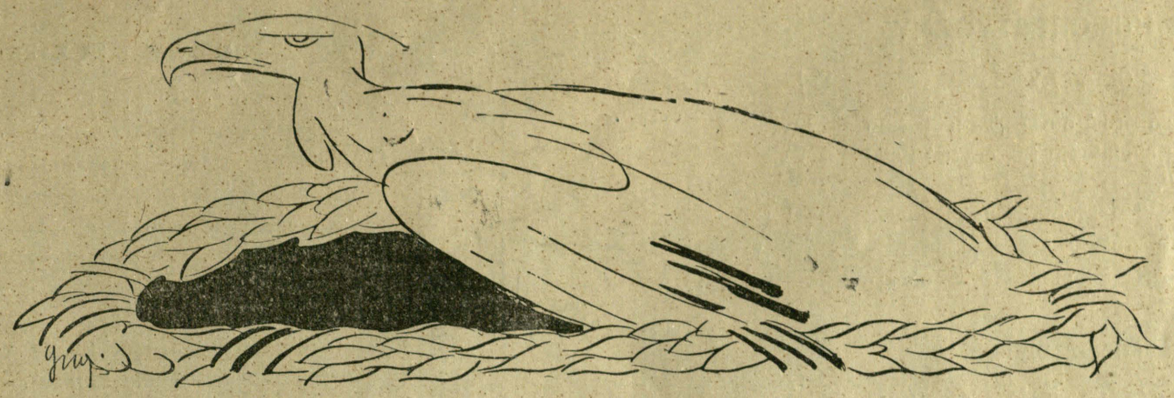

KONIK

Stoi studzienka obok zagrody,
Chodź, mój koniku, napij się wody.
Wiedz, że cię kocham, myślę o tobie!
Masz codzień siano, owies we żłobie
I świeżą, miękką słomę pod nogi,
Byś mógł poleżeć, koniku drogi.

Gdy wróg napadnie wsie, miasta nasze
Nałożę czapkę, szablę przypaszę
Tobie dam siodło, srebrną uzdeczkę
Pożegnam siostry, ojca, mateczkę,
I pojedziemy koniku drogi,
Bronić ojczyzny, odpierać wrogi.

Julcio Fallek.

DOMEK Z KART

Dla siostrzycki małej Hanki
Ludwiś domek z kart budował —
wznosił piętra i krużganki,
nie brakło ścian, okien, pował —
Mozolił się biedak srodze,
klęcząc w kącie na podłodze.

Wtem przez lufcik odemknięty
wdarł się nagle wiatr nieczuła
Trach! padają fundamenty,
w proch się wali trud, robota.
— Nic to! — rzecze Ludwiś w kątku
znów zaczniemy od początku.

Julcio Fallek.

DOŻYNKI
(PIEŚŃ ŻEŃCÓW)

Radość u nas wstaje żywa,
Bo to żniwa, bo to żniwa!
Brzęczy kosa, sierp jaśnieje,
A człek w sercu ma nadzieje,
Dobry czas
Zboża w pas
Piosnki ton
Dobry plon.
Woła niwa ukochana:
Chodźcie w pole dana, dana,
Bo już kłosem pobrzękujem
I dożynek oczekujem.
Zboża w bród
Idzie lud
Poprzez łan
Jakby w tan.

Bławatek.

LEGENDA O NIEZAPOMINAJCIE

Przy stworzeniu kwiatów Pan Bóg nadawał kwiatom rozmaite nazwy. — Wszystkie otrzymały śliczne ubarwienia i nazwy z poleceniem nieszkodzenia ludziom. Po chwili wraca mały kwiateczek do Pana Boga, i prosi o powtórzenie mu jeszcze raz jak się nazywa, bo przez drogę zapomniał swojego imienia. A Pan Bóg rzekł: Kwiateczku mały daję ci imię „Niezapominajki". Niezapominajeczka podziękowała ślicznie Panu Bogu i po dziś dzień pamięta o swej nazwie. — Taka jest historyjka o niezapominajce!

Bławatek.

POCZTA GRZESIA

Uczniowi gimnazyum Kowalskiego w Warszawie.

Adresuj do „Grzesia": Lwów, plac Maryacki — księgarnia Altenberga. — Wierszyki posyłaj — jeśli będą dobre chętnie umieścimy.

Bławatkowi w Krakowie.

Bądźcie cierpliwi mali amatorzy teatrzyku amatorskiego. „Grześ" myśli o was i wkrótce już uraczy was wesołą komedyjką i baśnią z niewielką ilością osób.

Co do cioci Guci, to prawdopodobnie nic jej się więcej nie zdarzy przykrego, bo mieliśmy wiadomość, że biedaczka umarła.

Jasiowi Różyczkiemu w Warszawie.

Cieszy nas to że siedmioletni chłopak umie pisać takie ładne i miłe liściki. „Grześ" jest twoim rówieśnikiem więc kłania ci się pięknie.

Zwierzyniec się skończył, ale mamy przygotowany cały szereg niespodzianek jeszcze piękniejszych. Jak ci się podobała „Podróż nadpowietrzna" Stasia na księżyc?

Marysi Warskiej z Warszawy.

Mrysio jest rzeczywiście niedobrym chłopcem i „Grześ" nie będzie się nim więcej zajmować. Musisz być wielkim spiochem, jeżeli napisałaś w swoim liściku do nas: „do widzenia, bo muszę iść spać". Drugim razem zacznij list trochę wcześniej, a na wszystko wystarczy czasu.

Kazimierzowi Morozowiczowi w Suchodole.

Łamigłówkę w kwadracikach umieszczamy w przyszłym numerze. Prosimy o więcej.

Jurkowi Brzozowskiemu we Lwowie.

Musisz być bardzo wesołym chłopcem. Ile masz lat? Sądząc po charakterze pisma liczymy cię na 6 wiosen. Czy zgadliśmy?

■■

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж 6853

KĄCIK HUMORYSTYCZNY

OKULARY

Mały Gucio prosi ojca: „Tatusiu kup mi okulary: chciałbym tak czytać książki, jak ty".

— „Dobrze" — odpowiedział ojciec — kupię ci okulary ale dziecinne" i kupił synkowi elementarz z obrazkami.

W SZKÓŁCE LUDOWEJ

Nauczyciel: Opowiedz mi Józek coś z historyi świętej o Kainie i Ablu.

Józek: A to proszę pana profesora było tak: Adam i Ewa mieli dwóch synów Kaina i Abla. Kain był zły, a Abel dobry. Kain zazdrościł bratu, że jego dym szedł wysoko i ze złości wziął jednego dnia pałkę pod marynarkę, zaprowadził Abla do lasu i zabił go, żeby już jego dym nie szedł wysoko.

Nauczyciel: Co ty opowiadasz o jakimś dymie, skąd się wziął.

Józek: Bo oni proszę pana profesora piekli kartofle.

NA LEKCYE JĘZYKA POLSKIEGO

Nauczycielka: No powiedz mi Maniu, cóż to jest szkarłatny płaszcz, o którym przed chwilą czytałaś? :

Mania: Szkarłatny płaszcz proszę Pani? ach mój Boże! a wiem już... To jest płaszcz po człowieku, który był chory na szkarlatynę.

SZCZERY KAŹIO

Kazio: Mamusiu czy mogę wziąć ciastko?

Mama milczy — czy też nie uważa...

Kazio — z niecierpliwiony milczeniem woła: Mamusiu pozwól prędko, bo sam wezmę.

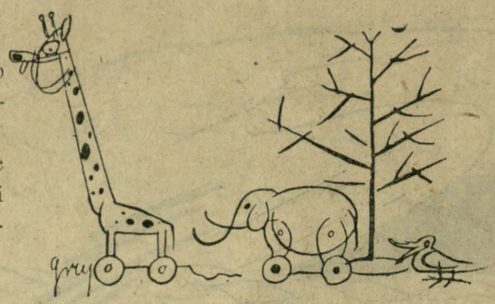

PRZY NAUCE HISTORYI POLSKIEJ

Nauczyciel: Powiedz mi — jak wam się zdaje, dlaczego Kazimierz Wielki król polski nazwany był królem chłopów.

Janek (podnosząc dwa palce do góry): A to proszę pana psora, pewnie pewnie lubił wódkę.

NAIWNY IGNAŚ

Ignaś doskonale jeździł na rowerze, choć miał dopiero lat 12, ale w życiu swojem nie siedział na koniu.

Na wakacye pojechał do swego wuja, obywatela wiejskiego, który go zachęcał do konnej jazdy. Wybrali się razem konno na spacer. Z początku wszystko szło dobrze. — Ignaś siedział na koniu jak przyrośnięty. Koń ujeżdzony szedł spokojnie. Nagle wierzchowiec Ignasia zląkł się kopicy siana, wierzgnął tylnemi nogami i puścił się galopem naprzód. Ignaś w okamgnieniu objął konia obiema rękami — prawą jakby szukając coś poniżej końskiej szyi.

„Ależ chłopcze" krzyczy wuj doganiając go — czego tam szukasz rękami?

— „Hamulca, proszę wujaszka, ale nie mogę go znaleźć.

WPRACOWANIE ZA KARĘ

„Sztubaku jakiś" krzyknął pan profesor w klasie — po raz siódmy upominam cię, żebyś cicho siedział podczas nauki i uważał. Za karę zostaniesz w klasie napiszesz szkolne zadanie „o kotach" co najmniej pięćdziesiąt wierszy.

Ignaś zabrał się skwapliwie do pisania zostawszy sam w klasie. Czekał chwilę na natchnienie dłubiąc palcem w nosie, a potem napisał: Mała Zosia bardzo lubiła młode koty. Pewnego razu zobaczyła kotka na ulicy i zawołała: Chodź tu kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu; kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu; kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu; kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu; kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu; kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu, kiciu;

ŁAMIGŁÓWKA.

****** 1. Dowódca wojsk Polskich.
*----- 2. Maszyna do strzelania.
*----- 3. Człowiek który leczy chorych,
*----- 4. Miasto Polskie.
*----- 5. Część świata.
*----- 6 Stary budynek.

Litery na miejscu gwiazdek dadzą nazwisko dowódcy wojsk Polskich.

LOGOGRYF.

Z następujących 12 spółgłosek i 10 samogłosek ułożyć znane polskie przysłowie:

j, k. t, k, k. k, b, b, g, b, g, b,
a, ó, e, u. i, a, u, u, o, a.

Rozwiązania podamy w następnym numerze.

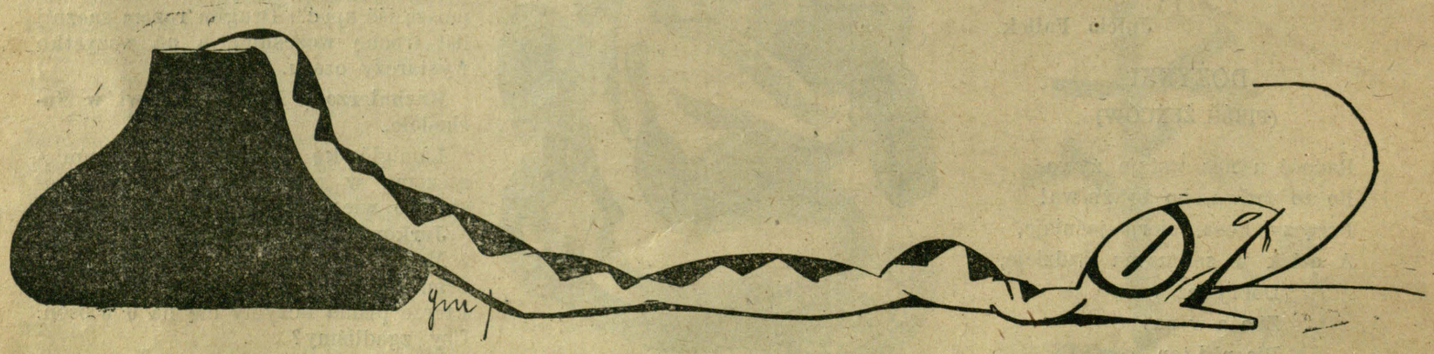

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg. Drukarnia Ign. Jaegera Lwów Sykstuska 33.

Rok II. 15 stycznia 1920. — Cena Mk. 1·40. K 2·— Nr. 2.

W STYCZNIOWĄ ROCZNICĘ

W każdej swego życia chwili,
Choć was wielki świat omami,
Pamiętajcie dzieci zawsze,
Że jesteście Polakami.

Niech wam świeci piękny przykład
Waszych dziadów, waszych przodków,
Którzy brali chrzest rycerski
Wśród tętentu końskich podków.

Polak — to jest gest honoru!
Polak — to jest żołnierz szczery!
Pamiętacie przecież wszyscy
Grochów — wąwóz Somosiery.

I Józefa Księcia czyny,
Co nie wiedział, co to trwoga,
I ojczyzny swojej honor
Z życiem oddał w ręce Boga.

Niech Kościuszki jasna postać
Patrzy na was dziatki z nieba,
Który chodził w chłopskiej sukni
I żył z żołnierskiego chleba.

Który w biedzie i wygnaniu
Na obczyźnie złożył kości,
Ale się nie sprzeniewierzył
Hasłom prawdy i wolności.

To szermierze byli Polski,
To rycerze byli prawi,
Niechaj duch ich bohaterski
Waszym czynom błogosławi.

A więc w każdej życia chwili,
Choć was wielki świat omami,
Pamiętajcie dzieci zawsze,
Że jesteście Polakami.

Henryk Zbierzchowski.

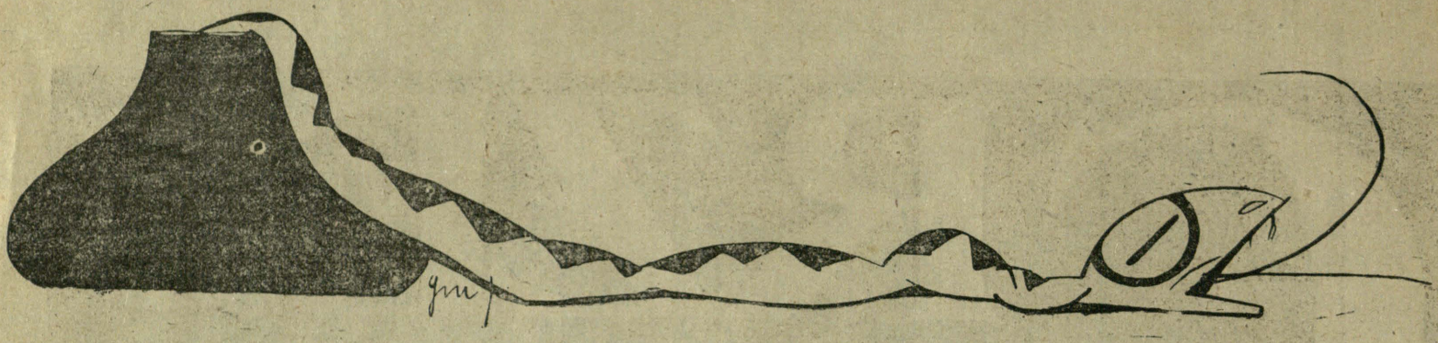

ROCZNICA POWSTANIA

Dzisiaj dziadzio spóźnił się nieco z powrotem do domu. Adasiowi wpadło zaraz w oczy, że choć to dzień zwykły, — stary pan miał na sobie strój odświętny: czamarę, którą przywdziewał tylko od wielkiego święta.

Więc malec — nuż bez ceremonii pytać; A dlaczego? Co? A gdzie dziadzio bywał, że tak się wystroił? I czego dziadzio na uroczystości przywdziewa czamarę itd. itd.

Siwowłosy jegomość nie pozostał dłużnym odpowiedzi. Zatem: czamara jest narodowym strojem polskim, zatem dla Polski najodpowiedniej używać jej właśnie w świętach uroczystych. A dzisiaj dziadzio wdział czamarę, bo jestto dzień, który każdemu Palakowi powinien być uroczysty: rocznica powstania z r. 1863. Wreszcie co do spóźnionego przybycia dziadzia, to wynikło ono stąd, iż dziadzio spędził kilka godzin w kole towarzyszy broni, którzy podobnie, jak on, przed laty 56-ciu walczyli w powstaniu.

Chłopaczek — szesnastoletni zaledwie — słuchał z wielkiem nabożeństwem, a gdy dziadzio skończył, pokiwał główką, widocznie zakłopotany.

— Bardzo dobrze, ozwał się, ale niechże mi dziadzio powie, co to jest właściwie powstanie? Słyszałem o niem nieraz, wiem, że to jakaś rzecz wielka i święta — więcej jednak nic nie wiem. Zatem dziadzio:

— Rzecz wielka, święta, dobrze powiedziałeś. A dlaczego nazywa się powstaniem i co znaczy...? Wyobraź sobie, że napadł cię jakiś drab, powalił na ziemię i za gardło dusi... Co wtedy poczujesz? Będziesz przedewszystkiem starał się powstać, aby z nim się zmierzyć i odpędzić napastnika — nieprawdaż?

— O, niechby tylko spróbował! Jakby mnie rzucił, zaraz bym powstał.

— Tak samo i naród, gdy go powalą, pozbawią wolności, gniotą i duszą, powstaje, by odzyskać wolność, i to się nazywa powstaniem. Polskę powaliło aż trzech drabów: Rosya, Prusy i Austrya. A najbardziej znęcała się nad nią Rosya. Dlatego też przedewszystkiem przeciw Moskalowi zwróciło się powstanie... Dwa razy zrywała się Polska po swym upadku na równe nogi, by ciemiężców swych odeprzeć. Po raz pierwszy, było to w r. 1831. Wtedy mój ojciec walczył w obronie Ojczyzny i młodym jeszcze będąc, poległ na polu chwały pod Grochowem. Ponieważ wojna skończyła się źle dla nas, Moskale więc jeszcze gwałtowniej uciskać poczęli Polaków w Królestwie, mszcząc się i usiłując taki rzucić postrach, byśmy już więcej nigdy nie pokusili się o skruszenie łańcuchów niewoli. Zabierali majątki, wywozili całe rody polskie na Sybir, zabraniali mówić po polsku — na gwałt chcieli z nas porobić Moskali. Wkońcu przebrała się miarka cierpliwości. W r. 1863 wybuchło powstanie.

— I dziadzio pamięta te czasy?

— Pamiętam, jakby to było wczoraj. Miałem już lat 16. W szkole od dłuższego czasu cichaczem mówiono, że na coś się zanosi, i że my, młodzi, jak przyjdzie od starszych wiadomość, pospieszymy z nimi na pole walki. Wiadomość przyszła: naznaczono termin wybuchu powstania. Kilka dni przedtem szkoła opustoszała. Rzuciwszy książki, przekradliśmy się pod wodzą jednego ze starszych, do lasów okolicznych. Tam był obóz. Dano nam broń, jakieś liche strzelbiny i pałasze, uszykowano oddziałek i w noc 22. stycznia wyruszyliśmy do poblizkiego miasteczka. Śmiałym atakiem wyparliśmy załogę rosyjską, zajęliśmy koszary i ważniejsze gmachy i ogłosiliśmy rząd narodowy. Równocześnie uczyniono to w kilkudziesięciu innych miastach i tak za jednym zamachem cała połać kraju oswobodzona została od Moskali.

— A potem? Co potem? ciekawie dopytywał się Adaś.

— Kiedyś dokładniej dowiesz się o wszystkiem. Na razie tyle tylko ci powiem: było nas za mało, nie mieliśmy broni, nie mieliśmy odzieży należytej, nie mieliśmy funduszów dostatecznych, a Moskal ściągał ogromne masy wojska i w bród posiadał wszystkiego. Cudów bohaterstwa dokonywała młodzież polska, ostatecznie jednak Moskale wzięli górę i już z końcem marca, po stoczeniu około 80 bitew, powstanie było prawie stłumione.

Wzmogło się wreszcie na nowo i przetrwało jesz-

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА АН УРСР № 6[illegible]3 ІП

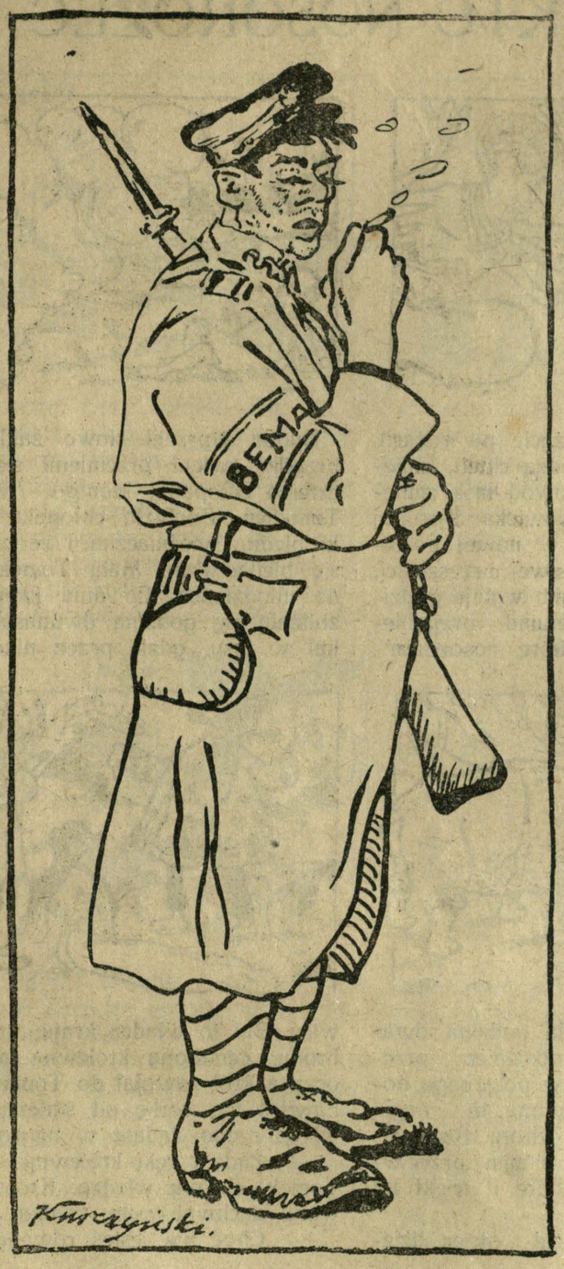

Powstaniec z roku 1919. (Obrońca Lwowa).

cze rok przeszło, aż w kwietniu r. 1864 ostatni oddział powstańczy, złożony z siedmiu ludzi, dostał się do niewoli. Ofiary poniesione przez naród były ogromne. Moskale rozstrzelali przeszło 1500 Polaków, na polu walki legło 35.000 powstańców w 1229 bitwach, a 125.000 mężczyzn, kobiet i dzieci dostało się za karę na Sybir.

Ja, kończył dziadzio, należałem do szczęśliwych, którzy uszli z życiem. Raniony kilkakrotnie, przedarłem się po upadku powstania do Galicyi i tu już zostałem.

— Tyle wymordowali ludzi, tyle wywieźli... czy nie szkoda?

— Moje dziecko drogie, — usłyszał w odpowiedzi — ziemia nasza krwią opłynęła i łez, co niemiara wsiąknęło w nią z tej przyczyny. Jednak takie bohaterskie wysiłki i takie ofiary nigdy nie idą na marne. Powstanie poruszyło do głębi naród, a ból przebyty wydobył z niego uspione siły. Ochłonąwszy po klęsce, Polska zrozumiała, że ani słuszność, ani zapał i poświęcenie same nie wystarczą do odzyskania Ojczyzny, że silnym być musi, kto ma zwyciężyć.

Na wszystkich dzielnicach naszych rozpoczęła się odtąd jeszcze skrzętniejsza, niż przedtem praca nad podniesieniem oświaty i bogactwa narodowego. Pobłogosławił Pan Bóg wysiłkom.

Tak więc dziejowemu powstaniu, wielka wojna powszechna, której pożar już i na twoje wspomienie rzucił krwawe odblaski, a w której podeptane ludy upomiały się o swe prawa, zastała nas przygotowanych. Więc tym razem już nie na darmo tyle mogił przybyło Polsce, tyle żałoby padło niemal na każdy dom polski. Mamy na koniec Ojczyznę wolną i niepodległą i już się chłopcze, nie będziesz potrzebował wysługiwać obcym panom, nie będziesz dławił się gorzkim chlebem niewoli...

Stanisław Rossowski

Z TWÓRCZOŚCI MAŁYCH CZYTELNIKÓW GRZESIA

CO DZIECI DOSTAJĄ NA GWIAZDKĘ

A więc cukry, cukierki,
zabaweczki, fajerki,
dla niegrzecznych, różeczki,
a dla grzecznych zabaweczki,

słodkie bardzo ciasteczka,
i dla lalek łóżeczka,
dalej figi i pierniki,
ładne lalki i koniki

i orzechy wózeczki,
czekolada dzwoneczki,
i czerwone jabłka, gruszki,
wyszywane fartuszki,

są to rzecz pożyteczne
a niektóre zbyteczne,
i pończochy buciczki
i czerwone spodniczki,

są to szkodliwe łakocie,
któremi traktują ciocie.
Talerzyki, miski, garnki,
a w tym wszystkiem niema miarki.

Lecz to tylko jakby z bajki,
jakby ktoś puścił trochę dymu z fajki.
Tego dzieci nie dostają!
tylko na wystawach oglądają!
Bo to ta przebrzydła wojna,
dla nikogo nie jest hojna.
A aprowizacya w niebie
już nic niema dla ciebie.

Stasio Peters

JAKTO NOSOROŻEC

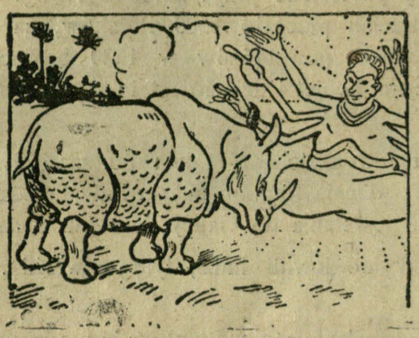

Działo się to w Indyach. Stary nosorożec, znudzony swojem życiem wśród błot dżungli, skarżył się raz na swój los przed bożkiem Buddą. „Gdybym był człowiekiem umiałbym sobie urządzić życie“ jęczał zasmucony. Wszechwładny bożek zlitował się nad biedakiem i rzekł:

—„Niemądry nosorożcu“! nie wszystkim ludziom płynie życie po różach. Są biedacy, którzy jedzą chleb, zmieszany ze łzami. W dowód łaski zmienię cię jednak w człowieka. Spróbuj szczęścia na świecie w nowej postaci, lecz na pamiątkę swej przeszłości, co dnia w południe, nim wybije godzina, na dwanaście sekund przyobleczesz swą dawną skórę nosorożca“.

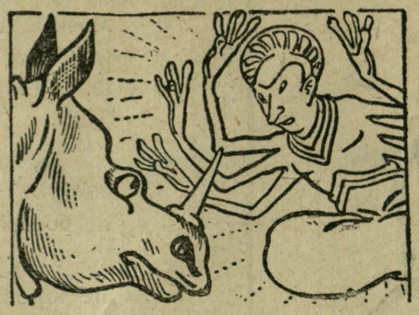

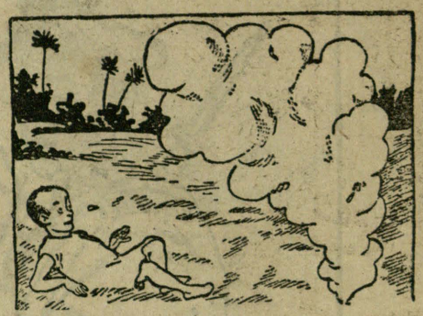

Budda wyrzekł słowo zaklęcia, i brzydki zwierz przemienił się w ślicznego chłopaka, którego nazwiemy Tomkiem. Znalazła chłopaka na polu biedna wieśniaczka i zaopiekowała się biedactwem. Mały Tomek wyrósł na młodzieńca. Co dnia jednak, gdy zbliżała się godzina dwunasta uciekał w lasy, gdzie przez nikogo nieobserwowany zamieniał się na dwanaście sekund w brzydkiego nosorożca.

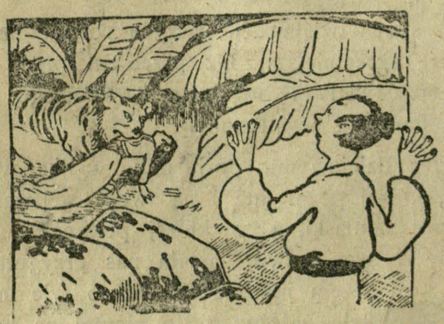

Pewnego dnia Tomek bawił właśnie w puszczy, bo właśnie zbliżała się fatalna jego godzina. Nagle znalazł się oko w oko z drapieżnym tygrysem który trzymał w swej paszczy śliczną dziewicę. Tomek skamieniał z przerażenia i rozłożył bezsilnie ręce.

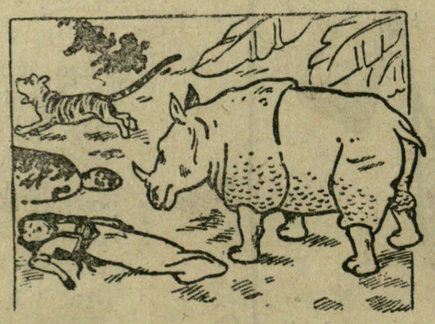

W tej chwili wybiła godzina dwunasta. Przerażony młodzieniec przemienił się jak zwykle w potężnego nosorożca. Tygrys zdumiony tą nagłą przemianą, nie mając ochoty rozpoczynać walki z równie silnym przeciwnikiem, puścił swą ofiarę i uciekł na pustynię.

— I oto nadbiegł ojciec dziewicy. Był to władca kraju, król Sinobrody. Zemdlona królewna otworzyła oczy a król zawołał do Tomka: „Wybawiłeś mą córkę od śmierci — powiedz czego żądasz w nagrodę?“ —

— „Żądam ręki królewny“ — rzekł Tomek, chciwy władzy. Król poirytowany zuchwalstwem Tomka zawołał:

— „Choć nie jesteś równego stanu z moją córką, otrzymasz jej rękę, lecz pierwej musisz złożyć próbę swej nadprzyrodzonej potęgi“. — Tomka zamknięto do więzienia i postawiono silne straże. Lecz gdy wybiła godzina dwunasta, potężny nosorożec jednem uderzeniem swego rogu rozbił kruchą

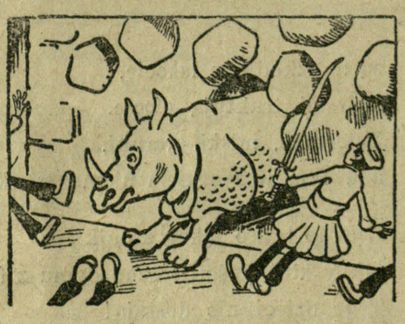

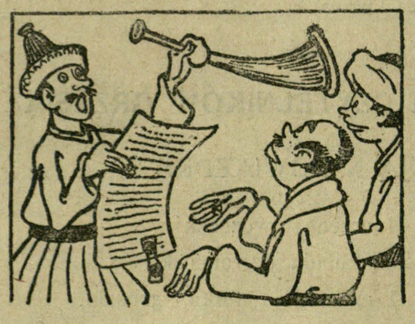

ścianę więzienia i Tomek znalazł się znów na swobodzie.

Władca dotrzymał swego królewskiego słowa. Wziął Tomka na swój dwór i kazał go przystroić we wspaniałe szaty ze swego skarbca. Herolowie otrąbili po całem państwie, że za dwa tygodnie odbędzie się ślub uroczej córki królewskiej z nieznanym przybyszem i wybawcą.

Dowiedziała się o tem wieśniaczka, która wychowywała szczęśliwego Tomka. Przyleciała na dwór królewski, pewna, że spotka ją nagroda za

CHCIAŁ BYĆ CZŁOWIEKIEM

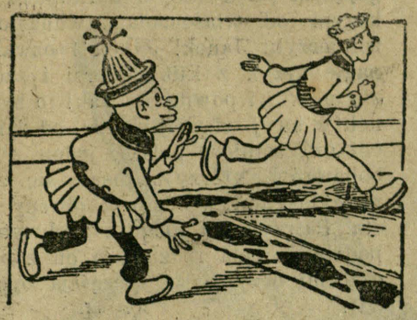

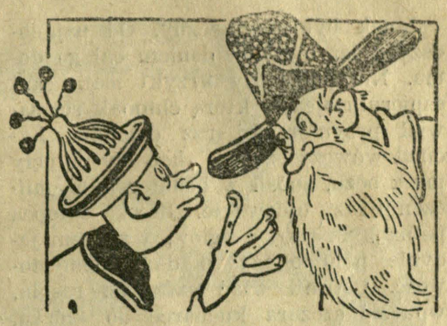

dobre serce. Lecz Tomek udał, że ją nie poznaje i kazał ją wygnać precz poza granice państwa.

Życie poczęło się uśmiechać do Tomka. Co dnia jednak przed uderzeniem godziny dwunastej uciekał do swej komnaty, i zamykał się szczelnie, ażeby nikt nie podpatrzył tego momentu, gdy zmienia się w brzydkiego nosorożca. Lecz był na dworze karzeł Mimicri, który od dłuższego czasu śledził Tomka. Ten snuł się za nim jak cień, bo nie ufał przybyszowi.

Pewnego dnia karzełek podpatrzył przez dziurkę od klucza brzydką scenę. Oto Tomek pragnąc pochwycić całą władzę w swe ręce, wlał potajemnie do napoju przeznaczonego dla króla kilka kropel zabójczej trucizny z grzechotnika.

Karzełek przerażony tem odkryciem pobiegł do króla i zawołał: — „Władco! ładnego zięcia przygotowujesz dla królewny. Nie pij dziś wieczorem wina. Chcą cię otruć"! — Zdumiał się władca, lecz aby się upewnić kazał napoić krokodyla swem winem. Kro-

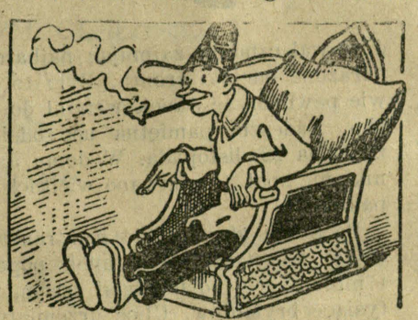

kodyl zdechł w kilku minutach. A wówczas karzełek wraz z królem ułożyli sprytny plan.

Rozgłoszono po całem państwie, że król Sinobrody umarł. Karzełek tymczasem miał śledzić, jak się Tomek zachowuje i o wszystkiem donosić swojemu władcy. Plan udał się doskonale. W całem państwie uwierzono w śmierć królewską. Tomek nie posiadał się z radości.

Jako przyszły mąż córki królewskiej odrazu pochwycił całą władzę w ręce. Przybrawszy kapelusz królewski zasiadł na tronie i począł rządzić. Z całego państwa kazał sobie znosić złoto i klejnoty. O dobro swoich poddanych nie troszył się wcale, nie wiedząc co mu grozi.

Zaczął wydawać niezwykle surowe ukazy i przybijał je na murach miejskicha. Czytali je ze złością mieszkańcy państwa nie kryjąc swego oburzenia. Zanosiło się na rewolucyę: — Poczęto spiskować, narzekano głośno na nowego władcę i opłakiwano starego.

O wszystkiem tem doniósł karzełek królowi. Zdradził mu również tajemnicę skóry nosorożca, którą podpatrzył przez dziurkę od klucza. To przechyliło szalę. Król postanowił zdemaskować oszusta. Nie mógł przecież patrzeć o-

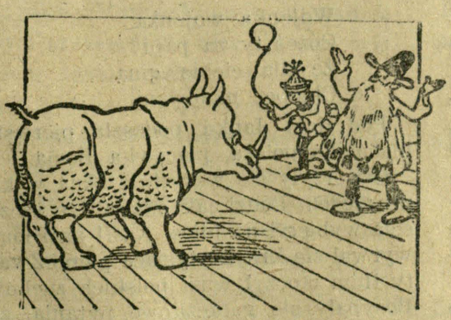

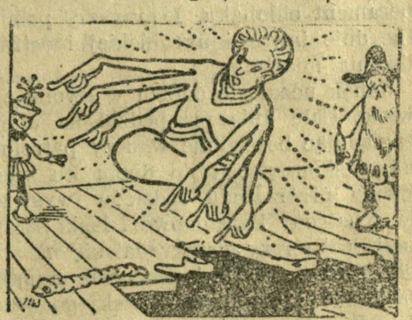

bojętnie na nieszczęście swego państwa i swojej córki.

Pewnego dnia król z karzełkiem ukryli się w komnacie Tomka. Było to właśnie przed dwunastą. — Nagle wbiegł Tomek i przemienił się w nosorożca. Jakież było jednak jego przerażenie, gdy w oko w oko stanął przed królem, którego uważał za nieboszczyka. Już chciał się rzucić na niego, gdy w tej samej chwili spadło mu lasso na róg, sterczący na nosie.

I byłby jeszcze długo broił nosorożec w ludzkiej skórze, lecz nagle zjawił się w chmurach potężny bożek Budda i zawołała: „Za wszystkie swoje nieprawości przeobrazisz się w ziemną glistę. I odtąd żyć będziesz w poniżeniu, póki cię ktoś nie rozdepce.

Taki był koniec nosoróżca, któremu zachciało się być człowiekiem.

NIEGRZECZNY JANEK

(OBRAZEK Z DZIEJÓW OBRONY LWOWA)

Janek był niegrzeczny. Od najmłodszych lat był utrapieniem całego domu. Nie pomagały krzyki matki ani szpieruta ojca, z którą chłopak rozmawiał przynajmniej raz dziennie. Zacinał wówczas zęby i choć łzy płynęły mu z oczu, znosił w bohaterskiem milczeniu razy ojcowskie. Główka chłopca pełna była psot i figlów, i na tem jedynie polu okazywał dużą pomysłowość. Potrafił wlać naftę do rosołu, wpuścić szczura kucharce do łóżka, posklejać gumą włosy siostrzyczkom, wrzucić do pieca patrony rewolwerowe, które strzelając budziły panikę w całym domu, potrafił powykręcać wszystkie kółka od fotelu w salonie, aby skonstruować wózek dla siebie, pokrajać nową koszulę matki na skrzydła do latawca albo spruć gumowe podwiązki siostrzyczki na katapulkę. Lecz najwięcej okrucieństwa okazywał w stosunku do zwierząt. Znały go już wszystkie psy, koty w sąsiedztwie i na widok chłopca uciekały w panicznym lęku. Kotom przywiązywał grzechotki z grochem do ogona, psom nakładał papierowe hetmy na głowę, nadmuchiwał żaby przez słomkę tak długo, aż pękały jak balony, motylom odrywał skrzydła a owadom nogi, cały dzień polował katapulką na wróble albo kamieniami na wrony, niewyczerpany był w inkwizytorskich pomysłach, wiedząc, że w tej dziedzinie może broić bezkarnie.

Nie lubiano go powszechnie i lękano się go jak małego dyabła. Ukryty za plotem rzucał śniegiem na przechodniów, wyzywał brzydkiemi słowami służące, idące na targ, wybijał szyby sąsiadom, wykopywał na ulicy wilcze doły na których ludzie wykręcali nogi. Co wyrośnie z tego draba? powtarzali sobie rodzice, pełni frasunku, nie mając siły poskromić nieokiełzany temperament chłopaka. I przyszły pamiętne dnie inwazyi ukraińskiej i ostrzeliwania miasta.

Janek uczuł się odrazu w swoim żywiole. Całe dnie przepędzał na ulicy, zaglądając bezczelnie w oczy patrolom ukraińskim, znosił do domu ku wielkiemu przerażeniu rodziców wystrzelone patrony karabinowe i łuski szrapneli, kilka razy przekradał się na polską stronę frontu i przynosił ztamtąd pierwsze komunikaty polskiego sztabu. Pewnego dnia zniknął z domu i nie pokazał się więcej. Zrozpaczony ojciec chodził po wszystkich więzieniach ukraińskich, lecz nigdzie nie natrafił na ślad chłopaka. Niewyraźne tylko wieści dochodziły, że po polskiej stronie frontu walczą kobiety i dzieci, że studenci gimnazyalni dokazują cudów waleczności, zajmując najbardziej narażone odcinki frontu. Było to prawie pewnem, że Janek wstąpił do wojska. Nadeszła pamiętna noc odsieczy z 21. na 22. listopada. W domu Janka nikt nie spał. Oczekiwano wielkich wypadków.

Po silnej strzelaninie nad ranem ucichło wszystko. Był ranek pogodny i mroźny. Na polach lśnił szrom, niby tysiące brylantów. Ulice drzemiały jeszcze opuszczone i ciche. Nikt nie wiedząc, co zaszło I nagle ze wzgórz Łyczakowskich okalających dom Janka, poczęły się wyłaniać szare postacie. Zbliżały się ostrożnie, badając pełen zasadzki teren.

Błysnęła krwawą plamą w słońcu rozwinięta chorągiew. Czy sen to czy rzeczywistość? W rannem czystem powitrzu rozlała się nagle srebrzystą kaskadą głosów męzkich i dziecinnych żołnierska piosenka:

Wojenka wojenka
Cóżeś ty za pani?
Że dla ciebie giną
Chłopcy malowani.

Pod dom Janka podeszła pierwsza placówka polska, placówka Bema.

Otworzyły się wszystkie okna w kamienicach. Ludzi jak oszalali ze szczęścia wybiegli na ulicę. Nasi! nasi idą!! wyrwał się krzyk z tysiąca piersi. Zwarty tłum otoczył wnet polskich zuchów. Posypały się gorączkowe pytania, zaczęto znosić herbatę i papierosy.

—„Gdzie Ukraińcy?"—

—„Niema!"—

— „Jakto niema?" —

—„Uciekli... daliśmy im bobu... odsiecz... pułkownik Tokarzewski... miasto wolne! — Miasto wolne!! dwa te cudne słowa padły balsamem na dusze. Wybiegli także rodzice Janka. Cóż to za żołnierzyk, w płaszczu sięgającym po kostki, z karabinem większym od właściciela, dwunastoletni żołnierzyk. Janek! Janek!! ozwał się nagle krzyk z kilku piersi i zaczęły się uściski i powitania. Tak! to był Janek w swej własnej osobie, od dziesięciu dni żołnierz polski, jeden z tych bohaterów, którzy zapisali się złotemi zgłoskami w historyi obrony miasta. Patrzyła na niego z zachwytem i podziwem cała rodzina, a on z błyszczącemi oczyma ze szczęścia opowiadał:

— „Wstąpiłem do Legunów... atakowaliśmy od rogatki i cmentarza... było gorąco... na ulicy Zyblikiewicza przed pięcioma dniami zdobyłem maszynkę... nie bójcie się. Daliśmy Ukraińcom szkołę. Uciekli jak zające."

— „Czy dużo zabiłeś Ukraińców? spytała ciekawie Wisia siostrzyczka Janka.

— „Czy ja wiem... strzelało się, więc pewnie nie jeden oberwał". — odpowiedział z dumą mały bohater, zaciągając się ogromnem cygarem.

Lecz nadeszła chwila pożegnania. Oddział miał rozkaz zgromadzić się na stacyi zbornej w mieście.

— „Janku! czy nie zostaniesz w domu? — zapytała nieśmiało matka.

— „Ja żołnierz... idziemy ścigać ukraińskie zające" — odpowiedział mały bohater i począł żegnać się. Familia zbita w małą gromadkę przed bramą widziała jak placówka polska schodziła stromą ulicą ku miastu. W tylnych szeregach maszerował raźno dwunastoletni żołnierz. I wnet znikli z oczu, lecz jeszcze niosła się echami wśród kamienic nuta piosenki o wojence.

Dla twej świętej sprawy
Ginie kwiat młodzieży
Bo kto ciebie kocha
Bo kto ciebie kocha
Ten wnet w grobie leży.

Janek przeszedł całą kampanię galicyjską od Lwowa aż po Zbrucz. Niegrzeczny chłopak, znalazłszy się w swoim żywiole, stał się najlepszym żołnierzem. Wiele jeszcze czynów bohaterskich dokonał. A kiedy ranny w nogę, w randze plutonowego powrócił na odpoczynek do domu, ojciec całując go serdecznie powiedział: Uczynkami swoimi naprawiłeś wszystkie błędy. Ojczyzna jest dumną z ciebie. Jeszcze tak dalej — a będą z ciebie ludzie.

Henryk Zbierzchowski

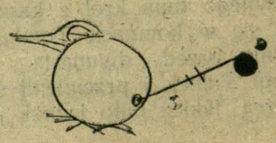

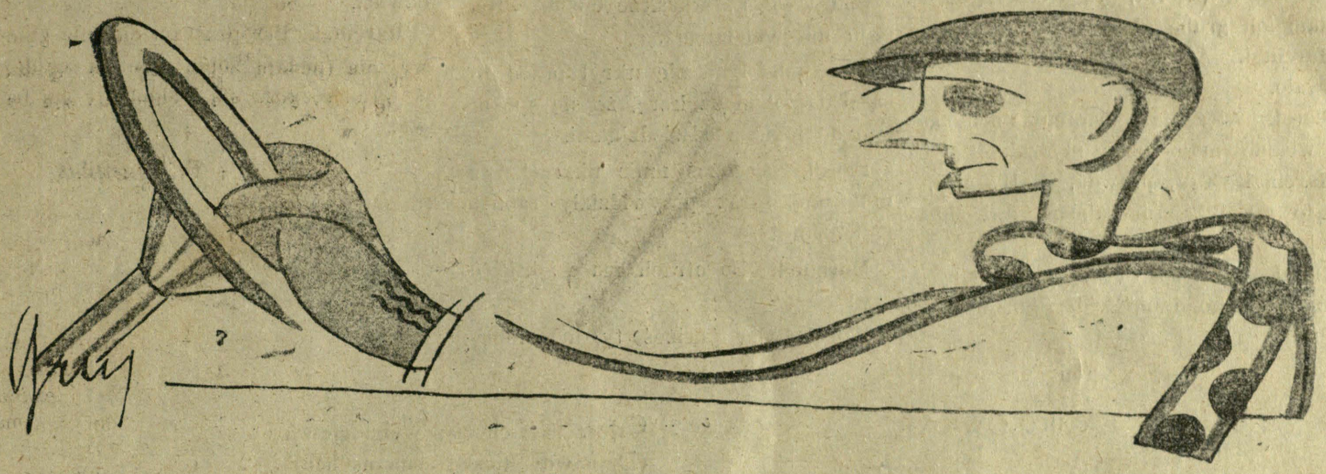

STRACH MA WIELKIE OCZY

OBRAZEK SCENICZNY W 1. ODSŁONIE.

OSOBY:

Florek, Marcinek } Koledzy

Rzecz dzieje się u Marcinka.

Scena przedstawia pokój. W tyle drzwi wchodowe. Na środku wielki stół nakryty serwetą spadającą aż do ziemi.

Marcinek (sam.)

Zaprosiłem Florka. Obiecał, że przyjdzie... o, bo my się z Florkiem bardzo lubimy i kochamy. Dopomagamy sobie nawzajem wiele w nauce, i gdy ja z jakiego powodu nie jestem obecny na lekcyach w szkole, to on zaraz popołudniu mnie odwiedza i powiada, co nowego zostało zadane i ja mogę na drugi dzień przyjść do szkoły przygotowany. Tak samo, gdy on opuści kiedy lekcye to ja jemu powiem. No, ale to dlatego także jest dla nas łatwem do wykonania, że bardzo blizko siebie mieszkamy. A w szkole, to każde drugie śniadanie jadamy wspólnie. Dzielimy się nawzajem tem, co nam nasze mamusie dały do zjedzenia... **(po chwili)** Lecz, cóż to?... Florka, jeszcze nie ma... coś się pan Florjan spóźnia... to nie pięknie... to mi się nie podoba... powinien być słownym i jak obiecał o oznaczonej godzinie już być na miejscu... Czwarta godzina już dawno wybiła, a jego jeszcze nie ma... Ale wiem co zrobię... ukarzę go, ukryję się i gdy on przyjdzie, niby nie zastanie mnie w domu... Niech rozmawia z czterema pustemi ścianami... **(Pukanie do drzwi środkowych)** O-ho!... pan Florjan przychodzi na wizytę... Teraz ja się ukryję. **(Wchodzi pod stół, nakryty wielką serwetą, że go z pod stołu nie widać. — Pukanie do drzwi po raz drugi. — Po chwili wchodzi Florek).**

Florek (staje na środku, rozgląda się po pokoju i mówi:)

Pukam raz, nikt się nie odzywa... Pukam drugi raz, toż samo. Myślę sobie; jakto, Marcinek mnie zaprosił, ażebym przyszedł do niego, a sam tymczasem wyszedł gdzieś z domu?... O! to nie pięknie z jego strony, to mi się nie podoba. Nie spodziewałem się tego, ażeby Marcinek, którego tak bardzo kocham, którego uważam za najmilszego kolegę i przyjaciela, tak mnie wystrychnął na dudka. Wcale sobie na to nie zasłużyłem... A jeżeli się nieco spóźniłem, to nie jest to znów tak wielkiem przewinieniem, żeby na mnie nie zaczekać!... Zresztą, jeżeli mnie zaprosił, to widocznie nie miał zamiaru wychodzić z domu. Wcale tego nie rozumiem i nie wiem jak sobie to wszystko wytłumaczyć? Gdzie musiał on pójść i po co?... Gdzie on może być?... **(W tej chwili Marcinek pod stołem krząka grubym głosem).**

Florek (z przestrachem).

Co to jest?... gdzieś jakiś głos się odzywa... Oj, oj, oj!... Co to być może?... Czy się kto zakradł do tego domu?... czy co takiego?... Mieszkanie było otwarte, drzwi nie zamknięte... Oj, oj, oj!... ja się boję!... **(rozgląda się trwożliwie po pokoju).**

Marcinek (znów krząka silniej pod stołem).

Florek (j. w.) Boże!... ja niewiem co mam czynić?... nikogo niema z domowników... czy uciekać, czy wołać o ratunek?...

Marcinek (po raz trzeci odzywa się pod stołem).

Florek (woła:)

Gwałtu! ratujcie!... Rabusie!... Złodzieje zakradli się do tego domu! **(upada na krzesło stojące przy stole).**

Marcinek (wyskakuje z pod stołu:)

Co to za krzyki!?... co to za hałasy?!

Florek (nie widząc go).

Gwałtu! ratujcie!... Rabusie!

Marcinek (łapie go za ramię z tyłu)

Nie rób krzyków, tu niema żadnych rabusiów!

Florek Oj oj!... już mnie złapał, już mnie zamorduje!

Gwałtu! ratujcie!... Złodzieje się zakradli!!

Marcinek. (występuje przed niego)

Florku! gdzie są rabusie?... gdzie są złodzieje?

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г
Ж 6853

Florek (nieco udobruchany). Tu, w tym pokoju, przed chwilą słyszałam ich grube głosy.

Marcinek. Ależ to tylko tobie się zdawało.

Florek. Ależ, jak mamcię kocham, na własne moje uszy słyszałem.

Marcinek. Tak, prawda, słyszałeś, ale to nie byli ani rabusie, ani złodzieje.

Florek. A któż tu się mógł odzywać, gdy nikogo nie widziałem w pokoju?

Marcinek. To ja byłem.

Florek. Ty?... wszakże ciebie w pokoju nie widziałem...

Marcinek. Bom się ukrył przed tobą pod stołem za karę, że się spóźniłem do mnie z odwiedzinami.

Florek. A tożeś mnie ukarał!.... A mnie się zaraz przywidziały rabusie i złodzieje!...

Marcinek. Bo strach ma wielkie oczy!

Florek. Oh, jakiżeś ty nie dobry. Marcinku, żeby mnie tyle strachu nabawić...

Marcinek. Przepraszam cię, nie gniewaj się **(podają sobie ręce na zgodę).** A teraz rozgość się i chodźmy się bawić.

Fr. Barański

ŁAMIGŁÓWKA

POETYCZNO-POLITYCZNA

PRZEZ J. K.

Trzy pierwsze litery tajemnego słowa
To roślina z pożytku dobrze wszystkim znana.
Kiedy czasem o oczach jest błękitnych mowa,
Barwa od t-j rośliny bywa pożyczana.

Dwie ostatnie zaś razem, to rzekę oznacza,
Dopływ wody Dunaju. O nim nasz poeta
Mówi; że szczęsną walkę z samem niebem stacza
O szafir. To powtarzam marny wierszokleta.

Lecz od siebie dodaję, by wwieść czytelnika
Na drogę odkryć żmudną, co lękiem przenika,
Że naprzekór szafirom, z całości wynika
Nie modna, lecz czerwona postać bolszewika.

Rozwiązanie: Lenin

ŁAM GŁÓWKA NA CZAS E

Pierwsza się mieści w alfabecie.
Druga po falach z wiosną mknie.
Trzecią poszukaj, znajdziesz przecie;
W każdem Twem zdaniu mieści się,
Gdy coś wyliczasz, czy dodajesz.
Z czwartą największy mam ambaras:
Jest to przysłówek mały — znajesz?
Gdy na czemś, coś, położysz naraz.

Całość zaś, chociaż wybudujesz,
(Doprawdy, troskę mam na licu)
Znajdziesz, szukając dobrze — czujesz?
Za lat dwadzieścia na księżycu

Rozwiązanie: Ukraina

ŁAMIGŁÓWKA.

Pierwsze litera płynna alfabetu.
Zaimek męski postaw tuż.
Niby sekretarz gabinetu
Zaimek żeński w tekę złóż.

Całość zaś z sylab trzech wyłonię,
Jako zjawisko imposant
Pozornie głowę przed niem skłonię,
Lecz mówię w duchu: je m' entends.

Uprzedzę jednak czytelnika,
Wierszykiem lekkim trzy po trzy,
Że choć odmianę oznaczają
Zaimki te i szylab trzy
Niech zmyka wszelka gramatyka!

Gdyż ten seos one zawierają,
Że wciąż coć dają, odbierają,
Jak zwykle każda polityka.
A razem całe przedsięwzięcie,
Mam ja, sam autor, trochę w pięcie.

Rozwiązanie: Entente

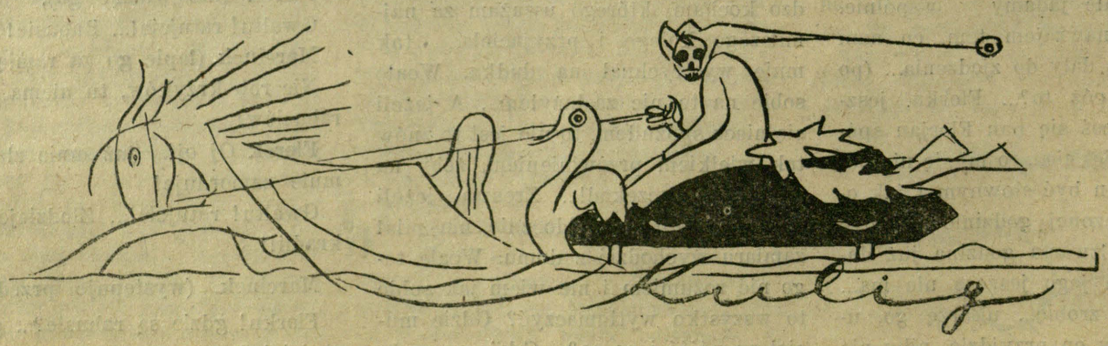

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg. Drukarnia Ign. Jaegera Lwów Sykstuska 33.

ROK II. 1. LUTEGO 1920. CENA Mk. 2.— Nr. 3.

GRZEŚ

pismo obrazkowe dla polskiej młodzieży szkolnej.

TORUŃ

„Toruniu, Toruniu,
Tyś nad wszystkie miasta,
Ja tylko do ciebie
Chcę jechać i basta.

I ja też, mamusiu,
Choć na chwilę zajrzę,
I ja, ja też, wszyscy
Do Torunia hajże.

Tak jak tu jesteśmy,
W bramy twoje runiem.
Chcemy się przywitać
Z tym polskim Toruniem.

Lecz na przywitanie
Daj nam co dobrego,
Przecież cię już pruskie
Bagnety nie strzegą!"

I tłum niecierpliwy
Aż nóżkami fika.
„Nie jedliśmy nigdy
Twojego piernika."

Więc Toruń się śmieje
I mówi: „A co mi,
Jedzcie, utrapieńcy,
Gdyście tak łakomi!"

Jedząc, mała rzesza
Wzięła się za ręce,
Widzi jakiś pomnik:
„Wkoło go okręcę."

I kręcą się wkoło,
W każdej buzi piernik,
Aż rzekł mąż z pomnika:
„Jam jest M. Kopernik."

Ah, to ten, o którym
Było w geografii...
Więc niejeden piernik
Do buzi nie trafi.

Niejednemu chłopcu
Zrzedła zaraz mina:
Stanął, o pierniku
Całkiem zapomina.

Ta rzecz pomnikowi
Wydaje się zdrożna:
„Nie stać! Czym nie uczył,
Że tu stać nie można?

Czyli żadne lekcyi
Nie ma już w pamięci?
Wszakże tu na ziemi
Każdy wciąż się kręci."

Ośmielone dzieci
Znów ruszyły kołem,
A on do nich słowem
Mówi już wesołem.

I tak każde z buzią
Piernikiem wypchaną
Kręci się, że chyba
Nigdy już nie staną.

A z wysoka słońce
Patrzy po tym tłumie,
Czy się każde dziecko
Dobrze kręcić umie.

I oczami wodząc
Od dziecka do dziecka,
Mruczy: „Toć to nie ta
Hałastra niemiecka.

Tu się coś zmieniło.
Koperniku! Gdzie ty
I gdzie się podziały
Ich Hanse i Grety?"

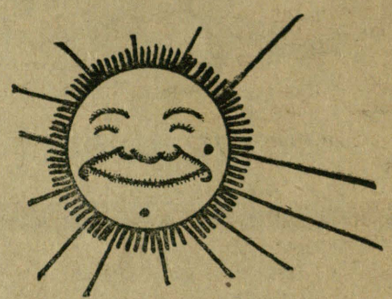

A Kopernik słońcu,
Co złociście świeci,
Krzyknie: „Już ich niema,
Tu są polskie dzieci!"

Stanisław Maykowski

PRZYGODA MAŁEGO JASIA

Mały Jasio — miły chłopaczek — siedział na morskiem wybrzeżu i zarzucał wędkę. Bardzo to nudna zabawa, gdy ryby kapryszą i nie chcą pójść na przynętę. A że dzień był skwarny usnął Jasieczek i — bęc! — wpadł w wodę.

Nie przeraził się jednak wcale, popłynął na morze i po chwili dał nura na samo dno.

Usiadł tam na jakimś kamieniu, który był pokryty czerwonawym, miękkim porostem. Chłopak rozejrzał się i powiedział: „Bardzo tu ładnie!".

Powoli — powolutku przyczołgała się morska rozgwiazda, za nią sumiastowąsa langusta i jeszcze za nią poruszało się dużo dużo krabów. Na wszystkich kamieniach, które sterczały, jak wielkie czerwone czereśnie, pięły się pnącze roślin, przywierały płasko lilie wodne, a między niemi przemykały muchy wodne i żaby, ledwie - ledwie poruszał się żółw, nieczuły na to, że na jego pancerzu bawiły się dwie małe zielone rybki, niby dwa motylki w powietrzu. Tam znowu wśród białych kamyków posuwał się ślimak ze swoim domkiem na grzbiecie. Jasiek zaraz przypomniał sobie: „Ślimak, ślimak wystaw rogi, dam ci centa na pierogi!".

Nagle usłyszał nad głową dźwięk,

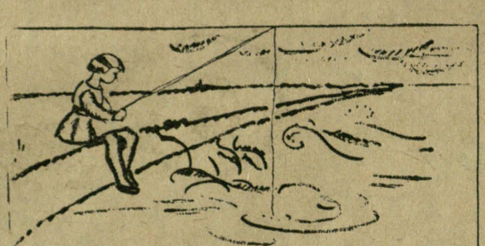

jakby ktoś wygrywał na klarnecie.

— Któż to tam?

Spojrzał w górę. Srebrnołuska ryba o wyłupiastych oczach i wyszczerzonych zębach śmiała się zadowolona.

— Któż ty? — zapytał Jasiek.

— Ja...

Zdziwiony i nawet zirytowany zapytał znowu:

— Jakże to może być, ryby przecież nie mówią! — a równocześnie pomyślał:

— Ciekawe: po niemiecku to nie rozumiem, a po rybsku odrazu zrozumiałem!

— Au — jaki wielki zwierz!

Patrzył na bajecznie kolorowe rybki, które płynęły to tu, to tam i śmiejąc się, żartowały:

— Spójrz tylko, jaki potwór tu się zbliża o dwóch ogonach!

— I bez łusek!

— I ma tylko dwie płetwy!

Kilka bardzo swawolnych rybek podpłynęło mu pod sam nosek i pytało:

— Pięknie — czy nie?

Jasiek był obrażony.

— Także zuchwalice! Jak gdyby nie wiedziały, że to prawdziwy człowiek tu siedzi...

Chciał je złapać, ale wyśliznęły się mu z ręki, uderzyły na siebie noskami i zaczepiły płetewkami i zaśpiewały kpiącą piosenkę o wielkim raku, który groźnie wyciągnął swe nożyce i wołał:

— Zbliżcie tylko się do mnie, języczki wam powyrywam, plotkarki!

— Fi — jaki srogi! pomyślał Jasiek.

Wielka ryba przysunęła się do chłopaka i zapytała:

— Skąd ci wiadomo, że ryby są nieme?

— Tatuńcio powiedział.

— Co to — tatuńcio?

— Taki, jak ja sam, tylko troszynkę większy i z wąsami, a kiedy nie łaje — to jest bardzo, bardzo kochany.

— Czy także je ryby?

Jasiek zląkł się.

Powiedz — tak! — było pierwszą jego myślą. Ale potem wzniósł oczy

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6885 Зп

do góry, zobaczył poprzez wodę zielonozłote słońce na niebie, zastanowił się, i skłamał:

— Nie — on nie je ryb, mają za dużo ości.

— Hm, jaki bezczelny! Nie wszystkie mamy tak dużo ości.

— Ot moja rodzina...

— Trzeba o czem innem porozmawiać — myślał chłopak i powiedział bardzo grzeczniutko:

— Czy była pani już kiedyś — u nas?

— Także coś — żachnęła się ryba ze złością. Przecież tam nie można wcale oddychać.

— Ale zato jest tyle ładnych much!

Ryba okrążyła go, potem stanęła tuż przy jego nosie i powiedziała:

— Muchy? To poco wogóle tu przypłynąłeś?

Teraz stanie się! Głupia ryba pożre mnie — pomyślał chłopak i tak — bez troski niby — powiedział:

— Et — tak sobie spacerkiem idę.

— Hm, ryba na to, a może ty jesteś topielcem?

Obrażony chłopiec zakrzyczał:

— Wcale nie! O! staję, widzisz!

I próbował się podnieść, ale nadaremnie, jak gdyby był okutany w ciężkie grube koce, nie szło ani rusz.

„Rozbeczę się", pomyślał, ale za chwilę rozmyślił się, że płacz tu na nic, bo przecież łez w wodzie nikt nie dostrzeże. Może się znajdzie jakieś inne wyjście z tego nieprzyjemnego ambarasu! — i rozejrzał się wokół.

— Boże, jakież niezliczone zgromadzenie morskich mieszkańców!

O jego nogę owija się pierścienica, podobna do wychudłego prosiaka i kwiczy:

— Chciałabym z tobą lepiej się zaznajomić.

Przed nosem malca krążą jakieś żyjątka i kpią z chłopca.

— Ani ty rak, ani ryba, ha ha ha — coś ty za taki?

— Czekajcie tylko a może zostanę lotnikiem, — odpowiedział Jasiek i zobaczył, że mu homar wyczołgiwał się na kolana, że mątwa jak mokra płachetka przepłynęła obok, a zewsząd skrzyło się i świeciło, jak kiedy promyk słońca pada na szklane kule. A tu za ucho pociągają go kraby, w drugie szczypie go rak, nawet po głowie przechadzają się małe raki i zaplątują się we włosy.

Udawał, że nic nie słyszy, że nic nie widzi, i nawet próbował wesoło pogwizdywać, ale nie mógł, bo woda jak korek wpychała się mu w usta. A jedna gadatliwa ryba pyta go:

— Podoba ci się u nas?

— Nie, to znaczy tak... podoba mi się, ale u mnie w domu jest także całkiem ładnie.

— Boże, co ja tu plotę! — pomyślał roztargniony — z pewnością mnie pożrą za to.

A głośno dodał:

— Może będziemy się bawili, nudzę się.

To podobało się bardzo wesołym rybkom. Śmiały się, otwierały przytem tak szeroko buzie, że widać było czerwone oskrzela, biły z radością ogonkami, szczerzyły ostre ząbki i wołały piskliwie:

— Dobrze, pięknie, bawmy się!

Popłyńmy do góry — proponował Janek.

— Dlaczego? pytała jedna rybka.

— Tu na dole nie można się wcale bawić, a tam na górze są także muszki.

— Muszki? Czy lubisz muszki?

Janeczek lubił wprawdzie tylko tatę, mamę i lody, ale odpowiedział:

— Tak.

— Dobrze. Cóż w tem złego, popłyńmy do góry — zawołała jedna rybka, podniosła głowę do góry, a Janek — cap! — chwycił ją za oskrzela i woła:

— Jestem gotów! —

— Gwałtu! Potworze! Łapami tak mocno trzymasz moje oskrzela, nie mogę...

— Nic nie szkodzi.

— Co znaczy nie szkodzi? Porządna ryba nie może żyć bez oddychania.

— Et, mój Boże! Co tu się sprzeczać! Kiedy się bawimy, to się bawimy

A w duszy myśli:

— Gdyby mnie tylko ryby troszeczkę chciały pod górę podciągnąć, to jużbym jakoś wyszedł.

Ryba uniosła się w górę, okręcała się jak w tańcu i śpiewała z całej siły: o szczupaku i karpiu, które zawsze żerują... żerują... Chór małych rybek intonował wraz. Im wyżej, tem szybciej szła podróż, a Janek coraz lżej oddychał. Wreszcie głowa wydostała się na wierzch, poczuła powietrze i och — ha — odetchnęła....

Rozglądnął się. Toż jasny dzień! Słońce igra po wodnej tafli. Zielone fale szumują cicho, śpiewnie pod brzeg. Wędka gdzieś hen po morzu płynie, wolno, daleko. A on sam siedzi sobie na tym samym kamieniu, z którego się stoczył i — znowu jest całkiem suchy!

— Ach — mówi i śmieje się do słońca. — To ja przecie dzielnie wypłynąłem i wyratowałem się!

Maksym Gorkij

(Tłóm J. Stycz).

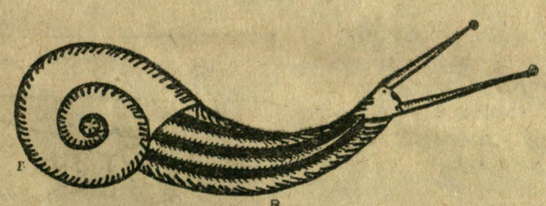

KILKA SŁÓW O AEROPLANIE.

Dawał wam znać o sobie przeciągłem huczeniem, tak jakby jakiś czarodziej odbywał automobilem spacer po srebrnych chmurach. Podnosiliście wówczas ciekawie główki w górę i wreszcie odkrywaliści przyczynę tego huczenia. Aeroplan podobny do dużej białej jętki, szybował nad waszemi głowami, zatapiał się w miękkiem cielsku obłoków i znowu wynurzał się przez błękitną szparę w chmurach.

Słyszeliście może w domu wesołą piosenkę o lotniku, kończącą się takiemi słowami:

A że ma stracha,
Skrzydłami macha.

Piosenka ta mówi nieprawdę. Po pierwsze, kto zdecyduje się raz być lotnikiem, ten nigdy „nie ma stracha", po drugie aeroplan choć podobny zdaleka do ptaka lub jętki, nigdy nie „macha skrzydłami" a porusza się w powietrzu całkiem z innego powodu, o czem dowiecie się niebawem. Jak wiecie z mitologii, pierwszym lotnikiem na świecie był Ikar. Przyczepił on sobie do ramion ogromne skrzydła z wosku, takie, jak mają Archaniołowie na świętych obrazkach i wzleciał w słońce. Lecz w promieniach gorącego słońca stopiły się skrzydła z wosku i biedny Ikar spadł w morze.

Nie wiecie także napewno, że pierwszymi wynalazcami aeroplanu wyście były, dzieci kochane. Od wieków, gdy nadeszła złota jesień, biegłyście w godzinach wolnych od nauki na pola podmiejskie i puszczałyście latawce lub orły. Każdy z was, stosownie do materyału, jaki posiadał, kleił sobie latawca własnego pomysłu, w formie kwadratu, koła, romboidu, z jedną płaszczyzną lub dwoma, z ogonem lub bez ogona. Niewinne te wasze zabaw-

ki jesienne dały początek dzisiejszemu aeroplanowi.

Był pewien Amerykanin, nazwiskiem Wright. Przez wiele lat chodził na spacer na pola i przypatrywał się ciekawie zabawie dzieci w latawce. Wiedział on, że aparatami lżejszymi od powietrza tj. balonami nie można opanować przestrzeni. Balony z powodu swego ogromu podlegały kaprysom wiatru, ulegały łatwo katastrofie lub eksplozyi gazu, któ[illegible] były napełnione. Więc całą swoją uwagę zwrócił na aparaty cięższe od powietrza tj. latawce. I po wielu doświadczeniach i próbach zbudował pierwszy swój dwupłaszczyznowiec, który był niczem inem, tylko dużym latawcem, zaopatrzonym tak, jak samochód, w motor benzynowy. Motor ten o sile kilkudziesięciu koni wprawiał w ruch umieszczoną na przodzie aeroplanu śmigę lub propeler.

Propeler odgrywa przy aeroplanie tę samą rolę, co śruba okrętowa. Tak samo, jak śruba okrętowa, szybkim swym obrotem przezwyciężając opór wody, wprawia w ruch kolosy okrętowe, tak też i propeler, przezwyciężając opór powietrza porusza aeroplanem. Ruchomy ogon aeroplanu w kształcie rybiej pletwy, jest ten samem, co ster dla okrętu lub dla łódki. Pozwala on kierować aparatem na prawo lub na lewo, pozwala mu wznosić się w górę lub opadać na dół. Aparat na aeroplanie jest jak serce ptaka. Od niego zależy los latawca. Jak długo bije serce, ptak-latawiec unosi się lekko w powietrzu, gdy motor iść przestanie, ptak-latawiec spada ze zdruzgotanemi skrzydłami na ziemię. Więc ile razy usłyszycie huk aeroplanu nad głową, cieszcie się dzieci! To granie motoru, to jest życie lotnika, to pieśń nadziei, że cało powróci na ziemię. Wiele tajemnic kryje w sobie motor aeroplanu, których nie zrozumiałybyście, dziatki, bez znajomości mechaniki. —

Lotnik jest jak maszynista pociągu. Przez poruszanie jednej korby lub śrubki, wznosi się w obłoki lub opada na ziemię. Lotnik jest mózgiem aparatu. Panuje nad nim niepodzielnie i jak długo bije serce motoru, nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

Im wyżej jest od ziemi, tem czuje się bezpieczniej, bo nawet w razie katastrofy, może wyskoczyć z aparatu i przy pomocy spadochromu, do którego jest uwiązany, dostać się bez szwanku na ziemię. Mimo to zdarzają się dość często katastrofy i wielu już lotników na świecie podzieliło los Ikara. Dlatego lotnik w służbie Rzeczypospolitej jest zawsze jak żołnierz w pierwszym szeregu bojowym. Co dnia czy na froncie, czy za frontem, spogląda w oblicze śmierci. Więc kochajcie, dzieci polskie, naszych dzielnych lotników!

Henryk Zbierzchowski

POLSKIE MORZE

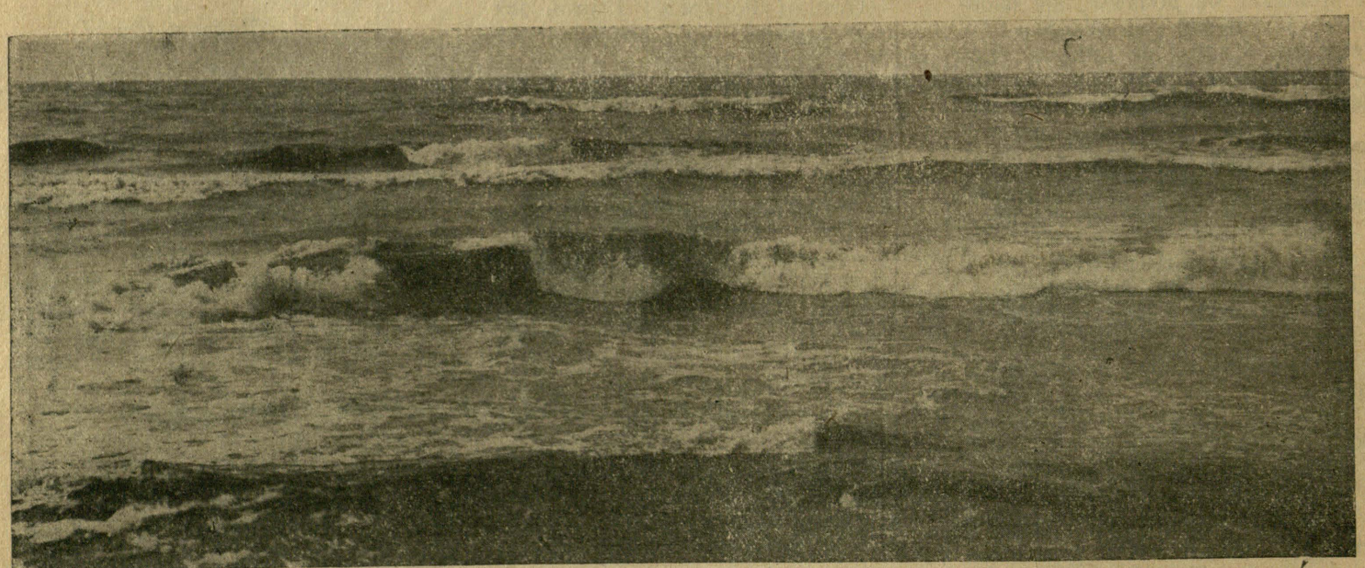

Dziadek „krótko trzyma“ Adasia. Nie pozwala, by go rozpieszczano. Nie pozwala, by zaraz miał wszystko, czego się malcowi zachce. Nie pozwala... Wielu rzeczy nie pozwala; Adasiowi zdaje się, że za wielu!

Np. co złego gazeta? Czyta ją tato, czyta mama, sam nawet dziadek. — Adasiowi zaś nie wolno, choć on już w drugiej klasie ludowej i czytać umie gładko, jak ksiądz z ewangelii.

— Masz swoje książeczki, masz „Grzesia“, zrzędzi stary pan, na razie niech ci to wystarczy. Przyjdzie pora, że i gazet chować się przed tobą nie będzie.

Adaś niby to bierze sobie zaraz do serca, jednak niech tylko gdzie dopadnie dziennika, zaraz doń, jak mucha do miodu. Od czasu do czasu dziadek przychwyci go na tem, a wtedy kazaniom niema końca.

Niedawniej, jak wczoraj, znowu zdarzył się malcowi taki przykry wypadek. Nasłuchał że się za to!

Smarkacz jeden! zburczał go staruszek. Kiedy ty się raz opamiętasz? a po co ci tego? Cóżeś mądrego dowiedział się z tej bibuły?

— A dowiedziałem się! butnie odpowie strofowany. Polacy na zachodzie docierają aż do morza. Niemcy wynoszą się z Gdańska...

Ta odpowiedź zastanowiła i udobruchała dziadka.

— No, no, łagodniej spyta, więc cie to zajęło?

Chłopak, choć mały, wie już na jakiej komu zagrać strunie.

— A cóż bardziej zajmować mnie może, mówi, niźli to, co się dzieje z Polską? Czy ja nie wnuczek dziadzia?

Uśmiechnął się stary powstaniec, pogłaskał wnuczka po głowie, i powiada:

— Ładnie to z twojej strony, panie tego. Ale do gazet przecież nie zaglądaj. Bo niewiele jeszcze zrozumiesz.

Lepiej, jak ja ci sam opowiem zawsze nowiny. Ot, np. z tem dotarciem do morza i z tym Gdańskiem... Co ty możesz o tem wiedzieć, moje dziecko?

Czupurny chłopak podnosi protest.

— Dlaczego nie? Morze to musi być coś bardzo pięknego. A my, Polacy, lubimy piękne rzeczy. Więc dlaczego my nie mamy mieć swego morza, skoro je mają inni?

— Bardzo słusznie, przyznaje dziadek. Ale tu nie idzie o samo piękno. Morze to nie zabawka. Tyle wiesz już, że nad morzami siedzą wszystkie części świata, jak wierzby nad rzeką. Chcąc do cudzych krajów się dostać, najlepiej to uskutecznić drogą morską. Utrzymywanie zaś stosunków z obcymi jest konieczne dla państwa. To, czego ono samo posiada za wiele, wywozi i odstępuje innym — czego brak mu, przywozi i nabywa od innych. Na takiej wymianie opiera się cały handel, a handel to jedna z podstaw bogactwa i dobrobytu. Państwo, które nie ma przystępu do morza, musi prosić inne, siedzące nad morzem, aby pozwoliły mu z morza korzystać. One też pozwalają, ale każą, drogo płacić sobie za tę przysługę, tak, że często skórka nie stanie za oprawkę.

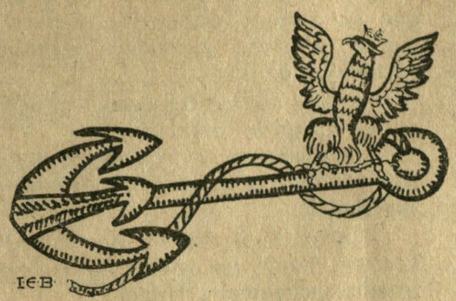

Więc też i Polska, póki jej draby sąsiedzi nie rozszarpali, zawsze broniła, co tylko sił starczyło, polskich ziem nad morzem. Od samego prawie początku swego istnienia musiała staczać o to walki. Szelmy Niemcy pod pozorem szerzenia chrześcijaństwa nasyłali na nas krzyżackie hordy, a gdy krzyżactwo, jak wiesz pewnie, przez Jagiełłę rozgromione pod Grunwaldem, runęło, używali rozmaitych podstępów, aby tylko wydrzeć nam Pomorze i miasto Gdańsk, gdzie jest port największy w tej stronie. Jakoż dzięki nieopatrzności Polski przed półtora wiekiem, król pruski, Fryderyk Wielki, największy istotnie z ukoronowanych rozbójników, zabrał nam owe ziemie Zarówno on, jak jego następcy, starali się wszelkimi sposobami zatrzeć tu polskość. Ale „łaskaw Pan Bóg na Mazury". Nie daliśmy się zjeść w kaszy, a teraz ci grabieżcy jak niepyszni, z nosem na kwintę, wynosić się muszą napowrót, skąd przyszli. Mamy znowu nasze morze i — da Bóg — już nikt go nam nie wydrze.

Adaś zacisnął drobne pięście.

— No, niechby tylko kto spróbował, — rzecze — zaraz bym mu pokazał, po czemu łokieć!

Stanisław Rossowski

KONIEC ŚWIATA

Helenka ma latek pięć, ale jest bardzo rozwinięta i wszystkiego ciekawa. Każdy dzień niemal przynosi jej nowe wiadomości, otwiera nowe horyzonty przed jej maleńką duszyczką. Do grudnia ubiegłego roku Helenka żyła w zupełnej obojętności względem nurtującej umysły tylu uczonych zagadki: jak wygląda budowa świata? Ale z początkiem wspomnianego miesiąca usłyszała, jak tatuś czytał o słynnych przepowiedniach astronoma, pana Porty: „Zbliżamy się w szybkiem tempie do końca świata, przed którym staniemy w dniu 17. b. m.". Słowa te uczyniły ogromne, a nieznane dotąd wrażenie na dziewczynce, której wyobraźnia poczęła pracować poraz pierwszy w nowym kierunku. Że jednak nie słyszała całej treści tej przepowiedni, więc ostatnie zdanie wzięła dosłownie, przypuszczając, że w dniu 17. grudnia 1919 roku, ona z tatusiem, mamusią, Stefciem, Romkiem, nianią i kucharką staną nad „końcem" świata.

— Oj, żebyśmy tylko nie zlecieli! — pomyślała w pierwszym przestrachu, gdyż wyobraziła sobie, podobnie, jak to czyniło wielu mędrców przed odkryciami Kopernika, że ziemia przedstawia się jako olbrzymia płyta stołu, z której można spaść.

Z wątpliwości swoich postanowiła zwierzyć się o rok starszemu Stefkowi.

Chłopiec bardzo się zadumał, a potem tonem pewnej wyższości odpowiedział:

— No się nie bój, ty głupia! Nie spadniemy.

— Skąd wiesz?

— Bo tam musi być jakiś mur. Inaczej wszyscy ludzie mogliby pospadać. A zresztą gdzieżbyśmy polecieli?

Pytanie to zupełnie zbiło dziewczynkę z tropu

— Bo ja wiem... Chyba.... na dół.

— Na dół? Ale gdzie na dół?

— Skąd ja to mogę wiedzieć?

W tej chwili wszedł najstarszy z rodzeństwa, siedmioletni Romek.

— Tak, tak i ja słyszałem coś o tym końcu świata — potwierdził, dowiedziawszy się o czem rodzeństwo rozprawia.

— Podobno 17. grudnia będziemy na samym krajuszku — mówiła piskliwie rozgorączkowana Helenka. — Gotowi śmy upaść.

— To ty nie wiesz, jak świat jest zbudowany? — zadziwił się Romek. Spaść wcale nie można, bo dookoła jest niebo.

— Nie może być — zawołali oboje młodsi.

— Słowo daję! Opowiadał mi o tem jeden z czwartej klasy na wycieczce. Zresztą to widać, jak się tylko wyjdzie nieco na pole.

Dla przeprowadzenia studyum młodzi badacze wybiegli z domu w stronę polany, z której rozlegał się widok na cały horyzont. Było słoneczne południe, więc choć grudzień, dzieci nie czuły zimna i z podziwem patrzyły na czarniejący na widnokręgu lasek, stanowiący, jak gdyby lamówkę w miejscu, gdzie niebo zszywa się z ziemią.

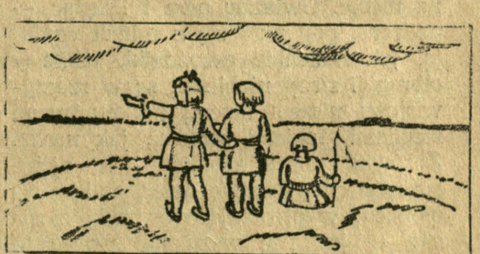

— To tam jest już koniec? — zapytał Stefek z rozczarowaniem w głosie.

— Wcale nie „już", — odrzekł oburzony Romcio. — Bo to strasznie daleko. Możesz iść i iść, a ciągle daleko.

— Ale tam musi być trudno zajść — zauważyła Helenka.

— Dlaczego: trudno?

— Bo trzeba się schylać, żeby się nie uderzyć w głowę o niebo.

W tej chwili za plecami gromadki

małych filozofów rozległo się serdeczne: ha! ha! ha!

Obejrzawszy się, ujrzeli ojca, który zaciekawiony ich tajemniczem zniknięciem, śledził ich zdala, przysłuchując się w milczeniu ich rozmowie. Ostatnia naiwna uwaga Helenki tak go ucieszyła, że nie mógł już wytrzymać i rozśmiał się serdecznie.

Wy drodzy czytelnicy zrozumiecie ten wybuch śmiechu, gdyż jak ojciec Helenki nie wierzycie w to, żeby z naszej dobrej ziemi można było spaść „na dół" lub żeby trzeba było się schylać, aby się nie uderzyć o niebo. Ale Helenka była innego zdania, a widząc, że ojciec chce iść naprzód, zastąpiła mu drogę, szczebiocząc troskliwie:

— Nie idź tam, tatusiu, bo tam już sam krajuszek.... i możesz upaść.

Ojciec, aby uspokoić Helenkę, zawrócił do domu, a wziąwszy dziatki do swego gabinetu, jął im opowiadać, jak wygląda świat, jaki kształt ma ziemia i jakim jest drobnym tworem we wszechświecie.

A to bo też ten gabinet tatusia, to istne dziwo! Dzieci, kiedy weszły, to aż oniemiały z zachwytu. Połączone niewidzialnymi drutami, wisiały tam w powietrzu rozmaitej wielkości kule, pomalowane przeważnie na kolor niebieski. Ojciec pokręcił tajemniczy mechanizm i kule, zwane globusami, zaczęły wykonywać ruch obrotowy, przedewszystkiem około swej osi, a także jedne obok drugich.

— Kule te, kochane moje dzieci, począł ojciec — jakkolwiek wam się przedstawiają, jak niewinne zabawki, są wyobrażeniem całego świata, t. j. naszej ziemi, księżyca i gwiazd, które co wieczora tak ślicznie błyszczą na niebie. Gwiazdy owe i księżyc, — podczas, gdy nam się z oddali wydają, jak maleńkie gwoździki, wbite w olbrzymi strop niebieski, są w rzeczywistości niczem innem, jak martwemi ziemiami, takiemi samemi, jak nasza. Zarówno nasza ziemia — tu ojciec sprowadził wszystkie dzieci zbliska do globusu, wyobrażającego bryłę ziemską — jak i te wszystkie olbrzymie bryły niebieskie, zawieszone są w przestrzeni, a siła przyciągająca jedne ciała do drugich sprawia, że wszystkie te globy obracają się nietylko dookoła swej osi, ale krążą też wokół największego z nich wszystkich — wiecznie płonącego i innym użyczającego swego ciepła, słońca. To słońce zatem, które codzień widzicie, jest setki tysięcy razy większą od ziemi bryłą ognia, wirującą jedynie dookoła swej osi, a wszystkie inne światy kręcą się dookoła niego.

— Więc słońce nie kręci się dookoła ziemi? Dlaczego zatem widzimy, jak wschodzi i zachodzi? — pyta Romek.

— Jest to nasze złudzenie, wynikające stąd, że to ziemia raz na dobę czyni obrót dookoła siebie, a gdy ona się obraca od słońca, nam się wydaje, że słońce zachodzi i wtenczas następuje noc.

— A jak my się od słonka odwracamy, to gdzie ono świeci?

— Oświetla ono wtedy drugą połowę kuli ziemskiej, na której również żyją ludzie.

— Jakto, to pod nami żyją ludzie? Toż oni mogą pospadać? — piszczy rozentuzyazmowana Helenka.

— Mówiłem wam przecie, że ziemia ma siłę przyciągającą. Znikąd więc spaść nie można. A co najważniejsze, to, że ludzie, którzy na drugiej tej połowie mieszkają, również są przekonani, że to oni są na górze, a my pod nimi, gdyż i nad nimi jest niebo, tylko, że wtedy, gdy u nas jest noc, tam świeci słonko i naodwrót. A kiedy ich dzieci uczą w szkołach tego, co ja wam teraz opowiadam, to także pierwszem ich pytaniem jest, czy my tutaj nie spadniemy, gdyż w ich pojęciu my jesteśmy „pod spodem".

Długo jeszcze trwał wykład tatusia; my go jednak nie przytaczamy w całości, gdyż to wszystko co tatuś mówił Helence, Romciowi i Stefkowi, wam opowiadano już, lub opowiedzą dokładniej w szkołach. My możemy tylko dodać, że malcy byli zachwyceni, żadne z nich tego dnia nie chciało jeść objadu, a wszyscy troje obiecywali sobie, że gdy dorosną, zostaną badaczami gwiazd. Tymczasem nabrali tylko wyobrażenia, jak wszechmocny i nieskończonym jest Ten, — który to wszystko stworzył i o wszystkiem pamięta!

Odtąd też Helenka nigdy nie martwiła się możliwością spadnięcia „na dół".

Jan Getta.

OSY

Boicie się ich? Prawda? I uważacie je za najnieznośniejsze stworzenia na świecie. Tymczasem uczeni, którzy się ich nie boją, ale przeciwnie wchodzą z niemi w blizką styczność, badając ich życie, mówią coś wręcz przeciwnego.

Ci entomologowie, bo tak dziwnie i trudno do wymówienia nazywają się badacze owadów, otóż ci entomologowie przywracają cześć natrętnej, złej i jak ją tam jeszcze nazywamy, osie.

Bo czemże wam się osa naraziła? „Żądłem, tem wstrętnem żądłem" — krzyczycie wszyscy naraz. To prawda. Żądło kłuje. Żądło nawet poto jest, żeby kłuć. Ale czy ono kiedy zaatakowało was samo, nie zmuszone do tego? Czy osa z wami zaczyna?

Uderzcie się w piersi! Czy nie drażnicie jej patykami, czy nie niszczycie jej niepotrzebnie gniazd? Aha! Kto teraz spuścił oczy? A dokuczając osie, nie wiecie, że ona jest, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, wielką waszą dobrodziejką, chroniąc was przed ukąszeniem innych, niebezpieczniejszych owadów, które tępi. Przedewszystkiem much, głównych roznosicielek chorób, które na was czyhają na każdym kroku.

A więc cześć osie, z którą nasze stosunki dotąd były nie zawsze poprawne. Tem więcej, że osa to stworzonko tyle mądre ile małe. Dziwy o jej rozumku opowiada amerykański przyrodnik Burrongh, zajmujący się szczególnie jej najmądrzejszą odmianą. Ta arystokracya osia nazywa się Ammofilia. Ród to nie byle jaki. Odznaczają się jego członkowie niezwykłemi zdolnościami. Budowniczych takich szukać ze świecą, choć osy, jak wiecie, nie zapisują się do szkoły i nie uczą sztuki budownictwa.

Pomyślcie sobie, jaki mają kłopot z pracą nad gniazdem! Do zrobienia go potrzebują ubitej mocno i zmieszanej z piaskiem ziemi. Cóż, kiedy brak im do takiej roboty narzędzi: nie mają ani odpowiedniego pyszczka ani dość silnych łapek. Ale od czego osi rozum! Oto leży na ścieżce malutki kamyczek. A gdyby go tak wziąć w żuchwy i zacząć nim ubijać ziemię, jak tłuczkiem. Ale do tego nie wystarczy pomysłowość, bo praca jest bardzo mozolna i bardzo długa. Tu wszakże osie przychodzi z pomocą inna cnota, o której również nie wiecie, a której moglibyście się od niej uczyć: cierpliwość.

Gdy gniazdo będzie gotowe, powinszujemy osie tego wielkiego, choć niby tak maleńkiego dzieła, przeprosimy ją grzecznie za dawne napaście i będziemy z nią żyć odtąd w przyjaźni, mając na oku jej zalety i zasługi.

Prawda?

Dr. M.

PAN GUL-GUL

Jestem szlachcic, czyli nie znasz
Mych herbowych pól?
W nich od wieków mam Korale,
Zwę się Imć Gul-Gul.

Po podwórzu ledwie toczę
Mój ogromny brzuch,
Żem pan z panów, a więc jadam
Brzuchem tym za dwóch.

A nie szukaj ze mną zwady,
Z trwogi aż się kul,
Kiedy wpadnie po szlachecku
W gniew pan Gul-Gul-Gul.

Darmo śmiałek nie podniesie
Na mnie ócz ni rąk.
Zaraz z gniewu u ogona
Staną pióra w krąg.

Co to! Lada smyk już ze mnie
Na mych śmieciach drwi?
Niech-no szyja mi zabłyśnie
Czerwona od krwi.

I wyżenę het zuchwalca
Do lasów, do pól,
Bom jest tutaj pan i basta,
Imć Gul-Gul-Gul-Gul.

Czylim sroce z pod ogona
Wyszedł? Wielkich cnót
Ma za sobą długą listę
Mój wspaniały ród.

A co który, to karmazyn,
Na szyje im patrz!
Wśród rycerzy był myśliciel
Także, jeden acz.

Wszystkim znany wszak mój wielki
— Świeć mu, Panie — dziad,
Ten, co zdechł aż, tak był zawsze
Myśleć tylko rad.

Po nim dotąd-em w żałobie
Lecz choć kontusz mój
Czarny, wiodę żywot gwarny
I wciąż toczę bój.

Kto mi tylko w drogę wlezie,
Dziecko, pan czy chłop,
Stawaj mi do sprawy wasze
I dół sobie kop!

Bo choć szablę mi od wieku
Najezdniczy rząd
Odjął, staczam ciągłe walki
Wśród grządek i grząd.

I złe tylko mam przeczucie,
To oddawna już,
Że raz trupem mnie położy
Ah, kuchenny nóż.

Czyżby mnie tu zmógł kto w boju?
Jako żywo nie,
Ujmiesz mnie, kucharko, zdradą
I poderzniesz w śnie.

Zato uczcij choć w brytwannie,
Maść dobrze i sól,
By po śmierci ci przebaczył
Zdradę pan Gul-Gul.

Stanisław Maykowski.

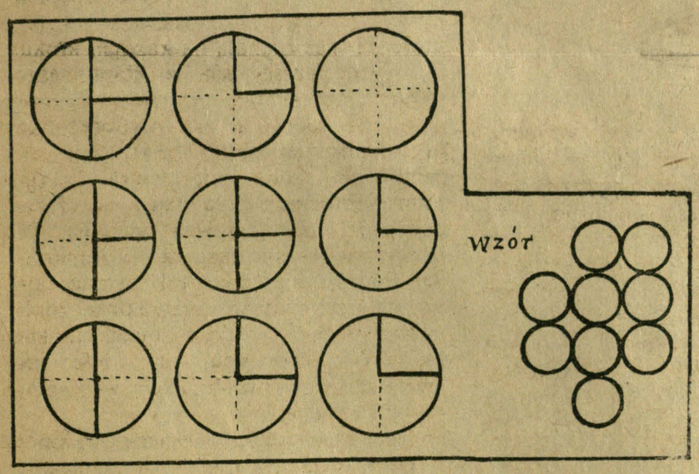

JAK TO ZROBIĆ?

Koła, podzielone na cztery części, należy wyciąć i ułożyć według podanego wzoru (małe kółka) tak, żeby linie czarne, łącząc się ze sobą, utworzyły trzy części: pierwsza z nich powstanie z powierzchni, zamkniętej czarnemi liniami wewnątrz tych linii, druga zewnątrz ich nad górnemi załamanemi liniami, a trzecia także na zewnątrz, ale pod dolnemi załamanemi liniami. Każda z tych trzech części musi posiadać tę samą ilość wycinków koła.

Rozwiązanie podamy w następnym numerze.

POCZTA GRZESIA

Wróbel z Jasła. Podobały ci się tamte powiastki, które były trochę podobne do zabawek? „Grześ“ jest ciekawy, czy cię zajmą równie poważniejsze utwory. „Grześ“ nie chce zaniechać wesołości, ale chce ją połączyć z waszą większą korzyścią i bawiąc, uczyć was. W liście twoim jedno „Grzesia“ zmartwiło: pisownia. Pisz do nas częściej, a będziemy widzieć, czy nad nią pracujesz i czy błędy znikają.

Zenonek Rudziecki. Ciocia Gucia zabrała Bubusia i Kubusia i całe to towarzystwo poszło w świat, więc ciekawości twojej „Grześ“ już nie zaspokoi. Kto to jest ten Litwin, o którym piszesz? „Grześ“ ma tyle rebusów, że nie wie, co z nimi zrobić.

Staś Jarema. Dziękujemy ci, kochany malarzu, za obrazeczki. Jest w nich dużo ruchu. Ten żółty konik, pamiętasz go, podobał się nam najwięcej.

Helenka Kwellerówna. Małe dziewczynki powinny czytać dużo i uczyć się, a jeżeli ciągnie je do pisania, to pisać, ale dla siebie, starszym dając to, co napiszą, do oceny. Nie drukuje się przecież takich utworów, bo one by czytelników zbyt nie wzbogaciły. Niech więc i autorka „Baśni o królewnie“, zresztą poprawnym językiem pisanej, poczeka z drukowaniem, aż wyrośnie. Dobrze?

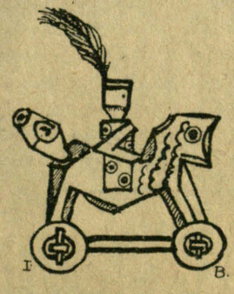

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Alfred Altenberg. Drukarnia Ign. Jaegera Lwów Sykstuska 33.

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1887 г.
Ж 6853

„KOŚCIUSZKO"

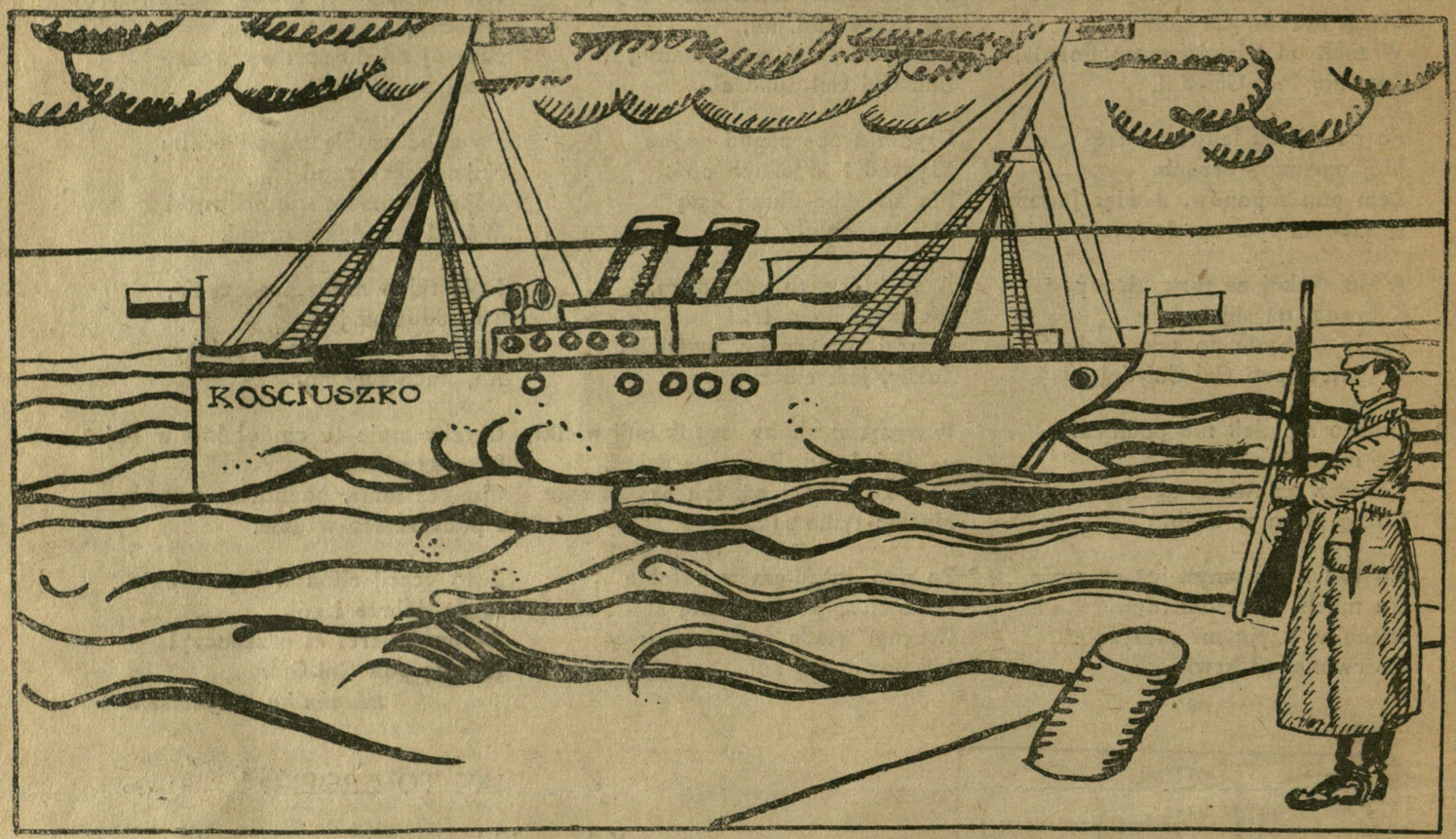

Co to? Okręt polski?

Nie myślcie, że Polska nie miała nigdy okrętów! Popatrzcie tylko na sam brzeg Bałtyku na mapie i zliczcie porty, które niegdyś należały do nas bezpośrednio albo pośrednio. A czyż nam brakło sosny i dębu, potrzebnych do budowy okrętu? Prawda, że nie wyzyskaliśmy tych bogactw i pozwolili z nich budować obce floty.

Flotę polską stworzył w walce z Kawalerami Mieczowymi Zygmunt August. Liczyła ona zrazu trzy, potem dwanaście, wreszcie piętnaście okrętów, stojących pod wodzą admirała Tomasza Sierpinka. Bruździli flocie naszej Gdańszczanie, którzy chcieli sobie przywłaszczyć pełne morze, a Polsce dać brzegi tylko — „dokąd koń dopłynąć, a kula armatnia dosięgnąć może". Za bezprawne ścięcie marynarzy polskich musieli Gdańszczanie przeprosić króla na klęczkach. Później utrzymywał flotę jeszcze Zygmunt III., bo potrzebował jej w wojnie o tron szwedzki. Sławne było za jego czasów zwycięstwo naszych okrętów nad flotą szwedzką pod Gdańskiem. Ostatnim królem dbałym o potęgę morską był Władysław IV. Jak inni władcy morza, tak i on pobierał na Bałtyku cła na utrzymanie floty. Dla jej osłony wzniósł na półwyspie Heli dwa zamki, od imion swego i brata nazwane: Władysławowem i Kazimierzowem. Założył arsenał w Pucku, wzmocnił port w Piławie. Flota królewska miała na swojej banderze orła białego w czerwonem polu. Na banderze kupieckiej miast polskich widniała ręka ze wzniesionym mieczem też w czerwonem polu.

Polska odradzająca się wraca do tradycyi przodków. Niedawno do portu gdańskiego zawinął pierwszy nasz okręt o pięknej nazwie — „Kościuszko". Cóż wy na to, przyszli marynarze polscy?.

Do naszych czytelników!

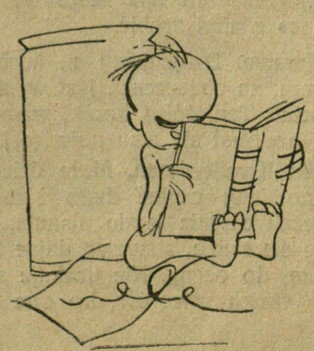

„Grześ" wydawany na lepszym papierze, zamieniony w najbliższym czasie na tygodnik i ozdobiony obrazkami barwnymi, będzie was odtąd nietylko rozrywać, ale i kształcić, a zwłaszcza wychowywać na dobrych Polaków.

Redakcyę pisma obejmuje wasz dobry znajomy, **Stanisław Maykowski.**

1. MAJA 1920. CENA 3 Mk.

GRZEŚ

PISMO OBRAZKOWE DLA DZIECI.

ROK II. NUMER VIII. i IX.

MAJ POLSKI.

Wiecie, że najpiękniejszym ze wszystkich miesięcy jest maj. Ale powinniście także wiedzieć, że od majów w innych krajach jest piękniejszy maj polski. Tak, jak u nas pachnących kwiatów i tak śpiewających słowików niema, wierzcie mi, nigdzie na ziemi.

Czy ten miesiąc był u nas zawsze taki piękny? Nie. Póki nie zasłużyliśmy na to i nasze maje były takie, jak gdzieindziej. Aż przyszedł maj 1791 roku i zwaśnieni dotąd posłowie sejmowi okazali się pierwszy raz zgodnymi, a słaby zazwyczaj król Stanisław Poniatowski okazał się po raz pierwszy silnym. Dzięki temu uchwalono w Warszawie na Zamku, a zaprzysiężono w kościele Św. Jana nowe: dobre i mądre prawa, które nazwano na pamiątkę dnia i miesiąca Konstytucyą 3. maja. Według nich po ojcu miał w Polsce na tron wstępować syn, żeby się w ten sposób wzmocniła władza królewska, granic kraju miało bronić stałe wojsko, a te same swobody, jakich zażywała szlachta, mieli dostać narazie mieszczanie, a z czasem i chłopi, żeby każdy Polak służył ojczyźnie z wdzięczności, nie z przymusu.

I wtedy to właśnie uśmiechnęło się do Polski słońce piękniej, niż do innych narodów, bo też żaden nie miał podówczas tak mądrych i szlachetnych ustaw, jak ta nasza ustawa majowa. Wtedy kwiaty polskie zaczęły wonniej od wszystkich na ziemi pachnąć, a słowiki polskie słodziej śpiewać. I tak już zostało. Gdyby nie ten zapach i nie ten śpiew, które nam przypominały wolność i uczyły nas miłości kraju, nie bylibyśmy przetrwali stuletniej przeszło niewoli.

Więc kochajcie, dzieci, polski maj i przypominajcie sobie wielką Konstytucyę zawsze, kiedy zapachną kwiaty i zaśpiewają słowiki. A kiedyś, kiedy będziecie starsi, przekażcie tę miłość i pamięć waszym dzieciom, tak jak ja przekazuję ją wam dzisiaj.

Pamiętajcie!

Grześ

ZABAWA W KOLEJ.

Otwierajcie buzie,
Bo to dziw nad dziwy,
Nasz pociąg na szynach
Jedzie, jak prawdziwy.

„Sz, sz, sz“ — już zwolna
Poruszyć się stara:
Ma iść, choć nie idzie
Smuga dymu szara.

Tylu jest podróżnych,
A jak każdy pcha się
Z biletem, kupionym
Przy prawdziwej kasie.

Choć w upadku dworzec,
Nic na to nie powie
Największy wygodniś,
Bo to jest we Lwowie.

Lśni biały orzełek
Na czerwonej tarczy.
„Siadać, siadać! Miejsca
Dla wszystkich wystarczy.

Siadać, prędzej siadać,
Bo już zaraz jedziem!“
„Panie konduktorze,
Ja nie jestem śledziem“.

„Zaraz będzie miejsce,
Dokąd pan łaskawy?“
„Ja chcę, proszę pana,
Prosto do Warszawy“.

„A pan czemu nogi
Tak pod siebie chowa?“
„Bo mam pół biletu“.
„Dokąd?“ „Do Krakowa“.

Tu śmiech, tam ktoś w zgiełku
Wykrzykuje płuco,
Ci żegnają kogoś,
Tamci z kimś się kłócą.

„Ależ w tym przedziale
Palić się zabrania“.
„Pan, panie żołnierzu,
Jedzie?“ „Do Poznania“.

„Spuścić okno, bo tu
Duszno być zaczyna!“
„Panienka ma dokąd
Bilet?“ „Do Cieszyna“.

„Proszę mnie do okna
Puścić, jeśli wola“.
„A państwo daleko?“
„My aż do Opola“.

Chociaż tych od tamtych
Cel podróży różni,
Lecz do Polski jadą
Wszyscy ci podróżni.

Znów ktoś kogoś pyta,
Ciekawość rzecz ludzka:
„Czyli wolno wiedzieć,
Skąd pan jest?“ „Ja z Pucka“.

„A pan też ma akcent
Jakiś odmieniony?“
„Bo ja na Spiż jadę,
Jestem z tamtej strony“.

Jadą dalej, bliżej,
Państwo, ludzie prości
I brzmią coraz inne
Nazwy miejscowości.

Naraz gwizd! I w oknach
Głowy, głowy, głowy.
Sapiąc, chrapiąc, rusza
Nasz wóz kolejowy.

Bordo chorągiewka
Dała znak łopotem.
Jeszcze ktoś... „Do Wilna!“
— — — — — —
„Pociąg pójdzie potem“.

Stanisław Maykowski

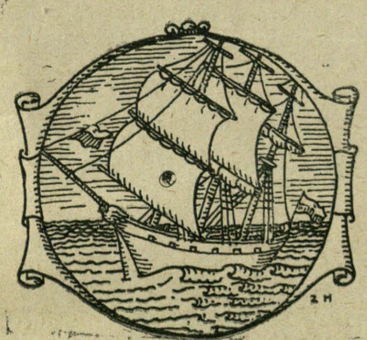

Na „Okręt Dzieci Polskich“.

Przypominamy, że każdy czytelnik, który na cel powyższy złoży w Administracyi naszego pisma, czy też nadeszle do niej jednorazowo 50 marek lub będzie składać, względnie nadsyłać w ciągu 10 miesięcy po 5 marek i wykaże się potwierdzeniem odbioru całej nadesłanej sumy, otrzyma jako budowniczy floty polskiej śliczną, z bronzu wykonaną odznakę pamiątkową, wydaną przez naszą redakcyę. Spisy ofiarodawców będą ogłaszane.

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6[illegible]3 ІП

Z WIELKIEJ CHMURY MAŁY DESZCZ.

Panna Misia niezwykle dziś wzburzona: marszczy brwi, drżą jej chrapki, przykucnęła w kącie pokoju i rozmyśla. Dokoła niej lalki porozwlekane w nieładzie. Jula nawet, ta najulubieńsza z lalek, leży nosem na podłodze, wystawiwszy co innego do góry. Ale co to wszystko znaczy! Dzisiaj Misia ma większe kłopoty.

Wyobraźcie sobie, że Anna, ta bezczelna bona-niemka, kazała jej przed chwilą wrócić do ogrodu i szukać wstążki od włosów, którą zagubiła przy zabawie. To śmiałość nielada — nieprawdaż?

Myślicie, że Misia zapomniała języka w buzi? Bynajmniej, nie przebierała w słowach: „Płacą pani za to, żeby mi pani służyła. Niech mi pani da spokój, bo panią każę wypędzić". Widząc, że bona ponsowieje z oburzenia, Misia zaczęła tupać nóżkami i krzyczeć z całych sił: „Niech się pani wynosi!" I Anna usłuchała. To zwycięstwo nielada!

Gdyby to było w domu u mamusi, cała ta sprawa wzięłaby zapewne inny obrót. Mamusia bowiem dziwnie jest stronnicza w rozsądzaniu zatargów między swoją córką a służącemi. Obecnie Misia po przebytej odrze bawi wraz z boną w gościnie u swojej babuni na rekonwalescencji. Anna ma przykazane, żeby unikała wszelkich awantur i dziecka nie drażniła. Nie czuje też oparcia o zwierzchnią władzę, gotową zawsze trzymać jej stronę. Misia uważa, że to jest właśnie chwila odpowiednia do „oddania za swoje". I nie ma co do tego żadnych skrupułów. Z dzisiejszego odwetu może być dumną.

* * *

Tak, oczywiście dumną. A jednak — ilekroć kto poruszy drzwiami, Misia doznaje jakiegoś niepokoju. To babunia weszła. A jeżeli Anna poskarżyła się przed nią? No to — tem lepiej! Misia potrafi się obronić. Oho! Nie pozwoli się podeptać!

Bezwątpienia kocha babunię całem sercem, ale jeżeli będzie trzeba, potrafi jej przypomnieć obowiązki. Czyż starzy muszą być nieomylnymi? Bo co prawda i babunia również ma ten godny pożałowania zwyczaj, że rozczula się nad służącymi i ten jeszcze gorszy, że skąpi słodyczy. To też jeżeli Misia będzie zmuszona, powie wszystko, co myśli.

Nie zdaje się jednak, żeby jej groziło wyznanie winy. Babunia, wchodząc, powitała wnuczkę zwykłym dobrotliwym uśmiechem i odbywszy z trudem zwykłą drogę do fotelu, usiadła na nim powoli, wydając przytem jakby jęk z piersi z powodu bólu w krzyżach.

Możeby pójść po niebieską poduszeczkę — pomyślała Misia. Ale czy nie wyglądałoby to na gwałtowną chęć przeprosin? Trzeba mieć swój honor.

Otóż i ulokowała się już babunia. Rozłożyła robotę. Misia podnosi kolejno swoje lalki, układa je, poprawia na ich sukniach fałdy, których niema, a w przerwach wzrok dziewczynki ukradkiem bieży ku fotelowi.

Dziś popołudniu babunia jest zatopiona w myślach i robocie. To się często zdarza starym ludziom! O czem oni też mogą tak myśleć, nic nie mówiąc? Coprawda, to jeżeli Misia jest w pokoju razem z babunią, byłoby całkiem naturalne, żeby pogawędziły trochę. A nie, to nie. Jeżeli babunia woli milczeć, to i owszem. Ale Misia będzie rozmawiać, bo to jej przypada do gustu.

I półgłosem zaczyna zrzędzić z początku na Julę, potem na Wisię, wreszcie na wszystkie lalki.

—To wstyd być taką łakomą.

— Niema nic szkaradniejszego, jak te wieczne sprzeczki.

Od czasu do czasu Misia przerywa napomnienia i mierzy okiem babunię.

Bywają dni, że i babunia ni stąd ni zowąd wtrąca się do takich rozmów. O, babunia umie się bawić z wnuczką, kiedy chce. Ale dzisiaj stanowczo jest bardzo czegoś zadumana.

Misia podnosi głos i znów zaczyna łajać lalki: — Juli i Wisi można jeszcze przebaczyć, ale Mimi niepodobna. Poproszę twoją chrzestną matkę, żeby cię przykładnie ukarała, moja panno! Rozumiesz, chrzestna matka dowie się o tem.

Misia podkreśliła to bardzo głośno. Babunia jest matką chrzestną wszystkich lalek. Na ostry i donośny głos wnuczki budzi się staruszka z zamyślenia i podnosi oczy:

— Więc taka bardzo zła i niegrzeczna jest ta twoja Mimi?

A więc babunia raczyła zwrócić uwagę na Misię i widocznie nic przeciw niej nie ma. Jednym skokiem Misia znajduje się koło fotelu przy babuni i surowym głosikiem peroruje:

— Tak, jestem bardzo niezadowolona z Mimi, która kłamie, złości się i jest łakoma. Poprostu wytrzymać z nią nie można.

Misi świecą aż oczka. Wstrząsa lalką, grozi jej, zgrzyta ząbkami.

Babunia dzieli jej oburzenie.

— Bardzo cię żałuję, moja Misiu, że masz takie powody do gniewu, tembardziej — tu babunia zatopiła jeszcze uważniej oczy w robotę — że o ile się nie mylę, miałaś dziś rano jeszcze inne przyczyny niezadowolenia.

Misia otwiera buzię szeroko... Inne przyczyny? Babunia tymczasem głosem zawsze spokojnym ciągnie dalej:

— Tak, dowiedziałam sią, że byłaś również niezadowolona z panny Anny.

Co to ma znaczyć? Więc bona skarżyła się. Czy to napomnienie? Misia czuje, że się zaczyna czerwienić i przygotowuje się do obrony. Więc tak, panna Anna była nieznośna. Tego sobie nikt nie wyobrazi! Ze zwykłą pewnością siebie wywleka Misia swe skargi, zapala się i unosi własnemi słowami. I to ją uspokaja. Gdy ucichła, babunia potrząsnęła głową.

— Nie miła to rzecz zaiste, że panna Anna swoim złym charakterem sprawia ci tyle przykrości.

Misia zbita z tropu. Była przygotowana na zarzuty i wymówki. A tu nic. Zwycięstwo nieoczekiwane tak ją zaskoczyło, że czuje się prawie onieśmielona,

Babunia dodaje:

— Tem więcej mnie to trapi, że jak się zdaje, nie jest to jedyny powód i przedmiot niezadowolenia...

Misia podnosi coraz więcej zdziwione oczy.

— Ależ tak, pokojówka Zuzia nie ma dla Misi należnych względów, a i stary ogrodnik Tomasz nie stosuje się do jej rozporządzeń. Wczoraj mimo jej rozkazu nie przesadził najpiękniejszego krzaku róży z dolnego tarasu do ogródka Misi.

Misia sponsowiała. Nie ma możności ani obrazić się ani pognieważ. Babunia nie łaje i nie drwi. Przeciwnie raczej, tak jakby tłómaczyła się przed wnuczką. Misia powinnaby być zadowolona. Mimo to jest jej jakoś nieswojo, bąka jakieś odpowiedzi i uśmiecha się sztucznie, nieszczerze.

(Dok. nastąpi).

Andrzej Lichtenberger
(tłóm. *Śn.*)

JAK TO BYŁO W KRAKOWIE.

Idzie matuś do Krakowa
z malutką córeczką,
niesie matuś do Krakowa
jaja, jabłka, mleczko.

Przy matusi Marysiątko
stawia drobne kroczki
i w słoneczku jasnem mruży
niebieściutkie oczki.

Maryś złote ma włosięta
i liczko rumiane,
przystroiła ją matusia
w niebieską katanę.

Przystroiła ją matusia
w kwiecisty fartuszek:
— Nieś-że, Maryś, do Krakowa
ten jagód dzbanuszek!

Idzie Maryś w słonku złotem,
słucha śpiewu ptaków,
serce drży jej od radości,
że zobaczy Kraków.

Kraków! Toż wie każdy o tem,
czy stary, czy dziecię,
że najmilsze to jest miasto
na całutkim świecie.

Ledwie Maryś w rynek wejdzie
przez Szewską ulicę,
już zdaleka ją witają
maryjackie wieżyce.

A gdy zegar na ratuszu
godzinę uderzy,
cudny hejnał się rozlega
z maryjackiej wieży.

Płyną, płyną, hen od góry
starodawne nuty,
jak to jęczał naród polski
w kajdany zakuty.

Bo na Polskę źli sąsiedzi
napadli przed laty
i rozdarli nam ojczyznę
na szmaty... na szmaty...

Śpiewa hejnał, jak Kościuszko
przysiągł na szablicę;
jak z chłopami wrogom sprawił
krwawe Racławice.

Śpiewa hejnał, jak wrogowie
wzięli wodza siłą...
Jak śmierć swego Naczelnika
uczcił lud — mogiłą.

Płyną, płyną cudne dźwięki
z maryjackiej wieży —
a matusia z Marysieńką
ku rynkowi bieży.

I pochyli się ku dziecku
i szepnie jej w uszko:
— Klęknij córuś, tu przysięgał
nasz wielki Kościuszko.

I całują obie z mamą
kamienną tablicę...
A gdy wstaną, już przed niemi
stoją Sukiennice.

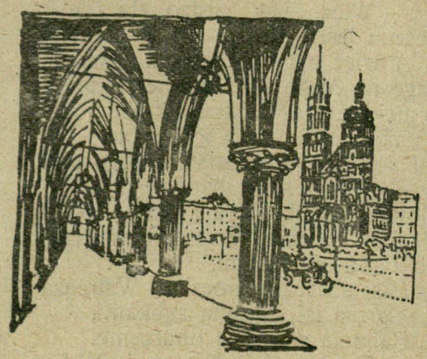

Na ten widok Marysiątku
serce głośniej bije...
mama kupić jej przyrzekła
medalik na szyję.

A Frankowi obiecała
kozik wyrzynany
za to, że jej krówki pasie,
synuś ukochany.

Cuda! cuda w Sukiennicach!
Ale w tem jest bieda,
że matusia nic nie kupi,
aż swój towar sprzeda.

Siedzi Maryś przy matusi
i cierpliwie czeka
a godzinka za godzinką
migiem jej ucieka.

Już sprzedane jaja, mleczko,
jagódki z dzbanuszka;
jeszcze tylko się zostały
rumiane jabłuszka.

Wtem czerwonym swym kabatem
„chrzestny“ mignął w tłumie:
— Szczęść wam Boże, pani kumo!
— Bóg wam zapłać kumie!

— Toście, widzę, mi przywiedli
małą mą chrześnicę,
siedźcież tutaj, a my sobie
pójdziem w Sukiennice.

Skoroście ją na krakowski
przywiedli jarmarek,
musi chrzestny dziecku sprawić
uczciwy podarek.

Kupił „chrzestny“ Marysiątku
wstążkę, koraliki;
wtem na rynku zabrzmią tony
wojskowej muzyki.

„Chrzestny“ bierze ją w ramiona
i rączkę jej ściska:
— Przyjrzyj-no się im, Marysiu,
przyjrzyj się im z blizka!

Rączką pozdrów ich, dziewuszko,
a pozdrów ich szczerze,
bo to nasze są chłopaki,
to polscy żołnierze!

Polskie mają karabiny
i polskie mundury
patrz, jak świeci nad ich czołem
Orzeł srebrnopióry.

Już skończone rządy wrogów
nikczemne, łajdackie,
w prochu leżą orły pruskie,
ruskie, austryackie!

Hej, wybiła Polsce naszej
radosna godzina...
Patrz! nasz orzeł na ratuszu
skrzydła swe rozpina!

Tak chłop siwy z Marysieńką,
chrzestną córką, gwarzy
i łzę otrze wierzchem dłoni,
co mu cieknie z twarzy.

Słucha, słucha Maryś mała,
dziwi się i pyta
i różanych ust uśmiechem
znak wolności wita.

. . . . . .
. . . . . .

Wraca Maryś z mamą do dom,
lśnią w słońcu jej włoski,
lśni na szyjce medaliczek
Matki Częstochowskiej.

Z dumną patrzy Maryś w dzbanek,
czy też Franuś zgadnie,
co tam niesie mu siostrzyczka
w tym dzbaneczku na dnie?

Maryś z mamą mu kupiła
kozik wyrzynany
i orzełka na czapeczkę
z blachy posrebrzanej.

I gazetkę niesie tacie
i wszystko im powie,
co widziała, co słyszała
na rynku w Krakowie.

Zofia Rogoszówna

HEJNAŁ MARYACKI.

Każdy, kto był pierwszy raz w Krakowie, z zachwytem słuchał hejnału, wygrywanego przez trębacza na wszystkie strony świata po wybiciu każdej godziny ze szczytu wieży maryackiej. A dziwny jest ten hejnał, niby wesoły i dziarski, a jednak kończy się zawsze jakąś zawodzącą, nawołującą nutą, jakby przypominał, że czas nie stoi na miejscu, że godzina, która przeszła, nie powróci już nigdy, więc tę, która nadchodzi, trzeba zużyć godnie, na pożytek braci i ojczyzny.

Oprócz codziennych hejnałów, śpiewanych z wieży maryjackiej przez rok cały — przez miesiąc maj budzą mieszkańców Krakowa, skoro świt nastanie, hejnały dwugłosowe, wygrywane na cześć N. P. Maryi. Trębacze wytrębują nasze prześliczne melodye swojskich pieśni kościelnych i narodowych. Hejnały te stwierdzają rozgłośnie, że ta wspaniała świątynia Maryi Pannie jest poświęcona — Maryi Matce Bożej, umiłowanej Patronce i Królowej polskiego Narodu.

TRZY ODMIANY RÓŻ.

Działo się to podczas ucieczki Przenajświętszej Rodziny do Egiptu. Popołudniowe słońce przypiekało żarem, wypadło tedy odpocząć. Okolica była pusta. Tu i tam zaledwie chwasty i kępy jakichś krzewów ożywiały nieco pustynię. Matka Najświętsza usiadła z Dzieciątkiem na łonie, pod jednym z nędznych krzaków, zbyt niskim i nikłym, aby mógł użyczyć chociażby marnego cienia znużonym wędrowcom. Chcąc zabawić Dziecię, wyciągnęła rękę, aby zerwać zwieszającą się nad Jej głową gałązkę, ale zaraz też cofnęła gwałtownie dłoń, zranioną niespodzianie ostrym końcem krzewu tak mocno, że aż kropla krwi pozostała na gałązce i świeciła tam barwą rubinu. W tejże chwili zjawił się anioł i już objął krzak oburącz, aby wyrwać go i zniszczyć z korzeniem, gdy Matka Boska powstrzymała go bolącą dłonią.

— Cóż ci zawinił ten krzaczek — rzekła — że śmierć mu gotujesz? Wszak ja to chciałam mu zadać bolesną ranę, usiłując pozbawić go gałązki, a on bronił się tylko. Za tę zamierzoną krzywdę należy mu się odemnie nagroda. Oto z krwi mojej niechaj kwiat na nim wykwitnie.

I stało się według Jej rozkazu. Na krzaku zakwitła przepyszna róża o karminowych płatkach. A Dzieciątko Jezus na widok kwiatu klaskać zaczęło w drobne rączęta i z nadmiaru radości srebrnym głosikiem zaśmiało się rozkosznie.

— — — — — — — — — —

Minęło od tej pory lat blisko trzydzieści. Róże Maryi śladem Jej stóp i stóp Jezusa rozmnożyły się po całej Palestynie a już najwięcej było ich w Galilei. Nie brakło ich tedy i na górze, na której Chrystus głosił kazanie, wielką otoczony rzeszą. Tuż, tuż dotykając niemal kolan Chrystusowych, pysznił się bujny krzak różany obfitem purpurowem kwieciem.

— Wejrzyjcie — mówił Chrystus — na ptaki niebieskie, iż nie sieją, ani orzą, ani zbierają do gumien a Ojciec wasz niebieski żywi je.

Zdumiały się róże. One, które, bywało wprawdzie nieraz, słyszały już głos ludzki, ale nie rozumiały ludzkich słów, teraz treść mowy Chrystusa pojęły wlot zupełnie dokładnie.

On prawił tymczasem dalej głosem łagodnym, spokojnie a jednak z dziwną siłą:

— ...A o odzienie czemu się troszczycie? Przypatrzcie się liliom polnym, jako rosną: nie pracują, ani przędą.

— Tak, jak i my, tak, jak i my — szeptały sobie wzajemnie wzruszone róże, pełne cichej dumy.

— A powiadam wam — dorzucił Chrystus z większą jeszcze mocą — iż ani Salomon we wszystkiej chwale swej nie był odziany jako jedna z tych.

— O liliach to mówi, nie o nas — szepnęła najpełniejsza róża, a jej siostry szemrać zaczęły na wyścigi: — Czyżby o nas zapomniał? I cóżto lilie od nas lepszego?

Zazdrość coraz ostrzejszym jadem zalewała ich kwiaty.

Chrystus mówił w dalszym ciągu, ale ku różom się nie zwracał.

— Panie! Panie! I my niemniej od lilii Cię kochamy. Spojrzyj na nas! Nie poniżaj nas! — szeptały roznamiętnione zawiścią.

Wówczas wzrok Chrystusa na chwilę z łagodnym wyrzutem spoczął na różach — i stał się cud:

Ich czerwone dotychczas kwiaty zmieniły barwę na żółtą. Zawstydziły się bardzo, ale poniewczasie, już nawet bowiem pod wpływem wstydu zarumienić się im nie udało. Przylgnęła do nich barwa zazdrości i tak nazawsze pozostały żółtemi w tej swojej odmianie.

— — — — — — — — — —

Znów upłynęło lat kilka. Nad Golgotą zawisły czarne chmury. Przed chwilą Chrystus, konając na krzyżu, polecił Ojcu ducha swego. Tłum zebrany pod krzyżem, przerażony ciemnościami nieba, bijąc się w piersi, rozbiegał się w popłochu.

Nikt nie zwracał uwagi na samotny krzak róży, który wyrósł, rzecz dziwna, na jałowych, kamienistych zboczach góry stracenia i był właśnie w pełnym kwiecie. A warto było nań spojrzeć. Jego kwiaty pobladły już były ze wzruszenia, gdy całowały z cichym hołdem poranione od ostrych kamieni stopy Chrystusa, przechodzącego obok i upadającego pod brzemieniem krzyża.

Potem, zmuszone patrzeć na mękę Chrystusową, stawały się bledsze z niemej trwogi i boleści, aż wreszcie, gdy Matka Bolejąca wracała z pod krzyża i gdy pochyliły się do Jej nóg, aby złożyć na nich również pocałunek tkliwy a cichy, zbladły do ostatka i stały się tak białe, jak Jej oblicze, z którego zbiegła wszystka krew do serca.

Tak powstały białe róże.

— — — — — — — — — —

Lilie i białe róże — to najmilsze kwiaty Matki Najświętszej.

Zygmunt Swaton

POD ROZWAGĘ.

Pożyczka Państwowa.

Ojczyznę naszą czeka wielka, jasna przyszłość. Nim do niej dojdzie, potrzebuje pieniędzy, jak gospodyni na swoje wydatki domowe, tylko więcej pieniędzy, niż wszystkie gospodynie, razem wzięte.

Mali Polacy i małe Polki! Dopomóżcie Ojczyźnie! Cały naród podpisuje pożyczkę państwową. Wśród podpisujących stańcie i wy! A że sami tego zrobić nie możecie, proście każde swojego tatusia czy mamusi, żeby to zrobili w waszem imieniu.

Umiejcie odmówić sobie tej i owej z codziennych przyjemności! Polska, którą każde z was kocha, będzie wam zawsze wdzięczna za tę ofiarę. Naprzykrzajcie się póty rodzicom i póty ich proście, póki nie uzyskacie przyrzeczenia, że nazwisko wasze znajdzie się wśród podpisanych na liście pożyczek!

MROWISKO.

W ogródku pełnym zieleni
Przy małym parkanie blisko
Skryte przed okiem ciekawych
Wśród traw się wznosi mrowisko.

Gdyś wszystkie lekcye ukończył
I trapić zacznie cię nuda,
Przykucnij wśród traw zielonych,
A różne ujrzysz tu cuda.

Już od bladego świtania
Wre życie tutaj i praca,
Rój mrówek dokądś wędruje,
Rój inny znowu powraca.

Mrowisko jest, jak fabryka,
Sal pełne i korytarzy,
A mrówki, jak robotnice,
Którym nie płaci nikt gaży.

A przecież każda wypełnia
Jakąś cząsteczkę roboty,
Tu jedna dźwiga źdźbło słomy,
Przez traw złamanych wykroty.

Tu znowu inna się pora
Ciężko ze zdechłym chrabąszczem,
Ten ogród dla nich jest światem.
Ta trawa dziewiczym gąszczem.

Wszystko jest dla nich ogromnem,
Wszystko jest dla nich nieznanem,
Wiosenna w ziemi kałuża
Dla mrówki jest oceanem.

Lecz musi wszystko wykonać,
Co było jej przeznaczone.
A więc na zwiędłym listeczku
Przepływa na drugą stronę.

Kamień jest dla niej kolosem,
Przepaścią każdy dół prosty
Nad którą trzeba budować
Z gałązek zwodzone mosty.

Tysiące ginie ich codzień
W owej podróży po świecie :
Tu wpadnie w polne ognisko,
Tam ludzka stopa ją zgniecie.

Lecz w miejsce tych, co zginęły,
Wciąż nowe rodzą się hufce,
Albowiem Pan Bóg rozkazał
Pracować wciąż biednej mrówce.

A zatem mrówkę maleńką
Spojrzeniem zawsze darz radem,
Bo jest dla wszystkich leniuszków
Pilności świetnym przykładem.

Henryk Zbierzchowski

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

Francuzi obchodzą w tym roku wielkie święto narodowe z powodu zaliczenia w poczet Świętych wielkiej bohaterki, Joanny d'Arc (czytaj Dark), zwanej w dziejach Dziewicą Orleańską.

Z końcem czternastego i początkiem piętnastego wieku prowadziła Francja długoletnią wojnę z Anglja, która opanowała znaczną część krajów francuskich. Monarcha francuski Karol VII., pokonany przez wrogów, cofał się coraz dalej pod ich naporem, gdy wtem przybyła do niego do obozu prosta dziewczyna wiejska, pasterka i oświadczyła, że obejmie dowództwo nad wojskiem i wrogów wypędzi z kraju, gdyż dano jej takie zlecenie — z nieba.

I istotnie Joanna poprowadziła armię francuską do boju i pokonała Anglików zupełnie, a prawowity władca Francji koronował się w Reims uroczyście na króla. Ciemni i zabobonni ludzie ówcześni pomyśleli sobie jednak, że zwycięska dziewczyna jest chyba czarownicą, skoro zdołała dokonać wielkiego dzieła oswobodzenia ojczyzny. Oskarzono ją więc o zmowę z djabłem i spalono na stosie. Dziś dopiero Francuzi doszli do przekonania, że Dziewica Orleańska była wielką obywatelką i bohaterką narodową, postarano się więc w Rzymie o uczynienie jej Świętą.

Podajemy wam tę wiadomość mali, kochani czytelnicy, abyście wiedzieli, że kto dla ojczyzny się poświęci, tego zasługa, choćby nawet zrazu nie uznana, zajaśnieje kiedyś w całym blasku zarówno przed Bogiem jak i ludźmi.

A równocześnie zapytujemy was, czy tylko we Francji były bohaterki, miłujące całą duszą swój kraj? A u nas? Czy słyszeliście o takich polkach, które na wieki męstwem i poświęceniem wsławiły się w naszych dziejach? Które to były polki? Kiedy żyły? Co zdziałały?

I wreszcie który to poeta polski napisał przepiękną opowieść o pewnej Polce z Litwy, bardzo dzielnej i pełnej poświęcenia dla ojczyzny?

Przypomnijcie sobie, upewnijcie się w rozmowie z rodzicami i nauczycielami i odpiszcie na powyższe pytania listownie!

Najlepsza i najstaranniej opracowana odpowiedź będzie ogłoszona w następnym numerze „Grzesia“ i nagrodzona śliczną książką wielkiej waszej przyjaciółki, Zofii Rogoszówny p, t. „Sroczka kaszkę warzyła“. Niech więc każde z was stara się odpowiedzieć jak najlepiej! Czeka na wasze listy niecierpliwie

Kazimierz Króliński

OŁTARZ Z PAPIERU.

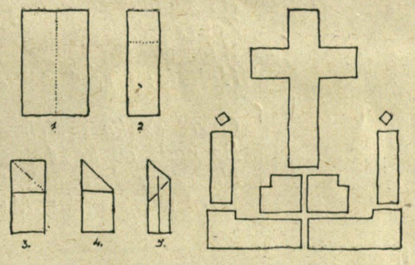

Chcesz sobie zrobić ołtarz?

Weź arkusz papieru i zagnij go przez pół od prawej strony ku lewej jak wskazuje fig. 1. Potem trzecią część powstałego w ten sposób węższego prostokąta zagnij od góry ku dołowi według fig. 2. Teraz pozostały skrócony prostokąt zagnij na brzegu według fig. 3. Nakoniec weź nożyczki i papier, wyglądający tak, jak wskazuje fig. 4, przetnij przez sam środek z góry na dół.

Teraz rozwiń cząstki rozciętego papieru i ustaw je według załączonego dużego wzoru, a ołtarz będzie gotowy!

ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж 6853

Z cyklu: PRZYGODY GRZESIA I WIESIA.

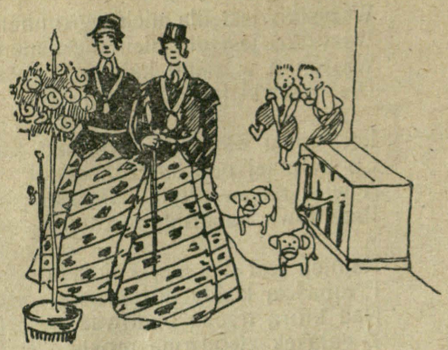

Raz panna Pisia z Misią
I pieski Puk i Muk
Poszli na spacer grzecznie
Wśród ogrodowych dróg.

Z oddali Grześ i Wieś,
Skryci za dom,
Pannom i psom
Tylko się przyglądali.

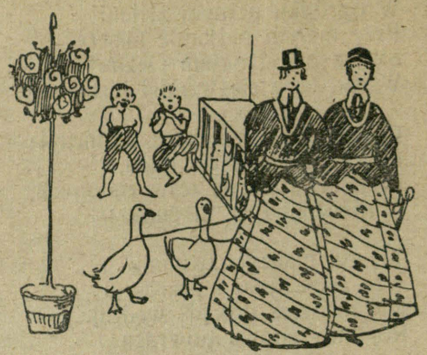

Znów idzie z Pisią Misia,
Za niemi: wierz lub nie,
Nie psy na linkach kroczą,
Lecz człapią gęsi dwie.

Zabawy pragnie Grześ,
Więc dalej w krzyk:
„Najnowszy szyk
Obejrzcie, kto ciekawy“.

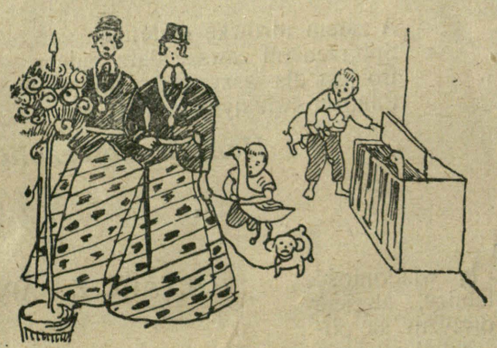

Aż z boku za pannami
Zawrzasły gęsi gdzieś,
Więc wiedzą już, co robić,
Hultaje: Grześ i Wieś.

Grześ szuka gęsich szyj,
By bądź co bądź
Na sznur je wziąć,
Wieś więzi Puka, Muka.

Prędko się wieść rozbiegła,
Przychodzi ten i ów,
Nad gęśmi i pannami
Wielkie kiwanie głów.

Aż szczery bucha śmiech,
Gdy chłopcy dwaj
Wykrzykną: „Aj,
To idą gęsi cztery“.

OD WYDAWNICTWA.

„GRZEŚ“ i „LATOROŚLE“ stają się od dziś własnością Wydawniczej Spółki Udziałowej z ogr. poręką.

„GRZEŚ“ wychodzi co 1. i 15. w każdym miesiącu i przynosi bajki prozą, legendy, powiastki z życia dziecięcego, wspomnienia historyczne, opisy podróży, obrazki z życia zwierząt, stałą rubrykę „Pod rozwagę“ i wesołe „Przygody Grzesia i Wiesia“, nadto rozpocznie niebawem druk ślicznej powieści. Pierwszorzędni współpracownicy literaccy i rysownicy,

Cena prenumeraty miesięcznej: 12 Marek.
kwartalnej: 38 Marek.
półrocznej: 72 Marek.
rocznej: 144 Marek.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Kopernika 12.

Kierownik literacki: Stanisław Maykowski. Nakładem Spółki Wydawniczej z ogr. por. Kierownik artystyczny: Kalikst Krzyżanowski.
Klisze z Zakładu graficznego „Unia“ we Lwowie. Odbito w drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14.
Odpowiedzialny redaktor: Alfred Altenberg.

19. MAJA 1920.
Cena 3 Marki.

GRZEŚ

ROK II.
NUMER X.

PISMO OBRAZKOWE DLA DZIECI.

Redakcya: LWÓW (Pułaskiego 7) — WARSZAWA (Koszykowa 70).

ŁÓDKA.

Kawałek papieru,
O, taki malutki,
To wystarczy całkiem
Na zrobienie łódki.

Teraz w nią z papieru
Wsadzić marynarza,
Na niebezpieczeństwa
Niechaj się naraża!

Śmiało, marynarzu,
Przecież się nie chmurzy,
Czemuś nos tak zwiesił,
Jakbyś bał się burzy?

Siadaj żywo w łódkę
I bież do strumyka,
Co został po deszczu,
Falą gdzieś pomyka.

Gdy będziesz odjeżdżać,
My na brzegu staniem,
Żeby ci powiewać
Chustką z pożegnaniem.

A gdy wpadniesz potem
W wielkiej rzeki falę,
Poznasz ją: czy inna
Płynie tak wspaniale?

Od podróży twojej
Wiele tu zawisło:
Ty nasz pierwszy statek
Wieziesz naszą Wisłą.

Więc patrz, co za wieża
Z pośród fal wyrasta
I ucz się poznawać
Swe prastare miasta!

Kraków mijaj cicho,
Patrz nań tylko czule,
By się nie zbudzili
Utrudzeni króle.

Wita cię Sandomierz
Swem dzwonieniem grubem,
A więc zdejm kapelusz
Przed Świętym Jakóbem!

Widząc Puław drzewnę,
Omszone oblicza,
Zapytaj, czy pomną
Księdza Woronicza!

Płynąc pod Warszawą
W kole wód wesołem,
Gdy Sejm będziesz mijać,
Krzyknij głośno: „Czołem!“

Potem zaś wiślanym
Zdawszy się zakrętom,
Hołdy złóż u Płocka
Mazowsza książętom!

Na toruńską twierdzę
Popatrz z dumą waszę,
To potężne miasto
Jest też przecież nasze.

Płyń-że, marynarzu
I ty płyń z nim, łódko...
Pośród wspomnień, marzeń
Podróż zda się krótką.

A gdy dojedziecie,
Gdy was wiatr nie złowi,
Kłaniajcie się od nas
Ślicznemu Gdańskowi!

Grześ

UWAGA. Po przeczytaniu tego wierszyka idź z nim do mamusi i poproś ją, żeby ci pokazała mapkę Polski: taki kolorowy obrazek, na którym widać morze, góry, rzeki i miasta polskie. Rzeki są podobne do czarnych, grubszych lub cieńszych, poskręcanych sznureczków, miasta do czarnych, grubszych lub cieńszych obrączek. Mamusia pokaże ci sznureczek, przedstawiający Wisłę, malutką Wisłę, o tyle pomniejszoną, żeby się mogła na mapie pomieścić. Pokaże ci, skąd Wisła wypływa, a potem już sam poprowadzisz palcem po tej Wisełce, uważając na każdą napotkaną po drodze większą lub mniejszą obrączkę i odczytując napisy miast, koło których przepływała papierowa łódka z papierowym marynarzem. Potem wbijesz w te miejsca szpilki z umieszczonymi na karteczkach napisami: Kraków, Sandomierz, Puławy, Warszawa, Płock, Toruń i Gdańsk. Z kolei spróbujesz na osobnej dużej kartce papieru odrysować bieg Wisły i naznaczyć nad nią te wszystkie miasta. Nakoniec zapytasz mamusi, czy to zrobiłeś dobrze!

WIELKI DOBROCZYŃCA DZIATWY.

Kilkoletnie zapasy wojenne wyniszczyły całą niemal Europę tak doszczętnie, że milionom zagrażała głodowa śmierć, na którą narażona była przedewszystkiem dziatwa, jako mało na głód i nędzę odporna. I byłaby ta śmierć zebrała ogromnie obfite żniwo, gdyby nie jeden dzielny człowiek, który umiał zapobiec nieszczęściu i uratować miljony. Jest nim Herbert Hoover, inżynier górniczy z zawodu. Jego to powołał prezydent Stanów Zjednoczonych w Ameryce na gospodarza całego kraju i oddał mu wszelką potrzebną ku temu władzę.

Gospodarkę dzielny ten człowiek zaczął odrazu energicznie i wydał surowe rozkazy oszczędzania żywności i wzmożenia pracy, ażeby była nadwyżka chleba. Nadwyżkę tę skupował i gromadził do magazynów, postarał się też zawczasu o okręty i skoro tylko wojna się skończyła, skierował żywność do Europy.

Szczególniejszą opieką otoczył Hoover Polskę. Gdy u nas zapanował ogólny brak środków spożywczych, transporty jego dla naszego kraju, wyładowane z 78 okrętów w roku zęszłym w Gdańsku, wynosiły 215.000 ton samego zboża i mąki, a 59.000 ton różnej innej żywności, jak tłuszcze, mleko, cukier i kakao, co razem czyni około 2740 wagonów. Były to przeważnie dary, kupowane ze składek publicznych, a przeznaczone przedewszystkiem dla dzieci. Dzięki tym darom przez wakacye w roku zeszłym było na kolonjach letnich z samego Lwowa około 15·000 dzieci, a obecnie otrzymuje ciągle dziatwa w całej Polsce z dalszych transportów codzienny posiłek.

HERBERT HOOVER

Wielki dobroczyńca ludzkości zwiedził Polskę w zeszłym roku, a wszędzie witała go dziatwa z niesłychaną wdzięcznością. Kocha on młodzież, życzy jej z całego serca dobrze, ale też i stawia pewne wymagania. Oto żąda on od wszystkich, a więc i od dzieci także pracy i oszczędności i w przemowach swoich zawsze to żądanie szczególnie podkreśla. Dziatwa polska ujęła go sobie ogromnie swoim patryotyzmem, ofiarnością, umiłowaniem wielkich zadań narodu. To też Hoover spodziewa się, że wyrośnie z niej kiedyś dzielne i szlachetne pokolenie.

Oceniając zasługi tego wielkiego człowieka, podajemy jego podobiznę i radzibyśmy, aby go dziatwa polska czciła tak gorąco i serdecznie, jak dziatwa amerykańska czci naszego Kościuszkę.

Kazimierz Króliński

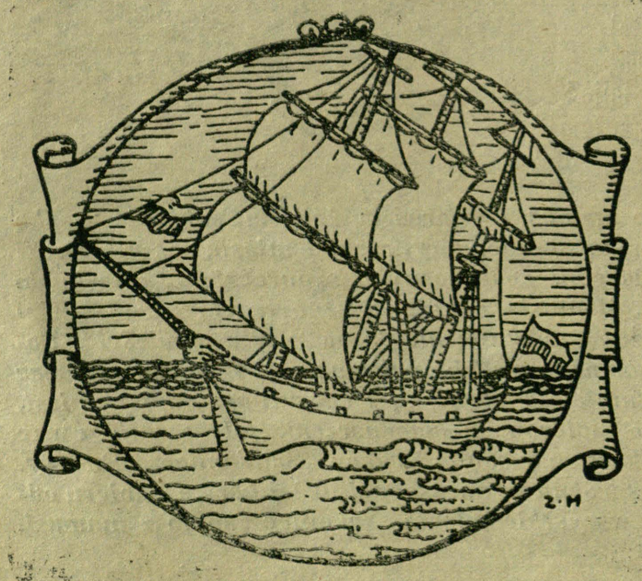

Na „Okręt Dzieci Polskich".

Przypominamy, że każdy czytelnik, który na cel powyższy złoży w Administracyi naszego pisma, czy też nadeszle do niej jednorazowo 50 marek lub będzie składać, względnie nadsyłać w ciągu 10 miesięcy po 5 marek i wykaże się potwierdzeniem odbioru całej nadesłanej sumy, otrzyma jako budowniczy floty polskiej śliczną, z bronzu wykonaną odznakę pamiątkową, wydaną przez naszą redakcyę. Spisy ofiarodawców będą ogłaszane.

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 6853 ІП

DZIECI I DESZCZ.

Mojej córce Aleksandrze.

Jak się masz, deszczu - deszczyku!
Takiś łaskawy:
Rzucasz kropelki
Na ziemię, trawy
I na nas też.
Jak cię kochamy za to, to wiesz.
Ty jesteś przecież dla dzieci,
Że twoje srebro tak leci, świeci.
Srebrzystych, czystych
Twych kropel tłum
Tak dla nas dzwoni
W słodkiej pogoni
Za samym sobą... Plam-plum, plam-plum.

Tańczym po srebrnej murawie,
Deszczu - deszczyku.
Świat cały srebrny jest prawie.
Gałęzie świecą, jak berła,
Na każdej trawie jest perła,
A kropla srebrzysta dźwięczy,
My wiemy, o czem — o tęczy.
To nasza radość w niej śpiewa,
Deszczu - deszczyku.
Pod drzewa lećmy, pod drzewa,
Wstrząsać je jedne po drugich.
Niech nas oblewa ulewa,
Niech dzwoni jasny jej szum
Na kroplach srebrzystych, długich:
Plam-plum, plam-plum, plam-plum.

„Na pole teraz, na pole!
Ja, deszcz, na wszystko pozwolę.
Po ścieżce świecącej — nuże!
A teraz przez tę kałużę,
Co tyle srebrnych ma ust,
Kto pierwszy skoczy?...“ Chlust-chlust.
Trawniki do nas się śmieją,
Deszczu, ty nasza nadziejo!

Tak lubim, kiedy nam mruczysz,
Gdy swoich srebrnych nas uczysz
Piosenek, perłowych dum.
Wszędzie za tobą pójdziemy,
No, cóż to, czyś dzisiaj niemy?
Dzwoń przecież głośniej!
...Plam-plum.

Dziękujemy ci, deszczyku,
Za dar łaskawy.
Za twe srebrzyste,
Ciepłe szemrania.
Jakie powietrze jest czyste!
Jak pachną trawy!
Słońce o rosy
Wyciera włosy
I sad od blasków się słania.
Dziękujemy ci, deszczyku,
Już sobie idź!
Lecz weź ze sobą
Tę srebrną nić!
Będziemy tańczyć wśród blasków, woni,
Tylko tę kroplę ostatnią stłum,
Co jeszcze dzwoni:
...Plum.

Stanisław Maykowski

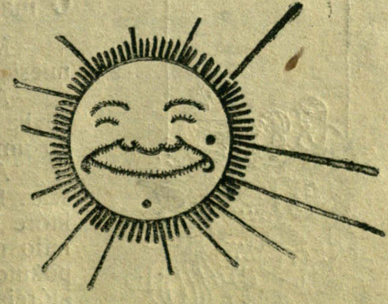

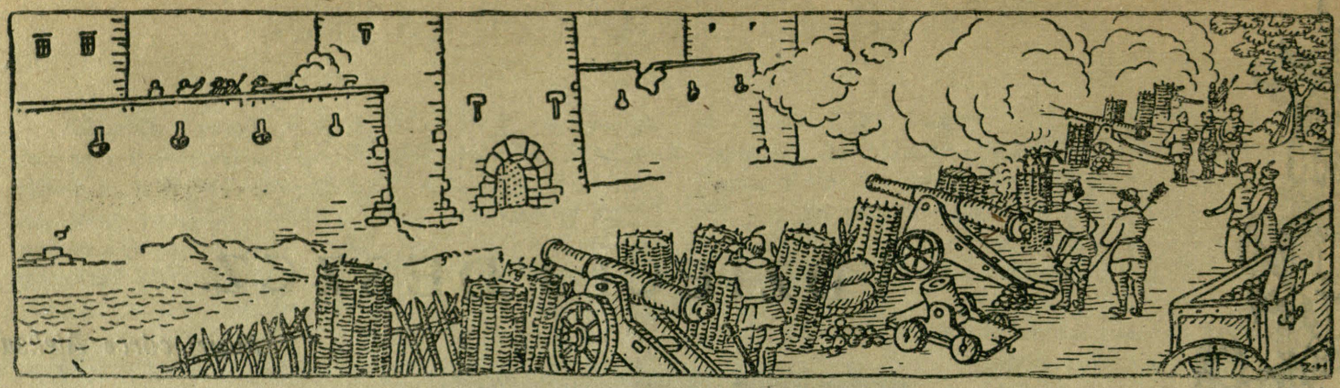

CZEGO KRÓLEWICZ POLSKI NAUCZYŁ HISZPANÓW.

(Na podstawie listu J. M. P. Kazanowskiego z Brukseli 16/IX. 1624 r.)

Było to w r. 1624., w czasie wojny holendersko-hiszpańskiej pod Bredą. Breda owa, warowne miasto holenderskie, ściśnięte i otoczone ze wszech stron przez wojska hiszpańskie Filipa IV. pod dowództwem Spinoli broniła się ostatkiem sił przeciwko znienawidzonemn wrogowi.

Zwiedzał podówczas Holandję królewicz polski Władysław, późniejszy król Władysław IV., syn króla Zygmunta III. Wazy. W stolicy Holandji, Antwerpji, zajętej już wtedy przez armię Filipa IV., królewicz polski, przyszły dziedzic ogromnego państwa, przyjmowany był jak sam król hiszpański. Z dział bito, piechota strzelała, ognie palono a u bram Antwerpji na znak hołdu wręczono mu klucze miejskie.

Z Antwerpji wyruszył królewicz pod odległą stąd o jakie 10 mil na południe Bredę, chcąc przyjrzeć się pracom oblężniczym. Na wieść o tem, że królewicz polski jedzie ku nim cognito, t. zn. dając się poznać w całym swym królewskim majestacie, wybiegł na jego spotkanie na 9 mil od obozu hiszpańskiego, hetman kawalerji Coute Zalazar Lois de Valasco z 3.000 jezdnych. Jazda ta, składająca się z lancierów, kozaków i arkabuzerów, odprowadzić miała królewicza do samego obozu Spinoli pod Bredą.

W odległości mili od obozu wyjechał Spinola w kilkaset kawalerów pięknie przybranych, na cudnych koniach, witał Jego Królewiczowską Mość z największem uszanowaniem i wyrażając radość z powodu szczęśliwego przyjazdu, oddawał samego siebie oraz wszystko wojsko swoje pod komendę królewicza polskiego.

Gdy tak cały ten orszak zbliżył się na pół mili do obozu, ujrzano w promieniach zachodzącego słońca ogromną ilość pięknie uszykowanej kawalerji hiszpańskiej, pod osobistem przewództwem księcia Henryka de Bergen spieszącą na powitanie Władysława. Uczyniono królewiczowi salwę, t. j. pozdrowienie, pochylając chorągwie do samej ziemi, oraz strzelając obficie na wiwat ze strzelb.

Noc spędził Władysław wraz ze swą świtą w zbudowanym umyślnie dla siebie mieszkaniu. Tej samej nocy jeszcze Spinola na tryumf i nowinę dał w miasto 90 strzałów działowych. Nazajutrz kawalerowie wszyscy, urzędnicy hiszpańscy i wyżsi oficerowie witali Jego Królewiczowską Mość z takiem uszanowaniem, jakby swojego pana.

Poczem Władysław, spożywszy obiad, objeżdżał forty i szańce, śmiało dochodząc do pierwszych linji i dając Hiszpanom przykład mężnego serca i lekceważenia niebezpieczeństw. Wraz ze Spinolą przemykał się samowtór przez przytykające prawie do murów Bredy, odkryte i niebezpieczne forty, bo Holendrzy gęsto z muszkietów sypali i pukali z armat. Jedna z takich kul działowych miała szczęście uderzyć w odległości 3 sążni od królewicza i Spinoli.

Hiszpan chciał, żeby królewiczowi polskiemu pokłoniła się najwyższą w mieście wieża. I snadnie byłby tego dopiął, bo przeciw tej wspaniałej wieży wszystkie swe działa skierował — gdyby go był w zapale nie powściągnął królewicz polski.

Władysław wytłómaczył rycerskiemu, lecz dzikiemu Hiszpanowi, że szkoda niszczyć piękno, którego nie można zdobyć, bo ono jest jednym z węzłów, co łączą ludzi, chwilowo bratobójczym orężem rozdzielonych.

Tak więc królewicz polski w czasie krótkiego swego pobytu pod Bredą nietylko wziął u Hiszpanów lekcję w sztuce wojowania, ale zdołał ich nauczyć o wiele większej sztuki: poszanowania i ochrony piękna, które jest najszlachetniejszem dziełem człowieka.

Juliusz Petry

POD ROZWAGĘ.

O maju i próżniakach.

Maj jest ładny. Prawda? Ale czy nie jest za ładny? Bo w deszczowe, brzydkie miesiące rad nie rad musiałeś siedzieć w domu i odrabiać lekcye.

A teraz ciągnie cię do zabawy. W ogrodzie jest tyle przyjemnych rzeczy, a każdy chyba woli piłkę od gramatyki. Bo też i każdy ma w sobie próżniaka, tylko, że jedni go umieją przezwyciężać, a drudzy nie.

Ale rozumny chłopiec czy dziewczynka bawią się tylko wtedy, kiedy im pozwoli czas. Pamiętają oni, że koniec roku szkolnego jest tuż tuż, a z nim i świadectwo, które będzie dobre, jeżeli zabawie nie poświęcą za dużo czasu. Czy byłoby ci zresztą miło patrzeć, jak koledzy lub koleżanki przechodzą do wyższej klasy, a samemu pokutować cały rok za próżniactwo i to do tego w ławce, mającej niełądną nazwę, której tu nie chcę wypisywać?

A więc do pracy, póki jeszcze można. Cały rozum w tem, żeby czas znaleźć i na zabawę i na naukę. Jako nagroda czekają cię dwa miesiące samej tylko zabawy: wakacye.

sm.

PODRÓŻ NAOKOŁO ŚWIATA.

Staś był synem dyrektora,
Jaś był synem buchaltera.
Nie wiedzieli, jak i kiedy
Przyjaźń ich złączyła szczera.

Obaj byli w pierwszej klasie
Sąsiadami z jednej ławki,
Pożyczali sobie wzajem
Książki, pióra i zabawki.

Jaś miał głowę do łaciny,
Staś był dobry matematyk,
Pomagali sobie wzajem,
Gdy złej noty groził patyk.

Gdy Staś rzucił śnieg na sufit,
By kolegom na łeb kapał,
Staś za niego siedział w kozie
I niesłusznie dwóję łapał.

Gdy Jaś w gospodarza klasy
Rzucał raz chlebowe kulki,
Jaś się przyznał podczas śledztwa
Do nie swojej katapulki.

Tak dzielili Jaś i Stasio
Swoją dolę i niedolę,
Że zaiste nie znalazłeś
Lepszych dwóch przyjaciół w szkole.

Nasi mali przyjaciele
Oprócz węzłów tych tak licznych,
Obaj mieli wspólną pasyę
Do podróży zagranicznych.

To łączyło ich najwięcej:
Owa wspólna marzeń sfera.
Jaś wyznawcą był Sindbada,
Staś uwielbial Guliwera.

Więc gdy obaj się znaleźli
Na wakacyach podczas lata,
Uchwalili odbyć wspólnie
Podróż naokoło świata.

Jaś doradzał, by w ogródku,
Gdzie miał ojciec dziewięć uli,
Wiercić tunel prostopadły,
By do drugiej dojść półkuli.

Staś był zdania, że ten zamysł
Nie da się wykonać łatwo
I doradzał, aby rzeczką
Puścić się do morza tratwą.

Lecz ten pomysł doskonały
Nie był długo na widoku,
Bo gajowy im powiedział,
Że jechaliby pół roku.

Jeszcze balon został chłopcom,
A więc wzięli się do próby,
Jaś spodnicę raz ukradkiem
Zabrał Magdalenie grubej.

Pozszywali ją dokładnie,
Smołą nasyciwszy szmaty,
A na dole na drucikach
Umieścili kilo waty.

Gdy powietrze się rozgrzało,
Balon wydął gruby brzuszek
I uleciał nieco w górę,
Trąc się o gałęzie gruszek.

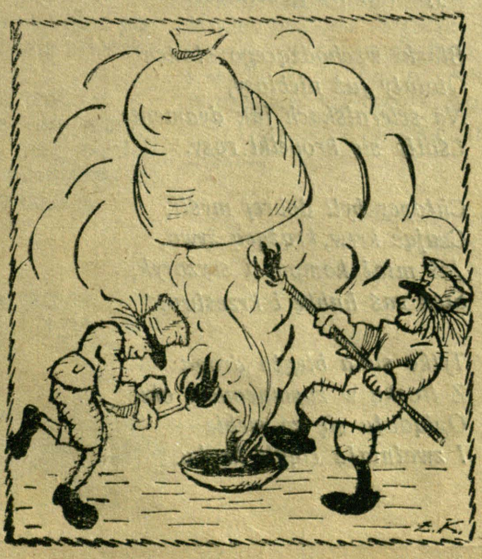

Lecz wnet od płonącej waty
Warstwa się zajęła spodnia
I spodnica Magdaleny
Tak spłonęła, jak pochodnia.

Po tej klęsce nowy pomysł
Znów uwagę chłopców przykuł:
Z kółek wózka dziecinnego
Zmajstrowali wnet wehikuł.

Chociaż skrzypiał przeraźliwie
I kształt miał końskiego żłobu,
Gdy usiedli po turecku,
Mógł pomieścić chłopców obu.

Ale skąd tu wziąść wierzchowca?
Była w budzie suka bura.
Zaprzęgnięto ją do wózka
I zaczęła się tresura.

Po tygodniu prób i batów
Wśród letniego wioski skwaru
Suka już ciągnęła wózek,
Dysząc ciężko od ciężaru.

Wieczorami, gdy dom cały
Z służbą w sen zapadał kurzy,
Chłopcy studyowali atlas,
Obmyślając plan podróży.

Jaś chciał jechać do Italii,
Gdzie na drzewach rosną figi,
Staś doradzał znowu Turcyę,
Gdzie są słodkie makagigi.

Po skończeniu przygotowań,
Wziąwszy żywność do kobiałek,
Naznaczono czas odjazdu
O świtaniu w poniedziałek.

Cały dom spoczywał jeszcze,
Ojciec, służba i babiniec,
Gdy chłopacy na swym wózku
Wyjechali na gościniec.

Blaski wschodzącego słońca
Otulały już niebiosy,
Na ścierniskach jak dyamenty
Lśniły się kropelki rosy.

Chłopcy byli dobrej myśli,
Czując krew, krążącą żywo,
Jaś miał kompas i scyzoryk,
Staś zaś hubkę i krzesiwo.

Tylko suka biegła drogą
Z troską w zasmuconem oku,
Oglądała się za siebie
I zwalniała ciągle kroku.

Wózek się posuwał zwolna
Po pokrytej kurzem grudzie:
Nie w smak była jej ta podróż
Zamiast snu w spokojnej budzie.

Więc powziąwszy w pewnej chwili
Plan ucieczki pokryjomu,
Zawróciła się na skręcie
I pognała wprost do domu.

Wprost na przełaj krótszą drogą
Przez ścierniska i przez rowy
Wózek podskakiwał dziko,
Tłukły się chłopaków głowy.

Pies wyrywał jak szalony,
Kruche lejce się porwały
I wóz stoczył się do rowu
I roztrzaskał się w kawały.

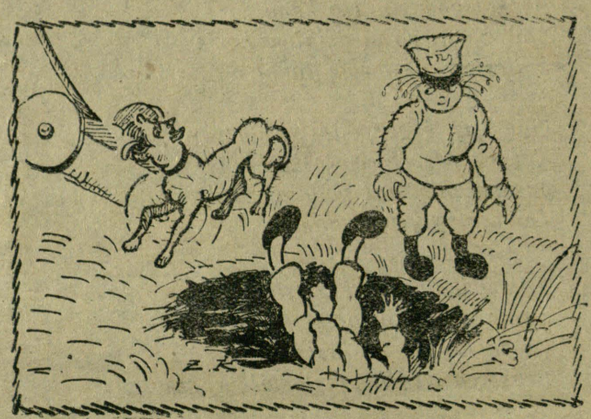

Chłopcy z trudem się wdrapali
Potłuczeni na gościniec,
Jaś spodeńki miał podarte,
Stasio miał na czole siniec.

Trzeba było z wstydem wracać
Opłotkami pokryjomu,
Aby o tem, co się stało,
Nikt się nie dowiedział w domu.

Pies spokojnie leżał w budzie
I kartofle zjadał z miski,
A gdy chłopcy powracali,
Język im pokazał ślizki.

Jaś za karę jeść nie dostał,
Staś zapoznał się z patykiem:
Trzeba, dziatki, wpierw wyrosnąć,
Aby zostać podróżnikiem.

Powrócili więc do kiczek.
Ciesząc się z pięknego lata.
Tak skończyła się chłopaków
Podróż naokoło świata.

Henryk Zbierzchowski

Z WIELKIEJ CHMURY MAŁY DESZCZ.

(Dokończenie).

— Och, to nic nie szkodzi.

— Ależ owszem. Gdyby to nic nie szkodziło, gdyby Misia nie czuła się urażona, nie nazwałaby Zuzi impertynentką, a Tomasza — starym próżniakiem. Nie są że to jej własne wyrażenia?

Misia spuszcza nosek.

Chętnie zmieniłaby temat rozmowy. Ale babunia jest dziwnie wytrwała w wyliczaniu krzywd, jakie spotykają wciąż wnuczkę. Teraz znów wyraża żal, że kucharka Teresa nie dogadza Misi potrawami, że gotuje niesmacznie.

Misia usiłuje przeczyć.

— Czasem bardzo dobre robi rzeczy, na przykład krem czekoladowy albo smażone kartofelki...

Babunia potakuje głową.

— Czemuż zatem Misia nazwała dziś Teresę „wielkiem doniczego?“ Musiała mieć chyba poważne ku temu powody.

Nie zwalczając bynajmniej zarzutów przeciwko Teresie, babunia czuje się jednak w obowiązku zaznaczyć, że jeżeli kucharka podaje częściej potrawki, siekaniny i kaszę, a mniej często kompoty, sałaty i leguminy, to nie jest zupełnie jej wina, bo babunia sama dysponuje obiady i to do niej, do babuni właściwie powinna Misia mieć żal.

— Och, babuniu!

Misia jest dobrą dziewczynką, niestety babunia nie ma złudzeń co do tego, aby mogła jej dogodzić. Służba cała jej nie zadowala, kuchnia również. Dziwne też ma się do Misi pretensje, żeby nie skakała po meblach, żeby jadła, spokojnie siedząc przy stole. Znajomi babuni także nie podobają się Misi, kilka razy nawet nie chciała się przywitać z nimi. Gdyby nie te wszystkie razem przykrości, Misia nie byłaby tak często rozdrażniona i nadąsana, nie wzruszałaby ramionami i nie używałaby pewnych wyrazów...

* * *

Misia zaczyna być coraz bardziej zakłopotana. Chciałaby odejść lub coś powiedzieć, lecz nie może się poruszyć a język cięży jej, jak ołów.

Babunia pragnie przynajmniej dowieść wnuczce, że bardzo cierpi nad tem wszystkiem, że bardzo jej przykro, iż u niej właśnie Misia nie czuje się zadowolona i szczęśliwa. I babunia nie wie nawet, czem właściwie mogłaby ją zadowolić. Czy Zuzię kazać oćwiczyć na publicznym placu? Prawo nie pozwala. Odprawić Teresę i Tomasza? Byłoby trudno zastąpić ich kim innym, przytem są oboje tak starzy, że nie wiedzieliby, co z sobą zrobić. Naturalnie, że babunia zaleci im wszystkim względy dla Misi. Może także napisać do mamy o tem, jak panna Anna dręczy jej córeczkę. Ale w gruncie rzeczy — czy to warto?

Mimo wszystko babunia czuje, że jak wogóle starzy ludzie przy najlepszych chęciach nie będzie w stanie zmienić swego usposobienia, swoich nawyknień. Znów zacznie zanudzać Misię uwagami, gniewać dysponowaniem potraw, których Misia nie lubi... Więc czy nie byłoby najprościej napisać do mamy Misi, żeby nie zostawiała córeczki dłużej w domu, w którym ta czuje się tak bardzo nieszczęśliwą?

Babunia na chwilkę milknie. Misię coś ściska za gardło, wargi jej drżą, oczka zachodzą łzami.

Byłoby jeszcze jedno rozwiązanie kwestji: gdyby Misia uczyniła ze swej strony wielki wysiłek, zapanowała nad sobą i zdobyła się na cierpliwość. Wreszcie nie będzie to już trwało zbyt długo — to wspólne życie. Do terminu wyjazdu niema więcej nad 15 dni. Na drugi rok może Misia nie przyjechać wcale. Zresztą kto wie, czy babunia jeszcze będzie żyć. Jest taka stara. Może stąd odejdzie. Jeżeli więc to jest ostatni raz — Misia może przecież zapanować nad sobą, poświęcić się trochę. To byłaby prostsza rzecz. A kto wie... kiedyś, później może Misia będzie rada, że była taka wyrozumiała dla babuni. Nieprawdaż Misiu?

Misia wydaje stłumiony głos podobny do łkania i wykrzywia usteczka w podkówkę.

Więc już stanęło na tem.

Babunia nie napisze do mamy, przynajmniej nie zaraz. Jest bardzo szczęśliwa, ze wnuczka przebacza jej i chce mieć trochę cierpliwości.

* * *

Misia wraca do swoich lalek, lecz patrzy na nie obojętnie, trzyma je bezwładnemi rękami, a serduszko cięży jej, jak kamień. Nie była ukarana, ani wyłajana. Owszem żałowali jej, tłómaczyli się przed nią, przepraszali. Więc zwyciężyła! Dlaczego tedy czuje się tak źle — tak źle, że chciałaby krzyczeć. Co chwila ukradkiem jej załzawione oczka zwracają się ku babuni.

Jaka ona już stara, pomarszczona. Robota trykotowa drży w jej chudych palcach. Białe loczki spadają po dwóch stronach twarzy, która ma zupełnie kolor woskowy. Może to i prawda, że już niedługo będzie żyła. Misi przychodzi na myśl cmentarz z krzyżami i te smutne powozy żałobne, udrapowane kirem i ci czarni ludzie-żałobnicy i te wielkie doły, wykopane w zimnej ziemi, do których spuszczają biednych umarłych. To nie są bajki. Dziś, jutro może przyjść taka chwila. Strach i ból opanowują Misię. Powoli słońce się chowa. Zaczyna szarzeć.

I w tej chwili babunia, która już nie dowidzi, czuje chłodną rączkę wsuwającą się w jej rękę, a do ucha wpada jej niepewny, drżący głosik.

— Babuniu! — chciałabym ci powiedzieć...

Siedząc na kolanach u babuni i wilgotną od łez twarzyczkę przyciskając do starej, pomarszczonej jej twarzy, Misia szlocha i szlocha... Słowami urywanemi obiecuje być grzeczną, uprzejmą, rozumną i wszystko, czego zechcą i wiele więcej jeszcze.

— Tylko babuniu — już nigdy — nieprawdaż nigdy, nie będziesz mnie przepraszała!

To już ułożone. Pokój zawarty. Oto i podano na stół lampę. Misia i babunia razem będą oglądały album z fotografiami, pożółkłemi ze starości, ale miłemi i pełnemi dobrych wspomnień babuni. Od czasu do czasu Misią wstrząsa jeszcze płacz i co chwila też obejmuje babunię za szyję i wyciska na jej policzkach gorący pocałunek, szepcząc: „Moja“.

I tak — z wielkiej chmury mały deszcz.

Andrzej Lichtenberger
(tłóm. *Śn.*)

0·20/5
ЛНБ им. В. Стефаника
ПРОВЕРЕНО-1987 г.
Ж 6853

Z cyklu: PRZYGODY GRZESIA i WIESIA.

Czy kiedyście widzieli
Damę o takiej tuszy?
Na głowie najmodniejszy
Ma z wszystkich kapeluszy.

Na ławce w parku drzemie
W sąsiedztwie parasola.
Ujrzeli ją Grześ z Wiesiem
I w głowie im swawola.

Zaś dama kiwa nosem
I władzą snu ujęta,
Nie zgadnie, co jej zdradnie
Gotują dwa chłopięta.

„Ja gałąź do sadzawki,
Płynącej obok, wsadzę,
A ty z tej rury prędko
W parasol wysyp sadzę!“

Gdy gruba dama marzy
Z sklejoną wpół powieką,
Grześ dojrzał, że coś w trawie
Czernieje niedaleko.

Tu czarny plan się rodzi
W mig w naszym bohaterze:
Leżącą rurę z pieca
Na plecy prędko bierze.

Gotowa już zasadzka,
Grześ z Wiesiem są na drzewie.
Dama przeciera oczy...
Czy deszcz spadł nagle, nie wie.

Nie widzi, że kropidłem
Kropi ją Grześ przechera.
Ratować trza kapelusz
Parasol więc otwiera.

A właśnie ją Wezuwiusz
Zasypał całą we śnie...
Ah, Boże, jak to dobrze:
Zbudziła się dość wcześnie.

Lecz co to? Znów Wezuwiusz
Czarnego coś rozsiewa...
Grześ z Wiesiem zaś z radości
Omal nie spadną z drzewa.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Stanisław Maykowski.
Klisze z Zakładu graficznego „Unia“ we Lwowie.
Nakładem Spółki Wydawniczej z ogr. por.
Odbito w drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14.